



**MAGDA
STACHULA**

TRZECIA

SPRAWDZISZ, CZY DRZWI SĄ ZAMKNIĘTE

znak litera
nova

Magda Stachula

TRZECIA

znak *litera*
nova

KRAKÓW 2017

Mamie
z wyrazami
miłości

Wtedy

Najgorzej, gdy przychodzi do mnie w snach. Zawsze ma tę samą twarz: mały nos i wydatne wargi. Za każdym razem jest taka sama. Dla niej czas zatrzymał się w ten upalny dzień lipca, o zmierzchu, gdy niebo nad nami przybrało dziewczęcą różową barwę. Jak wyglądałaby teraz? Atrakcyjna i uśmiechnięta, z przystojnym mężem u boku i gromadką uroczych dzieci? Być może.

Nie potrafię zapomnieć jej oczu. Wielkich i przerażonych. Doskonale rozumie, że jej życie zależy ode mnie. Ale w mojej głowie jest tylko jedna myśl, silna i despotyczna. Świdrująca każdą powłokę mózgu, pulsująca w sercu, hamująca oddech. Nie chcę jej blisko siebie, moje życie bez niej będzie prostsze. Nawet przez chwilę nie analizuję tego, co zamierzam jej zrobić i jaką zapłacę za to później cenę.

Wyciąga ku mnie dłonie i otwiera usta, jakby usiłowała coś powiedzieć. Robię kilka kroków do tyłu, patrzę, co się dalej stanie. Beładnie wymachuje rękami, nie chce pozwolić mi odejść, ale nic nie może cofnąć mojej decyzji. Przez cienką skórę na jej skroniach widać wzburzoną w żyłach krew, boi się, zaczyna krzyczeć. Jej rozpacz rozdziera ciszę nocy. Siadam na łóżku, czuję pot na plecach. I tak od wielu lat, nie każdej nocy, ale gdy kładę się wieczorem, nigdy nie wiem, czy tym razem znów mnie nie odwiedzi. A gdy koszmar się już zaczyna, zdaje się ciągnąć w nieskończoność.

8 kwietnia 2016, Kraków

ELIZA

– Na dzisiaj to już wszystko, bardzo państwu dziękuję.

Uśmiecham się do wpatrzonych we mnie twarzy, zamykam notatnik i wstaję. Inni powoli też ruszają się ze swoich miejsc, szurają krzesłami, żegnają się i wychodzą.

Kolejna sesja grupowa za mną. Mam nadzieję, że sporo zyskali na dzisiejszym spotkaniu, bo dałam z siebie wszystko. To znak, że wracam do normy. Pozbierałam się, wychodzę na prostą, pogodziłam się z porażką. Znow potrafię się skupić na problemach innych, słuchać, analizować, zadawać celne pytania. Kosztowało mnie to sporo wysiłku, ale dałam radę, nie zawiodłam.

Na rozłożystym drzewie widać tu i ówdzie pierwsze nieśmiałe załązki liści, powietrze pachnie wiosną. Zatrzaskuję okno, zarzucam torebkę na ramię i zamykam salę. Kładę klucze na kontuarze recepcji, żegnam się z nowo przyjętą sekretarką i wychodzę na zewnątrz. Słońce wstydliwie wygląda zza chmur, posyłając w moją stronę kilka wesołych promyków. Mrużę oczy. Nagle dopada mnie intensywne uczucie *déjà vu*, które wyciska mi łyzy spod powiek. Mijający mnie ludzie mogą pomyśleć, że to skutek patrzenia na słońce, ale prawda jest zupełnie inna. W taki dzień jak ten, mający wiele do zaoferowania, zbyt obiecujący, by zostać w domu, najwięcej myślę o tym, co straciłam. Kilka miesięcy temu z uśmiechem na ustach

pędziłabym do domu, w którym czekałby na mnie on. Pojechalibyśmy za miasto, rozłożylibyśmy koc w jakimś ładnym miejscu i urządzilibyśmy sobie jeden z naszych niezapomnianych pikników. Francuskie sery, wino dla mnie, red bull dla niego. Wspomnienia są wciąż silne, a obrazy tak wyraźne, jakby wystarczyło zrobić krok, by ponownie znaleźć się w życiu, które kiedyś wiodłam.

Robert zdradził mnie z koleżanką z pracy. Banał, który akurat mnie musiał się przytrafić. Pewnego dnia wróciłam do domu wcześniej niż zwykle; w ostatniej chwili klient odwołał wizytę, zatrucie pokarmowe, bywa. Właściwie to zabawne, że za rozpad mojego cudownego związku odpowiada czyjaś biegunka. Przyłapałam ich na gorącym uczynku. Moje zaskoczenie nie miało granic, choć z perspektywy czasu wiem, że bagatelizowałam wszelkie symptomy, każdy przejaw jego nieuczciwości. Nie chciałam być podejrzliwa, pragnęłam, by czuł się ze mną wolny. Podobno o takich kobietach marzą mężczyźni, chyba właśnie dlatego, że łatwo je zdradzać. Patrzyłam na nich zażenowana. On próbował się tłumaczyć, ale choć zawodowo zajmował się obroną w sądzie, w tej sytuacji nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. Ona w pośpiechu zbierała ubrania i niechcący zaczepiła nogą o kabel lampy podłogowej, której pałak uderzył ją w głowę. Żałowałam, że to tylko plastikowa rurka, a nie stalowe ostrze, które przecięłoby ją na pół.

Wskakuję do tramwaju i zajmuję miejsce przy oknie. To już przeszłość, nie ma co rozpamiętywać, najważniejsze, że wyszłam z tego obronną ręką i teraz z każdym dniem będzie już tylko lepiej. Robert chciał, żebym do niego wróciła, ale ja nie jestem dziewczyną, która daje drugą szansę. Po rozstaniu wyprowadziłam się na kilkanaście dni do rodziców, a potem wynajęłam kawalerkę na Lwowskiej. W torebce wibruje telefon, nie włączyłam dźwięku po skończonej sesji. Wydobywam go i zerkam na wyświetlacz. Daniel. Mój młodszy brat i najlepszy przyjaciel, a zarazem zawodowy sportowiec, od

dwóch lat gracz narodowej drużyny hokeja. Ta kariera była mu pisana. Urodził się w roku, w którym polscy hokeiści po raz ostatni brali udział w igrzyskach olimpijskich. Od czasów turnieju w Albertville Polsce nie udało się już nigdy zakwalifikować do finałowej dwunastki. Zawsze powtarzałam Danielowi, że w niego wierzę i na pewno coś w tej kwestii zmieni, a teraz trzymam za niego kciuki jeszcze mocniej, bo jego drużyna nigdy nie była tak blisko sukcesu. Z rozgrywek lutowych Polska wyszła jako pierwsza z grupy, co daje ogromne szanse na igrzyska w Pjongczang w 2018 roku.

– Cześć!

– No cześć! – słyszę jego wesoły głos. – Masz jakieś plany na wieczór?

– Nie. – Kręcę głową przecząco, choć on tego nie widzi.

– To już masz. Mała imprezka o dwudziestej, o nic się nie martw, wszystkim się zajmę.

– Gdzie?

– U ciebie – śmieje się – moje imieniny, nie możesz mi odmówić.

– Są dopiero w niedzielę.

– Ale w niedzielę wyjeżdżam z drużyną – tłumaczy.

– Nie mam prezentu! – Nie żebym szukała wymówki, ale takie są fakty.

Chciałam mu coś kupić w sobotnie przedpołudnie.

– Skombinuj tylko jakieś żarcie. Wiesz, że nie jestem wymagający.

– W takim razie kupię ci old spice’a w kiosku. – Teraz ja się śmieję. – Ile osób?

– Góra dziesięć.

– Pamiętaj, że mieszkam na trzydziestu ośmiu metrach!

– Jesteś niezastąpiona – stwierdza i się rozłącza.

Cieszę się na wieczór w towarzystwie Daniela i jego znajomych, lubię spędzać z nimi czas. Wsiadam na najbliższym przystanku; mam zamiar

sprawdzić się w roli osoby odpowiedzialnej za catering, a dobrze zaopatrzony supermarket mi w tym pomoże.

Warszawa

LILIANNA

Ilekcroć z perspektywy kanapy obserwowałam jakieś tragiczne wydarzenia, nie myślałam o wybuchu bomby rozrywającej ciała na kawałki, ostrzu noża przecinającym kolejne warstwy skóry czy uderzeniu samolotu w ziemię, ale o tym, czy dałoby się tego uniknąć. Kobieta przegląda się w lustrze, malując usta pomadką, przegania z głowy myśl, że ciemniejszy odcień byłby bardziej odpowiedni, i wychodzi wprost na strzelaninę w kawiarni. Gdyby tylko zdecydowała się poszukać w torebce tej drugiej szminki... Facet z nadwagą wybiega z przejścia podziemnego, zatrzymuje się przed bramkami metra, czując nieprzyjemną woń własnego potu, i po raz kolejny obiecuje sobie, że przejdzie na dietę i zacznie uprawiać jogging. Przeciąga bilet przez czytnik i cieszy się, że zdążył na ostatni pociąg. Morderczy bieg się opłacił, za niecałą godzinę weźmie prysznic i zacznie przygotowywać się do jutra, które nigdy nie nadejdzie. Dlaczego nie zdecydował się tego dnia pojechać taksówką? Młoda para trzyma się za ręce, czując coraz większe podniecenie na myśl o tym, co czeka ją już niebawem, za chwilę, gdy tylko samolot dotknie kołami ziemi. Dziewicze plaże, nieznanne smaki, zapachy i oni, wreszcie sami, razem, na zawsze. Puchate obłoczki przemykające za okrągłym oknem potęgują w nich poczucie szczęścia, tylko staruszek siedzący przed nimi psuje wyjątkowy moment, drapiąc się co chwilę w głowę i obsypując swoje ramiona płatkami łupieżu.

Zerkają na siebie porozumiewawczo, jeszcze nie wiedzą, że oddaliby wszystko, aby ten widok miał szansę przekształcić się w zabawną anegdotę.

Wiem, że to nie działa w ten sposób, ale za każdym razem analizowałam, kto z nich mógł się wywinąć śmierci, oszukać przeznaczenie i gdzie, u licha, popełnili błąd. Zupełnie jak ja tamtego dnia. Dlaczego postanowiłam wypić kawę przed wyjściem z domu? Czy gdybym z tego zrezygnowała i wyszła do pracy kilka minut wcześniej, udałooby się uniknąć tego, co nastąpiło?

Gdy podjeżdżam na parking przed jednym z gigantycznych warszawskich biurowców, z głośników radia rozbrzmiewa *Don't let me down*. Nie najbardziej znany utwór nieśmiertelnych Beatlesów, ale najważniejsza piosenka w moim życiu. Ta, której się nigdy nie zapomina, która dźwięczy w uszach niemal bez przerwy i za każdym razem przywodzi na myśl ciebie. Nienawidzę jej tak bardzo, jak ją kocham, ale nie potrafię się od niej uwolnić. Czekam, aż się skończy, aż ostatnie akordy gitary wbiją się we mnie niczym zatrute sztylety.

Obserwuję grupę osób palących papierosy przed wejściem do budynku. Jest wśród nich Marek. Zauważa mnie, ale nie podchodzi, jakby czuł, że nie jest to dobry moment. Ostatnie szarpnięcie struny, ostatni przebłysk wspomnień i głos spikera przywraca mnie do rzeczywistości. Wsiadam z auta i próbuję trzymać fason. Idę z lekko uniesioną głową, sprawnie lawirując między kałużami.

– Dzień dobry, pani prezes! – Marek macha do mnie z daleka.

– Dzień dobry, panie dyrektorze – odpowiadam mu, wpasowując się w jego żartobliwy ton.

Znamy się od zawsze. Wychowaliśmy się na tym samym osiedlu, chodziliśmy do tej samej szkoły, nasze matki były najlepszymi przyjaciółkami. Marek jest dyrektorem działu inwestycji w mojej firmie, skrupulatny i przewidujący, niezastąpiony. Prawdziwy przyjaciel, bliski jak

brat. To jedyna osoba spośród moich obecnych współpracowników, która wie o wszystkim, co się stało. Co zrobiłam. Nigdy mnie nie potępił, nie ocenił i jako jedyny próbował – bezskutecznie – odwieść mnie od mojej nieodwołalnej decyzji. Wiem, że gdybym go wtedy posłuchała, moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Jednak życie to nie film, tu nie kręci się dubli.

Ramię w ramię kroczymy w kierunku wind. Nie pytam, jakie ma plany na weekend – od czasu gdy żona zabrała mu dzieci, nie czeka z utęsknieniem na piątek. Stał się pracoholikiem; niezbyt dobrze wróży to jego zdrowiu, za to świetnie mojej firmie.

– W weekend posiedzę nad umową z bankiem – mówi, gdy wchodzimy do środka. – Czekam na decyzję działu prawnego, ale myślę, że nie mamy innego wyjścia. Musimy działać szybko, działka jest zbyt atrakcyjna, żeby zwlekać, nie chciałbym, aby ktoś sprzątnął ją nam sprzed nosa.

– Całkowicie ci ufam. – Posyłam mu uśmiech. – Wiesz, że masz wolną rękę.

– A ty wiesz, że i tak przyjdę do ciebie po radę. – Spogląda na mnie. – Wciąż o tym myślisz – zauważa.

Czyta z mojej twarzy jak z otwartej księgi.

– Daj spokój, nie warto.

– Wiem. – Zamykam oczy, kolejny raz boleśnie uzmysławiając sobie ogrom swojej porażki.

Gdy wysiadamy na naszym piętrze, puszcza mnie przodem. Warkot ekspresów, stukot szpilek, głośno jak w ulu. Nie kontroluję moich pracowników, nie pytam, co już zrobili, którą parzą kawę i gdzie są myślami. Odpowiadam na docierające zewsząd słowa powitania i znikam za drzwiami gabinetu. Podciągam żaluzje i staję w gigantycznym oknie z widokiem na budzącą się do życia stolicę. Tramwaje na dole wyglądają jak gąsienice pełzające we wszystkich kierunkach w poszukiwaniu pożywienia. Podnoszę

wzrok, prześlizgując się po szklanych ścianach biurowca naprzeciwko, i docieram do wolno płynących po niebie obłoków, stalowych i ciężkich. Patrzenie na nie napawa mnie smutkiem. Nagle, jak na zamówienie, ponure chmury przecina jasna wstęga unoszącego się w oddali samolotu. Pogodna smuga na posępnym tle, zaskakujące pociągnięcie pędzla szalonego artysty, przypomnienie, że gdzieś tam, w bliskim lub dalekim świecie, jesteś ty. Ale to właśnie boli najmocniej.

9 kwietnia 2016, Kraków

ELIZA

– Ale syf!

Patrzę na wszechobecny w mieszkaniu bałagan. Choć odbyła się tu impreza sportowców, którzy z reguły ograniczają picie alkoholu, wszędzie walają się puste butelki i zapewne będę je odnajdywać przez kolejne dni. Najwyraźniej Daniel nie umie liczyć do dziesięciu, bo na imprezę zaprosił chyba wszystkich swoich znajomych. Resztki zaschniętego jedzenia przywarły do pozostawionych na parapecie, komodzie i stole talerzy, dywan szpeci lepka plama o podejrzanym kolorze, wszędzie panuje chaos.

– Spoko, ogarnę to! – zapewnia bełkotliwie Daniel, podnosząc głowę z poduszki.

Został u mnie na noc; odstąpiłam mu kanapę, zajmując rozkładany fotel, na którym on musiałby spać zgięty w chińskie osiem.

– No, mam nadzieję!

Okręcam się szlafrokiem i idę do łazienki. Kiedy wracam po krótkim prysznicu, z turbanem na głowie i znacznie większą energią do życia, jego łóżko jest puste, a z kuchni dochodzi zapach smażonego bekonu i jajecznicy.

– Kto cię nauczył gotować? – Opieram się o framugę drzwi i patrzę, jak mój brat drobno sieka szczypiorek.

– Ty. – Posyła mi uśmiech.

Stoi przy kuchence w samych bokserkach, a mnie uderza myśl, że jego dziewczyny to prawdziwe szczęściary.

– Kawy?

– Poproszę.

Zdejmuję ręcznik z głowy i przeczesuję mokre włosy palcami.

– Co myślisz o Jacku? – pyta Daniel, stawiając talerze na stole.

– O kim?

– O naszym nowym bramkarzu.

– Tym zadziornym dryblasie?

– Wpadłaś mu w oko.

Wybucham śmiechem.

– Przestań! Przecież to jeszcze dziecko!

Daniel spogląda na mnie, marszcząc brwi.

– Nie mów, że zaprosiłeś go wczoraj dla mnie?

– Wydawał się w twoim stylu.

– Dzięki, stary, ale nie potrzebuję swatki.

– Brak seksu działa destrukcyjnie.

– A skąd ty o tym możesz wiedzieć?

Teraz on się śmieje. Nowa dziewczyna u boku to od lat jego znak rozpoznawczy.

– Naprawdę nie ma nikogo? Żadnego godnego następcy pana prawnika?
– docieka.

– Przestań. – Szturcham go w ramię.

– A tak na serio, jeszcze się nie pozbierałaś?

– Pozbierałam się – upijam łyk kawy – tylko nie uznaję półśrodków.

– Jacek zdaje się znać na rzeczy. – Uśmiecha się porozumiewawczo.

– Dzięki, ale od chłopięcego trądziku wolę męski zarost.

Rechoczymy oboje przez chwilę, po czym Daniel wstaje i wkłada puste talerze do zlewu.

– Dobra, ja zajmę się kuchnią, a tobie zostawiam resztę.

Zważywszy na tony brudnych naczyń, to bezapelacyjnie sprawiedliwy podział. Ściele łóżka i zastanawiam się, czy tak bardzo po mnie widać, że potrzebuję faceta, skoro mój młodszy brat poczuwa się do obowiązku, aby mi go znaleźć. Zamykam oczy. Zdesperowana kobieta zawsze jest żałosna.

10 kwietnia 2016, Warszawa

LILIANNA

Marek staje w drzwiach z butelką wina. Jego przerzedzone włosy są ogolone tuż przy skórze, to celowy zabieg mający ukryć zakola i siwiznę na skroniach. Uprasowana koszula i zapach drogich perfum; wyraźnie zainwestował w dzisiejsze spotkanie. Chwilę przyglądam się jego odbiciu w wielkim lustrze. Powiesił kurtkę na haczyku i właśnie pozbywa się butów, co świadczy o tym, że czuje się u mnie swobodnie. Nie do uwierzenia, że jesteśmy w tym samym wieku. Podobno mężczyźni starzeją się później i lepiej, jednak w naszym przypadku to się nie sprawdziło. Z wypływającym znad linii paska brzuchem wygląda jak mój starszy brat albo dobrze zakonserwowany wujek.

– Czerwone, wytrawne. – Prezentuje butelkę.

– Świetnie!

Nie mówię mu, że od trzech lat nie piję niczego innego poza szampanem. Uzależniłam się od bąbelków i ich charakterystycznego szczypiąco-słodkiego smaku.

– Pięknie wyglądasz – zauważa.

Posyłam mu uśmiech pod tytułem „daruj sobie”. Przechodzimy do kuchni. Na stole stoją już dwa talerze i pali się świeczka, w której blasku przegryza się sałatka z krewetek osnuta wonią bakłażanów dochodzących w piekarniku. Zadbałam o wszystko w najdrobniejszych szczegółach, taka

już jestem.

– Zapowiada się romantyczna kolacja – stwierdza Marek.

Patrzę, jak jego skarpety w prążki odbijają się w błyszczących płytkach, gdy zmierza w kierunku swojego nakrycia. Jego trafna uwaga i unoszący się za nim zapach perfum przywracają mnie do rzeczywistości. To, że jestem sama, a jego kilka miesięcy temu rzuciła żona, nie znaczy, że mamy być razem, a on najwyraźniej tak to właśnie zinterpretował. Na brak pewności siebie nie może narzekać.

– Za chwilę wracam! – krzyczę i odwracam się na pięcie.

Znikam za drzwiami łazienki. Pod kremową sukienką mam drogą bieliznę. Gdy kupowałam biustonosz kilka dni temu, przez szparę w zasłonie podglądał mnie młody chłopak, który widocznie nie gustował w rozmiarze A, jakim została obdarzona przez naturę jego dziewczyna. Przyznaję, że mi to schlebiło. Wciąż się podobam, nie jestem stara, nikt mi nie patrzy w metrykę. Oczywiście nie kupiłam tej bielizny z myślą o Marku, tylko dla siebie. Od zawsze przywiązuję ogromną wagę do tego, co noszę; nawet w domu, gdy nikt mnie nie widzi, nie chodzę w powyciąganych dresach czy zmechaconych swetrach. Damą trzeba być zawsze, a poza tym mam słabość do niektórych marek. Ale nie do Marka. Czy on naprawdę to dzisiejsze spotkanie traktuje jak randkę? Zaprosiłam go na kolację, bo mi go szkoda, bo oboje jesteśmy samotni, bo się przyjaźnimy, bo nie mieliśmy innych planów... Nigdy nie zostanie moim kochankiem. Już jednego kiedyś miałam.

– Nalać ci? – słyszę pytanie dochodzące zza drzwi.

– Tak, już wychodzę.

Ścieram pomadkę z ust i rezygnuję z użycia perfum.

Gdy wchodzę do kuchni, mój kieliszek jest w połowie napełniony, a piekarnik oznajmia, że właśnie skończył swoją robotę. Otwieram drzwiczki i proszę Marka, by podszedł do mnie z talerzem.

– Dlaczego wcześniej nigdy nie udało nam się umówić? – Rzucam mu krótkie spojrzenie, wsuwając na łyżeczkę połówkę bakłażana.

– No właśnie, dlaczego? – Przytrzymuje mój wzrok.

– Bo Konrad stale był w delegacji, a Monika wiecznie miała migrenę – odpowiadam, wybuchając śmiechem.

Nie wydaje się zadowolony z wywołania duchów naszych byłych małżonków. Jednak ja już wiem, co mam robić. Poprowadzę to spotkanie w kierunku umocnienia przyjaźni, ugruntowania tego, co między nami prawdziwe i trwałe. Będziemy mówić o firmie, planach rozwoju i awansach zasłużonych pracowników. Przed dwudziestą drugą Marek opuści moje mieszkanie i pójdziemy grzecznie spać, każde w swoim łóżku. Może nie będzie zadowolony z takiego finału, ale wiem, że kiedyś mi za to podziękuje. Żadnych dwuznaczności między przyjaciółmi przeciwnej płci, to jedyny sposób na udane relacje. A na tym zależy nam obojgu najbardziej, choć on może w tym momencie myśli inaczej.

– Nie smakuje ci? – pytam, gdy zastyga nad talerzem, na którym leży rozgrzebany bakłażan.

– Nie, pyszne. – Nakłada farsz na widelec i wkłada go do ust. – Zamyśliłem się – mówi z pełnymi ustami.

Nawet wiem nad czym.

– Brakuje ci dzieci? – Celowo kieruję rozmowę na bezpieczniejsze tory.

– To też – przytakuje – ich śmiech, wspólne zabawy, wiesz, jak jest...

– Nie wiem – przerywam mu.

– Przepraszam – w jego oczach widzę szczerą – naprawdę nie miałem niczego złego na myśli.

Kiwam głową i upijam łyk wina. Wiem, że nie miał. Nigdy nie wchodziliśmy na ten grząski grunt. Marek zdaje sobie sprawę, że to temat, którego wolę unikać, udawać, że mnie nie dotyczy. Jednak teraz jestem mu

wdzięczna, poruszył strunę, która może drgać we mnie do końca spotkania. Będę zamyślona, smutna, nostalgiczna, a on w tej sytuacji nie podejmie nieudolnych prób przemienienia wieczoru w noc pełną niezapomnianych wrażeń. Wyjdzie o wiele wcześniej, niż początkowo planował, i mimo dobrego wina, które właśnie sący, wieczór zaliczy do wyjątkowo nieudanych.

12 kwietnia 2016, Kraków

ELIZA

Mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Nieprzyjemne uczucie, bliskie paniki. Drzwi tramwaju zatrzymują się za mną, nie patrzę na boki, ruszam przed siebie. Jest ciemno, uliczne latarnie rzucają blade światło na chodniki, siąpi deszcz. Kapryśny kwiecień. Nie decyduję się na poszukiwanie parasolki w torebce, nie chcę tracić czasu. Mam do przejścia kilkanaście metrów, za parę minut znajdę się w zaciszu mojego mieszkania i tylko o tym teraz myślę. Ciepły koc, łóżko, spokój – dzielą mnie od tego minuty. Odgłosy pasażerów, którzy ze mną wysiedli, oddalają się w różnych kierunkach. Uderzenia szpilek, kaszel, pociąganie nosem, niezrozumiałe rozmowy. Przyśpieszam kroku. Tuż obok przejeżdża taksówka, rozbryzgując wodę w kałużach po popołudniowej ulewie. Odskakuję do tyłu. Wciąż to czuję, ktoś na mnie patrzy, choć ulica jest pusta. Nie mogę ulegać złudzeniom. Im bardziej się nakręcę, tym trudniej będzie mi wrócić do równowagi. Już kilka razy to przerabiałam, jestem mądrzejsza o nieproszone doświadczenia.

W witrynie sklepu odbija się moja sylwetka, w zasięgu wzroku nie ma nikogo oprócz mnie. Zatrzymuję się na krawężniku, rozglądam kontrolnie na boki i już chcę przejść na drugą stronę ulicy, gdy go zauważam. Zaparkowany kilkanaście metrów dalej samochód stoi jak inne, w szeregu aut, ale jego przednie światła są włączone. W blasku reflektorów krople deszczu spadają miarowo na ziemię i jest w tym widoku coś niepokojącego.

Wzdrygam się, odwracam głowę i stawiam pierwszy krok na jezdni. W tym momencie samochód rusza. Oglądam się, ale nie mogę dostrzec kierowcy. Czy chce mnie przejechać? Zaczynam biec, nie patrząc już, gdzie stawiam stopy. Po chwili mam przemoczone buty i czuję wypieki na policzkach. Dopadam bramy kamienicy i energicznie wpisuję kod. Zamek puszcza w momencie, gdy blask reflektorów oświetla moją postać od tyłu. Zatraskuję za sobą drzwi. Chociaż serce wali mi jak po półmaratonie, gnam na górę po schodach. To przypadek, tłumaczę sobie. Ktoś akurat ruszył, gdy ja przechodziłam przez ulicę. Za dużo filmów grozy, wyobraźnia i gotowe. Opacznie postrzegam rzeczywistość, tak naprawdę nic się nie dzieje. Chwilę mocuję się ze starym zamkiem, ale to wystarczy, aby znów ogarnął mnie strach. A co, jeśli usłyszę kroki na dole i nadal nie będę mogła się dostać do środka? W końcu udaje mi się włożyć klucz pod odpowiednim kątem, popycham drzwi i zatraskuję je za sobą z hukiem.

Ku mojemu zaskoczeniu w mieszkaniu nie panuje cisza. Wita mnie rytmiczne stukanie: puk, puk, puk. Ktoś jest w środku. Przywieram plecami do drzwi. Panika zaciska pętlę wokół mojej szyi, z trudem łapię kolejny oddech. W przerażeniu patrzę w pustkę przed sobą, o moją twarz rozbija się strumień chłodnego powietrza. Oczy powoli przyzwyczajają się do półmroku. Nikogo nie widzę. Ostrożnie robię kilka kroków do przodu i dostrzegam falującą w oknie roletę. Unosi się do góry i opada. Zapomniałam zamknąć lufcik, gdy rano wychodziłam. Przez niewielki otwór mógłby dostać się do środka jedynie kot, o ile wspiałby się na drugie piętro. Wypuszczam zgromadzone w płucach powietrze i dopadam okna. Auto stoi na środku jezdni, dokładnie na wprost drzwi kamienicy. Wiedziałam, że to nie przypadek i nic mi się nie wydawało. Teraz mam dowód. Ktoś mnie śledzi i to nie pierwszy raz.

Wczoraj zrobiono mi zdjęcie. Od rana towarzyszyło mi to nieznośne

uczucie, przeświadczenie, że jestem obserwowana. Próbowałam wyrzucić je ze świadomości, ale wciąż wracało, zbyt często i zbyt zuchwale. Wyszłam z biblioteki jako ostatni czytelnik. Słońce już zachodziło, a ja cieszyłam się, że znów zaczął obowiązywać czas letni i dni stały się wyraźnie dłuższe. Przemierzałam Planty, gdy znów to poczułam. Ktoś mi się przyglądał. Zatrzymałam się i obejrzałam przez ramię. Nie zauważyłam nikogo, ale mocniej okręciłam szal wokół szyi, zakrywając nim połowę twarzy, i ruszyłam do przodu. Co chwilę rozglądałam się na boki, ale nadal nie działo się nic niepokojącego. Każdy z przechodniów był zajęty swoim życiem, nikt się mną nie interesował. Mimo to miałam ochotę biec, uciekać od kielkującego w mojej głowie przerażenia.

Gdy czuję, że coś jest poza moją kontrolą, zaczynam się denerwować. Szybko przechodzę od popłochu przez panikę po skrajne odruchy rozdrażnienia, graniczące z furją. Po raz kolejny powtórzyłam sobie, że życie biegnie do przodu, nie wstecz, i zazwyczaj znacznie więcej dzieje się w naszych głowach niż w rzeczywistości. Zwolniłam kroku, wyrównałam oddech. Nie ma potrzeby oglądać się za siebie, wyszukiwać w tłumie podejrzanych osobników, jakby kogoś takiego dało się w ogóle rozpoznać po twarzy. Pozory mylą, każdy z nas chociaż raz wydał błędny wyrok, krzywdząco ocenił czyjś wygląd. Zdradliwa powierzchowność.

Zacisnęłam mocniej pasek w talii tweedowego płaszcza i z trudem powstrzymując się od przyśpieszenia kroku, skręciłam z Plant w ulicę Wiślną. Po kilku metrach zniknęłam za drzwiami piekarni. Nie potrzebowałam pieczywa, ale kto oprócz mnie mógł o tym wiedzieć? Gdy kilka minut później wyszłam na ulicę z torebką ciastek grylazowych, zauważyłam błysk flesza w oknie po przeciwnej stronie ulicy. Kiedy zadarłam głowę, oślepiła mnie lampa błyskowa. Odruchowo zakryłam twarz dłonią, ale po chwili znów spojrzałam do góry. Przez ułamek sekundy

mignęła mi postać cofająca się w głąb budynku. Nie potrafiłam określić, czy to mężczyzna, czy kobieta, w jakim jest wieku czy jakiego wzrostu. Pewne było jedynie to, że osoba ta miała na sobie ciemną kurtkę, a w ręce aparat z wycelowanym we mnie obiektywem. Zagotowałam się. Przebiegłam na drugą stronę ulicy i wpadłam do budynku. Mieścił się w nim Wydział Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, mógł do niego wejść każdy. Równie łatwo jak ja dostał się tam mój prześladowca. Popędziłam na pierwsze piętro. W oknie, z którego ktoś robił mi zdjęcia, nie było nikogo. Podbiegłam do parapetu i wyjrzałam na ulicę. Z piekarni na dole wyszła młoda kobieta z chłopcem, którego marudzenia nie mogłam znieść, stojąc w kolejce. Miałam na nich idealny widok, zupełnie jak ktoś na mnie kilka minut wcześniej. Pobiegłam piętro wyżej. Pusty korytarz. Zajrzałam do damskiej toalety i bez wahania wpadłam do męskiej. Jakiś facet w błękitnej koszuli właśnie zapinał rozporek. Nie zwracając uwagi na jego skonsternowaną minę, otworzyłam drzwi do boks z sedesem. Pusto.

– Damska jest obok – odezwał się, trzymając ręce w dziwnym zawieszaniu na wysokości bioder.

Obrzuciłam go spojrzeniem, nigdzie śladu kurtki ani aparatu. Niewinny. Wypadłam bez słowa na korytarz i zauważyłam wspinające się po schodach dwie dziewczyny w kolorowych swetrach. Nie pasowały do profilu prześladowcy.

– Przepraszam – podbiegłam do nich – nie widziałyście tu kogoś z aparatem?

– Nie – odpowiedziały niemal równocześnie, wyraźnie niezadowolone, że im przeszkadzam.

– Człowieka pstrykającego zdjęcia – sprecyzowałam.

Spojrzały na mnie jak na kogoś niespełna rozumu.

– Nie, nikogo takiego nie widziałyśmy – odparła ta z wymalowanymi na

czerwono ustami, następnie wyminęły mnie i poszły na górę, szepcząc coś do siebie.

Byłam pewna, że sobie tego nie wymyśliłam, widziałam flesz, sylwetkę fotografa, a teraz mam dowód w postaci auta, które właśnie stoi pod moim oknem. Z góry nie mogę rozpoznać marki, widzę jedynie, że samochód jest czarny, dość duży, to chyba jakiś SUV. Po wejściu do pokoju celowo nie zapaliłam światła, aby nie zdradzić, gdzie dokładnie mieszkam. A może to daremny zabieg i ten ktoś już to wie? Fala gorąca uderza mi do głowy. Czego jeszcze się o mnie dowiedział i kim jest? Z trudem powstrzymuję drżenie rąk, mocniej przyciskając do siebie torebkę. Czy powinnam zawiadomić policję? Czy mam wystarczające dowody na to, że ktoś mnie śledzi? Nie, oczywiście, że nie. Krople deszczu odbijają się od parapetu i wbijają się we mnie jak tysiące drobnych szpilek. Chciałabym zamknąć lufcik, odciąć się od tego szumu, ale boję się, że mój prześladowca mnie zobaczy. Wpatruję się w samochód na dole i zastanawiam się, o co w tym wszystkim chodzi. Dlaczego to ja jestem w centrum tych dziwnych wydarzeń? Czyżby ktoś wiedział o mnie więcej, niżbym sobie życzyła? Obrazy z przeszłości przelatują mi przed oczami jak zdjęcia w fotoplastykonie. Mrugam szybko, aby się ich pozbyć, jestem tu bezpieczna, przekonuję samą siebie w myślach, nic mi nie grozi.

Po chwili z drugiego końca ulicy nadjeżdża inne auto, dość szybko, jakby kierowca nie widział przeszkody na drodze. W ostatnim momencie hamuje i kilkakrotnie nerwowo naciska klakson. Czarny wóz odjeżdża, zostawiając mnie ogarniętą paniką. Nie odchodząc od okna, wyszukuję po omacku telefon w torebce. Wybieram numer Daniela. Odbiera po trzecim sygnale.

– Hej, przyjedziesz do mnie?! – Z trudem powstrzymuję płacz.

– Nie ma mnie w Krakowie, mówiłem ci, mecz wyjazdowy, wracam pojutrze – odpowiada.

– A, tak – odchrząkuję, aby zyskać na czasie – zapomniałam.

– Eliza, co jest? – Nie tak łatwo go zwieść. – Coś się stało?

– Nic, tak tylko dzwonię – kłamię. – Myślałam, że do mnie wpadniesz. Obejrzelibyśmy film, zamówilibyśmy pizzę. – Udaję śmiech. W tym momencie nie wpuściłabym za próg kamienicy nawet doręczyciela wigilijnych opłatków. – Nie przejmuj się, spotkamy się, jak wrócisz.

Nie chcę go niepokoić, zwłaszcza przed meczem, który ma rozegrać jutro. Od dawna o nim mówił. Kolejny krok w kierunku Pjongczang, nie mogę teraz podstawić mu nogi. Kończę rozmowę i podchodzę do drzwi. Sprawdzam zamki, a potem zakładam łańcuch, którego nigdy wcześniej nie używałam. Kilka razy zastanawiałam się nawet, słysząc brzęczenie metalowego sznureczka przy drzwiach, dlaczego właścicielka nie pozbyła się tego reliktu przeszłości. Teraz jestem jej za to wdzięczna.

Mimo to przez całą noc nie mogę zmrużyć oka. Czuję każdą sprężynę w materacu, choć od miesiący spałam w tym łóżku bez najmniejszego problemu. Kiedyś cierpiałam na bezsenność: galopada myśli, uciekające i doganiające mnie na przemian zjawy, noce ciągnące się w nieskończoność, ale już zdążyłam o tym zapomnieć. Aż do dziś. Przewracam się z boku na bok, jestem zbyt pobudzona, aby zasnąć. Niecierpliwie nasłuchuję odgłosów zza drzwi, najmniejszy szelest stawia mnie w stan gotowości. Po raz setny przekonuję samą siebie, że nic mi tu nie grozi. Pode mną mieszka rodzina z dziećmi, naprzeciwko młode małżeństwo liczące dni do narodzin potomka. Szczęście mi sprzyja, w obu przypadkach nikt z moich sąsiadów nie śpi kamiennym snem, więc gdy zacznę krzyczeć, na pewno mnie usłyszą.

Nie lubię tej swojej strachliwości, gardzę nią, ale w tym momencie jest silniejsza niż cokolwiek innego. A przecież pozbyłam się jej już dawno temu, zabroniłam jej wracać, stałam się odważna, zdecydowana, pewna siebie. Nie pozwalam innym kierować swoim życiem, jestem w pełni samoświadoma

i nade wszystko konsekwentna w dążeniu do celu. Nie dałam wybić sobie z głowy półrocznego wyjazdu do Moskwy, choć wiele osób odwodziło mnie od tego pomysłu. Zwłaszcza rodzice byli przerażeni, gdy powiedziałam, że semestr zimowy spędzę w Rosji. Przestrzegali, że Moskwa to niebezpieczne i dzikie miasto, i nalegali, żebym wybrała coś bardziej europejskiego. Ale spełniłam swoje marzenie, przez parę miesięcy mieszkałam w ojczyźnie Dostojewskiego, czułam się tam jak u siebie, założyłam sobie nawet konto na rosyjskim portalu społecznościowym. Moskwa jest europejska, ze wszystkimi tego zaletami i wadami. Przetrwałam gigantyczne minusowe temperatury, szalone zawieje i inne absurdy niezwiązane z pogodą. I nigdy niczego się nie bałam. A teraz, leżąc w zacisznym mieszkaniu krakowskiej kamienicy, trzęsę się jak galareta. Mocno zaciskam powieki i choć tego nie chcę, po policzkach spływają mi łzy. Nic na to nie poradzę, granice normalności w moim życiu już dawno nieodwracalnie się przesunęły.

ANTON

Numer trzy na liście, Eliza Orlicka. Prawdziwy diament. Idealne rozwiązanie. Propozycja nie do odrzucenia.

Anonimowość w dzisiejszym świecie to fikcja. Gdy już znałem jej imię i nazwisko, reszta okazała się znacznie prostsza, niż się spodziewałem. Miała profil nie tylko na VKontakte, ale także na Facebooku, z pełnym fotoreportażem z ostatnich kilku lat. Regularnie prowadziła też blog o psychologii. Z założenia trudne, a w odbiorze niezwykle przyjemne artykuły o poznawaniu i doskonaleniu samego siebie. Głęboka i systematyczna, moja przyszła dziewczyna. Wszystkim zainteresowanym podróżą do wnętrza samego siebie polecała prywatne wizyty w swoim gabinecie w centrum Krakowa. Czułem się zaproszony.

Ze strony znanylekarz.pl dowiedziałem się, że we wtorki od jedenastej przyjmuje na Karmelickiej. Nigdy nie byłem w Krakowie, ale doskonała znajomość polskiego, brak akcentu i uniwersalne, dość europejskie imię Borys, którym się od kilku dni posługiwałem, pomogły mi wtopić się w tłum. Nie wyróżniać się, nie przyciągać nadmiernej uwagi, być jednym z wielu.

We wtorek czekam na nią na ławce na przystanku tramwajowym po przeciwnej stronie ulicy, na wprost szyldu z nazwami gabinetów specjalistycznych. Srebrne litery na zielonym tle wyzierają spod gołębich odchodów. Ciekawi mnie, jak zareaguje na upapraną główną tablicę. Było nie było, to jej wizytówka, na którą zerkają codziennie tysiące oczu

potencjalnych klientów.

Po chwili ją zauważam, wychodzi zza rogu i kroczy w kierunku zabrudzonej reklamy. Szary płaszcz, a w uszach długie kolczyki, które nawet z tej odległości przyciągają uwagę, połyskując w promieniach słońca. Idzie z lekko uniesioną głową, toruje sobie drogę wśród przechodniów, delikatnie poruszając biodrami. Chociaż ma dłuższe włosy, to bez wątpienia ona, numer trzy na mojej liście. Podoba mi się. Jest elektryzująca, podniecająca, piękna. Spodziewałem się tego, analizując jej twarz na zdjęciach, ale przekonanie się o tym na własne oczy to zupełnie co innego. Nietrudno wyobrazić sobie nasz seks. Widzę ją nagą, bezbronną, oddaną, spragnioną rozkoszy.

Ostatnie miesiące nie należały do najbardziej owocnych pod względem spraw łóżkowych. Zawsze jest tak samo, jeden fałszywy ruch i lawina pechowych zdarzeń zamienia życie w krainę chaosu. Nie czas wtedy na seks, górę biorą bardziej przyziemne sprawy. I chociaż miłość fizyczna należy do potrzeb fizjologicznych, tak naprawdę stanowi przywilej wybrańców, z których grona los postanowił mnie wykluczyć. Jednak nie dałem za wygraną, udało mi się wrócić na właściwe tory, i chociaż to wciąż jazda w nieznane, najważniejsze, że ruszyłem z miejsca i wciąż poruszam się do przodu. A w tym momencie kierunek, w którym zmierzam, jest tak jasny i wyraźny, jak już dawno nie był.

Podchodzi do domofonu i wstukuje kod. Jej szary płaszcz tańczy w podmuchach wiatru. Po chwili drzwi zamykają się z trzaskiem. A jednak przeszła obojętnie obok zafajdanej tablicy, niezbyt dobrze świadczy to o jej spostrzegawczości albo poczuciu estetyki. Spoglądam na zegarek, za osiem jedenasta, przynajmniej braku punktualności nie można jej zarzucić. Wstaję, wkładam słuchawki do uszu i przechodzę po pasach na drugą stronę jezdni. Stąpam po tych samych płytkach, po których kilkanaście sekund wcześniej szła ona. Biorę głęboki wdech, zapach spalin miesza się ze stęchlizną

dochodzącą z otwartego okna sutereny. Docierając tu, zaszedłem naprawdę daleko, powinienem być z siebie dumny. I jestem. Wciąż nie mogę uwierzyć, że udało się przechytryć przeznaczenie.

Zatrzymuję się na wprost drzwi, za którymi przed chwilą zniknęła dziewczyna numer trzy. Jakaś kobieta niechcący trąca mnie łokciem, bełkocze coś pod nosem, ale jej słowa nie przebijają się przez *Pulcinellę* Strawińskiego. Wsłuchuję się w dobrze znaną mi melodię i obserwuję, jak nieznajoma w zdeptanych butach przekracza próg kamienicy, uprzednio naciskając guzik z napisem „Gabinet”. Klientka z jedenastej, aspołeczna i aseksualna, trudno się nie zgodzić, że potrzebuje pomocy psychologa. Wyjmuję z kieszeni chustkę, przykładam ją do ust i nawilżam śliną, a potem ścieram biały nalot z brudnych liter. Pierwszy ukłon w jej stronę, powitalny gest, dobry uczynek.

Wyrzucam chustkę do śmietnika i ponownie przechodzę na drugą stronę ulicy, znikając za drzwiami kawiarni. Nie mogę się za bardzo oddalać, a mój organizm domaga się kawy. Wiem, że jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z jej planem, mam dla siebie całe sto dwadzieścia minut.

– Espresso – rzucam, sadowiąc się przy barze.

Młoda dziewczyna z wyraźnym trądzikiem posyła mi uśmiech i staje tyłem do mnie, a przodem do ekspresu. Widoczna linia talii, długie nogi, błyszczące włosy koloru daktyli, ma szansę się jeszcze wyrobić, o ile okres młodzieńczego pokwitania nie uczyni nieodwracalnego spustoszenia na jej twarzy. Zdejmuję szalik i kładę komórkę na blacie. Słuchawki zwijam w kłębek i chowam do kieszeni.

– Proszę. – Dziewczyna stawia przede mną filiżankę.

– Dzięki.

W środku nie ma zbyt wielu klientów, barmanka przeciera szklanki i znów się do mnie uśmiecha. Postanawiam przenieść się w głąb sali, nie

chcę, aby mnie zagadywała ani tym bardziej zapamiętała. Siadam na wprost okna, plecami do baru. Za szybą przejeżdża niebieski tramwaj. Kawa smakuje fatalnie, ale i tak wiem, że zostawię napiwek. Po chwili do środka wchodzi grupa emerytów. Osamotniona dziewczyna wzdycha głośno. Leniwa i kapryśna. Wybierając pracę kelnerki w centrum Krakowa, powinna się liczyć z tym, że prawie przez cały czas będzie miała ręce pełne roboty. Staruszkowie rozmawiają głośno. Duński, norweski? Raczej szwedzki. Przymykam oczy, wracają obrazy spotkań z klientami ze Skandynawii. Pełen profesjonalizm, terminowość wpłat, niemal zero ryzyka. Brzmienie szwedzkich słów i intonacja niezrozumiałych rozmów przypominają mi dni, o których chciałbym zapomnieć. Niewinny toast, który przerodził się w huczną imprezę z konsekwencjami. Mam nadzieję, że nie jest to zła wróżba przed rychłym spotkaniem z moją przyszłą dziewczyną.

Upijam łyk gorzkiej kawy, z obrzydzenia wykrzywiam usta, ale to nic w porównaniu z cierpkim smakiem niepokoju, który zaczynam czuć gdzieś w głębi. Ponownie wkładam słuchawki do uszu, odcinając się od przeszłości.

Przeciągam palcem po ekranie komórki, godzina trzynasta w jej kalendarzu nadal jest do wzięcia. Przez moment się waham, czy z tego nie skorzystać, zarejestrować się, wejść do gabinetu i poznać ją już dziś. Jednak nie. Nie znam się na tej branży, ale nietrudno się domyślić, że poważne psychoterapeutki nie mają w zwyczaju sypiać z klientami, a ona właśnie na taką wygląda. Dobrze wychowaną, umiejącą wyznaczać granice, zwłaszcza przyzwoitości. Zostaję przy obranej wcześniej taktyce. Musimy się spotkać przypadkowo, w przelocie, niby niechcący. Żeby nawet przez chwilę nie pomyślała, że mogłem to wszystko ukartować. Jednak aby do tego doszło, muszę ją lepiej poznać, jej zwyczaje: co lubi, gdzie bywa, z kim się spotyka. I dopiero wtedy przystąpić do realizacji planu. Od punktu A do punktu B, tylko w ten sposób można dotrzeć tam, gdzie się zmierza.

Kilka minut po trzynastej wychodzi z gabinetu i skręca w prawo. Miętówka obija mi się o zęby, gdy podnoszę się z murku i ruszam jej śladem. Idę po przeciwnej stronie ulicy, w odległości pozwalającej mieć ją cały czas w zasięgu wzroku, a jednocześnie nie zwracać na siebie uwagi. Dochodzi do Rynku; przez moment się zastanawiam, czy mogła się umówić z jakimś świeżo poznanym facetem, potencjalnym partnerem, którego przeoczyłem lub któremu nagle postanowiła dać szansę. To pokrzyżowałoby mi plany. Prześwietlając jej profile na VKontakte i na Facebooku, na którym jest dość aktywna, nie znalazłem informacji ani zdjęć, które wskazywałyby na to, że jest z kimś związana. Zbyt ładna, by długo być sama, nie wyglądała też na dziewczynę, która stroni od facetów, więc doszedłem do wniosku, że niedawno się z kimś rozstała. Wykasowała wspólne fotografie, wymazując wszystkie ślady nieudanej znajomości. Teraz jest głodna nowego związku, jak dzikie zwierzę przyczajona i gotowa do skoku na atrakcyjną ofiarę, gdy ta pojawi się w jej zasięgu i okaże się godna uwagi. Wystarczy zastawić pułapkę i rzucić przynętę. Ale to ona będzie ofiarą. Nie powinienem mieć większych problemów, jestem mistrzem kłusownictwa.

Kupuje w Starbucksie kawę na wynos. Obserwuję przez okno z boku, jak kelner mazakiem podpisuje jej kubek. Eliza, Mona Liza, moja Liza? Wychodzi i idzie na przystanek Plac Wszystkich Świętych, a potem wsiada do tramwaju. Jestem bardzo blisko niej, trzy rzędy krzesełek dalej, nasze ciała dzieli niecałe pięć metrów. Tramwaj skrzypi na zakrętach, bujając się na boki. Kilkanaście minut później wiem, gdzie dokładnie mieszka.

13 kwietnia 2016, Kraków

ELIZA

Promienie słońca rozpryskują się o blat stołu, uwidaczniając zgromadzony na nim kurz. Podchodzę do kalendarza ściennego i zrywam kartkę. Trzynasty kwietnia. Nie wierzę w pechowość trzynastki, ale ta informacja nie podnosi mnie na duchu. Jeden dzień bliżej śmierci; czy tylko ja uświadamiam to sobie każdego ranka, czy każdy tak ma? Składam kartkę w mały kwadracik. Sięgam do wiklinowego koszyka po zwinięty w rulon centymetr i chowam go do kieszeni. Kucam i z półki pod piekarnikiem wydaję torebkę cukru pudru, a z szuflady sitko. Tak uzbrojona idę do przedpokoju.

Otwieram łazienkę, klękam i odmierzam równe dziesięć centymetrów między futryną a uchylonymi drzwiami. Podnoszę się z kolan i wrzucam centymetr do jednego z kozaków. Otwieram torebkę cukru pudru i zanurzam w niej sitko. Drobną warstwą pyłu posypuję podłogę przedpokoju, dokładnie, płytką po płytce. Odchylam głowę i przyglądam się swojemu dziełu. Przyprószone białym kurzem jasne kafelki, idealnie, osad widoczny tylko dla mnie. Chwytam stojące w rogu drzewko bonsai za skręcone pnie i podnoszę je z całą doniczką do góry. Na dnie kamiennej osłonki ukrywam torebkę cukru pudru. Otrzeputuję ręce i nie zostawiając śladów, wychodzę na korytarz. Tuż przed zatrzaśnięciem drzwi umieszczam złożoną kartkę z kalendarza nad dolnym zawiasem. Pułapka zastawiona. Przekręcam klucz w zamku

i zbiegam po schodach.

Dziś środa, mój dzień wolny. Należę do tej szczęśliwej lub nieszczęśliwej, zależy, jak na to patrzeć, grupy ludzi, którzy mają nienormowany czas pracy. Jestem psychoterapeutką. Kilka miesięcy temu skończyłam czteroletnią szkołę psychoterapii. Dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i piątki, prowadzę terapie grupowe w ramach NFZ, w czwartki w fundacji spotykam się z ofiarami przemocy domowej, a we wtorki mam wizyty prywatne. Wynajmuję gabinet na Karmelickiej, od jedenastej do czternastej. Moja praca daje mi satysfakcję i spełnienie. Wiem, że to rzadkie szczęście móc to powiedzieć. Historie ludzi, dla których codzienne zajęcia zarobkowe stały się przykrym obowiązkiem, nie są mi obce. Właśnie takie problemy roztrząsamy na sesjach grupowych. Przychodzą na nie załamani jakością swojego życia zawodowego frustraci, którzy nawet w wyobraźni nie potrafią sobie pozwolić na odrobinę fantazji i rozmachu. Beznadzieja dająca złudne poczucie bezpieczeństwa w myśl zasady „diabeł znany jest zawsze lepszy od diabła nieznanego”. Mamy nad czym pracować. Lubię stawać przed tymi wyzwaniami, analizować każdy przypadek, patrzeć na problemy z bliska i z daleka.

Od dawna wiedziałam, że chcę zostać psychologiem. Gdy tylko zaniedbałam pływanię, porzucając dziecięce marzenia o sukcesach w sporcie, nie brałam pod uwagę innej drogi życiowej. Wiem, że decydując się na rozwój w jednej dziedzinie, rezygnujemy z szansy przetestowania swoich możliwości w innej, jednak nie miało to dla mnie znaczenia. Byłam pewna, że nie odnalazłabym się w żadnym innym zawodzie. Na żadnych innych studiach nie mogłabym bez końca zgłębiać własnej psychiki i zrozumieć tych wszystkich, często nielogicznych, zależności. Nie mogę się poszczycić dużym doświadczeniem w pracy z klientami, jeszcze nie, ale i tak jestem z siebie dumna. Prowadzę poczytnego bloga o psychologii i piszę artykuły do

czasopism tematycznych. Radzę sobie, potrafię sama się utrzymać. Co prawda to wciąż wiązanie końca z końcem, ale liczy się fakt, że uniezależniłam się od rodziców. Ich wsparcie finansowe zostało wstrzymane z mojej woli, nie ich, i ma to dla mnie ogromne znaczenie.

Skręcam w prawo, idę pewnym krokiem. Nie mogę dać się zapędzić w pułapkę, zamknąć w ścianach własnej jaźni. Tak wiele osiągnęłam, znajduję się w miejscu, w którym zawsze chciałam być, lubię to, kim jestem. Zza chmur wygląda słońce, gołębie spacerują po parapecie mieszkania w kamienicy naprzeciwko. Otyła kobieta skubie chleb i rzuca ptakom okruchy na pożarcie. Gdy gołębie uderzają w parapet dziobami, rozlega się nieprzyjemny dźwięk. Wiele bym dała, by ukraść im ten spokój. Myślą tylko o tym, by się najeść, a ona, by dla każdego wystarczyło pokarmu. Zawsze zazdrościłam ludziom jej pokroju podejścia do życia. Tej prostoduszności, łatwości osiągania zadowolenia i obniżonego progu wymagań wobec czegokolwiek. Być jedną z nich, osobą, która nie oczekuje od egzystencji niczego więcej poza tym, żeby trwała. To dla mnie coś kompletnie nieosiągalnego. Cokolwiek robię, z tyłu głowy mam stale ten dziwny niepokój, jak drapiący w gardle pyłek, niestrudzone łaskotanie ptasim piórkiem. Nie ma przed tym ucieczki, choćbym zakaszła się do czerwoności. Być najlepszą, niezawodną, nie tracić kontroli. Na dłuższą metę takie nastawienie jest wykańczające.

Idę szybko, może za szybko jak na mnie, nie powinnam odbiegać od normy, muszę być sobą. Jeśli ktoś mnie właśnie obserwuje, nie dam po sobie poznać, że wczorajsza wizyta zrobiła na mnie jakiegokolwiek wrażenie. Wyszłam z domu, widzisz? Nie przejmuję się, że na mnie patrzysz. Nie wiem jeszcze, gdzie pójść: może do parku Bednarskiego albo na bulwar nad Wisłą? Wesóło zbiegam do przejścia podziemnego, nade mną przejeżdża tramwaj. Rozglądam się na boki, tunel jest pusty. Stukot moich butów rozchodzi się

głośnym echem, żałuję, że nie założyłam trampek. Wychodzę z drugiej strony ulicy, na plac Bohaterów Getta. Uderza we mnie chłodny podmuch wiatru, jest zimniej, niż sądziłam. Idę przed siebie bez celu, kątem oka obserwując przestrzeń wokół, samochody i mijających mnie ludzi.

Zazwyczaj w środy śpię dłużej, potem pracuję nad artykułami, a wieczorem idę na basen, ale dziś po prostu musiałam wyjść z domu, przewietrzyć głowę, rozruszać kości, przegonić złe duchy. W torebce zaczyna wibrować telefon. Zerkam na wyświetlacz, mama, nie mam ochoty z nią rozmawiać. Nie teraz, nie w tym stanie. Zbyt dobrze mnie zna, wyczuje najmniejsze zachwianie humoru, spadek formy, rozdrażnienie. Jej wtrącanie się w moje życie powoli zaczyna mnie wkurzać. Chce cały czas być blisko, odgrywać rolę anioła stróża, który siedzi na ramieniu i podpowiada, co powinnam teraz zrobić, żeby później niczego nie żałować. Nie zauważyłam, aby tak silnie kontrolowała mojego brata. Jeśli martwi się o moją cnotę, to zupełnie niepotrzebnie, już dawno na to za późno.

Nagle zza rogu ulicy wyjeżdża wprost na mnie chłopak na rowerze. Przestraszone jego pojawieniem się gołębie zrywają się z podmurówki i przelatują tuż nad moją głową, głośno trzepocząc skrzydłami. Odskakuję na bok. Czy to mógł być on? Oglądam się; facet znika, skręcając w ścieżkę rowerową prowadzącą nad Wisłę. Żałuję, że nie zauważyłam jego twarzy. Przyspieszam kroku, jakbym była gdzieś umówiona. W mojej głowie kłębią się myśli, niespokojne i czarne niczym stado mrówek robotnic w szczytowej formie u schyłku lata. Zatrzymuję się tak raptownie, że osoba, która idzie za mną, wpada na mnie. Kobieta posyła mi wściekłe spojrzenie, przepraszam ją, choć nie wiem, czy to nie ja powinnam oczekiwać przeprosin, skoro wbiła mi czub buta w łydkę. Paniusia krzywi się z niesmakiem i bez słowa mija mnie z prawej strony. Stałam, bo zauważyłam napis na wystawie przytulnego lokalu: „Kawa na wynos”. Muszę się rozgrzać. Wchodzę do środka i od razu

postanawiam zostać. Jest ciepło, pachnie kawą i właśnie zwolnił się stolik w oknie. Siadam i zajmuję miejsce obserwatora. Podoba mi się, że choć przez chwilę mam kontrolę nad tym, co dzieje się na zewnątrz. Teraz ja monitoruję otoczenie, całkiem miłe uczucie. Składałam zamówienie i wyjmuję z torebki notes. Nigdy się z nim nie rozstaję, to mój mały systematyczny dziennik.

Czyż nie to proponuję moim klientom? Dać ujście swoim emocjom, spisać wszystko, co się dzieje w głowie, nabrać dystansu? Tak, to dobry trop. Otwieram zeszyt na pierwszej czystej kartce i piszę na górze strony: „Dlaczego ktoś mógłby mnie śledzić?”. Nie jestem bogata, nie znam niczych tajemnic, faktów, które nie powinny wyjść z ukrycia. Zwierzenia któregoś z klientów? Bez wątpienia ludzie powierzają mi swoje największe sekrety. Może to ktoś, kto uważa, że powiedział w mojej obecności za dużo, i boi się, że go wydam, zdradzę, zdemaskuję? Nigdy bym tego nie zrobiła, ale on nie musi mieć co do tego pewności. Alicja, z którą spotykam się w każdy wtorek o jedenastej? Czterdziestolatka nadal mieszkająca z rodzicami. Na terapię namówiła ją znajoma z pracy; na swoje szczęście Alicja posłuchała dobrej rady. Trudno sobie wyobrazić, jak rodzinne zależności mogą zrujnować człowieka. Alicja przecenia więzy krwi. Ale chociaż jest prawdziwą dziwaczką, to nie mogłaby być ona. Z tego, co zdążyłam się zorientować, nie wychodzi wieczorami z domu, a poza tym nie ma prawa jazdy i w życiu nie zdecydowałaby się nikogo śledzić. Za bardzo się boi własnego cienia. Grubą kreską przekreślam jej imię. Dominik, klient z dwunastej? Trzydzieści pięć lat i dwa rozwody na koncie. Facet, który uważa, że monogamia nie jest wpisana w naturę męskich potrzeb, że to totalna pomyłka, błędne założenie. Do terapii zmusiła go nowa partnerka, notabene dziewczyna, z którą zdradzał swoją drugą żonę. On sam nie wierzy w potrzebę i skuteczność sesji. Zabawny i inteligentny, przypadliśmy sobie do gustu. Nie, to nie może być on. Nie miałby na to czasu, za dużo pracuje, jest w ciągłych rozjazdach,

a poza tym, jeśli byłabym w jego typie, powiedziałby mi to wprost. Szczery i bezpośredni, nie pasuje do profilu cichego wielbiciela. Zamazuję jego imię. Jakiś inny facet, któremu wpadłam w oko? Ten nowy kolega Daniela, Jacek? To niemożliwe, grają w podstawowym składzie i są teraz na meczu wyjazdowym. Znajomy taty, przypadkowy przechodzień? Pudło, takie rzeczy dzieją się tylko w filmach. Któryś z uczestników terapii grupowej? Przypominam sobie ich twarze i nikt konkretny nie przychodzi mi na myśl, jednak nie znam ich wszystkich dobrze. Ktoś z byłych klientów? Ta dziwna dziewczyna, która kilka razy pojawiła się w gabinecie, gdy tylko otworzyłam praktykę? Agentka turystyczna czy jakoś tak. Doskonale pamiętam jej ziemistą cerę, ale nie potrafię sobie przypomnieć jej imienia. Milena, Marlena, Mariola? Patrzyła na mnie podejrzliwie, nie potrafiła się otworzyć, a potem nagle zniknęła. Nie zastanawiałam się, dlaczego zrezygnowała. Po prostu przestała przychodzić i tyle. A może jednak czymś ją uraziłam, nie potraktowałam w odpowiedni sposób, zlekceważyłam? Nie mogę tego wykluczyć. Nie zawsze rozumiem to, co dzieje się w mojej własnej głowie, a co dopiero w umysłach innych. Czy istnieje ktoś jeszcze, kto chciałby wymierzyć mi sprawiedliwość, ktoś, kto szczerze mnie nienawidzi albo wręcz przeciwnie, zakochał się we mnie do szaleństwa? To może być każdy. Albo nikt. Wrywam kartkę, drę na strzępy i wyrzucam do popielniczki. Po chwili telefon znów dzwoni i to znów mama. Wiem, że nie da mi spokoju, muszę odebrać.

– Spałam, gdy wcześniej dzwoniłaś – kłamię.

– Przepraszam, że cię obudziłam – mówi.

Ktoś z gości zamawia kawę, za moimi plecami buczy ekspres.

– Gdzie jesteś? – pyta.

– Wyszłam na kawę. – Teraz nie mijam się z prawdą. – Dobrze, że zadzwoniłaś, bo spóźniłabym się na spotkanie. – Dwa jeden dla konfabulacji.

– Z kim? – docieka.

Nawet jak na matkę to dość nietaktowne pytanie, ale nie komentuję tego. Wiem, dlaczego je zadaje i co chciałaby usłyszeć. Tak bardzo jej zależy, żebym w końcu znalazła sobie faceta, na każdym kroku daje mi to do zrozumienia. Niestety dziś z moich ust nie padnie odpowiedź, na którą czeka.

– Z klientem. Może uda mi się nawiązać współpracę z kolejnym czasopismem. Muszę już kończyć, bo właśnie wchodzi, pa! – Rozłączam się. Totalny nokaut prawdy.

Gdy dwie godziny później wracam do mieszkania, od progu widzę, że nikt nie wpadł w zastawioną przeze mnie pułapkę. Gdy popycham drzwi, zwitek papieru sfruwa na wycieraczkę. Światło wpadające przez okna ukazuje idealną, nienaruszoną pierzynkę cukru pudru na płytkach, a łazienka jest otwarta na dokładnie dziesięć centymetrów. Cieszy mnie to, mam pewność, że nikt nie kręcił się tu podczas mojej nieobecności. Zamiatam przedpokój, chowam na miejsce ukrytą wcześniej w osłonce torebkę cukru i zaciągam rolety. Mój organizm domaga się snu, mimo dwóch kaw nie potrafię zapanować nad klejącymi się powiekami. Nieprzespana noc daje się we znaki. Rzucam się na łóżko, po czym ostatkiem sił wstaję i wracam do przedpokoju. Sprawdzam zamki, łańcuch i kontrolnie wyglądam przez wizjer na korytarz. Nikogo nie ma, a może nigdy nikogo nie było? Czy wszystko dzieje się tylko w mojej wyobraźni? Sama nie wiem, co byłoby gorsze: czy to, że ktoś jednak mnie śledzi, czy że nie odróżniam imaginacji od rzeczywistości?

ANTON

Rano czekam na nią na Lwowskiej. Nie prowadzi regularnego trybu życia, szkoda, będę musiał się wykazać większą dyscypliną i poświęcić więcej czasu. O wiele łatwiej śledzić osoby, które wychodzą z domu codziennie o tej samej porze i jadą w to samo miejsce, niż te, które żyją chaotycznie. Jednak w nie takich sytuacjach już sobie radziłem, więc uda mi się i tym razem. Znów zrobiłem jej kilka zdjęć z ukrycia. Bez wątpienia seksowna. W sposobie poruszania się ma coś takiego, co uwielbiam. Może to ruch bioder, a może to, jak odwraca głowę, nie wiem, ale jest w tym jakaś zmysłowość.

Zdecydowałem się wynająć mieszkanie, nie chciałem dłużej mieszkać w hotelu, potrzebuję większej swobody. Szczęśliwie udało mi się zaczepić w jednym z klubów. Popyt na dobrych gitarzystów nigdy nie maleje, a ja muszę przecież gdzieś pracować, czymś się zajmować. Jaka dziewczyna chciałaby się spotykać z bezrobotnym? A poza tym przyda mi się dodatkowa kasa, oszczędności mają to do siebie, że lubią się kurczyć.

Długo nie wychodzi, pewnie ma dzień wolny, chyba że nagle zachorowała. Po raz trzeci okrążam plac, nie spuszczać wzroku z drzwi jej kamienicy. Jogging to coś, co praktykuję od lat. Dwa głębokie wdechy i jeszcze jeden slalom wokół gigantycznych rzeźb krzesel. Słońce przebija się przez chmury, mrużę oczy i rozciągam się, opierając o jedną ze stalowych nóg. Gdy udaje mi się wyrównać oddech, wyjmuję telefon z kieszeni.

– Dzień dobry, chciałbym przedłużyć wypożyczenie samochodu o jeden dzień – mówię, przykładając czoło do zimnej stali.

Moja rozmówczyni prosi o podanie marki.

– Kia Sportage.

Dla pewności dyktuję jeszcze numer rejestracyjny pojazdu. Słyszę, jak palce kobiety po drugiej stronie linii uderzają w klawiaturę.

– Do jutra do ósmej rano? – upewnia się.

– Idealnie. Dziękuję.

Wczoraj wypożyczyłem auto. Wolałem małe, zgrabne, nierzucające się w oczy, ale tylko kia sportage miała bagażnik na dachu, a ja musiałem przewieźć ze sklepu nowy materac, bo ten, który znalazłem w mieszkaniu, nadawał się do wszystkiego, ale na pewno nie do spania. Nie potrafiłem oprzeć się pokusie wyobrażenia sobie, co będę robił z dziewczyną numer trzy, gdy już ją na nim położę. Tezy Freuda niejednokrotnie sprawdziły się w moim życiu, a jeśli ona jest psychologiem, to zapewne także wie, jak niszczące jest powstrzymywanie popędów. Zwłaszcza tłumienie tych seksualnych prowadzi do zaburzeń osobowości i nerwic, a ja mam w zwyczaju dbać o swoje zdrowie psychiczne, bo tylko ono mi zostało. Poza tym wierzę, że niemówienie drugiej osobie o swoich fantazjach sprawia, że nasze ego realizuje je w wyobrażeniach, a w takiej sytuacji realny partner nigdy nie ma szansy wygrać z wyidealizowanym kochankiem. Nie mam zamiaru obarczać jej tym nieszczęściem, więc gdy tylko się poznamy, zdradzę jej, co podpowiada mi wyobraźnia. Od kilku dni obsesyjnie odtwarzam te sceny w myślach i mam wrażenie, że w jej przypadku rzeczywistość sprostą moim wizjom.

Wieczorem czekałem pod kamienicą, chciałem popatrzeć, jak wraca z teatru. Jej znajoma trajkotała o tym spektaklu na Facebooku od kilku dni. Wprawdzie niczego ta wczorajsza obserwacja nie dała, nadal nie wiem, na

którym dokładnie piętrze mieszka, jednak w tym momencie mam dość wystawiania pod jej oknem. Zapowiada się słoneczny dzień, a w górach nadal leży śnieg. Robię dwa głębokie skłony i truchtem ruszam w stronę auta zaparkowanego po drugiej stronie Wisły.

14 kwietnia 2016, Warszawa

LILIANNA

Dziś mija druga rocznica mojego rozwodu. Czy na świecie są ludzie, którzy to świętują? Czy powinnam wysłać byłemu mężowi esemesa z życzeniami, a może jakoś to uczcić?

Nie utrzymuję z nim kontaktu. Łączyła nas firma, coś, co razem rozkręciliśmy, co zagwarantowało nam pewną pozycję na rynku i co w łatwy sposób dało się podzielić. Być może jakaś inna kobieta zdążyła już do tej pory urodzić mu dziecko? Zawsze chciał założyć rodzinę, a po czterdziestym czwartym roku życia z powodzeniem można jeszcze zostać ojcem, niestety trudniej matką. Łzy napływają mi do oczu, gdy zdaję sobie sprawę, jak wielkim bankrutem życiowym jestem. Mimo okrągłej sumki na koncie, mimo pięciocyfrowej miesięcznej pensji, mimo luksusu, w którym żyję. Pieniądze nie dają szczęścia, dlaczego tak wielu z nas wciąż tego nie rozumie?

Zawsze gardziłam ludźmi, którzy stawiają swoje przyjemności ponad dobro innych. Są obojętni na krzywdy wyrządzane najważniejszej osobie w swoim życiu. Do takiej roli chyba może pretendować współmałżonek? Jego uczucia, godność, przyszłość powinny być choć w połowie tak ważne jak nasze. Jednak rzadko kiedy tak to wygląda. Nigdy nie sądziłam, że sama stanę się taka jak osoby, którymi gardzę, że okażę się tą złą w związku, ale jak widać, pierwiastek egoizmu nie tylko pozwala przetrwać i nie zwariować, ale także atakuje zniechęca.

Z czasem zaczęło mnie denerwować w Konradzie wszystko. Jego nawyki i przyzwyczajenia, nasza rutyna. I najgorsze nie było to, że zamawiał zawsze ten sam stół w tej samej restauracji i uwielbiał jej niezmiennie od lat menu, że chrapał głośniej niż latający tuż nad głową helikopter i że jego prezenty stały się przewidywalne jak pory monsunów, tylko to, że przestał mnie podniecać. Nie potrafiłam się z nim kochać. Na początku jeszcze się starałam, udawałam, chociaż byłam bierna, to zawsze do jego usług, ale pewnego dnia nie wytrzymałam.

– Konrad, nie mogę – wybełkotałam, wyczołgując się spod niego.

Spojrzał na mnie zmęczonymi oczami. Może też nie miał na to ochoty, tylko spełniał małżeński obowiązek. Zawsze mówił, że seks to cement udanego związku.

– Źle się czuję, przepraszam.

Wstałam i okręciłam się szlafrokiem. Zapaliłam światło; już od dłuższego czasu kochaliśmy się tylko w ciemnościach, tak było prościej.

– Myślę, że powoli dopada mnie menopauza – wyznałam.

Oczywiście było to kłamstwo. Nie zarejestrowałam żadnych symptomów nadciągającego końca mojej kobiecości, ale on nie miał prawa się w tym orientować. Zresztą nawet nie zdradzał zainteresowania. Leżał nieruchomo, wpatrując się w sufit.

– Mam huśtawki nastrojów, zaburzenia koncentracji, problemy z zasypianiem, bywam rozdrażniona...

– To idź do lekarza.

A jednak mnie słuchał.

– Wykupiłam wycieczkę, okazyjne *last minute*, może to mi pomoże – oznajmiłam.

Uniósł głowę z poduszki.

– Dlaczego wcześniej tego ze mną nie ustaliłaś? W następny wtorek mam

spotkanie w Berlinie. Nie mogę tego odwołać.

– Wykupiłam ją tylko dla siebie.

Konrad wyglądał na zaskoczonego. Czy podejrzewał, że jadę z kimś innym? Że nie chcę z nim sypiać, bo pojawił się ktoś nowy? Być może, ale wszystkie jego wątpliwości się rozwiały, gdy odprowadził mnie na lotnisko. Rodziny z dziećmi, pary, żadnych samotnych mężczyzn. Nie kłamałam, potrzebowałam odpoczynku, chciałam zrobić coś dla siebie.

Może wszystko byłoby inaczej, gdybym zdecydowała się mieć z nim dziecko? Starożytni Rzymianie mieli rację, twierdząc, że małżeństwo bez potomka jest jak dzień bez słońca. A wiadomo, że nawet najbardziej zagorzali miłośnicy deszczu tęsknią czasem za ciepłymi promieniami pieścącymi skórę. Naprawdę sądziłam, że bezdzietne małżeństwa mogą być szczęśliwe. Jednak w naszym przypadku się to nie sprawdziło.

Nie miałam odwagi zająć z nim w ciążę, po prostu nie potrafiłam. Niektóre kobiety nie nadają się na matki i dobrze wiedziałam, że ja do nich należę. Wyzwania, jakie niesie macierzyństwo, bycie menedżerem firmy o nazwie „niemowlę”, są o wiele trudniejsze niż zarządzanie dużą spółką. Dwudziestoczwierogodzinna opieka, rezygnacja z siebie, świat ograniczający się do czterech ścian i rozmów w stylu „gu, gu” – to nie dla mnie. Noworodki napawały mnie przerażeniem. Ich kwilenie przypominające miauczenie kota, mikroskopijne paluszki, które mogłam uszkodzić jednym dotknięciem, nieproporcjonalnie wielkie głowy. Nie potrafiłam się przełamać. Nie znaczy to, że nie chciałam mieć dziecka, nie o to chodzi. Gdyby dzieci mogły się rodzić już podchowane, niepotrzebujące ciągłej obsługi i uwagi, kobiety takie jak ja miałyby szansę stać się dobrymi matkami. A może zawsze tak myślałam, bo Konrad nie był dla mnie odpowiednim facetem? Po prostu popełniłam błąd przy wyborze małżonka, kierowałam się bardziej rozumem niż sercem, a na wspólną podróż przez życie to jednak za mało. Przekonałam

się o tym, gdy poznałam ciebie, miłość mojego życia, wyjątkowego kochanka. Byłam jak wygasły wulkan, który nagle i niespodziewanie wybuchnął gorącą lawą, obracając w pył wszystko, co do tej pory miało znaczenie.

Co może myśleć o sobie czterdziestoczteroletnia kobieta, gdy nagle zaczyna się spotykać z o dwanaście lat młodszą mężczyzną? Że jest szalona, niepoważna, naiwna? Że jest szczęściarą, że jest seksowna, wciąż atrakcyjna? Tak, to wszystko pojawiło się w mojej głowie, gdy po raz pierwszy cię zobaczyłam. Pamiętam wszystko: kąt padania słońca na twoją twarz, rozpiętą pod szyją koszulę i zainteresowanie w oczach. Aż za dobrze potrafię odtworzyć twój zapach. Nie ten, którym otaczałeś się na zewnątrz, spryskując się dobrymi perfumami, gdy wychodziłeś z domu, tylko twój naturalny. Ten, który chłonełam, kładąc głowę na twojej piersi w niedzielne przedpołudnia, gdy leżeliśmy godzinami obok siebie, słuchając muzyki, czytając gazety, oglądając filmy czy po prostu milcząc. Przez długi czas twój zapach utrzymał się w miejscach, w których spałeś, jadłeś, żyłeś. Teraz już go nie ma, wywietrzał, choć nadal przechowuję mnóstwo twoich ubrań. Gdyby ktoś obcy wszedł do mojego wielkiego domu, byłby pewien, że mieszka ze mną mężczyzna. Elegancki, lubiący szampana i muzykę. Amator joggingu i sportów zimowych. Nie wyrzuciłam żadnej twojej rzeczy, wciąż lubię ich dotykać, wąchać je. Jestem szalona, być może, ale nie bardziej niż ty.

Moje życie po raz pierwszy nabrało sensu na karaibskiej wyspie, w rozedrganym gorącym powietrzu widocznym nad asfaltem hawańskiego deptaka. Powinnam podziękować ci za drinka, odwrócić się i odejść, ale zrobiłam zupełnie odwrotnie, zamówiłam kolejnego dla ciebie i zaprosiłam cię do siebie na noc. To miał być tylko wakacyjny romans, z dala od domu, od szarej codzienności, bezpieczny, zabawny, ulotny. A pozbawił mnie męża,

spokojnego życia i resztek zmysłów. Byłeś niebezpiecznie przystojny, ekscentryczny, uzależniający. Jeszcze w korytarzu, gdy po raz pierwszy dotknęłam twojej dłoni, mówiłam sobie: nie rób tego, to cię zgubi, ale jakaś inna część mnie, do tej pory milcząca, ukryta gdzieś w zakamarkach dzikiej natury, powtarzała: spróbuj go! Nie da się cię zapomnieć, od razu to wiedziałam. Z pierwszej naszej wspólnej nocy nie wywietrzało nic. Nie muszę zamykać oczu, żeby poczuć twój ostry zarost na mojej skórze i usłyszeć kręcący się nad nami wentylator, chłodzący spocone i spragnione rozkoszy ciała.

To niebezpieczne, to niemożliwe, przestrzegałam sama siebie. A jednak uległam. Ten jeden raz pozwoliłam sobie pożyć chwilą, zapomnieć się, poczuć, czym pachnie zdrada. W bezmyślny i zachłanny sposób przekreśliłam szesnaście lat swojego małżeństwa i to wszystko, co w nim wypracowałam. Jednak tamtego poranka, gdy obudziłam się obok ciebie po raz pierwszy, naprawdę czułam się wybranką losu. I nie chodziło tylko o to, że nigdy wcześniej nie spałam z tak idealnie zbudowanym mężczyzną, ale przede wszystkim o to, że my razem, ty i ja, stanowiliśmy układ idealny. Byłeś mężczyzną, na którego zawsze czekałam.

Po powrocie do kraju spotykaliśmy się potajemnie. Nie było ze mną problemów. Nie miałam dzieci i związanych z nimi obowiązków, za to miałam pieniądze. Nie musiałeś pracować, chociaż nigdy z tego nie zrezygnowałeś. Nocowałeś u mnie za każdym razem, gdy mój mąż wyjeżdżał w delegację. A potem pewnego popołudnia powiedziałam mu bez ogródek, że to koniec.

Wrócił z targów branżowych, był zmęczony, przez cztery dni negocjował warunki handlowe dla naszej firmy. Usiadł na brzegu łóżka; pościel była jeszcze ciepła od twojego ciała. Poluzował krawat i zsunął buty ze stóp.

– Jestem wykończony – oznajmił.

Stałam obok komody i wciąż nie mogłam dojść do siebie po tym, co zaoferowałaś mi kilkanaście minut wcześniej. Powiedziałaś, że dłużej już tak nie chcesz, że muszę wybrać: albo on, albo ty. Wiedziałam, że nie żartujesz, zbyt dobrze cię znałam. Nie mogłam pozwolić ci odejść. Godząc się, byś zniknął z mojego życia, podpisałam na sobie wyrok. Już wtedy byłam od ciebie uzależniona. Choć dziś nie wiem, co byłoby dla mnie lepsze. Tych kilka miesięcy rozkoszy czy uniknięcie tego, co się stało potem.

– Jeśli Niemcy się zgodzą, przejmemy od nich część projektu. – Konrad rozpiął koszulę i opadł na łóżko.

– Chciałabym ci o czymś powiedzieć – zaczęłam, stojąc wciąż nieruchomo.

– Hmm? – mruknął. Oczy miał zamknięte, ale po chwili je otworzył i popatrzył na mnie.

Na kominku zauważyłam twój zegarek. Serce podskoczyło mi do gardła, ale po chwili pomyślałam, że to i tak nie ma już znaczenia.

– Konrad, chcę odejść. – Mówiąc to, zrobiłam dwa kroki w jego kierunku.

– Słucham? – Uniósł głowę.

Właściwie to nie była prawda, nie chciałam odejść, chciałam, aby to on wyniósł się z mojego życia. Nie wyobrażałam sobie, że musiałabym porzucić dom, który kochałam, który był spełnieniem moich marzeń, moją oazą. Powiedziałam Konradowi, że kogoś mam, że nie chcę go już dłużej oszukiwać. Był wykończony, ale miał jeszcze siłę krzyczeć, wyzywać mnie od dziwek. Na koniec rzucił w ścianę porcelanowym wazonem, który rozbił się na tysiąc kawałków. Gustowny prezent od kontrahenta z Kioto przestał istnieć. Zupełnie jak nasze małżeństwo.

Kilka dni później zadzwonił Marek:

– Oszalałaś?

Wiedziałam, że Konrad mu o wszystkim doniósł. Marek był wtedy nie tylko moim, ale także jego przyjacielem.

– Popełniasz największy błąd w swoim życiu, Lila. Co ci w ogóle przyszło do głowy z tym rozwodem?

– Zakochałam się – odparłam naiwnie i bez troski.

Roześmiał się.

– Ile ty masz lat? Kobieto, macie wspólną firmę, stoisz u szczytu kariery, chcesz to wszystko stracić?

– Marek, to jest silniejsze ode mnie.

– Kto to?

– A czy to ważne?

– Chyba mogę wiedzieć, dla kogo popełniasz ten idiotyzm.

– Nie znasz go...

– A ty jesteś pewna, że go znasz? – przerwał mi.

Potem wielokrotnie przypominał mi tę rozmowę. Mama też zawsze przestrzegała mnie przed nieodpowiednimi facetami.

– Patrz na jego rodziców, on nie może być inny – mawiała.

Kiedy poznałam rodziców Konrada, byłam pewna, że spodobają się mojej mamie. Ułożeni, zaradni, inteligentni, nie było im czego zarzucić. Nie myliłam się, dobrze wychowali syna. Konrad zgodził się na rozwód za porozumieniem stron i kilka miesięcy później przeprowadził się do Szczecina, gdzie zaczął rozkręcać wspólny projekt z Niemcami. Zostawił mi dom, a majątek podzieliliśmy po równo, choć oboje wiedzieliśmy, że Konrad miał większy udział w jego zdobyciu. Mój nudny i przewidywalny mąż pokazał klasę. Ty natomiast nigdy nie przedstawiłeś mi swoich rodziców, bo ich już nie miałaś. I nie mogłam wyrobić sobie zdania na twój temat na tej podstawie. Zresztą w tym przypadku i tak daleka byłabym od słuchania rad

mamy.

Zostawiłam go dla ciebie, trudno, tak bywa, nie tylko mężczyźni znajdują sobie młodsze. Zawsze znałam swoją wartość, ale nie sądziłam, że mogę być wystarczająco dobra dla takiego mężczyzny jak ty. Myślałam, że dotknęłam nieba. Wprowadziłeś się na stałe, twoje ubrania zajęły puste półki po koszulach i spodniach Konrada. Na ścianie zawiesiłeś grafiki Miró, jego gabinet przerobiliśmy na twoje studio nagrań. I wtedy dopiero mogliśmy się naprawdę przekonać, jak bardzo jesteśmy zgrani seksualnie. To było coś niewiarygodnego. Szkoda, że tak mało kobiet po czterdziestce może zaznać idealnego dopasowania wynikającego z różnicy wieku. Ten, kto wymyślił, że idealny związek to młodsza o kilka lat partnerka i starszy mężczyzna, był w wielkim błędzie. Przejawiałeś niezwykłą fantazję. Miałam wrażenie, że przed tobą moje życie seksualne było nędzną imitacją, z tobą brałam udział w niekończącym się maratonie rozwiązłości, przy tobie mój mąż jawił się jako zakonnik rzadko kiedy dopuszczający się grzechu nieczystości. Odmłodziłeś mnie o kilka lat. Nigdy nie byłam osobą, która o sobie nie dba, ale przy tobie stało się to moim codziennym rytuałem. Poranny wspólny jogging, odpowiednia dieta, wizyty w najlepszych salonach kosmetycznych. Czułam, że żyję.

A teraz od blisko dwóch lat umieram, powoli i boleśnie uchodzi ze mnie życie.

15 kwietnia 2016, Kraków

ELIZA

Zapach chloru od zawsze dobrze na mnie wpływał. Ostry i gryzący, działa na mnie kojąco, wręcz terapeutycznie, jak na innych kąpiel w płatkach róż przy tuzinie płonących świeczek. Łaknę go, wdycham pełną piersią, sycę się nim za każdym razem, gdy przekraczam próg basenu. Nauczyłam się pływać bardzo wcześnie. Jeszcze przed pójściem do szkoły radziłam sobie w wodzie lepiej niż rówieśnicy. Przez pewien czas zastanawiałam się nawet, czy nie zająć się tym zawodowo, ale zrezygnowałam, gdy w pewne upalne wakacyjne popołudnie w jednym z wielu stawów w naszej okolicy utopiła się moja koleżanka z klasy. W obliczu tragedii rodzice pozwolili mi zrezygnować z lekcji basenu, skoro taka była moja wola. Do dziś sądzą, że mam wstręt do wody, jednak moja miłość do pływania nigdy nie minęła. Odkąd zamieszkałam w Krakowie, chodzę na basen co najmniej raz w tygodniu.

Wskakuję pod wodę, pierwsze wrażenie szoku szybko mija. Płynę przed siebie, robię obrót pod wodą, odbijam się stopami i wracam. Trzecia, czwarta długość, nie czuję jeszcze zmęczenia. Gdy pływam, staram się o niczym nie myśleć, nie wspominać, nie analizować, nie planować. Wychodzę z wody przed czasem. Grupa dzieci zaczęła trening na pasie obok, denerwują mnie napominania instruktora. Znikam za drzwiami przebieralni, otulając się grubym ręcznikiem. Pobudzone wysiłkiem komórki mojego ciała są mi

wdzięczne, czuję nagły przyływ radości, odpowiednia dawka endorfin i serotoniny została uwolniona do krwi. Zawsze namawiam moich klientów, żeby uprawiali jakiś sport, a pływanie nie ma sobie równych. Woda sprawia czterdzieści cztery razy większy opór niż powietrze, trzydzieści minut pływania to ponad trzysta siedemdziesiąt spalonych kalorii, znacznie więcej niż przy joggingu czy jeździe na rowerze. A poza tym cudownie rzeźbi całą sylwetkę, a nie tylko określone partie ciała.

Suszę włosy, robię makijaż i jeszcze raz przed wyjściem chłonę woń chloru, do której, z żalem stwierdzam, moje nozdrza zdążyły się już przyzwyczać. Gdy włączam komórkę, niemal natychmiast zaczyna dzwonić w mojej ręce:

– Cześć! W końcu cię złapałam! Sprawdzałaś Facebooka?

Nie powinnam odbierać.

– Nie.

– Wysłałam ci zaproszenie na wydarzenie. – Paulina jest wyraźnie w dobrym humorze. – Zaplanowałam już twój piątkowy wieczór!

– Chciałam pojechać do rodziców – kłamię.

– Nie możesz, dostałam od jednej z klientek dwa bilety na wieczorny seans, musisz ze mną pójść.

Nic nie muszę, mówię do siebie i pozwalam, aby jej słowotok zalał moje myśli.

Poznałam ją kilka miesięcy temu, jest dietetyczką, dzielimy poczekalnię gabinetów na Karmelickiej. Nigdy jej tego nie powiedziałam, ale kojarzy mi się z gazelą. Od pierwszego wrażenia, które podobno jest nieomyślne. Kiedy w styczniu przyszedłam na inicjującą sesję z klientem, drzwi do jej gabinetu były uchylone. Zapukałam i zajrzałam do środka. Stała przodem do okna i mieszała coś w kubku. Obejrzała się i po jej spojrzeniu wywnioskowałam, że jest zaskoczona, na nikogo nie czekała. Zmrużyła orzechowe oczy i lekko

przekrzywiła głowę. Bujne, kręcone włosy miała związane grubym rzemieniem. I wtedy w mojej głowie pojawiło się to nietypowe skojarzenie. Gdy się przedstawiłam i poinformowałam ją, kim jestem, z radością mnie powitała i od razu zaproponowała przejście na „ty”.

Nie jesteśmy przyjaciółkami, ale z czasem zaczęłyśmy się umawiać na lunch lub wieczornego drinka. Tym, co wychodzi jej najlepiej, są przechwałki. Potrafi wygłaszać niekończące się monologi, w trakcie których zdarza mi się wyłączać. Nie chodzi o to, że nie interesuje mnie jej życie, wręcz przeciwnie. Zazdroszczę jej i uważam, że to cholernie niesprawiedliwe, że ma tyle szczęścia. Jej narzeczony jest bankowcem, zarabia kupę kasy, a ona ciągle na niego narzeka. Adrian nie lubi sztuki, Adrian nie znosi podróżować, Adrian za dużo pracuje, Adrian myśli wyłącznie o pieniądzach. To albo go zostaw, albo w końcu docień, że was utrzymuje, aż ciśnię mi się na usta przy jej kolejnym wywodzie. Nie pojmuję, jak ten cały Adrian w ogóle mógł się w niej zakochać. Nie jest ani piękna, ani specjalnie inteligentna, a on to facet całkiem do rzeczy. Nigdy nie zrozumie, co tacy mężczyźni widzą w tak nudnych i nijakich dziewczynach jak Paulina. Mniejsza z tym, nie są moimi klientami, więc na szczęście nie muszę analizować ich przypadku.

W końcu przystałam na propozycję Pauliny, nie miałam ciekawszych planów. Umówiłyśmy się przed kinem. Z daleka widzę, jak opiera się o filar, zawzięcie stukając w komórkę. Jej włosy sterczą na wszystkie strony, wygląda upiornie, ale nie mówię jej tego. W środku jest mnóstwo ludzi. Wychodzenie do kina w piątkowy wieczór to niezbyt dobry pomysł, zwłaszcza w przypadku osób, które nie lubią tłumów. Tak jak ja. Nie czuję się dobrze, mam wrażenie, że złe duchy dyszą za moimi plecami gotowe do skoku, opanowania mojej jaźni. Chociaż od dwóch dni nie dostrzegłam niczego niepokojącego, nie znaczy to, że mój dręczyciel dał za wygraną.

Brak dowodów to jeszcze nie dowód.

Zmierzamy w stronę sali. Nie mogę przestać się rozglądać. Wytatuowany chłopak nadrywa nasze bilety i wskazuje miejsca. Paulina zalewa mnie kolejną falą paplaniny, a ja nawet staram się jej słuchać. Kiwam głową i robię miny wyrażające zrozumienie. Czy naprawdę sądzi, że jeśli jestem terapeutką, to nie interesuje mnie nic innego poza czyimiś problemami? W końcu nie wytrzymuję, uciekam myślami, dumam o granatowej torebce, którą widziałam w witrynie sklepu na Kazimierzu, o zupie rybnej, którą odbija mi się od kilku godzin, i czy na pewno moja pułapka, którą zastawiłam przed wyjściem z domu, będzie wystarczająco skuteczna.

Ostatnio zrezygnowałam z późnych powrotów, dziś zgodziłam się na wyjście tylko dlatego, że Paulina obiecała mi odwiezienie. Robiłam zasadzki za każdym razem, kiedy wychodziłam na terapię lub na basen, a kiedy wracałam do domu, zawsze zamykałam drzwi na oba zamki i łańcuch. Oddychałam z ulgą, zdejmując rękę z metalowej zasuwki, gdy nagle ktoś łąpał mnie od tyłu, zakrywając ręką usta. Mój kat czekał na mnie w mieszkaniu. Obracałam się raptownie, ale dom wypełniała cisza, przerywana jedynie miarowym cykaniem zegara. Moja wyobraźnia niejednokrotnie potrafiła mnie w ten sposób na śmierć przerazić.

Teraz żałuję, że zdecydowałam się na to kino, wizja późnego powrotu do mieszkania przejmuje mnie strachem. Jeszcze większe przerażenie czuję, gdy na sali robi się ciemno. Wprawdzie Paulina przestała trajkotać, ale moje myśli zaczynają odpływać w niebezpieczne rejony. Gdy kończą się reklamy i widać początkowe napisy, drzwi na dole się otwierają. Strużka światła przyciąga mój wzrok, ale momentalnie znów robi się ciemno. Ktoś idzie po schodach, nie widzę dokładnie sylwetki, bo niesie przed sobą wielkie pudełko popcornu, ale jestem pewna, że to mężczyzna. Zatrzymuje się na wysokości naszego rzędu, stoi przez chwilę, a potem siada kilka foteli wyżej.

Znów opanowuje mnie to samo nieznośne uczucie co kilka dni temu. Głośno przełykam ślinę. Ktoś mnie obserwuje, ten spóźnialski mi się przygląda. Wiem, że to niemożliwe, ale nie potrafię zapanować nad szalejącym niepokojem i poczuciem braku kontroli. Świadomość, że ktoś na mnie patrzy, wywołuje panikę. Czuję mrowienie na plecach i zaczynam szybciej oddychać. Odwracam głowę, ale jest zbyt ciemno, aby dostrzec, kto usiadł na wolnym miejscu kilka rzędów wyżej. Próbuję się uspokoić, patrzę na obrazy zmieniające się na ekranie. Paulina częstuje mnie paluszkami, nie odmawiam. Znów zerkam do tyłu, próbując znaleźć wzrokiem wolne miejsce, które przed chwilą zajął spóźnialski. Gdy robię to po raz trzeci, chłopak, który siedzi za mną, nachyla się.

– Czy coś się stało? – pyta.

– Nie – zaprzeczam.

Dziewczyna, która trzyma go za rękę, posyła mi nieprzyjazne spojrzenie. Nie musi otwierać ust, abym doskonale wiedziała, co chce mi powiedzieć: „Skoro nic, to przestań się ciągle odwracać i na nas gapić. Wkurzasz mnie!”.

Ponownie skupiam uwagę na filmie, ale jest już za późno, niepokój na dobre rozgościł się na moim miejscu w wygodnym welurowym fotelu. Nie rozumiem, co dzieje się na wielkim ekranie. To niedorzeczne, tłumaczę sobie, jestem tu bezpieczna, nic mi nie grozi, a zresztą co mogłoby się stać? Nie udaje mi się wysiedzieć spokojnie dłużej niż kolejne kilkanaście minut, gdy od ekranu znów bije jasne światło i wiem, że mogę go dostrzec. Gwałtownie odwracam głowę i widzę, że miejsce trzy rzędy dalej jest puste. Czuję wzbierający we mnie krzyk, ale w ostatnim momencie zakrywam ręką usta. Może tylko mi się wydawało? Może usiadł w rzędzie wyżej lub niżej? Lustruję sąsiednie fotele, ale wszystkie miejsca oprócz tego jednego są zajęte. Jestem pewna, że tu właśnie siedział. Wymknął mi się. Mam ochotę wybiec z sali, dopaść go, dowiedzieć się, kim jest i czego ode mnie chce. Ponownie

zerkam do tyłu, nie zważając na grymas na twarzy dziewczyny piętro wyżej. Fotel spóźnialskiego jest pusty.

– Niech pani w końcu przestanie się na nas gapić! – dochodzi mnie syk z góry.

Mam ochotę jej coś powiedzieć, ale posłusznie odwracam głowę i wpatruję się w światła bijące od ekranu.

Z labiryntu myśli wrywa mnie moment, gdy na sali robi się jasno. Czuję się, jakbym na chwilę zasnęła, jakby to wszystko tylko mi się przyśniło. Patrząc do tyłu, na pustym siedzeniu trzy rzędy wyżej leży kilka okruchów po popcornie. Nie śniłam, siedział tam. Paulina papła mi coś nad uchem, gdy wychodzimy na korytarz, ale nie potrafię się skupić. Rozglądam się na boki, mnóstwo ludzi czeka na kolejny seans. Czy jest wśród nich? Czy właśnie mnie obserwuje? A może już wyszedł, nie chcąc ściągać na siebie podejrzeń? Łapię Paulinę za rękę.

– Widziałaś tego gościa?

– Którego? – Spogląda na mnie.

– No tego, który siedział trzy rzędy wyżej i gapił się w naszą stronę?

– Nie. – Kręci głową przecząco.

– Tego, co się spóźnił, a potem wyszedł kilka minut przed końcem – dodaje.

– Eliza, z całym szacunkiem, fajna z ciebie laska, ale wierz mi, większość facetów, którzy przychodzą do kina, chce oglądać film, a nie wyszukiwać dziewczyny w ciemnej sali. – Przewraca oczami. – A poza tym to raczej babski film, nie sądzę, żeby przyszedł na niego samotny chłopak. – Patrzy na mnie i lekko się uśmiecha. – Chyba najwyższa pora, żebyś otrząsnęła się po Robertcie i w końcu sobie kogoś znalazła.

Wiem, że ma rację. Czy mógł to być Robert? Przechodzi mi to przez myśl, gdy podążam za Pauliną w stronę wyjścia. Wykluczone, to nie w jego

stylu, a poza tym rozpoznałabym go po ruchach, ubiorze i samochodzie. Nie jeździ SUV-em.

– Może – ciągnie Paulina, gdy wsiadamy do jej samochodu – zarejestruj się na jednym z tych portali randkowych, może tam poznasz jakiegoś faceta.

– Wal się – odpowiadam bez zastanowienia i gryzę się w język. Paulina patrzy na mnie zdziwiona, ale posunęła się o krok za daleko, zupełnie tak jak ja.

Nie muszę szukać miłości w sieci. Nie wierzę w szczerość osób, które się tam rejestrują, w ich udawane zainteresowania, korygowane zdjęcia, naciągane umiejętności i predyspozycje. Ale gdy jedziemy nocnymi ulicami Krakowa, przez krótką chwilę rozważam w myślach tę ewentualność. Tak, chciałabym mieć faceta. Kogoś, przy kim czułabym się swobodnie, kto by mnie rozumiał, doceniał, z kim mogłabym być naprawdę sobą. Nie wierzę kobietom, które chępią się, że za życiem w samotności stoi ich świadomy wybór. Gówno prawda. Nie potrafią znaleźć sobie faceta, utrzymać go na dłużej, zainteresować, cokolwiek; po prostu nie jest prawdą, że chcą być samotne. To bzdura, w którą nigdy nie uwierzę. Patrzę kątem oka na Paulinę, zerka w lusterko, zmienia pas. Zazdroszczę jej, że już za kilka minut, jeśli tylko będzie miała ochotę, dostanie wieczorną dawkę seksu w pięknych, funkcjonalnych wnętrzach swojego ekskluzywnego mieszkania. Po raz kolejny głos w mojej głowie powtarza, że to niesprawiedliwe, ona nie zasługuje na życie, które prowadzi.

Dwa tygodnie wcześniej, Sankt Petersburg

ANTON

Mroźny poranek. Wychodzę ze stacji metra Czernyszewskaja. Gdy idę w stronę klubu jazzowego, ulice są prawie puste. Wypuszczam z ust powietrze, kłęby pary są gęste jak dym z papierosa, ogrzewam nią dłonie. Nieprzyjemny chłód wkrada się pod koszulę, pokrywając ciało gęsią skórką, więc przyśpieszam kroku.

Lokal z zewnątrz wygląda obskurnie, z tymi saksofonami i gitarami przyczepionymi do krat w oknach, ale ma to swego rodzaju urok. Drzwi są zamknięte, więc stukam w nie mocno dwa razy na znak, że przyszedł ktoś z drużyny. Otwiera mi Katia, barmanka z najdłuższym stażem.

– Zwariowałaś? Jest piąta nad ranem!

– Właśnie dlatego tu jestem. – Nachyłam się i całuję ją w policzek. – Jest Wołodia?

– U siebie. – Wskazuje na drzwi.

Wiedziałem, że prędzej spotkam go tu wczesnym rankiem, po skończonej zmianie, niż późnym wieczorem, gdy zabawa dopiero się zaczyna. Wołodia ma słabość do pieniędzy, już słyszę, jak mówi: „A któż jej nie ma, Anton!”. Oczywiście to prawda, ale ja odczuwam większą do kobiet, nie wszystkich, rzecz jasna, tylko tych szczególnych, wybranych, w moim typie.

– Otwarte! – krzyczy, a właściwie chrypi; z powodzeniem mógłby podkładać głosy czarnych charakterów w kreskówkach.

– Mogę? – Zaglądam do środka.

Nie myliłem się, liczy kasę. Śmieszy mnie widok jego wielkiego brzucha na stosie pieniędzy.

– Siadaj, Anton.

Wyciąga pudełko z cygarami. Ruchem głowy odmawiam. Nie przejmując się, wyjmuję jedno i wkłada sobie do ust.

– Muszę wyjechać na kilka tygodni, może miesięcy – mówię, siadając na krześle po przeciwnej stronie biurka.

– Problemy?

– Jeszcze nie – odpowiadam.

Postanowiłem, że nie powiem mu wszystkiego. Zdradzę wymagane minimum, potrzebne do załatwienia tego, po co tu przyszedłem. Nie to, że nie ufam Wołodii, wręcz przeciwnie, inaczej by mnie tu nie było. Ale im mniej będzie wiedział, tym bezpieczniej dla niego i lepiej dla mnie. Gdyby jednak chciał mnie znaleźć, będzie mógł to zrobić w każdej chwili, mój plan jest przemyślany w najdrobniejszym szczególe. Nie zostawię mu adresu, ale doskonałe wskazówki, bezbłędny trop, ślady, po których do mnie dotrze.

– Jakaś dupa? – pyta.

– Można tak powiedzieć. – Nachyliam się i podaję mu pudełko zapalek ukryte pod stosem piętrzących się przed nim rubli. Musiał mieć wyjątkowo udaną noc.

– Potrzebuję paszportu – mówię.

– Na kiedy? – Energicznym ruchem gasi zapalną i wrzuca do kubła pod biurkiem.

– Na już.

– Kurwa, myślisz, że u mnie jak w banku? Przychodzisz i masz? –
Dmucha mi dymem w twarz.

Przekręca klucz w szufladzie biurka i odkłada cygaro do popielniczki. Patrzę na ociekający śliną napis „Cohiba”. Wołodia przewraca tony papierów, klnąc pod nosem, w końcu wyjmując leżący na dnie skórzany notes i patrzy na mnie uważnie.

– O czymś jeszcze powinienem wiedzieć?

– Nie – kręcę głową – po prostu uważam, że to konieczne. Nie na długo, ale muszę zniknąć! Tym razem zapłacę – dodaję, by trochę zmienić temat, choć dobrze wiem, że nic ode mnie nie weźmie.

– Uznam, że tego nie słyszałem – charczy. – Przyjdź za dwa dni, a teraz spierdalaj!

Choć ma specyficzny sposób bycia i zapewne nie jest najlepszą osobą, jaką można zaprosić na rodzinny obiad, tak naprawdę to w porządku gość. Nie bawi się w konwenanse, ale ufam mu bezgranicznie. Traktuję go jak ojca, a on wie o mnie wszystko. No, prawie wszystko. Ma znajomości, kontakty międzynarodowe, wielu zaciągnęło u niego długi wdzięczności, a on jeden wobec mnie. Co prawda spłacił go już z nawiązką, ale wiem, że wciąż mogę na niego liczyć. „Wobec ciebie to dozgonny dług, Anton. Nie zapominaj o tym”.

Nie wierzę w durne gadanie, że wszystko ma w życiu sens. Ale jednak niektóre chwile bywają chyba po coś. W moim przypadku 12 października 1998 roku zdarzył się po to, by uratować mi tyłek.

Ściemniało się, ale nie mieliśmy zamiaru wracać do środka. Jegor zapalił papierosa, sztachnął się dwa razy i podał mi. Usiadł, oparł się plecami o mur i majtał nogami w powietrzu. Stałem nieopodal, jedną ręką trzymając się rusztowania, a w drugiej dzierżąc peta, i byłem pewien, że jestem totalnie dorosły. W gwieździstą noc w ruinach średniowiecznego zamku Orieszek,

dziesięć metrów nad ziemią, można się poczuć niezwykle dojrzałym. O czym gadaliśmy? O marzeniach. Chcieliśmy zostać pilotami, spadochroniarzami, może znanymi artystami, na pewno celebrytami. We wszystkich tych wizjach byliśmy nieustraszeni i szczęśliwi. A kiedy my wymyślaliśmy kolejne godne nas zawody, w ośrodku przeszukiwano każdą dziurę. Nikomu nie przyszło do głowy, że mogliśmy wziąć łódkę, aby dostać się na wyspę, na której stał zamek.

W pewnej chwili Jegor stwierdził, że kiedyś na pewno będzie latać, a następnie wstał i zaczął chodzić wzdłuż muru.

– Kurwa, uważaj! – krzyknąłem. – Rozpierdolisz sobie łeb!

Nawet nie zdążyłem dokończyć zdania, gdy noga zsunęła mu się z gzymsu. Poleciał w dół, ale w ostatniej chwili złapał się stalowych prętów. Oblał mnie zimny pot i myślę, że on miał już wtedy pełno w gaciach. Cały się trząsałem, kładąc się w poprzek rusztowania i próbując wciągnąć go na górę. Całe szczęście, że jego kurtka zaczepiła się między dwoma hakami, w przeciwnym razie zabiłby się na miejscu, uderzając głową w kamienne podłoże. Gdy w końcu udało mi się go wciągnąć i opadł obok mnie na metalową siatkę, byliśmy mokrzy.

Nie pomagałem Jegorowi, aby dostać coś w zamian, działałem pod wpływem impulsu. Zrobiłby to każdy, kto byłby na moim miejscu. Jednak nie miało to żadnego znaczenia; tamtego dnia, gdy na wycieczce szkolnej uratowałem życie jednemu synowi Wołodii Baszmieta, w nieplanowany sposób wszedłem do ich rodziny. Kiedy kilka lat później Jegor zginął w wypadku samochodowym, Wołodia zgorzkniał i przestał mieć skrupuły w interesach, jednak stało się coś jeszcze. Zaczął traktować mnie jak własnego syna. Pozwolił mi grywać w swoim klubie, a potem, w najbardziej dramatycznym momencie mojego życia, pojawił się jak dobry duch i wyciągnął mnie z bagna, w które się powoli zapadałem. To nie pierwszy

raz, kiedy proszę go o przysługę, i nie pierwszy raz, kiedy on niczego za to nie chce. Dostanę kolejną nową tożsamość. Ciekawi mnie, kim będę tym razem.

Słońce przebija się przez chmury, gdy wracając, przechodzę przez jeden z trzystu dziewięćdziesięciu sześciu mostów nad Newą. Mewy nisko latają, wyraźnie czuć, że nadchodzi wiosna. Tego miasta nie da się zapomnieć, to niewyczerpane źródło inspiracji, weny i olśnień. I nie mam tu na myśli tylko Nabokova, Puszkina czy Dostojewskiego, dla których Petersburg okazał się niezwykle łaskawy, ale i siebie, Antona Zubakowa, który wczoraj wieczorem wbrew sobie zwał się z łóżka i poszedł w miasto. Niezobowiązujące spotkanie, a tak cenna informacja. Dziewczyna numer trzy. Ktoś ewidentnie nade mną czuwa. Spoglądam do góry i się uśmiecham.

Gdy dwa dni później zgodnie z umową zjawiam się u Wołodii, na dźwięk moich kroków odwraca się z cygarem w zębach.

– Siadaj, Anton – mówi, nie siląc się na uśmiech.

Przez ułamek sekundy boję się, że coś poszło nie tak. Nie załatwił papierów, ktoś siedzi mi na ogonie tak blisko, że nie uda mi się już uciec na czas z kraju, albo jakiś inny niepomyślny zbieg okoliczności. Pocieszam się, że ludzie Fiodora jeszcze nie wiedzą, co udało się osiągnąć dwóm niepozornym chłopakom z Moskwy. Zanim Mark Zuckerberg i jego Facebook stali się sławni na cały świat, musiało minąć trochę czasu.

Wołodia siada na krześle po przeciwnej stronie biurka.

– Borys Lebiediew – oznajmia.

– Dziękuję – odpowiadam z ulgą.

Wyciągam rękę po papiery, które trzyma w dłoniach, ale zabiera mi dokumenty sprzed nosa. Przenoszę wzrok na jego twarz.

– Najpierw mi powiesz, co się stało – mówi. – Naprawdę myślałeś, że wypuszczę cię w świat bez słowa wyjaśnienia?

Nie mam wyjścia, z Wołodią gra się w otwarte karty. Opowiadam mu, czego się kilka dni temu dowiedziałem i jak w tej sytuacji niebezpieczne może być dla mnie pozostanie dłużej w Petersburgu. Ogólnikowo przedstawiam dziewczynę numer trzy i przekonuję, że nie mam chwili do stracenia. Zgodnie z planem nie zdradzam mu mojej destynacji, ale przekazuję wskazówki niezbędne do tego, aby mnie w razie czego odnaleźć. Jest pod wrażeniem.

– Świetnie to wymyśliłeś – kiwa głową – naprawdę genialnie!

– Będę się odzywał, dzwonił co kilkanaście dni, ale gdybyś mnie potrzebował...

– Wiem, jak cię znaleźć.

Wołodia ma mocne plecy, ale zdaję sobie sprawę, że może przyjść taki dzień, kiedy tylko mnie będzie mógł zaufać. Wszystko można załatwić za pieniądze, jednak zawsze znajdzie się ktoś, kto zapłaci więcej, czyniąc z naszego oddanego poplecznika zagorzałego wroga. Nie mamy z Wołodią co do tego wątpliwości. Nikomu tak nie ufamy jak sobie nawzajem.

– Uważaj na siebie – mówi, przesuwając dokumenty w moją stronę. – I daj znać, jak już będziesz na miejscu.

– Dziękuję. – Otwieram podarowany mi właśnie dowód mojego istnienia.

– Będę musiał za jakiś czas przyjechać na kilka dni do Petersburga. – Chowam papiery do kieszonki na piersi.

Kiwa głową, dobrze wie, jakie zależności trzymają mnie blisko miasta.

– Spadam. – Wstaję.

On także podnosi się z krzesła, które skrzypi pod nim ostrzegawczo. Podchodzi do mnie i ściska jak syna.

Na Okęciu ląduję następnego dnia o dziewiętnastej miejscowego czasu. Kontrole paszportowe już mnie nie przerażają, inaczej niż za pierwszym razem. Zdążyłem się przekonać, że Wołodia zna się na rzeczy. Mój paszport

jest przybrudzony i pozaginany na brzegach, wydany rzekomo kilka lat temu, egzemplarz często używany, czego dowodem są liczne pieczątki w środku. Nie budzi podejrzeń celników ani systemów, w które zerkają, trzymając dokument z moim zdjęciem. Ładna Polka po drugiej stronie okienka posyła mi krótkie spojrzenie, na tyle przelotne, by nie wzbudziło skrępowania, a jednocześnie wymowne. Dotykam jej dłoni, odbierając paszport, i uśmiechem potwierdzam, że w bardziej sprzyjających okolicznościach moglibyśmy inaczej zakończyć to przypadkowe spotkanie. Zdejmuję swoją walizkę z taśmy, opuszczam lotnisko i wskakuję do podjeżdżającej taksówki. Zamawiam kurs na Dworzec Centralny. Na miejscu łapię ostatni InterCity do Krakowa i kilka minut po dwudziestej trzeciej wchodzę do hotelu, w którym czeka pokój zabukowany przeze mnie kilka godzin wcześniej. Następnego dnia rano zaczynam śledzić moją przyszłą dziewczynę.

19 kwietnia 2016, Kraków

ELIZA

Punkt jedenasta w gabinecie pojawia się Alicja. Trudno mi z nią rozmawiać, nawet gdy na moment zapominam o jej koszmarnym ubiorze. Doprawdy w dzisiejszych czasach trzeba się postarać, żeby tak okropnie wyglądać. Wiem, że nie powinnam tak bardzo skupiać się na fizyczności, ale nigdy nie potrafiłam z tym walczyć, a poza tym uwielbiam obserwować innych pod tym kątem. Wyznania Alicji krążą wokół opieki nad rodzicami, gotowania, prania i sprzątanania. Niczego nie chce zmienić w swoim życiu, choć takie miała oczekiwania wobec cotygodniowych sesji, gdy zawierałyśmy ustny kontrakt kilka miesięcy temu. Teraz wyraźnie czuję, że niepotrzebnie tracimy czas.

– Dlaczego pani nie odmówiła uczestniczenia w imieninach matki, skoro była pani już umówiona na ten dzień z koleżanką? – Próbuję się skupić na swoim zadaniu.

– To przecież były jej imieniny, jak w ogóle mogłam być taką egoistką i o tym zapomnieć! – odpowiada jednym tchem.

– Ale, jak pani wspomniała, koleżanka przyjechała z zagranicy i nie mogła poinformować pani o tej wizycie...

– To także jej wina – przerywa mi. – Co prawda przyjaźniłyśmy się w podstawówce, była mi wtedy bardzo bliska, ale przecież nie mogła wymagać, abym wybierała pomiędzy nią a mamą. Nie mogłam wyjść

z domu, chociaż bardzo chciałam się zobaczyć z Dorotą...

Moje myśli zaczynają uciekać. Alicja nie słucha tego, co do niej mówię, więc czy ja mam obowiązek słuchać jej? Oczywiście, że tak, po to tu jestem, za to mi płaci. Zastanawiam się, czy dziś mój cień znów będzie za mną chodzić. Kim jest i dlaczego to robi? Czy to ktoś znajomy? Głos Alicji i myśli o tajemniczym mężczyźnie przeplatają się w mojej głowie. Nie wiem już, które słowo obrazujące strach padło z jej ust, a które jest wyrazem moich osobistych obaw. W momencie, gdy zegarek na moim biurku krótkim sygnałem informuje, że czas naszego spotkania dobiegł końca, oddycham z ulgą.

Sesja z Dominikiem zapowiada się znacznie przyjemniej. Wiem, że jego trafna analiza wydarzeń minionego tygodnia przykuje moją uwagę przez najbliższą godzinę. Nieposkromiony gaduła, zupełne przeciwieństwo większości mężczyzn, z którymi pracowałam. Z zawodu przedstawiciel handlowy, być może to tłumaczy jego otwartość i umiejętność uwodzenia słowem. Zawładnie naszą rozmową, wciągnie mnie w swoją historię, pozwoli zapomnieć. Lubię jego poczucie humoru, inteligencję i lekkość bytu, którą przejawia na każdym kroku, choćby w swobodzie, z jaką odwiesza ubranie na wieszak. Jest w tym geście coś przyjemnego, przez kilka tygodni żałowałam nawet, że nastaly cieplejsze dni i przestał nosić płaszcz. Jeśli na mnie robił wrażenie, to inne kobiety także nie mogły przejść obok niego obojętnie. Czasem dawałam się ponieść fantazji i wyobrażałam sobie, jak mogłaby wyglądać konfrontacja jego niepohamowanego dążenia do spełniania swoich potrzeb z powściągliwością Alicji. Biorąc pod uwagę, że ona nadal jest dziewicą, jego wyuzdane ego mogłoby niezłe narozrabiać. Oczywiście wcześniej Alicja musiałaby pozbyć się starych ubrań, bo stylowe garnitury Dominika mówią jasno, że ich właściciel doskonale zna różnicę między *prêt-à-porter* a *haute couture* i kwestia ubioru jego partnerki ma

znaczenie.

Gdy po spędzeniu pięćdziesięciu minut w jego towarzystwie wychodzę z gabinetu, nie rozglądam się na boki. Wsiadam do tramwaju i jadę prosto do mieszkania. Dziś zaprosiłam na obiad Daniela. Cieszę się, że dzięki niemu znów na moment zapomnę o mojej obsesji.

Po wejściu do domu od progu widzę, że nikt mnie nie odwiedzał. To mnie uspokaja. Sprzątam zastawioną pułapkę, rozbieram się i wskakuję pod prysznic. Woda obmywa moje ciało, spływając po twarzy, szyi, piersiach. Myśli w głowie przepływają powoli i spokojnie, nie budząc emocji. Oddycham głęboko kilka razy, wychodzę i zaczynam się wycierać. I wtedy to słyszę: jakiś głos dobiegający zza drzwi. Moje serce zdradza zrelaksowany przed chwilą umysł i na nowo zaczyna swoją gonitwę. Szybkim ruchem przekręcam zamek od środka. Dźwięk jest przytłumiony, ale do moich uszu wyraźnie docierają pojedyncze frazy:

– Kocham tak bardzo, że serce pęka mi głośniejsz niż którakolwiek kość.

Jezu, co się dzieje? Zatykam na moment uszy rękami. Cisza. Odrywam dłonie i znów słyszę dobiegające zza drzwi słowa. To nie wydobywa się z mojej głowy, to dzieje się naprawdę. Ktoś tam jest. Ale jak to możliwe? Mimo braku śladów wizyty nieproszonych gości przed kąpielą i tak sprawdziłam każdy kąt w domu, przeszukałam szafę w przedpokoju, zajrzałam do kuchni i pod łóżko. Jestem cała mokra. Chociaż przed chwilą dokładnie się wytarłam, pot spływa mi po szyi i plecach. Przecieram ręką wilgotne czoło i owijam się ręcznikiem. Żałuję, że nie mam przy sobie telefonu, został w torebce w przedpokoju. Serce mi wali, w łazience jest parno, czuję, że robi mi się słabo. Siadam na brzegu wanny. Zdaję sobie sprawę, że to głos kobiety. Nie mam co do tego wątpliwości. To mnie zaskakuje. Jakaś klientka? Jak wkradła się do mojego mieszkania? Nadal jestem przerażona, ale jednocześnie wstępuje we mnie nadzieja, że mam

szansę z nią wygrać. Wyglądam niepozornie, ale lata pływania zrobiły swoje. Zwinność i siła to cechy, które stale pielęgnuję. Mogę otworzyć drzwi i spróbować sięgnąć po torebkę, a potem zadzwonić do Daniela albo na policję. A może coś się stało z moim telefonem, włączyło się radio i stąd ten kobiecy głos?

Wciąż trzęsąc się ze strachu, kładę rękę na klamce. Przekręcam zamek, uchylam drzwi i wystawiam głowę.

– Dźgnę cię nożem milion razy. Odetnę ci łeb. Zjem serce, wyszę całą krew. Zabiję cię, zabiję, zabiję.

Zaczynam krzyczeć. Głośno, donośnie, nieludzko. Za chwilę zginę. Ktokolwiek to jest, przyszedł po to, żeby mnie zabić.

ANTON

Znacie to uczucie, kiedy wali wam się świat? Co wtedy myśleliście? Już nic nigdy nie będzie takie samo? Największe katastrofy spotykają nas tylko raz? A może wręcz przeciwnie, nieszczęścia chodzą parami? Tak czy inaczej, musicie żyć dalej. Kilka najbliższych godzin, kolejny dzień, jeszcze następny, miesiąc, dwa, rok. Jednak pierwsza myśl jest słuszna, nie myliliście się, już nic nie będzie jak dawniej. Mnie świat zawalił się dwukrotnie. Za pierwszym razem, gdy miałem sześć lat, a po raz drugi dwa lata temu. Umarłem i narodziłem się na nowo już dwa razy.

Kiedy zamykam oczy, widzę ją pochyloną nad pianinem. Jej długie palce poruszają się z zawrotną prędkością. Gra całą sobą, jasne włosy podrygują w rytm muzyki. Odwraca głowę w moją stronę.

– Anton! Anton, chodź do mnie! – woła.

Podchodzę i siadam jej na kolanach. Kładę ręce na jej dłoniach i chwilę gramy razem, a potem ona chwyta mój palec wskazujący i wybija nim wesołą melodię. Śmiejemy się. Pachnie konfiturami, jest piękna, kocham ją najbardziej na świecie.

– Kiedyś będę grać tak jak ty – mówię.

– Będiesz grać lepiej. – Mierzwi mi włosy. – Będiesz wspaniałym muzykiem. Będiesz wspaniałym tym, kim zechcesz, twoje życie jest pełne możliwości. – Składa pocałunek na moim czole.

Na szóste urodziny dostaję gitarę. Ostatni prezent od niej.

Mrugam powiekami, wspomnienie rozmywa się w niebycie. Przychodzą kolejne: spacerujemy po Łazienkach, jemy lody, które ciekną nam po palcach, puszczamy latawce, karmimy wiewiórki. Spędziłem z mamą moje najlepsze chwile, każdy dzień zaczynał się i kończył jej uśmiechem, do szóstego roku życia byłem szczęściarzem. Do dziś żałuję, że zdecydowali się posłać mnie o rok wcześniej do szkoły. Może gdybym wtedy był z nią w domu, nie skończyłoby się to tak tragicznie. Ojciec stale wyjeżdżał, podróżował w interesach, nic dziwnego, że do końca pozostał dla mnie obcym człowiekiem. Zawsze byliśmy tylko ja i ona, idealny duet. I nagle, pewnego dnia ta najwspanialsza kobieta na świecie odeszła. Zostałem sam.

Był marzec, lód na Wiśle już dawno puścił, na trawniku przed szkołą zauważyłem pierwsze przebiśniegi. Do dziś nie potrafię patrzeć na te kwiaty, ich rozdygotane główki, zwiastuny mojej katastrofy. Rozglądałem się, ale nigdzie jej nie widziałem. Nie przyszła, choć czekała na mnie codziennie. Wiedziałem, że coś się stało. Biegłem w stronę domu ile sił w nogach. Sztywny tornister przewieszony przez jedno ramię uderzał mnie kantem w pośladki. Zziębnięty wpadłem do mieszkania.

– Mamo?! – krzychałem od progu. – Mamo?!

Cisza. W przedpokoju stały jej buty, na szafce wisiała brązowa torebka, musiała być w domu.

– Mamo?! – Pchnąłem drzwi do jej sypialni.

Leżała na łóżku z zamkniętymi oczami, jeszcze nie wiedziałem, że martwa. Wskoczyłem w butach na białą pościel, potrząsałem nią, prosiłem, żeby się obudziła. Łzy ciekły mi po policzkach. Wybiegłem na korytarz i krzychałem, żeby ktoś jej pomógł. W drzwiach naprzeciwko pojawiła się sąsiadka, a potem już niewiele pamiętam. Karetka, policja, mnóstwo ludzi, ciotka, która zabrała mnie do siebie. Następnego dnia do Polski wrócił ojciec. Moje życie przestało mieć jakikolwiek sens.

Śmierć mojej matki zawsze była owiana pewną tajemnicą. Nikt nie chciał ze mną o tym rozmawiać i nigdy nie dowiedziałem się, co się tak naprawdę wtedy stało. Ojciec uważał, że lekarstwem na to wszystko będzie całkowita zmiana środowiska. Wyjechaliśmy do Petersburga i od września zacząłem uczęszczać do szkoły międzynarodowej. Z dnia na dzień stałem się kimś innym. Miałem nowych kolegów, mieszkalem w nowym domu, mówiłem nowym językiem, nie miałem mamy. Może dlatego tak łatwo akceptuję kolejne zmiany swojej tożsamości?

Nigdy nie udało nam się z ojcem nawiązać głębszej relacji, zaprzyjaźnić. Nienawidziłem go, winiłem za śmierć matki, żałowałem, że to nie on umarł. Nie kłóciliśmy się, po prostu nie mieliśmy ze sobą żadnego kontaktu. Mijały tygodnie, miesiące, lata. Szukałem swojej drogi, bo nikt mi nie mówił, którądy powinna wieść. Ojciec dawał mi pieniądze, ale nie czas. Wiadomość o jego śmierci nie zrobiła na mnie wrażenia. Byłem przyzwyczajony, że go nie ma. Ciągle w rozjazdach, targi w Niemczech, konferencja w Szwecji, wizyta u dostawcy w Chinach. Życie zabrał mu zawał. Malutki skrzep krwi pokonał prawie dwumetrowego faceta. Ironia losu. Zostały po nim mieszkanie, samochód i trochę pieniędzy. Za dużo, żeby wydać, i za mało, żeby coś z nimi zrobić. Sprzedałem mieszkanie, kupiłem mniejsze, bliżej centrum, samochód zamieniłem na nowszy. Poszedłem na studia muzyczne, potem przez pewien czas uczyłem gry na gitarze dzieci w prywatnej szkole. Aż pewnego dnia poznałem Saszę, który pokazał mi tę bardziej rozrywkową część ludzkiej egzystencji. I wtedy moje życie rozpadło się po raz drugi.

ELIZA

Leżę skulona na podłodze z rękami przyciśniętymi do uszu. Krzyczę. Kim ona jest? Po co tu przyszła? Z otchłani, ze świata, który jest po drugiej stronie drzwi, dochodzą stukanie i przenikliwy dźwięk dzwonka. Odrywam dłonie od głowy, dzwonek do drzwi rozbrzmiewa ponownie. Ktoś mnie usłyszał? Nadszedł ratunek? Klękam, podnoszę się z kolan i powoli wychodzę z łazienki. Nogi mi się trzęsą, gdy stawiam kroki na zimnych płytkach w przedpokoju. W mieszkaniu panuje cisza. Ani jednego złowieszczonego słowa, tylko zza drzwi dociera do mnie stłumione wołanie. Kładę już rękę na klamce, po czym nie mogę się powstrzymać i obracam się powoli w stronę pokoju. Nic się nie wydarza. Salon jest pusty.

– Eliza, otwórz!

Daniel, przyszedł Daniel! Przekręcam zamek i wpadam w jego ramiona.

– Chryste! Co się stało?

Ręcznik, którym jestem owinięta, zsuwa się, nagie piersi wywołują skrępowanie na twarzy mojego brata. Zakrywam je ręką i szepczę:

– Ktoś jest w mieszkaniu.

– Co? – Spogląda na mnie i wypuszcza z uścisku.

Osuwam się na zimne płytki i powtarzam:

– Ktoś tu jest!

Wymija mnie i wchodzi do salonu, potem zagląda do kuchni i do łazienki, z której właśnie wyszłam.

– Nikogo nie ma – stwierdza. – To ty tak wrzeszczałaś?

– Słyszałam głos kobiety. – Czuję, że robi mi się zimno, zaczynam się trząść.

Daniel zauważa to i podaje mi z łazienki szlafrok. Otulam się nim.

– Uwierz mi, naprawdę ktoś tu był. Jakaś kobieta mówiła, że mnie zabije.

Brat patrzy na mnie z przerażeniem. Nie wierzy mi, widzę to w jego oczach. Sądzi, że oszalałam, zbliznowałam, jestem totalnym świrem.

– Eliza, tu nikogo nie ma – mówi, wskazując wzrokiem mieszkanie. – Chodź, sprawdzisz to ze mną.

Obejmuje mnie ramieniem i oprowadza po wszystkich pomieszczeniach. Pustka i cisza. Oszalałam.

– Ale ja naprawdę słyszałam czyjś głos – obstaję przy swoim.

Łzy zaczynają mi napływać do oczu.

– Jesteś przepracowana, powinnaś odpocząć.

– Nie wierzysz mi!

– Widziałaś, że nikogo nie ma. Od kilku minut stałem pod twoimi drzwiami, nikt nie wyszedł, a skoro nikogo nie ma w środku...

– To znaczy, że nikogo nie było – kończę.

Robi wymowną minę. W ostatniej chwili rezygnuję z dalszego bronięcia swojej wersji, opowiedzenia mu o zdjęciach i samochodzie pod oknem. Po przedstawieniu, które właśnie dałam, nie uwierzy już w nic, co wyjdzie z moich ust. W milczeniu siadam na brzegu łóżka, słowa więzną mi w gardle, straciłam całą ochotę na wspólny obiad.

Każdy ma swoją małą, ciemną piwniczkę, do której nie lubi schodzić, od której trzyma się z daleka. Ja czuję się teraz, jakby ktoś na siłę zamknął mnie w mojej i z zewnątrz zaryglował drzwi. Jednocześnie najgorsze doznania i niechciane wspomnienia, zawekowane dawno temu, dały o sobie znać.

Uszczelka jednego ze słoików puściła, wieczko nieznacznie uniosło się ku górze i czuć wydobywający się ze środka zgniły zapach przeszłości. Pamięć ma jedną wadę. Istnieje.

ANTON

Grywałem u Saszy w zespole jako sideman. Koncerty w petersburskich knajpach, wyjazdy na prowincję, byłem zachwycony. Czy nie tego właśnie chciałem? Być gwiazdą? Zazdrościliśmy chłopakom z Lube i chcieliśmy iść w ich ślady, zaczęliśmy się nawet rozglądać za wytwórnią płytową. Nasza muzyka była połączeniem rocka z rosyjskim folklorem, mieliśmy ambicję na międzynarodową karierę, ale los zdecydował inaczej.

Sasza zajmował się dilerką. Zdarzyło się, że raz, dwa razy sprzedałem za niego towar, pojawiły się nowe zapytania, kontakty i nagle stałem się jednym z nich. Nie jakimś liczącym się graczem, ale wszyscy w środowisku wiedzieli, że potrafię zorganizować kolejną działkę. Sam zacząłem eksperymentować. Nic z twardych narkotyków, nie byłem idiotą, jedynie ecstasy, marihuana, LSD. Ten syf potrafił dać kopa, przenieść do innej rzeczywistości, zapewnić pożądane wrażenia. Nawiedzały mnie chronomiraże niczym ze środka Miasnoj Boru. Doznania równie niesamowite, co wciągające, zupełnie jak bagna tego najstraszniejszego lasu w Rosji. Klienci ze Skandynawii, krajów bałtyckich, kasa, towar, kolejne zamówienia, interes się kręcił. Zdawałem sobie sprawę z zagrożeń, ale sądziłem, że wszystko jest dobrze, dopóki mam nad sobą kontrolę.

Byłem wtedy związany z młodziutką Anastazją Rusyłową, córką szefa jednej z petersburskich mafii. Poznałem ją przez Saszę jako jedną z jego klientek. Traktowała mnie jak boga, była totalnie ode mnie uzależniona, równie silnie jak od kokainy. Jej ojciec mnie nie znosił, chciał dla niej lepszej

przyszłości niż u boku, jak mawiał, marnego wykidajła. Zabronił się jej ze mną spotykać. Oczywiście nie posłuchała go, widywaliśmy się potajemnie, ćpaliśmy, a potem pieprzyliśmy się, jakby świat miał jutro nie istnieć. Nie wiązałem z nią przyszłości, ale była cudowną rozrywką, zapewniającą mi nieziemskie rozkosze. A potem na jednej z imprez przedawkowała.

Zbudził mnie jakiś hałas. Otworzyłem oczy i potrzebowałem chwili, by przypomnieć sobie, gdzie jestem. Zamknięta impreza, wstęp tylko dla wybranych, jazda taksówką, muzyka, alkohol, towar, seks. Nie było jej w łóżku przy mnie. Usiadłem. Na sofie w rogu pokoju ujrzałem kłębowisko ciał. Nie potrafiłem stwierdzić, ile dokładnie osób tam leży, ale nie widziałem jej wśród nich. Wstałem i wyszedłem do przedpokoju. Drzwi na lewo były otwarte, a w pokoju na fotelu leżała ona, naga, z zaciśniętą stazą na przedramieniu. Miałem wrażenie, że jej pokryte kolorowymi tatuażami piersi są nieruchome, ale nie miałem co do tego pewności. Wstrzymałem oddech. Tak bardzo chciałem, żeby spała. Podbiegłem do niej, zacząłem nią potrząsać, jednak nie reagowała. Chciałem odnaleźć jej puls, ale trzęsły mi się ręce. Jej czarne włosy wiły się wokół szyi jak złowrogie węże. Podniosłem jej powieki, nie było wątpliwości, nie żyła. Ukryłem twarz w dłoniach. Zawsze jej pilnowałem, mówiłem, kiedy dość. Dlaczego to się tak skończyło? Znów usłyszałem hałas, brzęk tłuczonego szkła. Odwróciłem się. Przystronny salon z aneksem kuchennym, półnaczy ludzie, alkohol, resztki jedzenia ze zgaszonymi w nich niedopałkami papierosów i wszechobecne ślady wymiocin. Jakiś facet próbował wstać, łapiąc się metalowej rurki na wyspie kuchennej, ale tylko strącił kolejną pustą butelkę.

Pamiętam, że decyzja w mojej głowie zapadła momentalnie. Jakbym nagle doznał olśnienia. Pośpiesznie zapiąłem dzinsy i jedną ręką upychając koszulę w spodnie, drugą w ogromnej szafie szukałem swojej kurtki. Chłopak śpiący na dywanie w przedpokoju przewrócił się na drugi bok,

odsłaniając leżące pod sobą woreczki z białym proszkiem. Chwilę się wahałem, kalkulując szybko, ile może być wart ten towar. Coś znowu stuknęło w drugim pokoju, wiedziałem, że za chwilę nie będę jedynym obudzonym w tym przybytku rozpusty, nie miałem czasu do stracenia. Otworzyłem drzwi wejściowe, które nie były nawet zamknięte na zamek, i bezszelestnie wyszedłem na korytarz. Kto pierwszy się zorientuje, że Anastazja przedawkowała? Wiedziałem, że kiedy jej ojciec się dowie, że poszła na imprezę ze mną, obarczy mnie winą za jej śmierć. Jedna szalona noc, w czasie której ktoś podrzucił do mojego życia tykającą bombę.

Potrzebowałem czystego umysłu, musiałem zerwać z nałogiem. Pierwszy dzień i następna noc były najgorsze. Od heroiny można się uzależnić praktycznie po pierwszym razie, dlatego świadomie nie zaprosiłem jej do swojego życia. Nie sądziłem jednak, że dragi, które uchodzą za lekkie, także uzależniają i chociaż nie fizycznie, tylko psychicznie, to w przypadku silnego głodu nie ma to żadnego znaczenia. Zamknąłem się w domu i wiedziałem, że jeśli będzie taka potrzeba, przykuję się kajdankami do kaloryfera, a kluczyk rzucę w drugi kąt pokoju. Nie miałem kajdanek ani kluczyka, ale próbowałem na wszystkie sposoby nabierać samego siebie. Miałem totalnie rozregulowany barometr ściemy, pod koniec dnia byłem skłonny uwierzyć we wszystko, co wymyślił mój wygłodniały umysł.

Noc i kolejny dzień ciągnęły się w nieskończoność. Leżałem i patrzyłem w sufit, robiłem bilans życia, porażek, sukcesów, marzeń i planów na przyszłość. Miałem swój punkt zaczepienia, muzyka sprawiała mi przyjemność, była częścią mojej tożsamości, pora potraktować ją na poważnie. Nie narobiłem długów, miałem z czego żyć. Oszczędności ojca i własne, nie do końca chwalebne, wpływy składały się na przyzwoitą sumkę na koncie. Moje życie nadal należało do mnie, nie byłem na tyle głupi, żeby je zmarnować i, do licha, wciąż byłem młody, wciąż w grze, i pozostał mi

jeszcze niejeden rzut kostką.

W mojej głowie powoli kiełkował plan na najbliższe tygodnie. Mocne postanowienie poprawy dyktowało twarde warunki, na które byłem skłonny przystać, gdy ciszę nocy przerwał dźwięk wibrującego telefonu. Spojrzałem na wyświetlacz. Wołodia.

– Anton! – Po tym chropowatym głosie poznałbym go wszędzie. – W co ty się, kurwa, wpakowałaś?!

– Co? – Nie miałem pojęcia, o czym mówi.

– Moi ludzie donieśli mi właśnie, że banda Fiodora ma na ciebie wyrok.

– Kurwa mać! – Nie sądziłem, że tak szybko postanowią mnie dopaść. – Nie zabiłem jej! Kurwa, to nie ja!

Opowiedziałem Wołodii o tym, jak przebudziłem się w królestwie diabła i było już za późno, żeby ją uratować.

– Nigdy nie byłeś jego ulubieńcem, a teraz stałeś się największym wrogiem! Kurwa, rusz dupę! Mam dla ciebie papiery, za trzy godziny odlatuje twój samolot, widzimy się na lotnisku, niczego ze sobą nie bierz. – Rozłączył się.

Kiedy wpadłem na lotnisko, Wołodia czekał na mnie przy wejściu na halę odlotów. Tak jak kazał, niczego nie wziąłem. Wyszedłem z mieszkania, zupełnie jakbym wyskoczył do kiosku na dole po fajki, a nie opuszczał je na zawsze.

– Tu masz walizkę, paszport i bilety.

Zerknąłem na otrzymane papiery.

– Szeremietiewo – przeczytałem na głos.

– Tak, za cztery godziny masz przesiadkę w Moskwie.

– Przesiadkę? Dokąd lecę? – Spojrzałem mu w oczy.

W jego źrenicy skupił się cały mój świat. Stałem upaprany po uszy

w gównie, nie musiał nic mówić, abym bez trudu mógł odczytać to z jego twarzy.

– Do Hawany. – Objął mnie ramieniem i nachylił się zbyt blisko, bym nie czuł smrodu z jego ust. – Odbierze cię mój dobry znajomy, nie zadawaj pytań, tylko rób, co ci każe. Pierwsze dwa tygodnie pobytu masz zapewnione, potem musisz radzić sobie sam.

Nasze skronie się stykały, bijące od nich ciepło przyprawiało mnie o łzy. Nie mogłem przecież rozwyć się jak dzieciak. Odsunąłem się trochę.

– Nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić, nie w tak krótkim czasie! – Musiał odczytać przerażenie malujące się na mojej twarzy. – Najlepiej znajdź sobie jakąś dupę. – Uśmiechnął się lekko. – Zapamiętaj sobie, nic tak nie kryje faceta jak kobieta!

Nie miałem pewności, czy daje mi dobrą radę, czy próbuje przy całej tej beznadziei wykrzesać z siebie resztki humoru.

– Samotny facet zawsze i wszędzie wzbudza większe zainteresowanie niż jakakolwiek, choćby i kiepsko dobrana para – dokończył.

Obsługa w okienku zaczęła nam się dziwnie przyglądać. Wołodia nie wyglądał na poczciwca.

– Nie możemy tu dłużej stać. Nie radzę ci wracać przez najbliższe miesiące do Petersburga. Znajdź sobie jakąś kryjówkę, a gdy będziesz już bezpieczny, skontaktuj się ze mną. Wiesz, że zawsze ci pomogę. Tylko ty mi zostałeś.

On naprawdę zamierzał odejść, zostawić mnie na pastwę losu. Byłem przerażony. Przez moment stałem osłupiały, dotarło do mnie, że moje życie już nigdy nie wróci na normalne tory. Właśnie wsiadłem do najbardziej rozbujanej kolejki świata: uciekałem przed własną przeszłością.

Kiedy kilka minut później pracownik lotniska skanował mój paszport, myślałem, że serce wyskoczy mi przez gardło. Maxim Nikołajew, tak się

teraz nazywałem. Wyobrażałem sobie, że celnik za chwilę zmarszczy brwi na widok alarmu pojawiającego się na jego monitorze i wezwie ochronę. Pociłem się, głośno przełykałem ślinę. Jednak twarz kontrolera nie zdradzała niepokoju. Podniósł na mnie wzrok, przesunął dokumenty w moją stronę, uśmiechnął się i spokojnym głosem życzył mi przyjemnej podróży. Po raz pierwszy zrozumiałem, że Wołodia naprawdę zna się na rzeczy.

O trzeciej pięćdziesiąt samolot oderwał się od ziemi. Patrzyłem za żegnającymi mnie w oddali światłami pogrążonego we śnie miasta, nie wiedząc, że to dopiero pierwszy raz, kiedy uciekam. Następnego dnia, po dwóch godzinach spędzonych w Moskwie i blisko trzynastu lotu, kilka minut po dwunastej czasu lokalnego zobaczyłem przez okrągłe okienko skrawek ziemi. Nierówna linia wybrzeża, biały piasek i mieniąca się turkusem woda. Witamy na Kubie, *sénior* Nikołajew.

Nie miałem pojęcia, jak rozpoznać znajomego Wołodii, skoro nawet nie wiedziałem, kogo wyglądać. Gościa w kapeluszu z cygarem w zębach, z kartką na piersiach z moim nowym nazwiskiem czy raczej kogoś przypominającego agenta Secret Service, w dobrze skrojonym garniturze i okularach przeciwsłonecznych? Znów z sercem w gardle przeszedłem przez kontrolę paszportową i ciągnąc za sobą czarną sfatygowaną walizkę od Wołodii, wyszedłem przed budynek lotniska. Uderzyła mnie fala wilgoci, moje ciało momentalnie pokryło się kropelkami wody. Palmy kołysały się lekko na wietrze, a słońce prezentowało się w całej swojej okazałości na bezchmurnym niebie. Na końcu asfaltowej alejki stał błękitny cadillac ze znacznikiem „taxi” na dachu. O boczne drzwi opierał się młody ciemnoskóry chłopak w krótkich spodenkach i japonkach. Na mój widok rzucił papierosa na ziemię, przygasił go podeszwą i przywołał mnie ruchem ręki. Półgodzinną drogę pokonaliśmy w milczeniu. Patrzyłem na bajecznie kolorowe budynki, samochody z minionej epoki, roześmianych ludzi w południowym słońcu.

Podjechaliśmy pod Hotel Telegrafo o secesyjnej fasadzie w intensywnym kolorze niezapominajek. Taksówkarz odmówił przyjęcia pieniędzy za kurs, postawił bagaż pod moimi nogami, uniósł rękę na pożegnanie i wrócił do auta. Pod hotel podjechała kolejna taksówka w kształcie kokosa, ichniejszy smart lub coś w tym rodzaju, a mój nowy znajomy ustąpił jej miejsca, włączając się w ruch uliczny.

Znów zostałem sam. Rozejrzałem się dookoła i wciąż ciągnąc za sobą walizkę, wszedłem do środka klimatyzowanego wnętrza budynku. Ktoś musiał tam na mnie czekać, skoro zostałem przywieziony w to miejsce. Nie myliłem się. W przestronnym hallu przy drinku z parasolką siedział sześćdziesięcioletni mężczyzna ze skórą pomarszczoną niczym zeschłe jabłko. Gestem dłoni przywołał mnie do siebie. Nie przedstawił się, ale mówił po rosyjsku. Spytał, czy przyjemnie minęła mi podróż, czy podoba mi się w Hawanie i czy jestem głodny. Na wszystkie trzy pytania odpowiedziałem twierdząco. Zamówił dla mnie kolorowego drinka z parasolką i papkę w nieapetycznym kolorze. Jak się dowiedziałem, była to potrawka z królika; w każdym razie nie przypominała niczego, co dotychczas jadłem. Po kilkunastu minutach kurtuazyjnych rozmów podeszliśmy do recepcji. Młody Kubańczyk spisał dane z mojego nowego paszportu i wręczył mi kluczyk do pokoju o dobrze rokującym numerze 69. Ruszyliśmy w kierunku wind.

– Hotel masz opłacony za dwa tygodnie – oznajmił mój cicerone, gdy znaleźliśmy się w pokoju. – A teraz pozwól, że wezmę swoją przesyłkę i wrócę do swoich obowiązków.

– Przesyłkę?

Schylił się, rozpiął moją walizkę i wyrzucił na dywan całą jej zawartość: kilka koszulek z metkami, spodnie i podstawowe kosmetyki. Następnie syczorykiem, który wyjął z kieszeni, przeciął wewnętrzny materiał przy

bocznym zamku. Ze środka wyciągnął pendrive i trzy karty pamięci. Stałem oszołomiony. Nie miałem pojęcia, co się na nich znajduje, ba, nie miałem pojęcia, że były w moim bagażu. Gdybym nie ufał Wołodii, mógłbym pomyśleć, że mnie wkręcił, celowo wysłał w roli przemytnika, wymyślając całą historię z wyrokiem na mnie, żebym tylko dostarczył towar. Jednak ufałem mu bezgranicznie.

Czy nielegalna przesyłka w podwójnym dniu mojej walizki to okazyjny interes, zapłata za przysługę, spłata długu, a może intratna propozycja? Zdjęcia, filmy pornograficzne, hakerskie bazy danych? Nie miało to dla mnie znaczenia, najważniejsze, że byłem prawie dziewięć tysięcy kilometrów od ludzi, którzy czyhali na moje życie. W duchu dziękowałem Wołodii, że nie wtajemniczył mnie w przemyt. Wiedząc, że mam w bagażu coś, czym mogłyby się zainteresować służby graniczne, wpadłbym przy pierwszej kontroli paszportowej. A tak, mimo strachu, zachowywałem się w miarę normalnie, na tyle, że nie wyróżniałem się wśród turystów niespokojnie rozglądających się dookoła w miejscu, do którego przybyli po raz pierwszy w życiu.

Gdy wyszedł, opadłem na łóżko. Czuję się zdezorientowany i nieziemsko senny. Dopadł mnie typowy *jet lag*. Następne dni niczym się od siebie nie różniły. Od rana włóczyłem się po mieście, jadłem w małych knajpkach, odpoczywałem na wszechobecnych skwerach, wieczorem wracałem do pokoju. Żaden pomysł nie przychodził mi do głowy, a każde rozwiązanie wydawało się żenująco naiwne, zgubne i błędne. Aż pewnego popołudnia poszedłem na spacer po El Malecón, gdzie wstąpiła we mnie nowa nadzieja.

ELIZA

Musiałam zasnąć, bo budzi mnie głos docierający z oddali. Początkowo nie wiem, gdzie jestem, zastanawiam się, czy to Daniel coś do mnie mówi. Siadam na łóżku i z każdą kolejną sekundą jestem coraz bardziej rozbudzona. Mój brat wyszedł przecież kilka godzin temu, gdy ze wspólnego obiadu wykręciłam się migreną. Mam wrażenie, że głos dobiega z kuchni. Wsłuchuję się w słowa.

– Pierwsze ślady krwi zaczynają się w połowie korytarza. Mozaika różnorodnych plam i smug pokrywająca wypolerowane na wysoki połysk deski prowadziła w głąb domu, zapewne w kierunku pokoi sypialnych. Nad krwawym szlakiem pochylał się mężczyzna w brązowym...

W tym momencie głos się nagle urywa, kobieta milknie. Omamy hipnagogiczne, halucynacje słuchowe, początki schizofrenii? Wzdrygam się. Nasłuchuję, ale mieszkanie wypełnia cisza. To ten sam głos, nie mam co do tego wątpliwości. Co się ze mną dzieje? Wstaję i na palcach wchodzę do kuchni. Radio jest wyłączone. Wracam do pokoju, zerkam na drzwi wejściowe, zaglądam do łazienki. Nikogo nie ma. Najwyraźniej zwariowałam. Słyszę głosy z zaświatów.

Podchodzę do okna, nigdzie śladów SUV-a. Zerkam na zegar na komodzie, dochodzi dwudziesta druga. Czy ktoś założył podsłuch w moim mieszkaniu? Mikrofon emitujący głosy, które mają doprowadzić mnie do szaleństwa? A może jednak wszystko dzieje się w mojej głowie? Nie, to

niemożliwe. Spałam, gdy słowa tej kobiety mnie obudziły.

Nagle do moich uszu dobiegają odgłosy z klatki schodowej. Trzask drzwi, kroki, szuranie, kaszel. Może jakaś kobieta rozmawiała głośno przez telefon i akurat przechodziła obok mojego mieszkania? Skradam się na palcach do drzwi i przykładam oko do wizjera. Przed moimi drzwiami stoi chłopak. Zamieram, z trudem powstrzymując krzyk przerażenia. Boję się ruszyć, by nie zdradzić mu swojej obecności. Dzielą nas centymetry, czuję niemal ciepło jego ciała. Zwichrzone włosy i koścista twarz. Na pewno go już gdzieś widziałam, ale teraz nie potrafię sobie przypomnieć gdzie. W tym momencie rozlega się pukanie. Odskakuję do tyłu. Czego on ode mnie chce? Puka ponownie. Stoję nieruchomo. Nie wpuszczę go do środka. Za żadne skarby. Mężczyzna puka po raz trzeci. Mam wrażenie, że moje serce za chwilę eksploduje ze strachu. Kim on jest i po co tu przyszedł?

20 kwietnia 2016, Kraków

ANTON

Czas zadzwonić do Wołodii. Już dawno ustaliliśmy, że to ja będę się z nim kontaktować. Wszystko według procedur, proste reguły, telefon na kartę i zastrzeżony numer. Zachodzące słońce bawi się w wierzchołkach drzew, gdy czekam, aż Wołodia odbierze.

– Halo?

Na dźwięk jego głosu uśmiecham się bezwiednie.

– To ja.

– Anton! – Oczami wyobraźni widzę jego poraną zmarszczkami twarz. – No i jak się urządziłeś?

– Nie narzekam. – Wyciągam się na pachnącym nowością materacu, stare łóżko skrzypi pode mną.

– Już ją ujeżdżasz? – pyta.

– Przestań – śmieję się – ale jestem blisko.

– Czyli wszystko według planu? – Kaszle. Nikotyna kiedyś zeżre mu płuca.

– Tak. Mam nadzieję.

– Potrzebujesz czegoś ode mnie?

– Nie. Radzę sobie.

Zawsze rozczułała mnie jego opiekuńczość.

– A u ciebie jak? Spokojnie?

– Spokojnie jak na wojnie – żartuje. – Fiodor ma nowego dostawcę z Hindukuszu.

– Konopie indyjskie?

– Nie tylko. Szef Federalnych Służb Kontroli Obrotu Narkotykami już go ma na oku.

– Jak wszystkich ciągnących towar z Afganistanu – stwierdzam.

Komu jak komu, ale mnie nie musi tłumaczyć szczegółów narkobiznesu. Byłem na samym dole drabiny, ale doskonale wiem, jak wygląda cały proces przemytu.

– Jeśli go kropną, to wtedy ty...

– Wiesz, że jest za dobry, by ponownie wpaść. Wszyscy dookoła będą uparani w gównie po szyję, a on pozostanie czysty jak łąza.

– Nie byłbym tego taki pewien – wtrąca. – Jak mawiał Andriej Wyszynski... Co ciekawe, Polak z pochodzenia, z matki muzyczki, wiedziałeś o tym?

Dobrze, że nie widzi grymasu na mojej twarzy. Który to już raz robi tę aluzję pod moim adresem?

– Dajcie mi człowieka... – zaczynam.

– ...a paragraf zawsze się znajdzie – kończy, zanosząc się śmiechem.

Jeszcze chwilę żartujemy, a potem rozłączam się i niszczę kartę. Nie zdążyłem mu powiedzieć, że dzielą mnie już tylko godziny od poznania dziewczyny numer trzy. Jaka będzie? To ciągłe czekanie potęguje we mnie podniecenie. Tak bardzo pragnę jej skosztować. Wymiana spojrzeń, uścisk dłoni, uśmiech? Od czego zacznie się nasze razem? Dokładność, rozważa i wytrwałość to cechy przydatne w każdej dziedzinie życia. Wiem, że moje wysiłki w końcu zostaną nagrodzone. Z całą pewnością nie będzie miała bladego pojęcia, że nasze spotkanie zostało zaaranżowane. Gdyby tylko

wiedziała, jak już blisko jestem.

ELIZA

Loguję się na stronie sklepu detektywistycznego. W wyszukiwarce wpisuję: „wykrywacz podsłuchu”. Ceny wahają się od kilkuset złotych do kilkunastu tysięcy. Nie znam się na tym, ale wybieram najtańszy sprzęt ze znacznym „bestseller”. Nie mam zamiaru inwestować w coś, czego chcę użyć tylko raz. Właściwie to nie wiem, czy to możliwe, aby przez pluskwę nadawać czyjś głos, czym różni się odbiornik od nadajnika, czy mógł to ktoś pomylić, instalując urządzenie w moim domu, ale inne rozwiązanie nie przychodzi mi do głowy. W opisie zakupionego przeze mnie produktu jest informacja, że sprzęt wykrywa także inne urządzenia. Być może odkryje to, które ktoś zamontował w moim domu. Cokolwiek to jest.

Wczoraj nie otworzyłam drzwi temu dziwnemu typkowi, a po kilku minutach, gdy wyjrzałam przez wizjer, korytarz był pusty, chłopak zniknął. Jego twarz przez soczewkę w drzwiach była niewyraźna, ale na pewno nie obca. Już go gdzieś widziałam. Czy to on mógł mnie śledzić i robić zdjęcia? Nie wiem, czego ode mnie chce, nie wiem, kim jest, ale mam zamiar wyprowadzić się z tej kamienicy. Już dawno powinnam to zrobić.

Znalazłam to mieszkanie na szybko, gdy rozstałam się z Robertem i nie mogłam już dłużej wytrzymać w domu rodziców. Za wyborem przemawiały przystępna cena i dobra lokalizacja, ale wewnątrz pozostawiało wiele do życzenia. Urządzone w babcinym stylu, wcześniej zamieszkiwane przez staruszkę, która wyprowadziła się do syna. Co prawda zabrała ze sobą przedmioty osobiste, ale zostawiła meble, przesiąknięte jej wieloletnią

obecnością w tym miejscu. Wciąż czuję unoszący się w domu dziwny zapach leków, maści i ziół. Starości. A teraz jeszcze te dziwne głosy. Nie wytrzymam tu ani miesiąca dłużej. Wyłączam komputer, zastawiam pułapkę, przerzucam przez ramię sportową torbę i wychodzę z domu. Najbliższą godzinę mam zamiar spędzić na basenie. Może tam znajdę ukojenie.

Zbiegam po schodach i wychodzę z kamienicy. Słońce oświetla fasady budynków po przeciwnej stronie ulicy, w oknie podparta o poduszkę siedzi gruba kobieta. Pełnoetatowa nieodpłatna dozorczyńni. Gołębie, które karmi chlebem, spacerują po szerokim parapecie.

Właśnie przechodzę przez ulicę, gdy go zauważam. Nieznajomy, który dobijał się wczoraj do mnie, stoi dziesięć metrów przede mną i rozmawia przez telefon. Nie widzi mnie, śmieje się w słuchawkę. Włosy ułożone na żel tworzą na jego głowie czub, który najwyraźniej ma mu dodawać kilku brakujących centymetrów. Staję w miejscu, nie wiedząc, co powinnam zrobić. Zapytać, czego chciał, uciec, póki jeszcze mnie nie zauważył, czy ukryć się i zacząć go śledzić? Facet gasi papierosa, przydeptyując go butem. Kobieta w oknie krzyczy:

– Niech pani nie stoi na środku ulicy!

Zdaję sobie sprawę, że zatrzymując się ze zdziwienia, wybrałam nieodpowiednie miejsce. Jej interwencja powoduje, że nieznajomy zerka w moim kierunku. Nie mam zbyt wiele czasu, odwracam się i biegnę w przeciwną stronę. Byle dalej od niego, byle dalej od tej przeklętej kamienicy.

Gdy kilka godzin później wychodzę z basenu, boję się wrócić sama do domu. Może Czub będzie czekać na mnie przed kamienicą albo na klatce przed drzwiami do mieszkania? Nie powiem Danielowi, że znów słyszałam głosy, ale mogę się poskarżyć, że jakiś nieznajomy facet pukał w nocy do moich drzwi. Nic mi się nie wydawało. To działa się naprawdę, stał na mojej

wycieraczce i łomotał do drzwi. Być może nawet, jeśli popyta, znajdą się świadkowie. Tym razem brat musi mi uwierzyć. Poproszę go, aby znalazł mi nowe mieszkanie. To on pomógł mi przejść przez rozstanie z Robertem, potem wynajął kawalerkę na Lwowskiej, przeprowadził mnie i dał cynk o wolnych gabinetach na Karmelickiej. Ma znajomości, ma do tego dryg, pomoże mi i tym razem. Wyjmuję z torby telefon i wybieram jego numer.

– Daniel?

Odbiera, ale się nie odzywa.

– Oddzwonię – słyszę po chwili i Daniel kończy połączenie.

Zerkam na zegarek. Zaraz powinien skończyć trening. Pojadę po niego i do mieszkania wrócimy razem. Na samą myśl o takim rozwiązaniu uspokajam się.

Gdy wjeżdżam na parking pod klubem sportowym, jego dwaj koledzy wsiadają do auta. Unoszą ręce w geście powitania i znikają we wnętrzu małego samochodu, w którym bez wątplenia muszą się czuć klaustrofobicznie. Wsiadam i kieruję się w stronę budynku. Jestem pewna, że zastanę Daniela w szatni, pośpiech nigdy nie leżał w jego naturze. Niezliczenie wiele razy spóźniałam się przez niego na tramwaje, pociągi i imprezy.

Korytarz jest pusty, tylko sprzątaczką przeciera mopem podłogę. Przeskakuję między mokrymi plamami, żeby nie zostawić brudnych śladów. Skręcam za róg i wchodzę do szatni przez uchylone drzwi. Obraz, który staje mi przed oczami, jest zaskakujący.

Ręce mojego brata niecierpliwie przebiegają po ciele chudej dziewczyny. A jednak wie, co to pośpiech. Całuje ją w szyję, ukrywając twarz w jej długich, jasnych włosach. Jej dłonie zaciśnięte na jego karku są drobne i zadbane. Dziewczyna zaczepia się nogami o jego biodra, on unosi ją do góry i opiera o metalową szafkę. Jego ręce znikają pod jej koszulką.

Powinam się odwrócić i wyjść, skorzystać z okazji, że jeszcze mnie nie widzą, dać im czas dla siebie. Jednak nie potrafię przestać się gapić. W tym momencie tęsknota za seksem jest zbyt silna. Na chwilę zapominam o nieznanym facecie z czubem, o dziwnych głosach i sytuacjach i chłonę ten obraz rozkoszy i oddania. Porno na żywo. Czy już tylko taka forma seksu mi została? Biernego widza? Żałosne. Tak bardzo zazdroszczę im bliskości, namiętności, ogarniającego ich ognia pożądania. Przypominają mi się wszystkie sceny miłosne z moimi byłymi chłopakami i niczego w tym momencie nie pragnę tak mocno, jak wrócić do gry.

– Eliza? – Daniel wreszcie mnie zauważa.

Jego oczy są jeszcze nieobecne, ale stawia dziewczynę na podłodze i odrywa od niej rękę. Ona poprawia koszulkę i odgarnia włosy do tyłu. Jest strasznie młoda.

– Przepraszam – mówię.

– Spoko. – Posyła mi uśmiech. – To moja dziewczyna, Ania.

Blondynka podchodzi do mnie z wyciągniętą ręką, wymieniamy uścisk.

– Myślałam, że wpadniesz dziś do mnie na obiad – zaczynam. – Z wczorajszego nic nie wyszło, ale w takiej sytuacji...

– Nie, nie – przerywa mi. – Ania za chwilę zaczyna trening. Ćwiczy jazdę figurową – dodaje. – Możemy jechać do ciebie. – Patrzy mi w oczy, a potem odwraca się w stronę swojej dziewczyny. – Odbiorę cię po treningu.

I nie zważając, że na nich patrzę, obejmuje ją władczo w pasie, a ona szepcze mu coś do ucha. Wreszcie odklejają się od siebie, dziewczyna sięga po swoją torbę i wychodzi, posyłając mi blady uśmiech.

– Ile ona ma lat? – pytam Daniela, gdy parkujemy na Lwowskiej.

– Osiemnaście – odpowiada, ale mu nie wierzę.

– Do której masz czas?

– Powiedziała, że dziś odbiera ją ojciec, więc mogę zostać do późna.

Dobrze mi się wydawało, że nie jest pełnoletnia.

– Świetnie – ucinam temat.

Po drodze opowiedziałam mu o nieoczekiwanej wieczornej wizycie Czuba. Nie za bardzo się przejął. Stwierdził, że być może facet pomylił mieszkania, a jeśli w końcu poszedł, to nie ma sobie czym głowy zawracać. Wiadomość, że rano widziałam go, jak pali papierosa pod kamienicą, także nie zrobiła na nim wrażenia. Poza nową dziewczyną chyba nic w tym momencie go nie obchodzi.

Wyjmuję z zamrażalnika pierogi od mamy i wrzucam na wrzącą wodę. Daniel leży na łóżku i gapi się w sufit, wyraźne symptomy zakochania. Zerkam przez okno w kuchni na ulicę. Ani śladu SUV-a czy nieznajomego, zwykły słoneczny, choć jeszcze chłodny dzień zmierza ku końcowi. Szkoda, bo chciałabym, żeby Daniel zobaczył mojego prześladowcę na własne oczy i w końcu mi uwierzył.

Jest już po dwudziestej, gdy zbiera się do wyjścia. Stoimy w przedpokoju, on zawiązuje buty, a ja opieram się plecami o ścianę. Żałuję, że musi pójść, ale rozumiem, że ma własne życie. Podnosi się z kolan, gdy znowu to słyszę. Z kuchni dobiega głos kobiety.

– Słyszysz to? – pytam pełna nadziei, że nie dzieje się to w mojej głowie.

Spojrzenie Daniela jest czujne. Mruży oczy i marszczy nos. Słyszysz.

– Co to?

Zalewa mnie fala ulgi.

– To właśnie ten głos – mówię, wchodząc do pokoju. Daniel podąża za mną.

– Dochodzi z kuchni – stwierdza.

Stajemy w progu i wsłuchujemy się w słowa kobiety.

– Co wiemy o domownikach? – spytała. – Rodzina. Matka, ojciec, trójka

dzieci. Dla obojga...

I tu się głos urywa, mieszkanie zalewa cisza. Przechodzi mnie dreszcz.

– To jakieś słuchowisko, fragment książki – konstatuje Daniel, wymija mnie i wchodzi do kuchni.

Radio stojące na oknie jest wyłączone. Podchodzi, uruchamia je przyciskiem, rozlega się głośna muzyka, wyłącza je. Odwraca się w moją stronę, ale nie patrzy mi w oczy, tylko rozgląda się po wnętrzu. Tak bardzo się cieszę, że to stało się w jego obecności. Gdyby wyszedł kilka minut wcześniej, byłabym znów bliska paniki, na skraju obłędu.

– To z tego głośnika – oświadcza, unosząc rękę do góry i ściągając plastikowe, biało-szare pudełko z szafki pod sufitem. – Jest cały czas włączony. – Wskazuje palcem świecąca się na zielono dioda.

– Skąd się tu wziął? – pytam, wpatrując się w nowoczesne urządzenie, niepasujące do dobytku starszej pani.

– Przyniosłem go, gdy robiliśmy u ciebie moje imieniny.

Przypominam sobie. Imieniny, domówka kilkanaście dni temu, koledzy Daniela, bałagan.

– Właściwie nie przyniosłem, tylko pożyczyłem od twojego sąsiada.

– Mojego sąsiada?

– No, tego z mieszkania obok – ruchem głowy wskazuje na lewo. – Poszedłem go uprzedzić, że szykuje się u nas impreza, przeprosić, jeśli będzie za głośno, i zaproponować, żeby do nas dołączył. Powiedział, że gdyby tylko nie wyjeżdżał służbowo, na pewno by wpadł i że wtedy dopiero zobaczylibyśmy, co to znaczy głośna impreza. Zaprosił mnie do siebie i pokazał wypasiony multiroom. Kolumny w każdym pomieszczeniu, nawet w kiblu, wyobrażasz sobie? Poprosiłem go, żeby pożyczył mi jeden głośnik, a on się zgodził, nawet podał mi swój kod dostępu i pokazał, jak mogę puszczać na tym sprzęcie muzę z komórki. Fajny gość, stuknięty audiofil. –

Przenosi wzrok na głośnik i wyłącza diodę.

I wtedy spływa na mnie olśnienie. Blondyn z czubem przypominającym kaczy kuper, który wczoraj wieczorem dobijał się do mnie, to sąsiad z mieszkania obok. Nie mam co do tego wątpliwości. Wprowadził się niedawno, przed nim mieszkały tam dwie studentki, nie znałam ich dobrze. Jak mogłam wcześniej tego nie skojarzyć!

– Ten facet, który wieczorem pukał, to mój sąsiad – stwierdzam ucieszona. – Wczoraj chwilę przed jego wizytą też słyszałam nagranie.

Daniel z głośnikiem pod pachą idzie w stronę drzwi.

– Myślisz, że to on puszcza mi te nagrania? – pytam, podążając za nim.

– A kto? Jasne, że on, i pewnie wczoraj przyszedł odebrać swój sprzęt. Obiecałem, że oddam mu go po weekendzie, ale kompletnie wypadło mi to z głowy. – Otwiera drzwi na korytarz.

– Idziesz ze mną?

– Nie. – Kręcę głową.

Wolę zostać w domu. Zostawiam uchylone drzwi i wracam do przedpokoju. Daniel naciska dzwonek, po chwili słyszę dźwięk przekręcanego zamka i Czub zaprasza mojego brata do środka.

Gdy Daniel po kilku minutach wraca, śmieje się od progu.

– Gość źle uruchamiał nagrania.

– Co? – pytam.

Chyba wszyscy są pomyleni w tej kamienicy.

– Kiedy zrzucał pliki do odtworzenia, pojawiała się kilka urządzeń. Czasami wybierał niewłaściwe, wtedy nagranie szło u ciebie. Gdy nie słyszał go u siebie, przerywał procedurę, klikał inne i wszystko było w porządku. Po którymś razie zorientował się, że nagranie musi się odtwarzać na głośniku, który mi pożyczył. Wczoraj przyszedł go zabrać, podobno od kilku dni się

dobija, ale stale nie ma cię w domu.

To wszystko jest jakieś naciągane. Dziwię się, że Daniel tak łatwo w to uwierzył. A uwierzył, widzę to po jego minie.

– Skoro wiedział, że nagranie odtwarza się u mnie, to dlaczego dzisiaj znów to zrobił? – pytam.

– Nie wiem, pewnie znów się pomylił. – Wzrusza ramionami.

Właściciel multiroomu nieznający swojego sprzętu? Czy Daniel naprawdę uważa, że gość nie robi tego świadomie? Nie sądzę, żeby działało się to przypadkowo, jestem pewna, że to celowe działanie. Ale dlaczego? Czy my się znamy?

– Co to było?

– Co? – Mój brat rzuca mi pytające spojrzenie.

– Co to było za nagranie?

– Nie wiem. Jakiś audiobook.

– Mógłbyś pójść i się dowiedzieć, jaki konkretnie?

– Po co ci to?

– Po prostu zaintrygował mnie ten tekst – podnoszę głos.

A tak naprawdę chcę sprawdzić, czy Czub mówi prawdę, czy taki audiobook w ogóle istnieje, czy facet nie wcisnął mu kitu.

– Okej – ustępuje.

Po chwili wraca.

– Lisa Gardner, *Dziecięce koszmary*, thriller – oznajmia. – Znasz?

– Nie – zaprzeczam.

– Teraz się nie dziwię, że tak wrzeszczałaś.

Śmieje się, choć ja nie widzę w tym nic zabawnego. Chowa komórkę do kieszeni i zakłada kaszkietówkę. Dla niego jest po sprawie, więc zbiera się do wyjścia.

– Wiesz, że on jest ze Spytkowic? – dodaje, zapinając zamek błyskawiczny sportowej bluzy.

– Co?

– Ze Spytkowic, no wiesz, tej wsi z naszych dawnych okolic.

Nie o to mi chodzi. Wiem, gdzie są Spytkowice, koło Zatoru, miejscowości, w której kiedyś mieszkaliśmy, zanim rodzice przenieśli się na Ranczo Beskid. Wiele osób ze Spytkowic chodziło do mojej podstawówki i gimnazjum. Tylko co chłopak z tamtej wsi robi za moją ścianą?

– Świat jest mały – mówi Daniel i kładzie rękę na kłamce – no nie? – Kręci głową z niedowierzaniem. – Na razie!

Chcę go zatrzymać, ale nie znajduję argumentów, które nie pozwoliłyby mu odejść.

Gdy zamyka za sobą drzwi, zakładam łańcuch. Nigdy nie uwierzę, że Czub odtwarzał u mnie te krwawe nagrania przypadkowo. A do tego ta informacja, że jest z sąsiedniej wsi. Nie za dużo tych przypadków? To on mnie śledził na wiosnę, wprowadził się na miejsce studentek, a potem dręczył nagraniami. To, że go nie rozpoznałam i nie kojarzę z nikim znajomym z czasów podstawówki i gimnazjum, nie znaczy, że mnie nie zna. Może jeździliśmy tym samym autobusem, chodziliśmy na ten sam basen, należeliśmy do jednego hufca i uczestniczyliśmy w tych samych obozach harcerskich? Może mieliśmy tych samych znajomych? To może być wszystko, ale na pewno nie przypadek.

Włączam komputer i loguję się na stronę audioteki. Znajduję thriller, o którym mówił Daniel, i pobieram darmowy fragment. To ten sam kobiecy głos, który słyszałam wczoraj w moim mieszkaniu. W internetowej księgarni kupuję e-booka i po kilkunastu minutach odnajduję fragment o zabijaniu, który wczoraj dotarł do moich uszu. Chłopak mówił prawdę. To *Dziecięce koszmary*. Ale chociaż okazało się, że nie zwariowałam i że fragment

pochodzi z książki, o której mówił sąsiad, wcale nie czuję się bezpieczniej. Nie zostanę w tej kamienicy ani chwili dłużej, całe szczęście, że obowiązuje mnie miesięczne wypowiedzenie. Jutro rano dzwonię do właścicielki.

Podsuwam laptopa do brzegu łóżka, kucam i loguję się do sklepu detektywistycznego. Liczę na to, że uda mi się anulować zamówienie wykrywacza podsłuchu. Nie mam zamiaru wydawać przez tego psychola ani grosza z moich oszczędności.

24 kwietnia 2016, Kraków

ANTON

Co kilka dni wpada do niej hokeista, z uśmiechem na ustach i sprzętem przerzuconym przez ramię. Przystojny, młody, pełen życia, jak ja kiedyś. Świadomość, że to, co w życiu najlepsze, dopiero przed nim, emanuje z niego na drugą stronę ulicy, gdzie siedzę przyczajony jak drapieżny kot.

Wspólny obiad, popołudniowa kawa, przystanek w drodze na trening? Zaniepokoiło mnie to. Nowa znajomość, przyjaciel, chłopak? Nie miała z nim zdjęć w sieci, które wyjawiałyby charakter ich relacji, wszystko zostawało zatem w sferze domysłów. Pewnego wieczoru, gdy od niej wyszedł, postanowiłem go śledzić. Wiedziałem, że ona już nie ruszy się z domu do rana. Siedziałem za nim w tramwaju, gdy wyjął telefon.

– Artur, zostały ci jakieś wejściówki na niedzielny mecz? – powiedział do kogoś po drugiej stronie słuchawki, po czym przerwał na chwilę. – To sprawdź, bo Eliza, moja siostra, chciałyby przyjść. – Znów pauza. – Okej – zareagował na odpowiedź, której nie słyszałem, ale nietrudno było się domyślić, co powiedział jego rozmówca. – W takim razie powiem jej, żeby kupiła sobie bilet.

W wyszukiwarce wpisałem zlepek dwóch słów: „Orlicki mecze” i po chwili otrzymałem odpowiedź. W Krakowie nie gra się kilku meczów hokeja dziennie, więc bez problemu dowiedziałem się, gdzie i o której spotkam ją w najbliższą niedzielę. Miałem nosa, by pójść za nim, moja intuicja mnie nie

zawiodła. Podczas gdy tramwaj wesoło bujał na kolejnych zakrętach, w mojej głowie układał się powoli precyzyjny plan.

Przyszedłem przed czasem i czekałem, aż pojawi się w drzwiach. Włosy splecione w asymetryczny warkocz, sportowe spodnie i dżinsowa kurtka. Stanąłem w kolejce dwie osoby za nią. Miałem szczęście, widziałem, które miejsce wybrała, gdy kasjer odwrócił monitor w jej stronę. Przede mną stała jeszcze tylko para młodych ludzi. Jedno wolne krzeselko rząd przed nią ich nie zainteresowało, więc minutę później bez problemu zarezerwowałem je dla siebie. A potem, gdy po odejściu od kas poszła do szatni i za chwilę skierowała się w stronę toalet, jako pierwszy zszedłem na trybuny i zająłem moje miejsce. Nawet przez moment nie mogłaby podejrzewać, że nie zadziałał tu zwykły zbieg okoliczności, szczęśliwy przypadek, przeznaczenie. Miałem zamiar zagadnąć ją po meczu, ale nie wymyśliłem jeszcze jak, w pełni zdałem się na swój urok i wyobraźnię. Jednak żaden wysiłek z mojej strony nie był potrzebny, bo to ona pierwsza mnie zaczepiła.

ELIZA

Dziś Daniel gra mecz w Krakowie. Nie może mnie na nim zabraknąć. Wiele razy chciałam mu towarzyszyć w rozgrywkach wyjazdowych, ale nie mogłam tego pogodzić z obowiązkami. Praca psychoterapeuty tylko z pozoru wydaje się luźna i elastyczna. Tak naprawdę musimy planować wakacje i wyjazdy jak wszyscy inni. Tak, miewamy kilka wolnych dni w tygodniu, ale w pozostałe musimy być do usług innych. Nie mogę nagle powiedzieć komuś w trakcie terapii, że nie będzie mnie na kolejnej sesji. To nieprofesjonalne, nie na miejscu, po prostu niemożliwe. Ale dlatego właśnie nie zdarzyło mi się opuścić żadnego meczu, który drużyna mojego brata grała u siebie.

Kiedy w końcu docieram do swojego krzeselka, zauważam siedzącego przede mną barczystego faceta. Zawsze miałam słabość do mężczyzn z ramionami zawodnika rugby, ale teraz ten widok wcale mnie nie cieszy. Co za pech, wznoszę z irytacją oczy do nieba, ale siadam za nim. Mam jakieś inne wyjście? Jego umięśnione bary zasłaniają całe lodowisko. Żałuję, że nie wzięłam jego miejsca. Było wolne, gdy kupowałam bilet kilkanaście minut wcześniej. Nawet przez moment zastanawiałam się, który rząd będzie lepszy. Wybrałam szósty, łudząc się, że kilka minut przed meczem nikt nie wykupi samotnego miejsca przede mną i będę miała doskonały widok na lodowisko. Tym razem mój spryt się nie sprawdził.

Po kilku minutach meczu wyglądanie to z jednej, to z drugiej strony pleców gościa przede mną staje się nieznośne. Po jego lewej stronie siedzi

starszy z wnuczkiem, z drugiej jakaś para nastolatków, zamiana miejscami nie powinna zrobić mu różnicy. Stukam go w ramię. Odwraca się, rzucając mi pytające spojrzenie. Czarne oczy, tak czarne, że nie widać źrenic. Interesujący.

– Przepraszam pana – odzywam się – czy byłby pan tak miły i zechciał się ze mną zamienić miejscami? Nic z za pana nie widzę.

– Jasne. – Wstaje.

Jego metr dziewięćdziesiąt robi wrażenie. Przeskakuje do mojego rzędu, podnosząc się na rękach na oparciu krzeselka. Wyciąga do mnie dłoń i pomaga mi przejść piętro niżej. Niezobowiązująco szarmancki, jak miło.

Kiedy mój brat strzela krążkiem w sam środek bramki, podskakuję do góry. Jestem z niego taka dumna, jego sukcesy traktuję jak swoje, bo to moje zachęty i niestrudzone namowy pchnęły go w kierunku hokeja. Wprawdzie wolałam, aby wybrał pływanie, ale nigdy nie przejawiał uzdolnień w tej dyscyplinie, więc kiedy zauważyłam, że radzi sobie na łyżwach lepiej niż którykolwiek z jego rówieśników, wiedziałam, co powinien zrobić. A teraz spełnia moje niezrealizowane marzenia o zawodowym uprawianiu sportu. Warto było latami truć mu głowę.

– Gratuluję! – Metr Dziewięćdziesiąt odzywa się do mnie, gdy po meczu zmierzamy pingwinim krokiem w stronę schodów.

– Dziękuję. – Muszę zadzierać głowę, by spojrzeć mu w oczy. Różnica jednego rzędu krzesełek robi z niego olbrzymia.

– Kibicowałem przeciwnej drużynie, ale wasi grali naprawdę lepiej.

– Jeden z goli to zasługa mojego brata.

– Naprawdę? – Idziemy obok siebie schodami na górę.

– Tak, Daniel Orlicki, siedemnasta minuta meczu.

– Zrobił to po mistrzowsku, powinnaś być z niego dumna. – Jak widać, nie bawi się w konwenanse.

– Jestem. – Uśmiecham się. – Właśnie idziemy to wspólnie uczcić. Przy wodzie. – Przewracam oczami. – Rozumiesz, sportowcy nie piją.

Jak zwykle planowaliśmy pojechać z kolegami Daniela do jakiejś miłej knajpki. To taki nasz rytuał, niezależnie od wyniku meczu.

Gdy docieramy na korytarz, kolejka do szatni jest gigantyczna.

– Jeśli macie ochotę, to wpadnijcie do Music Clubu na Sławkowskiej, niedługo gram tam koncert. – Koleś wciąga przez głowę wełniany sweter, którym wcześniej był przepasany w talii.

– Jesteś muzykiem? – pytam.

– Gitarzystą – rzuca i rusza w stronę wyjścia.

W ostatnim momencie odwraca się i dodaje:

– Będzie mi miło. – Przechodzi przez bramki i znika za drzwiami.

To jeden z tych facetów, których bezapelacyjnie zalicza się do atrakcyjnych. I nie chodzi tylko o sam wygląd, ale także o sposób bycia, poruszania się, swego rodzaju magnetyzm. Nawet jeśli nie jest w twoim stylu, obiektywnie stwierdzasz, że może się podobać. Zrobił na mnie wrażenie, nie powiem. Przez całą drogę z hali na Rynek myślę tylko o nim. Z takimi ramionami wyglądał bardziej na zapaśnika niż muzyka, ale właściwie po co miałby kłamać. Warto jednak byłoby to sprawdzić. Po godzinie spędzonej w towarzystwie kolegów Daniela nie potrafię się oprzeć pokusie, zmywam się i idę na Sławkowską.

Czuję, że powoli dochodzę do siebie. Świadomość, że już wiem, kto mnie śledził, w pewien sposób mnie uspokoiła. Chociaż prześladowca mieszka tuż obok, za ścianą, ma konkretną twarz, więc nie jest już tak straszny. Przynajmniej wiem, na kogo uważać. Złożyłam wypowiedzenie wynajmu mieszkania. Jeszcze tylko cztery tygodnie i opuszczę tę nieszczęsną kamienicę. Właściwie mogłabym zrobić to wcześniej, ale żadna ciekawa kawalerka nie wpadła mi w oko. Blżej czerwca będzie większy wybór,

studenci zaczną wyjeżdżać z Krakowa, wtedy na pewno znajdę coś godnego uwagi. Ostatecznie mogłabym zająć mieszkanie po rodzicach, w którym jestem zameldowana, ale postanowiliśmy z Danielem, że będziemy je wynajmować. Nie potrzebujemy czterech pokoi, a poza tym pieniądze od lokatorów pokrywają koszty naszych dwóch kawalerek i zostaje jeszcze trochę do podziału. Mogę też przeprowadzić się na te kilka tygodni na Ranczo Beskid, ale wizja spędzania z matką wieczorów nie napawa optymizmem. Czułabym się tam jak kompletny nieudacznik. Prawie trzydziestoletnia kobieta pod skrzydłami nadopiekuńczej mamusi, tylko patrzeć, jak przeistoczyłabym się w Alicję. Ledwo wytrzymałam w towarzystwie mamy te dwa tygodnie po rozstaniu z Robertem. Nigdy więcej, powiedziałam sobie wtedy, i nic się w tej kwestii nie zmieniło. Odliczam dni do wyprowadzki, codziennie sprawdzając serwisy wynajmu mieszkań. Gdy tylko nadarzy się okazja, ucieknę od mojego sąsiada.

Wczoraj natknęłam się na niego na klatce. Zupełnie przypadkowo, gdy wychodziłam na basen. Wyraźnie mi się przyglądał, wspinając się po schodach. Ja też zmierzyłam go wzrokiem. Próbowałam sobie wyobrazić, jak mógł wyglądać kilkanaście lat temu jako niezbyt atrakcyjny, wąty nastolatek. Nie kojarzyłam go z nikim z dawnego świata. Gdy się mijaliśmy, odezwał się do mnie:

– Naprawdę przepraszam. Rozumiem, że musiała się pani przestraszyć. – Stał na środku schodów, zagradzając mi drogę.

Serce zaczęło mi niepokojąco przyśpieszać, a wiem, że takim ludziom nie wolno pokazywać swoich lęków i słabości.

– Nie ma sprawy – rzuciłam.

Chciałam jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz, jak najdalej od niego.

– Naprawdę nie miałem złych zamiarów, głupia pomyłka.

Jeśli to mówisz, to znaczy, że jest dokładnie na odwrót. Jestem

psychologiem, potrafię czytać między wierszami i odszyfrowywać z mowy ciała więcej niż przeciętny człowiek.

– W porządku. – Unikałam spojrzenia mu w oczy.

– Może przejdziemy na „ty”? – zaproponował.

Popatrzyłam na niego zdziwiona.

– Mariusz. – Wyciągnął rękę w moją stronę. Zupełny brak taktu.

– Eliza. – Odruchowo uściśnęłam jego dłoń.

– Dasz się zaprosić na sąsiedzkiego drinka?

– Słucham? – Podniosłam na niego wzrok.

Naprawdę ma mnie za idiotkę? Myśli, że pójde dobrowolnie do jego domu, żeby oderznął mi łeb?

– W ramach przeprosin – dodał.

W jego oczach widziałam triumf. Głośno przełknęłam ślinę. Nieźle bawił się moim kosztem.

– Przepraszam, naprawdę muszę już iść.

Próbowałam go wyminąć, ale on nawet nie drgnął. Przez dłuższą chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Czułam, że chce coś powiedzieć, że właśnie po to jest. Ale ja nie miałam zamiaru z nim o niczym rozmawiać. Po chwili spuścił wzrok i przesunął się w stronę balustrady. I zrobił taką minę, że już wiedziałam, że najgorsze dopiero się zacznie.

To był on. To on mnie śledził, obserwował, robił zdjęcia, nie mam co do tego wątpliwości. To on wie o mnie więcej, niżbym sobie życzyła. Gdy usłyszałam, jak z trzaskiem zamyka drzwi, wchodząc do swojego mieszkania, wyjęłam korespondencję z jego skrzynki. Mamy bardzo nierzetelnego listonosza. Wpycha listy do połowy, ich rogi wystają z prawie każdej przegródki. Mariusz Nowak. Nie kojarzyłam tego nazwiska z żadnym chłopakiem z podstawówki czy gimnazjum. Po powrocie do domu

próbowałam znaleźć o nim jakieś informacje w sieci. Chciałam się dowiedzieć czegoś o jego wieku, szkołach, które ukończył, dziewczynach, z którymi chodził, ale zbyt dużo było osób o tym imieniu i nazwisku. Moje poszukiwania spełzły na niczym. Rano z wielką torbą ładował się do taksówki; ucieszyłam się, że będę miała kilka dni spokoju. Naprawdę muszę uciec. Na razie postanowiłam go unikać, ale odetchnę pełną piersią, dopiero gdy wyprowadzę się z Lwowskiej, a on zniknie z mojego życia.

Gdy wchodzę do klubu muzycznego, dochodzi dwudziesta pierwsza. Jest gwarno i duszno i niestety nie gra żaden zespół. Metr Dziewięćdziesiąt mnie okłamał, nie ma go tu. Bacznie rozglądam się po wnętrzu. Nic specjalnego, żadna estrada w stylu amerykańskich scen jazzowych, raczej ciasna, szara norka. Mimo to przepycham się do baru i zamawiam drinka. Odczuwam rozczarowanie na myśl, że nie zobaczę tu mojego barczystego znajomego. Może mógłby być tym, na którego czekam, moim przyszłym chłopakiem. Samotność mnie przytłacza, mam jej w nadmiarze, jestem nią przesycona, chcę się jej pozbyć jak zbędnych kilogramów. Ile to już miesięcy nie uprawiałam seksu?

Gdy rozstałam się z Robertem, myślałam, że się nie pozbieram. Nienawidziłam jego, jej i byłam żadna zemsty. Jednak potem pomyślałam, że być może jest to pewnego rodzaju wyrównanie rachunków i już nic złego mnie nie spotka. Jakaś suka ukradła mi narzeczonego, więc od teraz będzie mi się dobrze wiodło. Odkupiłam winy, złożyłam ofiarę, moja polisa na przyszłe szczęście pęka w szwach. Jednak przez wiele miesięcy nie pojawiał się nikt ciekawy, nikt, kto wzbudziłby choćby cień mojego zainteresowania. Aż do dziś. Wiem, że prawie go nie znam, zamieniliśmy tylko kilka słów, ale jest w nim coś intrygującego, a już dawno nie spotkałam nikogo, kto potrafiłby choć trochę mnie zaciekawić.

Mam zamiar już wyjść, zostawiając w połowie wypitego drinka, gdy

kelnerka stawia obok mnie pustą tacę i mówi do barmana:

– Dwa piwa dla chłopaków z zespołu i jedna czysta.

Wstępuje we mnie nadzieja. Zerkam kontrolnie na telefon, pięć minut do dwudziestej pierwszej. Obiecuję sobie, że jeśli nie zaczną grać o równej godzinie, pójdę do domu. Kelnerka stawia tacę z zamówionym alkoholem na stoliku obok pianina. Na zegarku jest osiem po dziewiątej, według ustaleń z samą sobą od kilku minut powinnam już być na tylnej kanapie taksówki, ale siedzę przy barze i sączę drinka. Czekam. Co ja sobie wyobrażałam? Że nawet jak go spotkam, to będzie mną zainteresowany? W taki sposób nie zawiera się przyszłościowych znajomości. Co za naiwność. Przedłużająca się samotność czyni ze mnie desperatkę.

W momencie, gdy energicznie zarzucam torebkę na ramię, ruszając do wyjścia, rozbrzmiewa ciche uderzenie talerzy perkusji. Jakby ruch powietrza, który wygenerowałam zamaszystym gestem, pobudził je nagle do grania. Oglądam się i widzę wychodzących na scenę chłopaków w czarnych spodniach i popielatych koszulach. Wśród nich jest on. A jednak. Staje z gitarą przewieszoną przez ramię z lewej strony sceny, a mnie robi się gorąco. Zamawiam kolejnego drinka i rozsiadam się na krześle. Tak, bez wątplenia chłopak z gitarą nigdy nie wychodzi z mody.

Krótki, energiczny występ, aplauz i dwa bisy, po których podchodzi do mnie. Nie potrafię powstrzymać zadowolenia wypływającego na twarz. Zapamiętał mnie, wydaje się zainteresowany, gra była warta świeczki. Już dawno tak dobrze się nie bawiłam, już dawno nie wypiałam tyle alkoholu, już dawno nie byłam z nikim na randce.

– Fajnie, że wpadłaś. – Siada na stołku barowym obok mnie.

Ty jesteś fajny. Oczywiście nie mówię tego na głos, ale czuję, że mam ochotę żartować, flirtować, wyraźnie wróciła mi pewność siebie. W końcu wygrzebała się spod grubej warstwy strachu i przerażenia, które tygodniami

przygniatały ją swoim nieznośnym ciężarem. Uśmiecham się i odpowiadam:

– Warto było.

– Cieszę się, że koncert ci się podobał. – Zamawia dla siebie piwo i zerka na mój kieliszek. – Jeszcze raz to samo?

Chce postawić mi drinka, świetnie, sprawy zaczęły przybierać dobry obrót. Powinnam się zgodzić czy wyjdę na łatwą? Faceci z reguły tego nie lubią, wybieram powściągliwość.

– Nie trzeba, dziękuję – odmawiam i upijam łyk Daiquiri. – Często tu grasz?

– Dość często. – Zagląda mi w oczy. Spojrzenie ma zmęczone, ale jest w nim też coś radosnego. – Chyba się nie przedstawiłem. Borys.

– Eliza.

Nasze dłonie się dotykają. Ciepło jego skóry przypomina mi, jak bardzo jestem spragniona bliskości, fizyczności, mężczyzny. Wyraźnie flirtujemy. Kiedy zechcę, potrafię być naprawdę czarująca, jak jedna z tych nimf: Dafne, Echo czy Kalipso. Uśmiechy, spojrzenia, widzę, że mu się podobam. Po wyjściu z knajpy prosi mnie o numer telefonu, a ja nie odmawiam. Gdy wracam taksówką do domu, niczego tak mocno nie pragnę jak tego, aby nasza znajomość przerodziła się w coś, co będzie prawdziwe.

26 kwietnia 2016, Kraków

ELIZA

Dzwoni do mnie. Dokładnie podczas sesji z Alicją. Mój wyciszony telefon podskakuje kilkakrotnie na szklanym blacie obok odmierzającego czas zegarka. Jeden rzut oka, obcy numer, to musi być on. Czuję ogromną pokusę, aby wziąć komórkę do ręki, przeprosić klientkę i usłyszeć jego głos. Oczywiście tego nie robię, wpatruję się w twarz Alicji i staram się skupić na słowach wychodzących z jej ust. Jak zwykle wygląda koszmarnie. Gdy w końcu wychodzi z mojego gabinetu, chwytam telefon do ręki i wybieram numer nieodebranego połączenia. Mam dziesięć minut na rozmowę, Dominik nigdy nie przychodzi przed czasem.

Odbiera po pierwszym sygnale. Zaprasza mnie na obiad. Nie posiadamy się z radości i uczucie to jeszcze się potęguje, gdy godzinę później odmawiam Paulinie wspólnego wyjścia na lunch.

– Skończyłaś? – pyta, zaglądając do mojego pokoju.

– Tak. – Kiwam głową.

Gabinet mam wynajęty jeszcze przez godzinę, ale od tygodni nie zapisał się nikt nowy.

– Skoczmy do włoskiej?

– Niestety nie dziś. – Zapinam torebkę i sięgam do wieszaka po kurtkę. – Jestem umówiona.

Uśmiecha się ironicznie czy tylko mi się wydaje?

– Z facetem – rzucam zupełnie obojętnie, choć w środku płonę z podniecenia. – W końcu znalazłam kogoś odpowiedniego.

A dlaczego nie? Właśnie taką mam nadzieję, a ona nie musi wiedzieć, na jakim etapie jest nasza znajomość.

– Świetnie – odpowiada. – Kto to?

Sama jeszcze nie wiem.

– Nie chcę zapeszać – mówię – ale jest nieziemsko przystojny. Muzyk, gitarzysta – dodaję, podchodząc do drzwi wyjściowych. – Sama sobie zazdroszczę. – Przybieram rozmarzony wyraz twarzy i obiecuję sobie, że gdy tylko będę już z Borysem, postawię na biurku jego zdjęcie, by stale jej przypominać o moim szczęściu.

Wyraźnie rzędzie jej mina. Tak, uwielbiam przy niej triumfować. Przy jej nudnym, mającym alergię na sztukę Adrianie mój gitarzysta prezentuje się niezwykle interesująco.

Gdy wychodzę na ulicę, kątem oka widzę, że Paulina wygląda za mną przez okno. Cieszę się, że w ostatniej chwili zaproponowałam, żeby Borys po mnie przyszedł. Właśnie stoi kilka metrów dalej i wczytuje się w ogłoszenia na okrągłym słupie. Okulary przeciwsłoneczne, wytarte džinsy i niebieska koszula z podwiniętymi rękawami. Będzie mój, nie mam co do tego wątpliwości.

Zauważa mnie i macha ręką w moją stronę. Gdy stajemy naprzeciwko siebie, podnoszę się na palcach i całuję go w policzek. Borys wyczuwa moment i pochyla się, ułatwiając mi zadanie. Idealnie, mam nadzieję, że spektakl zrobił na Paulinie wystarczające wrażenie. Jeśli chce, niech szuka sobie faceta w sieci, ja nie mam takiej potrzeby.

Siadamy w japońskiej restauracji. Cieszę się, że nie wybrał miejsca przy wyspie na środku sali. Wprawdzie pływające po rzece łódeczki sushi wyglądają atrakcyjnie, ale nie moglibyśmy spokojnie porozmawiać.

Obecność starego Japończyka, uwięzionego w środku wodnego kręgu, jest dominująca. Borys wertuje menu i mówi, że lubi ryby w każdej postaci. Świetnie, dobrze wiedzieć, że zdrowo się odżywia, punkt dla niego.

– Mogę je jeść kilka razy dziennie – stwierdza, gdy kelner odchodzi od naszego stolika. – A zwłaszcza suszone ryby.

– Jadłeś suszone ryby?

Robi zdziwioną minę, jakbym pytała, czy wierzy, że ziemia jest okrągła.

– A ty nie?

– Oczywiście, że tak. Uwielbiam je. Objadałam się nimi, kiedy mieszkałam przez kilka miesięcy w Rosji, ale strasznie trudno dostać je w Polsce. Gdzie je kupujesz? – pytam, robiąc miejsce na przyprawy, które kelner stawia między nami.

Milczy, czeka, aż chłopak oddali się w stronę kuchni.

– Przez internet? – drążę temat.

– Jestem z Petersburga – odpowiada, patrząc mi w oczy. – Tam można dostać je wszędzie.

Kolejny punkt dla niego. Jestem pod wrażeniem. Nie wiem, skąd się to u mnie wzięło, ale od zawsze to miałam. Ogromne zamiłowanie do wszystkiego, co rosyjskie, kultury, literatury, muzyki. Całego tego okresu, gdy po Moskwie sunęły sanie, gdy tworzył Puszkina, to stąd ten wyjazd na jeden semestr do Moskwy. Chciałam zobaczyć to miasto na własne oczy. W wielu kwestiach Rosja mnie rozczarowała, ale miała w sobie to coś, tę słowiańską wrażliwość, którą, jestem o tym przekonana, widać także w Borysie. To moje rusofilstwo jest jeszcze jedną słabością, która silnie pcha mnie w wir nowego związku. Wiem już, że nie będę potrafiła się mu oprzeć.

– Ale przecież twój akcent... – zaczynam. – Jak nauczyłeś się tak dobrze mówić po polsku? To niewiarygodne.

– Moja matka była Polką – wyjaśnia. – Urodziłem się w Warszawie i tam

mieszkałem do szóstego roku życia. Odziedziczyłem po niej miłość do muzyki, ale wyglądem przypominam ojca, w którego żyłach płynęła gruzińska krew.

– Naprawdę? To dlaczego przeprowadziłeś się do Rosji?

– Gdy miałem sześć lat, mama zmarła.

– Przepraszam. – Nie wiem, jak się zachować.

Macha ręką, jakby chciał powiedzieć, że bym nie zawracała sobie tym głowy.

– To było już tak dawno – kwituje.

– Wiesz, że cztery lata temu spędziłam pół roku w Moskwie? – Chcę zmienić temat, uciec daleko od jego przykrych wspomnień.

– Naprawdę? – pyta po rosyjsku.

– Tak, i uważam, że to piękny kraj – odpowiadam.

Posyła mi wymowny uśmiech.

– Oczywiście nie wszystko mi się podobało – precyzuję – ale Galeria Tretiakowska jest naprawdę niezwykła.

Powinno przystopować z tym zachwytem, nie chcę, żeby pomyślał, że mu się narzucam. Dobrze wiem, że faceci mają alergię na takie dziewczyny. Upijam łyk wody i pytam:

– Od kiedy jesteś w Polsce?

– Od niedawna. – Patrzy na mnie badawczo. – Znów zaczynam życie w kraju swojego urodzenia.

Nie wiem, czy słówko „znów” oznacza, że już kiedyś próbował wrócić do Polski, czy myśli o latach dzieciństwa, gdy się tu urodził i wychował.

– Choć domyślasz się pewnie, jak wygląda życie bardów: nigdy nie wiem, gdzie dłużej zabawię – dodaje, połykając sushi maka.

Kiwam głową bez słowa. Bycie muzykiem, wiadomo, stale w trasie.

Przez myśl przemyka mi pytanie, czy chcę, aby tak wyglądało moje życie, na walizkach lub jako wiecznie czekająca wierna Penelopa. Gdyby tylko mój rozmówca wiedział, jak daleko posuwam się w wyobrazeniach o naszym jeszcze nieistniejącym związku, uciekłby gdzie pieprz rośnie.

– Często jeździsz do Rosji?

– Czasami – odpowiada.

Pochyla się nad stołem i wpatruje w jedzenie, jakby dostrzegł włos. Wygrzebuje niedojrzałe ziarenko ryżu i przesuwają na skraj talerza. Jaki wybredny! Nie wiem, czy się z tego faktu cieszyć, czy wręcz przeciwnie.

Niespodziewanie podnosi na mnie wzrok i zauważa, że na niego patrzę. Uśmiecha się i wyciera usta bibułkową serwetką, nawet na moment nie spuszczając mnie z oczu. Chcę, by częściej przyglądał mi się w ten sposób. Podoba mi się, naprawdę jest w nim coś intrygującego. Nagle ogarnia mnie ogromna pokusa dotknięcia jego twarzy i zapytania, skąd wzięła się na niej mała blizna nad lewą brwią. Zachowuję się jak nastolatka, nie tak załatwia się te sprawy.

– Twój ojciec nadal tam mieszka? – pytam i pochylam się nad swoim talerzem.

– Umarł kilka lat temu, ale mam się gdzie zatrzymać.

Nagle wydaje się znużony rozmową, dziwnie nieobecny, jakby jego umysł nie był w stanie dłużej poświęcać uwagi tym sprawom. Chyba poruszyłam czuły temat. Jestem ciekawa, jakie dokładnie wspomnienie wywołało taką zmianę jego nastroju, ale na razie brakuje mi odwagi, aby go o to zapytać.

Wieczorem dzwoni mama. Gdy tylko w torebce rozbrzmiewa znajomy dźwięk, przypisany jej osobie, ogarnia mnie fala złości. Co tym razem? Przytłacza mnie swą miłością, jestem dorosła, a ona wtyka nos w nie swoje sprawy. Mam ochotę jej to powiedzieć. Ale oczywiście tego nie robię.

Przykładam aparat do ucha i mówię:

– Tak, mamo?

– Chciałam sprawdzić, co u ciebie.

Naprawdę wierzy, że powiem jej prawdę? Już dawno tego nie robię. O wielu rzeczach nie wiesz, nie znasz mnie, żyjesz wyobrażeniami. Nie powiedziałam ci, że ktoś mnie śledził ani że nakryłam Roberta z kochanką, choć pewnie doniósł ci o tym Daniel. I nie powiem ci, że właśnie zaczęłam się z kimś spotykać, że bardzo mi się podoba i mam nadzieję, że tym razem mi się uda. Bo właściwie dlaczego nie? Skoro miliony osób na świecie budują dobre związki, to dlaczego teraz nie miałyby nadejść moja kolej? Nikt nie jest idealny, ale jakoś nikomu to nie przeszkadza w zakładaniu rodziny, rodzeniu dzieci i czerpaniu radości z życia.

– W porządku – odpowiadam sucho.

– Na pewno? Masz dziwny głos. – Milknie.

Co znaczy „dziwny”?

– Eliza, zbyt dobrze cię znam – dodaje.

Nie znasz mnie, mamo.

– Coś się dzieje, prawda? Jakież problemy? Coś nie tak w pracy?

Natychmiast muszę jej przerwać. Jej lista domniemanych kłopotów nigdy nie ma końca.

– Wydaje ci się. Wszystko w porządku – zapewniam.

Do chwili, gdy zadzwoniłaś, czułam się naprawdę świetnie. Leżałam sobie w świetle nocnej lampki, odtwarzając wciąż na nowo randkę z Borysem. Miles Davis przygrywał mi do ucha i całkiem poddałam się urokowi zakochania.

– Jeśli coś cię gnębi, możesz mi o tym opowiedzieć – nie ustępuje. – Naprawdę, to ci pomoże. Jeśli chcesz, przyjadę jutro do Krakowa.

Jeszcze tego brakowało. Czy ona naprawdę nie czuje, że zatruwa mi życie, że jesteśmy sobie obce, że od lat utrzymujemy pozory bliskości?

– Naprawdę nic się nie dzieje, mamó. Miałam trudny dzień – kłamie. – Trafił się wyjątkowo zaburzony klient. Psychoza paranoidalna – idę na całość.

– O Boże! – wyrywa jej się z ust.

Wiem, że nie ma bladego pojęcia, o czym mówię. Poza tym, nawet jeśli byłaby to prawda, nigdy by się o tym ode mnie nie dowiedziała.

– Wysłałam go do psychiatry – ciągnę.

Jeszcze byłaby skłonna przejąć się moim stanem i zwalić mi się na kilka dni na głowę.

– To bardzo dobrze zrobiłaś. Mówiłam ci, że to nie jest dobry zawód dla ciebie, ale jak zwykle mnie nie posłuchałaś.

Muszę jak najszybciej skończyć tę nużącą rozmowę. Czas wytoczyć najcięższy oręż.

– Poznałam kogoś – oznajmiam zgodnie z prawdą.

– Taak? – przeciąga słowo w wyczekiwaniu szczegółów.

Nie jestem plotkarą z kanapy u fryzjera czy w aptecznej kolejce, to ja, twoja córka, nie wdałam się w ciebie pod tym względem. Podobnie jak pod wieloma innymi. Nic ci więcej nie powiem.

– To coś świeżego, nie chcę zapeszać – odzywam się.

Jakbym naprawdę wierzyła w durne przesady, czarne koty, zakazy stawiania torebek na podłodze i przechodzenia pod rozkraczonymi słupami. Jednak ona w to wierzy i da mi spokój.

– Oczywiście, nie naciskam – mówi. – Choć umieram z ciekawości – dodaje.

Śmieję się w duchu. Przy niej nauczyłam się nie tylko kłamać, ale także

udawać emocje.

– Kiedy go poznam? – pyta.

– Obiecuję, że niebawem, ale teraz muszę już kończyć, bo spóźnię się na randkę.

– Świetnie! Powodzenia, trzymam kciuki! I nie dziękuj.

Rozłączam się, nie czekając, aż wyczerpie limit dobrych życzeń. Wiem, że śpieszy teraz w stronę sypialni, gdzie mój ojciec ślęczy nad elektroniczną wersją rozgrywki szachowej. Jest wniebowzięta na myśl, że podzieli się z nim dobrą nowiną.

Od kiedy się między nami nie układa? A może nie układało się nigdy?

16 maja 2016, Kraków

ANTON

Jest dobrze, bardzo dobrze. Los mi sprzyja. Jesteśmy, jak to się mówi, parą. Wszystko poszło jak z płatka, dostała na moim punkcie fioła, łatwo się nią steruje, zgadza się na wszystkie moje propozycje. Oczywiście działam z niezwykłą ostrożnością, delikatnie, tak żeby myślała, że to ona jest główną pomysłodawczynią, a ja tylko posłusznie przystaję na jej plany. Moje przypuszczenia się sprawdziły: kilka miesięcy temu rozstała się z chłopakiem, jest spragniona nowego związku, żadna miłości i erotycznych doznań. Z pozoru pewna siebie, tak naprawdę uzależnia swoje szczęście od innych. A dziewczynami, które pozwalają się traktować w taki sposób, jakby tylko mężczyźni mieli prawo decydować, ile są warte, najłatwiej się manipuluje. Korzystam z tego bez najmniejszych skrupułów.

Seks jest najmocniejszym spoiwem naszego związku. Namiętny, uzależniający, obłądny. Gdybyśmy tylko mogli, nie wychodzilibyśmy z łóżka. Podnieca mnie nawet jej twarz. Drobnny podbródek, wydatne usta, ten charakterystyczny zarys kości policzkowych. Dźwięk akordu z przeszłości. Każdego dnia zanurzam się w dobrze znane mi ciało, nasycam się nim, delectuję. To moja bezpieczna heroina.

Nie minął miesiąc od naszego poznania, jak zamieszkaliśmy razem. O dziwo, sama mi to zaproponowała, co znacznie ułatwiło sprawę. Mieszkanie jest nowoczesne i ma idealną lokalizację, niedaleko filharmonii.

Często wpadam na otwarte próby koncertów. Dojechałem do punktu B, jak planowałem. Podróż nie była ani za bardzo wyboista, ani kręta, co, nie ukrywam, napawa mnie pewną obawą. Czy nie za szybko wkupiłem się w jej łaski?

Jestem pewien, że Eliza nie miała wcześniej pojęcia o moim istnieniu. Nie mówiła też, aby kiedykolwiek dostrzegła, że ktoś ją śledzi. Jednak zastanawia mnie, czy to normalne, że tak szybko zdecydowała się ze mną zamieszkać. Czyżby miała świadomość, że ktoś za nią chodził i chciała zapewnić sobie bezpieczeństwo, obrońcę, na wypadek gdyby jej podejrzenia okazały się słuszne? Ale na jej twarzy nie dostrzegłem cienia zawahania, kiedy poprosiłem ją o numer telefonu, czy konsternacji, gdy zaproponowałem, abyśmy skończyli wieczór w moim mieszkaniu dosłownie kilkanaście dni po tym, jak się poznaliśmy. Na Boga, kto przy zdrowych zmysłach idzie do domu nieznanego w kilka dni po tym, jak podejrzewa, że jest śledzony? Jest tak naiwna czy tak odważna? Nie poruszam tego tematu, nie mam zamiaru jej niczego sugerować. Jej niewiedza działa na moją korzyść. Najważniejsze, że z zaangażowaniem i ochotą spełnia moje erotyczne fantazje. Oczywiście zawsze pamiętam o zabezpieczeniu, aż takim skurwysynem nie jestem.

W czerwcu będę musiał pojechać do Petersburga. Wymyślę jakąś historyjkę o koncertach lub czymś w tym rodzaju. Wiem, że wyjazd na kilka dni jest ryzykowny, ale nie ma innego wyjścia, kończą mi się leki. Potrzebuję na nie recepty, więc musiałbym poszukać tutaj lekarza, a to zbyt niebezpieczne, nie mogę zostawiać po sobie śladów. Przed wyjazdem nie udało mi się tego załatwić. Wprawdzie zadzwoniłem do mojego lekarza, ale powiedział, że koniecznie musimy się zobaczyć, żeby zrobić badania. Myślałem, że mi daruje, jednak jest niezwykle skrupulatny w tym, co robi, a jego kalendarz stoi na straży mojego zdrowia. Postaram się zrobić większe

zapasy, nigdy nie wiadomo, co się wydarzy, a świadomość, że mam spore nadwyżki prochów, zapewni mi cenny spokój.

24 maja 2016, Kraków

ELIZA

Niewiarygodne, jak wszystko potrafi się nagle odmienić. Jednego dnia jesteś sfrustrowaną kobietą na skraju obłędu, a kolejnego szczęśliwą dziewczyną z planami na przyszłość. Nigdy nie sądziłam, że mogłabym się zakochać w kimś jego pokroju. Zawsze bardziej podobali mi się eleganccy i ułożeni faceci sukcesu, a w każdym razie o takich myślałam w kontekście przyszłego zamążpójścia i macierzyństwa. Taki był Robert. Jednak plany planami, wizje wizjami, a życie życiem. Borys zmienił mój światopogląd, i to nie tylko w kwestiach matrymonialnych, ale w każdym aspekcie egzystencji. Czuję się tak, jakbym wsiadła do samolotu i wysiadła w zupełnie obcym miejscu, a jednak miała wrażenie, że wreszcie trafiłam pod właściwy adres. Wszystko dzieje się niewiarygodnie szybko, jesteśmy siebie ciekawi, spragnieni. Potrzebowałam tego. Faceta na własność. Może jeszcze nie mamy wspólnych planów i marzeń, ale spędzamy ze sobą mnóstwo czasu. Jeśli kiedykolwiek myślałam, że wiem, co to znaczy udany seks, to byłam w błędzie. Z nim wszystko jest bardziej zmysłowe, pełne erotyzmu i nieprzewidywalne.

Gdy go poznałam, wynajmował kawalerkę tuż obok Radia Kraków. Szybko go namówiłam, żebyśmy zamieszkali razem. Nie mogłam zostać w kamienicy na Lwowskiej ani dnia dłużej. Wraz z przeprowadzką zamknęłam za sobą rozdział pełen nieprzyjemnych doświadczeń.

Znaleźliśmy przepiękne studio na Zwierzynieckiej, na ostatnim piętrze odrestaurowanej kamienicy. Bliskość filharmonii miała dla niego ogromne znaczenie, myślę nawet, że przesądziła o decyzji. Choć wolę sobie powtarzać, że to wyłącznie ze względu na mnie, po prostu nie potrafił mi odmówić. Gdy się coś wielokrotnie powtarza, nawet największe kłamstwo staje się jak czysta prawda.

Mieszkanie jest przepiękne. Nowoczesne i funkcjonalne, o skandynawskim dizajnie. Dominuje fiolet, od kieliszków w kolorze ametystu, przez irysowe ściany, po bakłażanowe poduszki i głęboką śliwkę dywanów. Czytałam kiedyś, że to kolor ludzi szalonych, być może, ale mimo całego fiołkowego wnętrza nie dostaję tutaj fioła, wręcz przeciwnie, już dawno nigdzie się tak dobrze nie czułam. I z nikim. Najważniejsze to zakotwiczyć w odpowiednim porcie, a mój poobijany statek w końcu dobił do utęsknionego brzegu. I choć nie jest to najbardziej spokojna i słoneczna zatoczka, chcę w niej zostać.

Są pewne rzeczy, które niepokoją mnie w Borysie, ale nie chcę się na nich skupiać. Gdy tylko w mojej głowie pojawiają się pytania i wątpliwości, odganiem je od siebie jak natrętną muchę. Najważniejsze, że uciekłam z Lwowskiej, zgubiłam mojego dręczyciela i znalazłam schronienie w ramionach faceta, który mnie fascynuje i pociąga. A to, że może ma coś do ukrycia, nic nie znaczy. Kto z nas czegoś nie ukrywa? Chcę się cieszyć tym, co mam, i wierzyć, że teraz już będzie dobrze. Nie da się rozwiązać wszystkich problemów naraz, a pozbycie się towarzystwa mściwego sąsiada było dla mnie najważniejsze. Teraz mogę oddać się codzienności i położyć większy nacisk na pracę. Naprawdę chcę pomóc moim klientom. Może przez ostatnie tygodnie nie byłam najlepszą psychoterapeutką, ale teraz to się zmieni. Zaslugują na fachową i profesjonalną pomoc i bardzo żałuję, że moje osobiste rozterki przełożyły się na jakość świadczonych przeze mnie usług.

Teraz jednak na pewno udźwignę problemy klientów, kiedy pozbyłam się swoich.

Parkuję naprzeciwko kawiarni na Karmelickiej i pełna nowych sił zmierzam w kierunku gabinetu, gdy go zauważam. Idzie w moją stronę. Moje serce zamiera, zastanawiam się, czy uda mi się jeszcze uciec, ale jest już za późno, na jego twarzy maluje się uśmiech, dostrzegł mnie.

– Cześć. – Zatrzymuje się przede mną.

– Cześć!

Nie chcę go znać, nie chcę z nim rozmawiać, dlaczego znów mnie śledzi?

– Co słyhać? – pyta z tym swoim szelmowskim uśmieszkiem, a ja czuję, że kurczę się w sobie.

– W porządku – odpowiadam zdawkowo. – Śpieszę się.

– Dawno cię nie widziałem. Nie mieszkasz już na Lwowskiej? Mam nadzieję, że to nie z mojego powodu. – Robi niewinną minę, mam ochotę walnąć go w twarz.

– Trochę się pozmieniało. – Staram się zachować zimną krew. – Przeprowadziłam się do chłopaka – wyjaśniam i sekundę później żałuję, że to powiedziałam. – Naprawdę muszę już iść.

– W porządku, praca czeka, rozumiem, nie przeszkadzam. – Znów się uśmiecha w ten błazeński sposób.

Wymijam go i idę przed siebie. Wpisuję kod na domofonie i oglądam się przez ramię. Czub stoi na środku chodnika, odwrócony w moją stronę, i unosi rękę w geście pożegnania. Na jego twarzy maluje się satysfakcja. Czy mi się wydaje, czy jego usta poruszają się, bezgłośnie wypowiadając słowa: „I tak mi nie uciekniesz”?

29 maja 2016, Warszawa

LILIANNA

Najczęściej myślę o tobie w niedzielne poranki. Przeglądam nasze wspólne zdjęcia, odtwarzam płyty, których razem słuchaliśmy. Jednego dnia pragnę zemsty, ukarania cię, innego chcę cię za wszelką cenę odzyskać. Choć raz jeszcze kochać się z tobą, czuć ciepło twojego ciała i usnąć w twoich ramionach. Nie potrafię się od ciebie uwolnić. Dlaczego to tak długo trwa i czy kiedykolwiek się skończy? Wygrzebuję się z pościeli i podchodzę do okna. W oddali, na skraju lasu zauważam dwie sarny. Towarzyszki mojej samotności. Zimą dokarmiam je, wyrzucając za płot jabłka, marchewki i główki kapusty.

Nigdy nie polubiłam tego nowego domu. Choć wiem, że wiele osób zazdrościłoby mi jego okazałości, funkcjonalności, a przede wszystkim położenia: tuż obok Kampinoskiego Parku Narodowego, z pięknym widokiem z wielkiego tarasu. Jednak musiałam sprzedać mój poprzedni ukochany dom, za bardzo kojarzył mi się z tobą. Zabrałam wszystkie rzeczy, które zostawiłeś, i odtworzyłam w jednej z sypialni twój pokój. Czeka na ciebie każdego wieczoru. Kilkukrotnie go likwidowałam, ale potem znów przywracałam. Wiem, że czułbyś się w nim dobrze. O wiele lepiej niż ja w mojej nowej sypialni.

Schodzę na dół i parzę kawę. Wkładam dwie kromki chleba do tosterka. Podobnie zaczynaliśmy nasze wspólne niedziele. Uwielbiałeś grzanki

z kawiozem, mnie też jedzenie ich weszło w nawyk. Siadam przy kuchennej wyspie i chłonę otaczającą mnie ciszę. Na takim pustkowiu samotność jest jeszcze większa. Znajome z pracy pytają, czy nie boję się spać sama w tak wielkim domu na odludziu. Szczerze mówiąc, nawet o tym nie myślę. Firma ochroniarska stoi na straży mojego bezpieczeństwa, a poza tym przeżywałam większe chwile grozy, uodporniałam się. Pamiętam, jak raz myślałam, że mnie zabijesz.

Te twoje potajemne wyjścia, nagłe wyjazdy, spóźnione powroty. Bałam się, że mnie zdradzasz, że znalazłeś już sobie inną. Po jednym z tych nieśpiesznych powrotów kazałam ci się wynosić. Oczywiście nie mówiłam tego poważnie, byłeś przecież wszystkim, co miałam, nie widziałam świata poza tobą. Tamtego dnia źle się czułam i potraktowałam cię strasznie, wiem. Kazałam, żebyś sobie poszedł, choć wiedziałam, że nie masz dokąd. Stałeś zdezorientowany w progach i nagle ruszyłeś na mnie z impetem. Twoje oczy doskonale wyrażały to, co działo się w środku. Bałam się, naprawdę myślałam, że coś mi za chwilę zrobisz, ale nie. Chwyciłeś mnie w tali i rzuciłeś na łóżko w ten swój delikatny, zmysłowy sposób.

Tamtego wieczoru, gdy się kochaliśmy, mówiłeś do mnie po rosyjsku. Niewiele z tego rozumiałam, ale było to na swój sposób podniecające. Uwielbiałam tę dziką część twojej natury, niedostępną dla innych, zarezerwowaną dla mnie. Gdy zasnąłeś, płakałam. Wiedziałam, że pewnego dnia to się stanie, że mnie zostawisz, odejdiesz do młodszej. Nie miałam z nimi szans, od początku byłam na przegranej pozycji, zupełnie jak mój mąż w konkurencji z tobą.

Od tamtej pory dostałam obsesji na twoim punkcie. Zaczęłam zauważać to wszystko, czego do tej pory nie widziałam. Byłam wyczulona na najmniejsze szczegóły. To na plaży w Sopocie po raz pierwszy zrozumiałam, że nasze dni są policzone. Obserwowałeś je zza ciemnych okularów,

wodziłeś za nimi wzrokiem. Myślałeś, że tego nie widzę? Przechadzały się wzdłuż linii brzegu, uwodzicielsko wychodziły z morza, kusząco się wyginały, strzepując mokre włosy. Młode kobiety. Opalone, prawie nagie, odgrywały przed tobą sztukę pożądania. Co sobie o nas myślały? Matka z synem? Raczej nie, przecież nadal wyglądałam młodo, ale już nie tak jak one. Nienawidziłam ich i nienawidziłam ciebie. Nie widziałeś moich oczu, gdy odwzajemniałeś im spojrzenia, kradłeś nasze chwile. Wstałeś i powiedziałeś, że pójdziesz się przepłynąć. Szedłeś przez plażę tym swoim tanecznym krokiem, nie pozwalając żadnej z obecnych tam dziewczyn tego przeoczyć. Syciły się twoim widokiem, wiedziałam, co czują, pragnęły cię równie mocno jak ja. Wiedziałam, że pewnego dnia z którąś z nich przegram. Zabierze mi ciebie i zniszczy moje życie. Czy mogłam ukryć cię przed światem, nie pozwolić ci uciec, zatrzymać cię tylko dla siebie? Nie, nikogo nie da się mieć na własność. A kilka tygodni później odkryłam twoją największą tajemnicę. Gdy się o tym dowiedziałeś, zniknąłeś.

2 czerwca 2016, Kraków

ELIZA

Stoję przed lustrem, chwytam pasma włosów i przeciągam prostownicą od nasady aż po same końce. Dobrze się czuję w jasnym odcieniu blond. Od czasów studiów nie wróciłam do swojego naturalnego mysiego koloru, który dostałam w spadku po... no właśnie, po kim? Mój ojciec jest brunetem, mama szatynką. Ilekroć skarżyłam się, że przy takim kolorze włosów moja twarz jest szara i bez wyrazu, mama stwierdzała, że gdy tylko dorosnę, będę mogła zrobić z nim, co zechcę. I rzeczywiście, nawet przez moment się nie zastanawiałam, gdy fryzjerka zaproponowała mi złocisty blond, mający idealnie współgrać z moimi zielonymi oczami. Jestem mu wierna od lat. Dodaje mi kobiecości i wdzięku, choć nigdy nie przestałam zazdrościć mojemu bratu głębokiego odcienia gorzkiej czekolady, jaki mają jego niesforne kosmyki.

Wczoraj wieczorem znów widziałam Mariusza. Tym razem na Zwierzynieckiej. Oczywiście wiem, że to nic nie znaczy, ale na jego widok poczułam ucisk w żołądku. Wracalam tramwajem do domu, gdy nagle zauważyłam, jak ciągnie walizkę na kółkach po drugiej stronie ulicy. Nie widział mnie, natychmiast ukryłam się w tłumie, ale gdy tramwaj stał dłużej na przystanku, mogłam mu się przyjrzeć. Czub na baczność, zmięty garnitur, biała koszula i identyfikator na piersi. Wyglądał jak jeden z tych mormońskich misjonarzy, których nie brak na ulicach Krakowa, szykujący

się do wieczornego połowu dusz. Niepokoi mnie, że szwenda się w pobliżu naszego mieszkania, jednak nie powiedziałam o nim Borysowi i nie mam zamiaru. Nie to, że mu nie ufam, nic z tych rzeczy, po prostu nie chcę, żeby drażył temat, pytał, dlaczego ten facet za mną chodzi, czego chce, albo wziął mnie za wariatkę, wmawiającą sobie jakieś niestworzone rzeczy. Nie mam ochoty się przekonywać, jak zareaguje, po prostu to jeszcze nie moment na takie rozmowy. Ledwo się znamy, na razie ważę wszystkie słowa, gesty i czyny.

Jeszcze nigdy z nikim tak szybko nie poszłam na całość. Po raz kolejny zaskoczyłam samą siebie. Wspólne łóżko, wanna i codzienny seks po kilku tygodniach znajomości – w jakim to mnie stawia świetle? Jeśli nawet niekorzystnym, nie dbam o to. Musiałam jak najszybciej uciec z Lwowskiej, a jeszcze bardziej nie mogłam pozwolić, żeby Borys mi uciekł. Taka partia nie trafia się często, ba, to jak ślepy traf. Inteligentny, przystojny, seksowny, trzeba umieć wykorzystać okazję. Bycie z Borysem jest fascynujące. Zupełnie jak spacer po nieznanym mieście. Co kryje się za kolejnym rogiem? Dokąd prowadzi ta kręta uliczka? Same niespodzianki, ciągle zaskoczenie i ożywcza adrenalina. W końcu czuję, że żyję. Przełam rutynę, a znajdziesz radość, tak często powtarzałam to moim klientom, aż w końcu sama siebie posłuchałam.

Dzwoni telefon, wiem, że to Sylwia, każdy ma przypisany dzwonek, a LP to właśnie ona. Wyłączam prostownicę i podchodzę do sofy.

– Nie śpisz?

– Dopiero dochodzi dwudziesta. – Zerkam na zegarek.

– Ciągle się gubię w tych przeliczeniach – tłumaczy.

Od dwóch lat mieszka na stałe w Stanach; po rozstaniu z Robertem brakowało mi jej bardziej niż kogokolwiek. Znów zacieśniłam znajomość, choć gdy ona miała trudne początki w obcym kraju, nie było mnie przy niej.

Trochę to podłe z mojej strony, ale wtedy mój związek był taki udany, że nie miałam czasu ani ochoty na dzielenie jej duchowych rozterek.

– Zadzwoń do ciebie na WhatsAppie, właśnie wróciłam od fryzjera i jestem ciekawa twojej opinii – oznajmia.

Czy dzisiaj jest jakiś światowy dzień włosów? Rozłącza się i dzwoni kilka sekund później.

– No i?

Platynowy blond i lekkie fale.

– Rewelacja – kwituję.

– Naprawdę? – pyta. – Podoba ci się?

– Zdecydowanie lepiej niż w rudym.

– Też tak myślę – odpowiada z zadowoleniem, sadowiąc się na sofie.

Za jej plecami widzę odbijające się od szyby promienie słońca, które w Krakowie już dawno zaszło.

– No i jaki jest ten gość?

Cieszę się, że w końcu o to pyta. Chcę z nią pogadać o Borysie, na nowo przeżywać swoje szczęście, pochwalić się nim. Ostatnio wspomniałam jej, że kogoś poznałam. Była ciekawa szczegółów, ale wtedy sama ich jeszcze nie znałam, więc nie mogłam się z nią podzielić.

– Zamieszkaliśmy razem.

– Żartujesz?

– Nie – kręcę głową – popatrz, jakie mamy piękne mieszkanie.

Obracam telefon dookoła własnej osi, dłużej zatrzymując się na zdjęciu wrzosowiska w ogromnej antyramie nad naszym łóżkiem.

– Prawie go nie znasz – zauważa.

– Roberta znałam i co z tego wyszło?

– Eliza, kilka tygodni temu nie wiedziałaś o jego istnieniu. – Jest

wyraźnie zawiedziona moim postępowaniem. – A co na to twoi rodzice?

– Nie wiedzą. – Wzruszam ramionami. – Nie mam szesnastu lat, by potrzebować ich pozwolenia.

– Postępujesz nierozważnie – stwierdza.

Zawsze ostrożna i przezorna. A może nudna?

– Przestań. Jest fantastyczny!

Nie powiedziałam jej o tym, co działo się wiosną, o sąsiedzie wariacie. Kilka razy byłam już naprawdę blisko, w akcie desperacji chciałam się jej zwierzyć, ale teraz cieszę się, że tego nie zrobiłam.

– Gdzie teraz jest? – pyta. – Bo mniemam, że nie przy tobie.

– W pracy. Jest muzykiem, gra wieczorny koncert.

Widzę, jak jej oczy poruszają się w górę i w dół.

– Wiesz, ile w Stanach jest przypadków gwałtów, morderstw i uprowadzeń dziennie? Gdyby to działo się na taką skalę w Polsce, byłabyś rozsądniejsza.

– A wiesz, jakie Stany są ogromne? Poza tym to zły przykład, bo nigdy nie miałam o tym kraju dobrego zdania.

– Rusofilka! – obraża mnie w swoim mniemaniu.

– I znów nasza prywatna zimna wojna – stwierdzam. Przypominam sobie, ile razy się o to kłóciłyśmy. – Aha, wyobraź sobie, że szczęśliwie on jest właśnie z Rosji.

– Zamieszkałaś z Rosjaninem?

– Za to nie idzie się w Polsce do więzienia – śmieję się. – A ty, widzę, bezwarunkowo wierzysz w propagandę na ich temat wciskaną ci codziennie w amerykańskich mediach.

– Eliza, nie o to chodzi, wiesz, jak to jest z obcokrajowcami...

– Nie, nie wiem – przerywam jej. – Nigdy nie byłam w związku z nikim

innym poza Polakami. I niestety nie mam dobrych wspomnień.

– Ostatnio czytałam artykuł o moskiewskich gangach, które porywają młode kobiety. Dosłownie ślad po nich ginie – opowiada z przejęciem. – Poczekaj, gdzieś tu go mam... – Rozgląda się wokół siebie.

Sylwia, obok mojej matki, była główną przeciwniczką mojego semestralnego wyjazdu do Rosji i mimo zaproszeń i próśb ani razu mnie nie odwiedziła.

– On jest z Petersburga – oświadczam.

– A jaka to różnica?!

– Zmienisz zdanie, jak go poznasz. A poza tym urodził się w Warszawie, jego matka była Polką.

– Nie zauważyłaś niczego dziwnego w jego zachowaniu? – Pochyliła się po coś leżące na podłodze, nie zważając na to, co mówię. – Dziwne telefony, dziwni znajomi? – ciągnie, kładąc przed sobą gazetę. – Prostytycja to niewolnictwo dwudziestego pierwszego wieku – czyta. – Metody są różne. Od propozycji profesjonalnych sesji zdjęciowych za granicą, oferty pracy sezonowej, po rozkochywanie w sobie młodych dziewczyn. Handlarze kobietami przez długi czas obserwują swoje ofiary i często bezwzględnie wykorzystują ich kiepską sytuację finansową lub rodzinną...

– Nie mam kiepskiej sytuacji rodzinnej – przerywam jej.

Sylwia wie o moich trudnych relacjach z matką. Wyczuła dziwne napięcie między nami po kilku pierwszych wizytach w domu moich rodziców. Nigdy jej tego nie powiedziałam, ale ma do tego nosa i mogłaby być z niej lepsza psycholożka niż dziennikarka.

– Wiesz, co mam na myśli – mówi. – Może wspomniałaś, że matka cię ogranicza, kontroluje...

– Nie – protestuję. – On jeszcze jej nie poznał, a ja nigdy się na nią nie skarżyłam.

– Mimo wszystko uważam, że to nieodpowiedzialne.

Słyszę dźwięk klucza w zamku.

– Właśnie wraca, za chwilę go zobaczysz – zapowiadam.

Słyszę kroki za plecami, oglądam się i posyłam uśmiech Borysowi. Nie widzi, że w pokoju jest ktoś jeszcze, a oparty o okno telefon ukazuje nas oczom innej osoby.

– Wziąłem sushi na wynos – oznajmia. – To nie to samo co suszone ryby, ale... cześć! – unosi rękę w stronę ekranu i patrzy pytająco w moją stronę.

– Poznajcie się, mój chłopak Borys, moja przyjaciółka Sylwia.

– Miło mi – mówi Borys.

Sylwia otwiera szeroko oczy i odpowiada:

– Cześć! Będę już kończyć, nie chcę przeszkadzać! – Zachowuje się, jakby zobaczyła ducha. – Zadzwoń później.

Nie czekając na moją odpowiedź, rozłącza się.

– Kto to? – pyta Borys.

– Mówiłam ci, moja przyjaciółka, od dwóch lat mieszka w Stanach, jest dziennikarką. Znasz ją? – pytam skonsternowana jej dziwnym zachowaniem.

– Ja? – Borys unosi brwi. – Niby skąd? – Odwraca się i idzie w kierunku kuchni. – To jakaś celebrytka?! – krzyczy z oddali. – Popełniłem nietakt, nie rozpoznając jej?

Spodobała mu się? On się jej spodobał? Jednak się kiedyś poznali? Z nastawieniem Sylwii do Rosjan to mało prawdopodobne. Telefon pika, oznajmiając, że dostałam esemesa. Biorę aparat do ręki. „Proszę, uważaj na niego! Zbyt przystojny! Obiecuj mi, że będziesz bardzo ostrożna. Obserwuj go!”.

Zbyt przystojny? Czy można być zbyt przystojnym? Zbyt przystojny jak dla mnie? To miała na myśli? Co za zołza!

Swoją drogą z tą twarzą aniołka mogłaby mieć każdego, ale przejawia wstręt do facetów i traktuje ich jak źródło wszelkiego zła. Nieraz podejrzewałam, że z takim podejściem musi być lesbijką, i choć dotychczas nie znalazłam na to dowodów, nie potrafię w inny sposób wytłumaczyć jej seksualnej abstynencji i niechęci do mężczyzn. Naciskam „usuń” i odkładam telefon na biurko.

8 czerwca 2016, Sankt Petersburg

ANTON

Czwarta nad ranem. Budzik dźwięczy na nocnej szafce. Przecieram ręką oczy i siadam na łóżku. Hotel, w którym zdecydowałem się zatrzymać, znajduje się na obrzeżach miasta, na południu, w pobliżu lotniska. Celowo nie wybrałem żadnego znanego, typu Radisson, Holiday Inn czy Hampton by Hilton, ale temu też niczego nie można zarzucić. Dobra kuchnia, świeża pościel i poczucie prywatności. Wstaję i podciągam rolety. Podczas wczorajszej wizyty dostałem tabletki na najbliższe dwa miesiące, a lekarz zlecił testy, których wyniki chciałby zobaczyć jeszcze przed swoim urlopem. Termin kolejnej kontroli wyznaczył na 26 lipca.

Łazienka jest mała, wielkości szafy, ledwo się w niej mieszczę. Odsuwam drzwi kabiny prysznicowej i ustawiam się pod strumieniem wody. Po chwili jestem w pełni obudzony. Zimny prysznic stawia mnie na nogi o każdej porze dnia i nocy. Nad najwyższym rzędem kolorowych płytek, tam gdzie ludzkie oko na przeciętnej wysokości nie sięga, widzę zalegającą pleśń. Może jednak następnym razem zdecyduję się na hotel o wyższym standardzie. Wycieram się ręcznikiem, który pachnie tanim płynem do płukania i preparatem przeciwko molom. Na pewno następnym razem wezmę inny hotel. Wciągam przez głowę T-shirt, upycham resztę rzeczy w walizce i przed piątą wychodzę z pokoju. Przez moment waham się, czy nie wpaść do Wołodii. Kusi mnie to, ale lokal może być obserwowany, więc wiem, że muszę odmówić sobie tej

przyjemności. Wskakuję do jednej z taksówek zaparkowanych przed hotelem i podaję adres całodobowego laboratorium, gdzie mam zamiar zrobić konieczne badania. Już nie boję się tak jak za pierwszym razem, być może dlatego, że teraz nie liczę na cud.

Gdy reguluję rachunek z kierowcą, dochodzi wpół do szóstej. Nie muszę się śpieszyć, by zdążyć na południowy lot do Polski.

Kraków

ELIZA

W zeszłym tygodniu po raz pierwszy zabrałam Borysa do rodziców. Musiałam w końcu zaspokoić ciekawość matki. Od czasu, gdy powiedziałam jej, że się z kimś spotykam, bombardowała mnie telefonami i zapychała skrzynkę esemesami.

Moi rodzice od trzynastu lat prowadzą gospodarstwo agroturystyczne. Osiem drewnianych domków ze spadzistymi dachami i ministołówka na potrzeby gości. W sezonie zatrudniają trzy kucharki, a funkcję pokojówki i recepcjonistki najczęściej pełni mama. Przy nawale gości pomagają też dziewczyny z sąsiedztwa, a wcześniej robiłam to ja. W każde wakacje byłam wtajemniczana we wszystkie sekrety prowadzenia rodzinnego biznesu.

Gospodarstwo leży na przepięknym wzgórzu, otoczonym lasem i błędzącymi po Beskidach mgłami. Miejsce ma swój urok, niezaprzeczalnie jest jednym z tych punktów na mapie, do których chce się wracać. I wcale nie chodzi o to, że należy do rodziców; moja opinia zupełnie nie ma związku z rodzinnymi koneksjami. Po prostu czuje się tu harmonię doznań, dźwięków, obrazów i jeszcze czegoś nieuchwytnego. Zresztą zdanie to podziela wiele osób, turyści, którzy wracają tu co roku, czy znajomi, których zapraszałam na weekend. Tylu niezwiązanych ze sobą ludzi nie może się mylić.

Odkąd rodzice zdecydowali się przeprowadzić w góry, moje życie

zyskało na jakości. Polubiłam ten zaciszny zakątek o wiele bardziej niż nasz wcześniejszy dom. Ojciec bez przerwy powtarzał, że to jego spełnione marzenie, od zawsze czekał na czas, gdy będzie mógł założyć i poprowadzić własny biznes, a mama w roli szefowej odnalazła się naprawdę doskonale. Nigdy nie widziałam, żeby się o coś kłócili. Oczywiście miewali ciche dni. Pamiętam tę mroźną atmosferę przesłaniającą wszystkie wcześniejsze czułości, która od czasu do czasu pojawiała się w ich wzajemnych relacjach, ale nigdy nie podnosili na siebie głosu, przynajmniej w mojej obecności. Teraz są na swoim, wiedzie im się, nie mogą narzekać. Wolny czas dzielą między rozmowy z gośćmi, czytanie i plewienie ogródka. Idealnie dobrana para. Godne pozazdroszczenia.

Matka od progu zachwycała się Borysem. Podobnie było w przypadku Roberta, sam fakt, że z kimś jestem, wywoływał u niej euforię. Jej córka starą panną – czy może być coś gorszego? Jednak ojciec nie potrafił ukryć niezadowolenia z tego, że Borys jest Rosjaninem.

– Pochodzisz z Rosji? – ożywił się i na wieść, że mój nowy chłopak mieszkał przez większość życia w Petersburgu, w charakterystyczny dla siebie sposób podrapał się po wąsach.

– Borys urodził się w Polsce, jego matka była Polką, a ojciec Rosjaninem – weszłam im w słowo.

Borys posłał mi spojrzenie pod tytułem „poradziłbym sobie”. Wiedziałam o tym, ale tak bardzo przyzwyczałam się już do bronienia dobrego imienia Rosji przed rodzicami, że weszło mi to w krew. Mój ojciec był radykalny w swoich poglądach i nie chciałam, aby znów dał im wyraz. Nigdy nie mógł sobie odpuścić komentarzy w stylu: „Za nic nie daruję Stalinowi Lwowa”. Nie był skrajnym rusofobem, jednak by darzył Rosję choć w połowie taką sympatią jak ja, tego też nie mogłam powiedzieć.

– Interesujące – mruknął, na dłużej zatrzymując spojrzenie na twarzy

Borysa. – Poznaliście się, kiedy Eliza była w Moskwie?

– Nie – znów wyprzedziłam Borysa w odpowiedzi – kilka miesięcy temu w Krakowie. Borys jest muzykiem, gra w klubie jazzowym.

Zaledwie kilka tygodni temu, nie miesięcy, ale jakie to ma znaczenie? Ojciec ponownie uniósł brwi w zdziwieniu.

– No to zdobyłaś to, co zawsze chciałaś mieć. Rosyjskiego chłopaka – skwitował drwiącym tonem, a ja miałam nadzieję, że nikt oprócz mnie tego nie usłyszał. A jednak.

Borys spojrział na mnie wymownie. Wyczuł, że mój tata nie jest zachwycony jego pochodzeniem, tak jakby można było mieć na nie jakiś wpływ.

– Nie ukrywam swoich rosyjskich korzeni w Polsce, tak samo jak polskich w Rosji – powiedział mój rosyjski chłopak, patrząc ojcu prosto w oczy. Czyżby zanosilo się na awanturę? – Lew Tołstoj, Fiodor Dostojewski, Piotr Czajkowski, Siergiej Rachmaninow i Anton Rubinstein to też Rosjanie. No dobra, ten ostatni to Żyd, ale rosyjski. – Przez twarz Borysa przebiegł uśmiech, wiedziałam, że próbuje rozluźnić atmosferę.

– I Kasparow. – Ojciec też się uśmiechnął. Kryzys zażegnany. – Choć też rosyjski Żyd, ormiańskiego pochodzenia.

– O Anatoliju nie wspomnę. – Borys bezbłędnie rozszyfrował słabość mojego ojca do szachów.

Jednak do końca naszego pobytu w domu rodziców atmosfera była napięta. A może to ja to tak odbierałam? Poczucie obowiązku zawsze powodowało u mnie dyskomfort. Zazwyczaj potrafiłam mu się przeciwstawić, nie zmuszać się do niczego, ale kiedy wkraczała moja matka, kapitulowałam. Nie chciałam tu przyjeżdżać, męczyć ich swoim towarzystwem i być przez nich dręczona, ale czułam się w obowiązku. Po raz kolejny uległam, dałam się zmanipulować, poddałam się tym katuszom

dobrowolnie, na jej życzenie. Dlaczego nie nazwać rzeczy po imieniu: zmuszanie kogokolwiek do czegokolwiek, wbrew jego woli, to nie wychowywanie czy zachowywanie pozorów, tylko czysta przemoc. To śmieszne, daję rady Alicji, próbując uwolnić ją z gorsetu przynależności rodzinnej, a sama nie potrafię pozbyć się swojego.

Od rana krzątam się po mieszkaniu, czyszcząc na błysk wszystkie zakamarki. Nigdy nie lubiłam sprzątać i tak naprawdę nie zwracam uwagi na fruujące pod łóżkiem koty. Lata upływające mi w roli solidnej pokojówki w domu rodziców zrobiły swoje, mam wstręt do porządków. Jednak Borys jest na tym punkcie przewrażliwiony, zupełnie jak moja matka. Staram się więc wyjść naprzeciw jego oczekiwaniom, przecierając na mokro podłogę w kuchni. Za kilka godzin wraca z krótkiej trasy koncertowej po Rosji. Ponoć dawno zaplanowanej. Miałam wrażenie, że przed wyjazdem próbował się usprawiedliwiać, tłumaczyć, zupełnie niepotrzebnie, wiem przecież, że musiał prowadzić jakieś życie przede mną. Nie wyrósł nagle jak grzyb po deszczu, żył gdzieś wcześniej, choć ja nie miałam o jego istnieniu pojęcia.

Zgodnie z radą Sylwii zaczęłam go obserwować. Nie wiem, co miałabym jej zdaniem zauważyć, ale w jego zachowaniu naprawdę nic nie wydaje się niepokojące. Wcześniej sama byłam wobec niego trochę podejrzliwa, ale teraz wydaje się, że nie ma przede mną sekretów. Poznałam wszystkich jego kolegów w klubie, zrobiłam sobie listę koncertów jego zespołu i jak do tej pory wszystko się zgadza. Wychodzi tylko wtedy, kiedy gra w barze, i kilka minut po koncercie jest z powrotem w domu. Nie odbiera żadnych dziwnych telefonów, śpi obok mnie przez całą noc, nie chowa pod materacem noża i nie nosi broni. Może nieszczególnie lubi mówić o swojej przeszłości, ale akurat to rozumiem, ja też tego nie znoszę. Poza tym co przychodzi z żonglowania imionami byłych i rozwodzenia się nad tym, dlaczego nam z nimi nie wyszło? Całe szczęście, że nie wyszło, w przeciwnym razie nie

bylibyśmy teraz razem. Choć głośno tego nie mówimy, oboje jesteśmy tego samego zdania: nie warto oglądać się za siebie, trzeba patrzeć w kierunku, w którym się zmierza. I tak właśnie robię, usiłuję skupić się na tym, co przed nami.

Przyglądam się swojemu dziełu. Mieszkanie prezentuje się nienagannie, cieszy mnie ten widok. Wskakuję pod prysznic i po kilku minutach zbiegam na dół do zaparkowanego pod oknem auta. Chcę zdążyć wyjechać z Krakowa przed porannymi korkami. Postanowiłam zrobić Borysowi niespodziankę i powitać go na Okęciu. Swoją drogą to jakieś nieporozumienie, że Balice nie obsługują lotów do Petersburga. Być może najszybciej i najekonomiczniej byłoby, gdyby wrócił z Warszawy InterCity, ale mam ochotę go stale zaskakiwać. W tej kwestii nigdy nie brak mi wyobraźni.

Warszawa

LILIANNA

Zapominam cię. Twój zapach, twój dotyk, twoją twarz. Te nieśpieszne chwile, kiedy miałam cię na własność. Bliskość, która nas łączyła, czułość, która nadawała sens mojemu istnieniu, oddanie, na które miałam wrażenie, że nie zasługuję. Smak pocałunków i ciepło twojego ciała wciąż żyją we mnie swoim życiem. Ale zapadają się coraz głębiej. Zapominam cię, właśnie tego najbardziej się bałam, równie silnie, jak cię pragnęłam. Wmawiam sobie, że jesteś wymysłem mojej chorej wyobraźni, czymś, co nigdy nie istniało, co zdarzyło się komuś innemu. Zachowałam nasze wspólne zdjęcia, twoje drobiazgi, tylko one podtrzymują moje wspomnienia. Kochałam cię i wciąż cię kocham, ale i nienawidzę. Wiedziałam, że tak to się skończy, wiedziałam, że będzie bolało, ale nie oddałabym tych dni za nic na świecie. I właśnie dlatego to jest takie trudne.

Wchodzę do mieszkania, pęk kluczy głośno ląduje na szklanym blacie. Rozładowuję torbę z zakupami: chleb, cytryny, sałata i ser grecki ze sklepu Athena. Zrzucam przemoczone ubranie i idę pod prysznic. Woda obmywa moje ciało. Zmarzłam, zbyt długo chodziłam po deszczu. Lawendowa piana otula szyję i piersi, wciąż wierzę w jej kojącą moc. Jest parno, w końcu ciepło. Oddycham głęboko dwa, trzy, pięć razy i zaczynam krzyczeć. Woda uderza w kabinę prysznica, jest zbyt głośno, żeby ktoś mnie usłyszał. Poza tym na tym pustkowiu nikt oprócz mnie nie mieszka. Długi, jękliwy dźwięk.

Cisza, a potem znów kolejna seria zawodzeń i znowu, aż do utraty sił. Chciałabym utonąć w tym gęstym i ciężkim żalu. Widziałam cię dziś, wszystko wróciło tak nagle i tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Przez moment miałam wrażenie, że wyobraźnia znów płata mi figle. Tak często wyszukiwałam cię w tłumie, na ulicy, w kawiarni, w parku, ale zawsze się okazało, że to tylko ktoś podobny.

Kiedy odszedłeś, straciłam część siebie. Wszystko, co dawało mi radość, szczęście i satysfakcję. Umarłam za życia. Wycieram się w gruby ręcznik frotté. Widzę, że zostawiłam ślady mokrych stóp na posadzce, zwykle mi to przeszkadza, jednak nie dziś. Dziś mam zbyt dużo do stracenia, żeby przejmować się takimi błahostkami. Zakładam szlafrok i wychodzę z łazienki. Nie mogę dać się pochłonąć przeszłości, pozwolić, aby te wszystkie demony znów dopadły mojego gardła i wyssały to, co pozostało jeszcze we mnie żywe. Już to kiedyś przerabiałam, kilkakrotnie, tylko że wtedy to były wspomnienia, obrazy zastygłe w najgłębszych warstwach mojej jaźni. Teraz to co innego. Jeśli znów mam pozwolić dojść do głosu mojej zranionej duszy, to będzie to po raz ostatni. I nie dlatego, że już dłużej tego nie zniosę, tylko dlatego, że złapałam twój trop. Dzisiaj w metrze to byłeś naprawdę ty.

Dostrzegłam cię kątem oka, w ostatnim momencie, na granicy między „chyba mi się przywidziało” a „jednak to ty”. Twoje ruchy, tak charakterystyczne, zdecydowane, a jednocześnie łagodne, one cię zdradziły, one mi cię zwróciły. Przestudiowane przeze mnie w każdym calu, tysiące razy, nie mogłam się mylić. Sposób, w jaki przemieszczasz się w tłumie, taniec ramion, obrazy te śniły mi się przez wiele miesięcy, po tym jak nagle zniknąłeś.

Robi mi się zimno, więc wczołguję się pod kołdrę i gaszę światło. Drzewa za oknem rzucają groźne cienie na sufit, wiatr napiera na szyby, źle

się czuję w taką pogodę. Zaciągam kołdrę na głowę, nie chcę patrzeć, nie chcę słyszeć, nie chcę już dłużej tak żyć. Pora coś z tym zrobić, wziąć się w garść, dowiedzieć się, kim jest ta dziewczyna, którą dziś trzymałeś za rękę.

Ładna, młoda i niewiarygodnie podobna do mnie. Masz słabość to filigranowych, zadbanych kobiet, podkreślają twoją tężyznę fizyczną, na ich tle wydajesz się Guliwerem w Krainie Liliputów. Zdajesz sobie sprawę z tej przewagi, z tego, jakie daje ci to możliwości. Podświadomie zawsze to czułam, to podniecające napięcie na linii twojej siły i mojej kruchości.

Gdy zobaczyłam cię dziś w metrze, świat na chwilę się zatrzymał. Boże, jak mocno biło mi serce, gdy wysiadałam za wami i szłam kilka kroków z tyłu. Znów oddychaliśmy tym samym powietrzem, znów stąpaliśmy po tej samej ziemi. Nie umarłeś, wciąż żyjesz.

Wysiedliście na stacji Świętokrzyska. Miałeś na sobie džinsy i czarną koszulkę. Dziewczyna była w jaskrawej sukience, cudownie podkreślającej jej opaleniznę. Wyglądaliście razem przepięknie. Usiedliście na obiad w Manekinie. Też lubię tam jadać. Jak to możliwe, że nigdy się nie spotkaliśmy? Mieszkasz w Warszawie czy jesteście przejazdem? Tyle pytań wciąż szukało odpowiedzi. Nie zmieniłeś się, wciąż tak samo pociągający, do bólu męski i nieprzenikniony.

Weszłam za wami do restauracji. W środku było dużo ludzi, pora obiadowa, bez trudu ukryłam się w tłumie. Zamówiliście wino musujące, nędzną imitację szampana. Przy mnie nigdy nie musiałeś się zadowalać namiastką smaku, zawsze pijałeś oryginał. Czy mieliście rocznicę, celebrowaliście jakąś specjalną okazję, czy szampan z nią to też codzienność? Czy wiesz, że picie szampana stało się moim nawykiem? To jeden z wielu reliktywów naszej przeszłości. I ilekroć napełniam nim kieliszek, powtarzam za tobą: „Jeśli wygrywasz, zasługujesz na szampana, jeśli przegrywasz, zwyczajnie go potrzebujesz. Napoleon Bonaparte”. Twój

donośny śmiech wciąż brzmi w moich uszach.

Usiadłam po przeciwnej stronie sali, nie patrzyłeś w moim kierunku, byłeś zbyt pochłonięty rozmową, zawsze oddawałeś się bez reszty. Czy rozpoznałbyś mnie? Minęły dwa lata. Jak bardzo się przez ten czas zmieniłam? Zsunęłam na nos okulary przeciwsłoneczne i zrobiłam to. Drżącymi dłońmi podniosłam telefon i pstryknęłam ci zdjęcie. Musiałam je mieć, na wypadek gdybym obudziła się jutro i nie wierzyła, że naprawdę cię widziałam, na dowód, że mi się nie przyśniłeś. Ale teraz nawet nie mogę zasnąć. Cała się trzęsę.

Wychodzę spod kołdry, zasłaniam żaluzje i zapalam lampkę nocną. Wiatr za oknem ucichł. Schodzę na dół i wyjmuję z lodówki butelkę Moët & Chandon. Mogłabym sobie pozwolić na droższego szampana, ale ten też jest całkiem niezły, a poza tym ty go lubiłeś. Wracam na górę i otwieram go z hukiem. Zawsze wywołuje to uśmiech na mojej twarzy, choć brak mi oklasków drugiej osoby. Nalewam bąbelki do kieliszka i wracam pod kołdrę. Sięgam po telefon leżący na szafce nocnej i otwieram katalog ze zdjęciami. Do kolekcji twoich doszło nowe, aktualne. Przez te dwa lata zmężniałeś, jesteś jeszcze przystojniejszy, jeśli to w ogóle możliwe. Istniejesz, żyjesz, zbyt szybko przestałam cię szukać. Podchodzę do biurka, odpalam laptopa i wracam z nim do łóżka. Jestem cierpliwa i dokładna, odnajdę i ciebie, i ją. Znam się na tym jak mało kto, poświęciłam temu sporo mojego czasu.

Po obiedzie wyszłam za wami. Ciągnąłeś za sobą walizkę pokrytą naklejkami z lotniska. Z daleka widziałam WAW-LED. Wróciłeś z Petersburga. Kiedyś też odbierałam cię z Okęcia i to ty wyjaśniłeś mi, skąd ten dziwny skrót LED, niepasujący do nazwy miasta.

„Pochodzi od dawnej nazwy, Leningrad” – uśmiechnąłeś się, mówiąc to, i objąłeś mnie ramieniem. Wciąż czuję jego ciężar na swoich barkach.

Poszliście na parking strzeżony, a ja czekałam na was na ulicy.

Siedziałam na ławce pochłonięta lekturą kobiecego pisma, które doskonale zakrywało moją twarz. Po kilku minutach wyjechaliście samochodem na krakowskich numerach. Teraz tam mieszkasz? To nic pewnego, ale znacznie więcej, niż udało mi się znaleźć o tobie przez ostatnie dwa lata.

Gdy zniknąłeś, szukałam cię wszędzie. Twój telefon był stale wyłączony, nie odpisywałeś na mejle, nie znałam twoich znajomych, ślad po tobie zaginął. Okazało się, że tak naprawdę niewiele o tobie wiem. Jeszcze tego samego wieczoru, gdy odszedłeś, zgłosiłam to na policję. Kazali mi odczekać dobę. Wróciłam do nich po kilku godzinach, dłużej nie byłam w stanie trwać w bezczynności. Nie mieli informacji o żadnym Maximie Nikołajewie, jakbyś w ogóle nie istniał. Młody chuderlawy policjant wyraźnie ze mnie drwił, gdy odkryłam przed nim charakter naszej relacji. Chociaż nie wyglądał zbyt inteligentnie, arytmetyka była na poziomie pierwszoklasisty, nietrudno odjąć trzydzieści dwa od czterdziestu czterech. W jego oczach widziałam rozbawienie, wieszował ci, choć cię nie znał. Świetnie to rozegrałeś, stary, pobawiłeś się nią i odstawiłeś na półkę z towarem używanym. Może ktoś się nią jeszcze zainteresuje, termin przydatności, choć krótki, wciąż trwa. Powiedzieli, że jak się czegoś dowiedzą, zadzwonią. Wyobrażasz sobie, że wciąż czekam na ich telefon?

Przez te wszystkie lata bałam się, że nie żyjesz. Miałam do siebie żal, obwiniałam swój egoizm, nie potrafiłam sobie wybaczyć tamtego poranka, tych wszystkich niepotrzebnych słów. Nie mogę uwierzyć, że wciąż mam szansę naprawić ten błąd, ale przecież widziałam cię na własne oczy. Tym razem mi się uda, znajdę ciebie i ją, twoją piękną dziewczynę.

Dolewam sobie do pełna i powtarzam:

– Jeśli wygrywasz, zasługujesz na szampana...

Dziś, pierwszy raz od dwóch lat, wiem, że w końcu piję go z pierwszego z wymienionych powodów. I czuję niepohamowaną satysfakcję.

16 czerwca 2016, Kraków

ANTON

Kładzie głowę na moim ramieniu.

– Źle się czujesz? – pytam.

Milczy, patrząc przed siebie.

– Co się dzieje? – Odchylam się, by móc patrzeć jej w oczy.

Znów jest myślami gdzieś indziej. W jej spojrzeniu stale widzę coś nieodgadnionego. Czego o tobie nie wiem? Czego nie chcesz mi powiedzieć?

– Eliza?

Przenosi na mnie niewidzący wzrok. Jej zielone oczy błyszczą. Czyżby płakała?

– Chyba pójdę do domu, źle się czuję.

Wstaje i chwytając łańcuszek torebki przewieszoną przez oparcie krzesła. Dotykam jej dłoni.

– Co się stało?

– Boli mnie brzuch. – Staje nade mną. Na wysokości oczu mam jej biust, dekolt sukienki zdradza opalone ciało. W okolicy obojczyka widzę czerwony ślad na skórze. To ja jej go zrobiłem, gdy się ostatnio kochaliśmy. Zanurzałem palce w jej aksamitnych włosach, chłonałem zapach poziomek z jej ciała, a ona tak cudownie doprowadzała mnie do rozkoszy. Moje tętno przyśpiesza, gdy jej ręka zaczyna masować dół brzucha. Czy ból może

oznaczać ciężę? Nie, to niemożliwe, przecież się zabezpieczamy, nigdy o tym nie zapominam.

– Pójdę z tobą – oferuję, choć wcale mi się nie chce.

Pierwsza połowa meczu Polska–Niemcy za nami. Jak na razie bez bramek, ale nie mam ochoty wychodzić, chcę zostać do ostatniego gwizdka.

– Nie, zostań – mówi, jakby czytała mi w myślach.

Odwraca się w stronę Daniela, który właśnie wraca do stolika z dwoma kuflami.

– Wziąłem jeszcze raz to samo – oznajmia, stawiając piwo z impetem, tak że kilka kropel obryzguje mi dłoń. – Co jest? – pyta, przenosząc wzrok na siostrę.

– Idę do domu. – Eliza przewiesza torebkę przez ramię. – Źle się czuję.

– Nie chce, żebym z nią poszedł – wtrącam się do rozmowy.

– No i dobrze, ominęłaby cię zwycięska bramka.

– Właśnie – wtóruje mu Eliza, nachyla się do mnie i przykłada swoje usta do moich. – Nic mi nie będzie – szepcze. – Muszę odpocząć.

Odkleja się ode mnie i kieruje w stronę wyjścia.

– Bawcie się dobrze, chłopaki! – żegna się, unosząc do góry rękę.

Gdy znika za drzwiami, przenoszę wzrok na Daniela. Sący piwo, wpatrując się w ekran.

– Strzeli wreszcie ten Lewy czy nie? – pyta retorycznie. – Coś czuję, że nie dziś. – Śmiesznie wykrzywia usta.

Niedyspozycja siostry nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia.

– Często tak ma?

– Co? – spogląda na mnie. – A, Eliza! To jedna wielka chodząca zagadka. Od euforii do rozpacz. Nie przejmuj się, każda dziewczyna tak ma. Ja nie zwracam już uwagi na ich skrajne humory. Przejdzie jej! Dobra, zaczyna się!

– Zaciera ręce w geście satysfakcji. – Toaścik za sukces! – Podnosi kufel i stuka w moje piwo. – No i brawo, nasi przy piłce!

24 czerwca 2016, Kraków

ELIZA

Owady usypiają w locie, przedzierając się przez gęste i drgające od gorąca powietrze, gdy z otwartymi oknami w aucie jedziemy do moich rodziców. Spoglądam na Borysa. Wpatruje się w drogę, przerzuca biegi, jego bicepsy na przemian napinają się i rozluźniają, co kojarzy mi się z ćwiczeniami mięśni Kegla. Przenoszę wzrok na telefon i lajkuję ostatni post Sylwii. Jakaś konferencja czy inne spotkanie prasowe, w którym brała czynny udział. Dzwoniła do mnie wczoraj.

– I jak?

– Jeszcze żyję – zażartowałam.

– Przestań – upomniała mnie. – Obserwowałeś go?

– Tak. Bardzo miłe zajęcie – stwierdziłam, nie odchodząc od przyjętego na początku stylu rozmowy. – Zwłaszcza niektóre rejony jego ciała są szczególnie godne uwagi.

– Eliza, pytam poważnie. Zauważyłaś coś niepokojącego?

Owszem, meganiepokojące było to, że zatrzymał mi się okres. Myślałam, że jestem w ciąży. Oczywiście nie powiedziałam jej tego. Przeżyłam chwile grozy, ale na szczęście skończyło się na strachu. Zawsze się zabezpieczamy, on jest na to jeszcze bardziej wyczulony niż ja. Czasem wygląda to dość dziwnie, wręcz obsesyjnie. Za każdym razem trzyma rękę na pulsie i nawet gdy jest totalnie podniecony, sięga do szuflady po gumki. Pedanteria

wychodzi z niego na każdym kroku. Dlatego nie martwiłam się, gdy minęły trzy dni, a okres nie nadchodził. Byłam przekonana, że za nieznośnym bólem głowy i brzucha stoi co innego, ale gdy miesiączka spóźniała się kolejne dwa dni, zaczęłam się zastanawiać, czy to jednak nie ciąża jest powodem mojego samopoczucia. Prezerwatywy nie dają stuprocentowej pewności, wszyscy to wiedzą. Oczywiście nie powiedziałam Borysowi o swoich obawach. Gdy wyszedł na wieczorny koncert, kupiłam test ciążowy i zrobiłam go. Wynik mnie nie zaskoczył, tak jak podejrzewałam, był negatywny. Ukryłam test na dnie kubła na śmieci dosłownie kilka minut przed tym, jak niespodziewanie wpadł do nas Daniel. Gdy stanął w progu, miałam jeszcze czerwone policzki z emocji.

– Chyba masz alergię – stwierdził. – Na pokrzywę lub czarny bez, w czerwcu pyli najbardziej. To przez zanieczyszczone powietrze w Krakowie musiałaś się jej nabawić.

Niedorzeczność jego słów nie wymagała komentarza. Wychowałam się na wsi i nigdy nie miałam podobnych dolegliwości. Poza tym dobrze wiedziałam, że to nie żadne uczulenie, nigdy nie słyszałam, żeby pylenie traw powodowało spóźnianie się okresu. Wieczorem moje wątpliwości przeszły do historii. Zostałam przeorana na wszystkie możliwe sposoby, już dawno nie miałam tak obfitej i dotkliwej miesiączki. Jeśli poród boli sto razy bardziej, to nigdy świadomie się na niego nie zdecyduję.

– Bierze leki – odpowiedziałam Sylwii, rezygnując z podzielenia się z nią moim kilkudniowym koszmarem.

– Wiedziałam! – Prawie klasnęła w dłonie. – Jakie?

To smutne, że nie wierzy w moją miłość, jakby mi jej nie życzyła.

– Aspirynę.

– Jesteś pewna? – Słyszałam rozczarowanie w jej głosie.

– Tak. Zauważyłam, że wieczorami łyka proszki, a kiedy go o to

zapytałam, powiedział, że pęka mu głowa i od lat ma problemy z migreną.

– I tyle?

– A czego się spodziewałaś?

– Uwierzyłaś mu na słowo? – Była oburzona. – Widziałaś, że to aspiryna? Miałaś blister w ręce?

– No nie.

– Sprawdź to i koniecznie daj mi znać!

– Poznał moich rodziców. – Miałam nadzieję, że to ją trochę uspokoi.

– O! No i?

– W porządku, przypadli sobie do gustu. – Nie miałam zamiaru wprowadzać jej w szczegóły.

– Mimo wszystko uważaj na niego. – Wydawało się, że choć na chwilę uciszyłam jej podejrzliwą wyobraźnię. – I koniecznie sprawdź te leki.

Chciałam to zrobić, ale nie miałam jak. Nie rzuca ich niedbale na łóżko czy stolik, niczego nie robi niedbale. Sylwia nie wiedziała, że mówimy o pedancie, w którego świecie wszystko ma swoje miejsce. Tabletki mają swoje w kieszeni jego dżinsów, z których nie wyciągnę ich bez jego wiedzy. Tak naprawdę nawet nie próbowałam, ale dobrze, zrobię to dla niej. Wydobędę je, gdy będzie spał, i może w końcu Sylwia zaakceptuje fakt, że spodobałam się przystojnemu facetowi. I tyle.

Gdy parkujemy na żwirowym podjeździe, zastanawiam się, jak tym razem wypadnie nasza wizyta. Moje nastawienie do mamy i skrywane, ale jednak silne uprzedzenie ojca do Rosjan będą się nad nami unosić jak złe duchy, nie mam co do tego wątpliwości. Dobrze, że chociaż matka nie zawraca sobie głowy rosyjskością Borysa. Dla niej liczy się tylko to, że w końcu mam chłopaka, zabawnego i przystojnego, więc jakie to ma znaczenie, skąd pochodził jego ojciec.

Nie dziwię się, gdy na miejscu okazuje się, że wszystkie domki są zajęte.

Jest zbyt ładna pogoda, by na weekend zostawać w mieście. Gdy byliśmy tu ostatnio, zajęliśmy jedną z drewnianych chat. Borys do późna grał na gitarze bez obaw, że któryś z sąsiadów wpadnie z niespodziewaną wizytą lub wezwie policję. Docenił wtedy tę, jak to ujął, niczym nieskrępowaną wolność muzyki.

Matka proponuje, że zakwateruje nas na górze. Wyraźnie nadskakuje Borysowi. Ciekawi mnie, czy nadal miałyby tak świetny humor, gdyby dowiedziała się, że zamieszkaliśmy razem i śpimy w jednym łóżku. Wyobrażam sobie jej oburzoną minę i moralizatorski ton. Nigdy nie pozbyła się drobnomieszczańskich nawyków, pogardy dla, jak to ona mówi, życia w grzechu. Przyglądam się, jak częstuje Borysa szarlotką. Na jej czarnych legginsach widać ślady cukru pudru, przewiewna bluzka nie pasuje do sportowych butów. W przeciwieństwie do mnie matka nie przywiązuje zbyt dużej wagi do wyglądu. U niej na pierwszym miejscu zawsze była wygoda, a potem cała reszta. Nigdy nie zarzucała mi próżności, ale mam wrażenie, że tak właśnie myślała o moim podejściu do kwestii ubioru. Sprawa stroju i wyglądu szybko stała się czymś, co nas bardziej dzieliło, niż łączyło, więc obie świadomie unikałyśmy tego tematu. Jestem ciekawa, co powie, kiedy nie zgodzę się, aby Borys spał oddzielnie. Jednak nie muszę się o tym przekonywać, bo ku mojemu zaskoczeniu prosi, abyśmy rozgościli się na górze w moim dawnym pokoju.

Wieczorem Daniel rozpala grilla i impreza przenosi się na zewnątrz. Z oddali dobiegają echa beztróskich zabaw miejscowych dzieci, niebo jest gwiazdziste, niezwykle, takie, jakie można oglądać tylko za miastem. W pewnym momencie zostajemy z Borysem sami.

– Może kiedyś byśmy się tu przeprowadzili? – pyta nagle.

– Na wieś? – Rzucam mu zdziwione spojrzenie.

Mimo wszystko cieszy mnie, że myśli o wspólnej przyszłości.

– To tylko półtorej godziny drogi z Krakowa.

– Aż półtorej – zauważam.

– Nie bądź drobiazgowa. – Obrzuca mnie tym swoim ganiącym spojrzeniem, które uwielbiam.

– Co, nie możesz odzalaować tej beztroski grania? – Pochylam się w jego stronę.

– A żebyś wiedziała! – Łapie mnie w pól i wciąga na siebie.

Hamak niebezpiecznie pod nami trzeszczy.

– Przestań. – Podnoszę się. – W każdej chwili mogą się tu zjawić rodzice.

– Chyba nie myślą, że gdy jesteśmy sami, odmawiamy *Różaniec*.

Śmieję się i go całuję. A potem układam policzek na jego piersi.

– W lipcu zaczynam trasę po Rosji – mówi.

– Znowu.

Przecież dopiero co wrócił, a już myśli o kolejnym wyjeździe.

– Już dawno ją zaplanowałem... – Spogląda na mnie niezadowolony. – Teraz wpadłem na kilka dni, w lipcu pojedę na dłużej.

– Petersburg?

– Tak.

– Wspaniale. – Wsłuchuję się w rytm jego serca. Wiem, że nie ma co robić scen, nic to nie da. – Jeszcze nigdy tam nie byłam.

Borys milczy, patrząc w niebo. Zawsze chciałam zobaczyć Sankt Petersburg, miasto położone na ponad czterdziestu wyspach. To musi robić wrażenie. Teraz zależy mi na tym jeszcze bardziej ze względu na Borysa i jego rosyjskie korzenie. Zamykam oczy i wyobrażam sobie, jak krocymy bulwarami, jak kładę głowę na jego ramieniu w przestronnym Ermitażu, wpatrując się w najokrutniejszy obraz świata, *Ofiarę Abrahama* Rembrandta. Uśmiech Borysa, gdy pokazuje mi te wszystkie miejsca, które należą do jego

wspomnień z dzieciństwa. Szkołę, do której chodził, podwórko, na którym grał w piłkę, park, w którym karmił kaczki. Jednak nie oszukuję się: nie zabierze mnie tam ze sobą. Nie podejmuje tematu, wstaje i idzie w stronę domu. Po chwili widzę, jak żartuje na tarasie z Danielem. Smuci mnie to i zastanawia. Wiem, że nie mam go na własność, i przeczuwam, że nigdy nie będę miała.

26 czerwca 2016, Kraków

LILIANNA

– Czy mogę pani jakoś pomóc?

Podskakuję. Nie spodziewałam się, że ktoś tu będzie.

– Nie, dziękuję – mówię, oglądając się, ale momentalnie zmieniam zdanie. – Właściwie to tak. Szukam mieszkania do wynajęcia w tej kamienicy.

Staruszka przygląda mi się badawczo i przygląda dłonią fale na głowie.

– Widziałam ogłoszenie w prasie – kłamię.

– Aaa – wzdycha. – Wiem, o które chodzi, siódemka na górze, to już nieaktualne.

– Nieaktualne?

– Tak, i to już od kilku tygodni.

Nie wiem, czy mówi o twoim mieszkaniu, czy zupełnie innym. Ale przyszłam właśnie po to, by dowiedzieć się o tobie jak najwięcej, i czuję, że trafiłam na właściwą osobę. Stoimy w zimnym korytarzu, więc muszę się pośpieszyć, jeśli chcę wykorzystać okazję i wyciągnąć z niej jak najwięcej informacji.

– Szkoda – robię zawiedzioną minę – bardzo mi zależało na tej lokalizacji.

– Niech się zastanowię. – Kobieta dotyka ust palcem. – Nie, więcej tu nie

będzie niczego wolnego, większość to stali mieszkańcy, tylko tę siódmkę pan Wesołowski stale wynajmuje. Teraz mieszka tam ta młoda para.

Tak, tego szukam.

– Od niedawna, mówi pani, młodzi ludzie? – Nie za bardzo wiem, jak poprowadzić tę rozmowę.

– Tak, taka miła, ładna dziewczyna, nawet podobna do pani – słusznie zauważa. Moje serce przyśpiesza. – I pan, wysoki, przystojny – kiwa głową – ale na pewno mieszkają już kilka tygodni, więc sporo się pani spóźniła.

Rusza w kierunku drzwi wyjściowych.

– No trudno – podążam za nią – poszukam czegoś w okolicy.

– Jeśli dowiem się o jakimś wolnym lokum na naszej ulicy, dam pani znać – mówi.

Nie mam zamiaru zostawiać jej numeru telefonu, ale ona nawet o to nie prosi.

– Niech pani jeszcze zajrzy do mnie kiedyś, o tu, pod jedynekę, pogadamy, wypijemy kawę. Miło się z panią gawędzi – uśmiecha się – a ja taka samotna. – Wychodzimy na ulicę. – Teraz idę do franciszkanów na mszę, ale zazwyczaj jestem w domu.

– Dziękuję – uśmiecham się – i do zobaczenia.

Kto wie, może przyjdzie mi kiedyś skorzystać z tego zaproszenia?

Zawsze wiedziałam, że trzeba sięgać po swoje. Przez dwa lata wielokrotnie wracałam do tej chwili, przeklinając siebie za bezmyślność i prostactwo, które spowodowały, że odszedłeś. Gdybym mogła cofnąć czas, wrócić do tego wczesnego poranka, kiedy promienie słońca zagłądały przez okna kuchni, witając cię w drzwiach wejściowych. A teraz właśnie ten moment nadszedł, niemożliwe stało się faktem, jesteś, żyjesz, mam szansę wszystko naprawić. Film został puszczony do tyłu, młoda para spóźnia się na samolot, drzwi pociągu zatrzymują się przed spoconym facetem, dziewczyna

ściera niepasującą szminkę i sięga po lepszy odcień, a ja mogę sięgnąć po swoje.

Przeprowadzka do Krakowa nie była kłopotliwa. Przerabiałam to już wiele razy, a firmą mogę kierować z każdego miejsca na świecie. Zatrudniam speców, mam do nich zaufanie. Zanim znalazłam to urocze studio z widokiem na Wawel kilka przecznic od twojego mieszkania, odbyłam kilka niezobowiązujących podróży do dawnej stolicy. Nie udało mi się ciebie odnaleźć za pierwszym razem, ale za czwartym miałam więcej szczęścia. Początkowo szukałam cię wśród społeczności Rosjan, w rosyjskich restauracjach, kawiarniach, stowarzyszeniach, ale to był fałszywy trop. Potem przerzuciłam się na muzykę. Zrobiłam listę wszystkich klubów jazzowych w mieście, wiedząc, że w końcu w którymś się na ciebie natknę. Nigdy nie potrafiłeś żyć bez muzyki, podobnie jak bez cudownej kobiety u boku. Zobaczyłam to na afiszu, ogłoszenie o koncercie w klubie na Sławkowskiej. Wśród członków zespołu widniał niejaki Borys Lebediew, gitarzysta z Petersburga. To nie do końca było to, czego szukałam, ale wypadało sprawdzić.

Przyszłam przed czasem, nie lubię się spóźniać. Niestety nie mieli szampana, więc zamówiłam butelkę wina musującego. Wnętrze było pełne ludzi, zbyt rozbawionych i zbyt młodych, abym tam pasowała. Pierwsze minuty koncertu rozwiały moje wątpliwości. Ona też tam była. Siedziała samotnie przy jednym ze stolików przy scenie i sączyła piwo, nieświadoma bólu, który chcesz jej zadać. Małymi krokami, niezauważalnie będziesz ją niszczyć od środka, doprowadzać do rozdrażnienia, potem niepokoju i wreszcie powolnej ruiny. Najpierw ją uzależnisz, a potem porzucisz. Kiedy rozległy się oklaski, zacząłeś się śmiać. To jedna z twoich największych broni, pozbawiasz nią rozsądku, przywiązujesz do siebie najbardziej zuchwałę dusze. Podszedłeś do niej i ją pocałowałeś, cały ty, romantyk pełną

gębą. Byłeś spocony, więc zdjąłeś koszulkę i zanim zdążyłeś założyć czystą, zobaczyłam twój nagi tors. Usunąłeś tatuaż, kochany, a obiecywałeś, że to na zawsze, po grób. Ja dotrzymałam obietnicy.

Jeszcze nie wiedziałam, czego chcę: porozmawiać z tobą czy najpierw zająć się dziewczyną? Decyzja wymaga czasu, nie mogłam podjąć jej pochopnie, bo właśnie takie działanie doprowadziło do naszego rozstania.

Tamtego wieczoru poszłam za wami. Dowiedziałam się, że mieszkacie na Zwierzynieckiej, w ładnej, zadbanej kamienicy, a teraz ta przesympatyczna staruszka zdradziła mi numer waszego mieszkania. Przez kilka kolejnych dni kręciłam się w okolicy, aż w końcu trafiłam na moment, kiedy twoja dziewczyna wyszła z domu. Towarzyszyłam jej w spacerze na Karmelicką. Tam zniknęła za drzwiami obskurnej kamienicy, na których widniał szyld informujący o prywatnych wizytach specjalistycznych. Kiedy wpisałam adres w wyszukiwarce, wyskoczyły dwa wyniki: dietetyczka i psychoterapeutka. Wystarczyła chwila, aby powiązać kontakty ze zdjęciami kobiet, i nie miałam już wątpliwości, kim jest twoja nowa wybranka.

A gdy już znałam jej imię i nazwisko, dalej było z górki. Te dzisiejsze technologie dają tyle możliwości. Wydaje się dość skryta, ale nie do tego stopnia, żeby nie istnieć w social mediach. Bez trudu ustaliłam jej wiek: jest o sześć lat młodsza od ciebie i osiemnaście ode mnie. Dasz wiarę? Ukradła mi ciebie, bezczelna smarkula. Nie daruję jej tego.

27 czerwca 2016, Kraków

ELIZA

Zapinam sandały na kostce i wychodzę z domu. Z torebki wydobywa się dźwięk telefonu, zwykle wesołe buczenie. Brak przypisanej melodii informuje, że dzwoni ktoś obcy.

– Słucham?

– Pani Eliza?

Serce podskakuje mi gwałtownie do góry. Głos kobiety brzmi znajomo.

– Tak.

– Z tej strony Maria Korsun, wynajmowała...

– Tak, tak, poznaję – mówię.

Czego może chcieć ode mnie właścicielka z Lwowskiej? Czuję niepokój.

– Od lipca będę miała nowych lokatorów – zaczyna – a w piwnicy stoją jeszcze jakieś pani pudła. Czy mogłaby pani je zabrać?

Nie przypominam sobie, żebym tam coś zostawiała.

– To raczej nie są moje rzeczy – stwierdzam. – Niczego tam nie chowałam.

Daniel? Czy mógł zrzucić tam swoje szpargały? To prawdopodobne.

– Ale być może mój brat tam coś trzymał – dodaję.

– To niech podjedzie i sprawdzi. Mój syn maluje mieszkanie, więc jest tam od rana do wieczora.

Proszę, proszę, zmiana koloru ścian, mnie nie witała tak gościnnie. Miesiącami musiałam się kisić w tej zgniłej zieleni. I kilkakrotnie prosić, aby zabrała ten okropny obraz ze ściany. *Madonnę z Dzieciątkiem* Dürera. Nie wiem, dlaczego artysta tak oszpecił postać małego Jezusa, ani tym bardziej po co pani Maria powiesiła reprodukcję na wprost łóżka, ale ilekroć na nią patrzyłam, odczuwałam lęk. Matka z dzieckiem przygnębieni, zrezygnowani, jakby więź między nimi była najgorszym uczuciem na świecie. Gdy zamykam oczy, wciąż widzę ich posępne twarze.

– Oczywiście, powiem mu – kończę rozmowę ze starszą panią i dzwonię do Daniela.

Kiedy mój brat wpada do mnie dwa dni później, od progu widzę, że ma mi coś do przekazania. Jego oczy dziwnie błyszczą, a poza tym jest kilka minut po ósmej, a on nie lubi rano wstawać.

– Byłem na Lwowskiej – oznajmia, rzucając bejsbolówkę na wieszak w przedpokoju.

– Pudła w piwnicy były twoje? – dopytuję.

– Tak. Płyty i trochę książek, będę musiał wywieźć je do rodziców. – Siada na krześle w kuchni. – Ale nie to jest najistotniejsze.

Kroję banany i wrzucam cienkie krążki do jogurtu.

– Zrobić też dla ciebie? – przerywam mu.

– Tak. – Kiwa głową. – Słuchaj, ten koleś spod dziesiątki zniknął.

– Co?

– No mówię ci. Wchodzę do kamienicy, wspinam się po schodach i co zastaję na górze? Drzwi twojego sąsiada opasane taśmą policyjną. Pytam się tego syna właścicielki, co się stało, a on, że gość zaginął.

– Jak to zaginął? – Odwracam się w stronę Daniela.

– Nie wiadomo – wzrusza ramionami – śledztwo trwa. Koleś ma nadzieję, że zdejmą te taśmy do przyszłego tygodnia, bo jeszcze nowi

lokatorzy się wystraszą i nie zechcą mieszkania wynająć.

– Ale co dokładnie powiedział? – Stawiam przed bratem miszkę z jogurtem.

– Facet nie odzywał się od kilku dni, rodzina się zaniepokoiła, więc przyjechali, ale nie mogli się dostać do mieszkania, bo było zamknięte. Zjawił się właściciel z zapasowym kluczem, otworzyli, w środku nikogo nie znaleźli, ale wszystkie rzeczy gościa były na miejscu, zupełnie jakby miał za chwilę wrócić. Walizka leżała w szafie, więc nie wyjechał. – Daniel rozkłada ręce. – Audiofil zniknął.

– Wiedzą już coś więcej?

– Jeszcze nie, podejrzewają porwanie, choć nikt nie skontaktował się w sprawie okupu. Nie było śladów włamania, nic nie zginęło. Dziwna sprawa, gość dosłownie zapadł się pod ziemię, rozpułnął w niebycie. Wracając, widziałem kilka ogłoszeń na słupach, ktokolwiek widział i takie tam. – Spogląda na mnie. – Szukałem też informacji w sieci. Jeśli to prawda, co piszą, to miał mnóstwo długów, grał na giełdzie z fatalnym skutkiem, pożyczał kasę, ale już gorzej było z oddaniem. Może ktoś go sprzątnął, jednak mimo wszystko to nieprzyjemna sprawa.

– Mówiłam ci, że to pechowa kamienica, nigdy nie czułam się tam dobrze – kwituję, grzebiąc łyżką w misce.

Serce wali mi jak szalone. Uspokój się, jesteś bezpieczna, z daleka od Lwowskiej.

– Rzeczywiście dobrze, że się stamtąd wyprowadziłaś. Wyobrażasz sobie, jak zareagowałyby na to mama? – Daniel pakuje banany do ust. – Ona ma obsesję na punkcie morderstw i uprowadzeń. Wciąż ogląda te wszystkie programy kryminalne o zaginionych, zamordowanych i inne śledztwa. Obłęd! – Wznosi oczy ku górze.

– To o niczym jej nie mów – sugeruję. – Poza tym już przecież tam nie

mieszkam.

Gdy kilka minut później brat opuszcza moje mieszkanie, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie martwi mnie, że wychodzi, że ma swoje życie i że zostaję sama. Mam w końcu chłopaka, bezpieczny kąt, nikt mnie nie śledzi, nie prześladowuje, odzyskałam spokój w życiu.

6 lipca 2016, Kraków

LILIANNA

Rano dzwonię do Marka.

– Jak leci? – pytam, sadowiąc się wygodnie w łóżku.

– Nie możesz spać?

Słyszę skrzypnięcie fotela obrotowego.

– Chyba ty! – śmieję się. – Przyznaj się, od której jesteś w pracy?

– Raczej powinnaś zapytać, o której wychodzę.

– Jesteś niemożliwy. – Kręcę głową, ale podejrzewam, że rzeczywiście siedział w biurze przez całą noc.

– Jak urlop? – pyta.

– Nieźle – stwierdzam, rozglądając się po wnętrzu mojego przytulnego studia z widokiem na Wawel. – Przygotuj mi, proszę, listę naszych planów inwestycyjnych na najbliższy kwartał i podaj, jaką kwotę mogłabym już puścić w obieg – sprowadzam rozmowę do sedna.

– Coś planujesz?

Milczę.

– Mam się bać? – drąży.

– Wręcz przeciwnie, zakasuj rękawy.

Podchodzę do okna i uśmiecham się do siebie. Słońce świeci wysoko na niebie, zapowiada się kolejny upalny dzień. Już zapomniałam, ile radości

daje samo działanie. Przeświadczenie, że los jest w twoich rękach. Znów śpiewam pod prysznicem, znów poruszam się tanecznym krokiem, znów chce mi się żyć. Wczorajszy dzień zaczęłam od wizyty u kosmetyczki, a skończyłam na fotelu fryzjerskim. Wróciłam do starego koloru włosów, ciepłego blond, czuję się młodo i atrakcyjnie. Znów mam głowę pełną planów i pomysłów. Postanowiłam otworzyć małopolski oddział biura. Skoro wszystko wskazuje na to, że będę musiała zabawić w Krakowie dłużej, dlaczego by nie skorzystać na tym również pod względem finansowym? Mnóstwo zagranicznych turystów, atrakcje na każdym kroku, dogodne miejsce do inwestowania.

– Daj mi kilka dni – mówi. – Kiedy dokładnie kończy ci się urlop?

– Za dwa tygodnie? Trzy? – Nie podaję konkretnego terminu, nikt mi niczego nie może narzucić. – Ale jeśli zdecyduję się na tę inwestycję, to nie wrócę do Warszawy jeszcze długo.

Nie zadaje więcej pytań i obiecuje, że za kilka dni będę miała wszystkie potrzebne informacje w skrzynce mejlowej. Gdyby tylko wiedział, po co tu przyjechałam, nie przestawałby mnie zadzierać telefonami. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, nie rób sobie nadziei, zapomnij, przestań wciąż się obwiniać. Nie chcę tego słuchać. Myśl, że jesteś na wyciągnięcie ręki, za każdym razem przyprawia mnie o szybsze bicie serca. Przecież tak długo próbowałam cię odnaleźć. Sprawdziłam wtedy wszystkie miejsca na świecie. Odszukanie kogoś po latach to jak wygrana w totolotka; fakt, że ujrzałam cię wtedy w metrze, wciąż traktuję jak cud. W mojej głowie powoli kielkuje idealny plan. Zrobię wszystko, by znów wrócić do momentu, gdy byłam naprawdę szczęśliwa. Odzyskam cię, choćbym miała zapłacić za to wysoką cenę. Jesteś tego wart.

17 lipca 2016, Kraków

ANTON

Spokojne niedzielne przedpołudnie. Siedzimy na sofie i jemy truskawki. Ostatnie w tym roku, jak przekonywała pani na targu. Eliza kładzie rękę na moim udzie i powoli przesuwając ją coraz wyżej. Kiedy jej krwistoczerwone paznokcie znikają pod moimi szortami, odkładam gazetę na bok. Spoglądam jej w oczy i dotykam ręką jej podbródka. Czy moglibyśmy być szczęśliwi, gdybym potrafił ją pokochać? Siada na mnie okrakiem i zaplata palce na moim karku. Przez moment mam wrażenie, jakbym wrócił do przeszłości, jakbym to już wielokrotnie przerabiał. Są niemal identyczne. Zamykam oczy, a jej usta dotykają moich warg. Wiem, że postępuję wobec niej nieuczciwie, że powinienem jej powiedzieć, ale przecież nie mogę odmówić sobie tej przyjemności, rzadko w takich sytuacjach mam skrupuły. Czuję smak jej pomadki na języku. Wkładam ręce pod jej koszulkę, nie jestem zaskoczony, że nie założyła stanika, rzadko kiedy go nosi. Jej piersi są jędrne i sterczące, świetnie sobie radzą bez biustonosza.

– Zabierz mnie ze sobą do Petersburga – mruczy.

– Co? – Odchylam głowę.

– Nie chcę się z tobą rozstawać.

Całuję ją w szyję i ściągam z niej bluzkę. Nie może tam ze mną jechać, choćbym nawet tego chciał.

– Proszę – nalega.

Kładę ją na plecach i sięgam po gumki. Mogę dać jej rozkosz, mogę dać jej część siebie, ale niech nie oczekuje ode mnie przyszłości. Nachylam się i całuję jej piersi.

– Skąd to masz? – pyta, dotykając ręką szramy nad moją lewą brwią.

Trwały ślad po beztroskim życiu.

– Pragnę cię – szepczę jej do ucha.

Nie chcę teraz z nią rozmawiać, jestem zbyt podniecony. Przywieram całym sobą do jej rozgrzanego ciała. Jest spięta, wiem dlaczego. Oddaje mi się, aby ugrać wyjazd do Petersburga. Wie, że mężczyźni w takich chwilach są skłonni obiecać wszystko. Ze mną nie pójdzie jej tak łatwo. Przewracam ją na brzuch. Jej opalone plecy wyginają się zmysłowo, znów coś mówi, jednak nie skupiam się na tym. Interesowność, której się właśnie dopuszcza, zdjęłaby ze mnie wszelkie wyrzuty sumienia, oczywiście gdybym je miał. Oplatam pasmo jej włosów wokół swojego nadgarstka i wcielam w życie kolejną fantazję.

20 lipca 2016, Kraków

LILIANNA

Zazwyczaj wychodzisz z domu pierwszy i idziesz tym swoim tanecznym krokiem, jakby gdzieś obok cały czas grała muzyka. Z trudem powstrzymuję się, by do ciebie nie podbiec. Wiem jednak, że to nierozsądne, nie mogę działać pochopnie. Najpierw zajmę się nią, a potem tobą.

Ruszam za nią, gdy tylko pojawia się na chodniku. Zachowuję bezpieczną odległość, choć właściwie to zupełnie niepotrzebne, bo przecież mnie nie zna. Jednak obawiam się, że nasza zbliżona powierzchowność mogłaby niepotrzebnie zwrócić jej uwagę. Ma na sobie obcisłe spodnie, które przy każdym kroku wrzynają się jej w tyłek. Wiem, że nie mam tak krągłych pośladków jak ona. Czy to one cię w niej kręcą? Osiemnaście lat młodsza, czy mam jakiegokolwiek szanse ją pokonać? Moja niechęć do niej potęguje się z każdym krokiem, gdy odwraca głowę, przechodząc przez przejście, albo zatrzymuje się, by przyjrzeć się czemuś na wystawie sklepu. Seksowna, nawet ja to widzę. Może powinnam się cieszyć, że przegrałam z kimś takim jak ona. Gdyby była gruba i paskudna, oznaczałoby to, że naprawdę ją kochasz. To jednak żadne pocieszenie. Nic mnie nie potrafi pocieszyć, tylko ty znów obok mnie.

Czuję się jak kretynka, tak chodząc za wami i wystając pod twoim oknem, ale nie mam innego wyjścia. Pragnę cię tak mocno, że doprowadza mnie to do szaleństwa. I nie chodzi tylko o seks, który był za każdym razem

trzęsieniem ziemi, falą tsunami, cudowną symfonią budzącą do życia pokłady mojej kobiecości, o których wcześniej nie miałam pojęcia. Chodzi też o wszystko inne, o całość. Twoje poczucie humoru, ironiczne spojrzenie, twój talent. Chciałam, abyś komponował, ale mówiłeś, że się do tego nie nadajesz. Stworzyłam ci ku temu warunki, bo wierzyłam, że powinieneś się rozwijać, zaistnieć, zostawić po sobie zapisane pięciolinie, w których przekazałbyś siebie. Wciąż myślę, że to możliwe. Byłabym twoją muzą, twoim mecenasem, hojnym sponsorem. Wizja naszej szczęśliwej przyszłości sprawia, że czuję jeszcze większą determinację. Muszę cię odzyskać. Przez dwa lata zdążyłam się przekonać, że moje uczucie to nie mrzonki, nie potrafię z ciebie zrezygnować.

Na moment gubię ją z oczu. Podbiegam i wychodzę zza rogu, w ostatnim momencie łapiąc wzrokiem jej sylwetkę. Znika za drzwiami modnego butików. Wchodzę za nią do sklepu z odzieżą polskich projektantów. Żywe kolory i nietypowe kroje. Zatrzymała się przy wieszaku z sukienkami. Ekspedientka w obcisłej bluzce już zanoszą do przebieralni kilka wybranych przez nią fasonów w kolorze dojrzałej truskawki. Gorąca suka. Mnie też lubiłeś w tym odcieniu. Jeszcze się przekonamy, czy jej także do twarzy w krwistej czerwieni. Nachyliłam się nad gablotą z biżuterią, kiedy przechodzi obok. Nie chcę, żeby mnie teraz zobaczyła. Wpada mi do głowy myśl, by kupić tę samą sukienkę co ona. Efekt zaskoczenia będzie jeszcze większy, gdy w końcu stanę przed nią, z identyczną twarzą i w identycznym ubraniu. Gdy znika za kotarą przebieralni, ekspedientka podchodzi do mnie.

– Czy coś dla pani?

Podnoszę głowę i nie potrafię powstrzymać się od śmiechu na widok skoncentrowanej miny sprzedawczynie. Tak, jesteśmy niewiarygodnie podobne, też to widzisz?

– Ach, panie są razem, córka właśnie mierzy sukienki – mówi,

nieświadoma swojego nietaktu.

Córka? Czy ja wyglądam na jej matkę? Kręcę głową z wściekłością i bez słowa wychodzę ze sklepu. Czuję się, jakby mnie ktoś spoliczkował. Przecież nie wyglądam staro, jak w ogóle mogła tak pomyśleć? Czy ty też to widziałeś? Dlatego zamieniłeś mnie na młodszy model? Gotuję się w środku, ze złości, z nienawiści i poniżenia. Czas przystąpić do działania, dłużej już nie zniosę tej beczynności.

26 lipca 2016, Kraków

ELIZA

Tak jak planował, pojechał do Petersburga. W żaden sposób nie dało się go od tego odwieść czy przekonać, że mogłabym mu towarzyszyć. Zapropnowałam to, ale nie podjął tematu. Do ostatniego dnia łudziłam się, że poprosi mnie, żebym z nim poleciała. Były ku temu sprzyjające okoliczności. Trasa koncertowa Borysa pokrywa się z wizytą papieską w Krakowie. Wiele osób na ten czas opuszcza miasto, mogłam więc powiedzieć moim pacjentom, że ja także wyjeżdżam, i przełożyć wizyty na kolejny tydzień. Zrobiłabym to, gdyby tylko pisnął słówko. Postarałabym się o wizę i teraz spała w jego ramionach, a nie umierała ze strachu, że znajdzie sobie kogoś na moje miejsce.

Łzy napływają mi do oczu. Czuję, że Borys mi się wymyka, boję się, że mnie zostawi. Wiem, że to początki, że z czasem wszystko się dotrze, dopasujemy się do siebie jak zębatki dobrze działającego mechanizmu, ale nie potrafię się pozbyć wrażenia, że nie zależy mu na mnie tak mocno jak mnie na nim. To zawsze się czuje. Niby wszystko w porządku, ale często łapię go na tym, że myślami przebywa gdzieś indziej, nie słucha mnie, jest zamyślony. Nie działałoby się tak, gdyby był prawdziwie zaangażowany. Trzymiesięczny związek jest zupełnie taki sam jak trzymiesięczny niemowlak, rozkoszny, słodki i cudowny, ale wiesz, że nawet na moment nie możesz spuścić go z oka.

Wiem, że nie powinnam mieć do niego żalu. Trasę zaplanował dawno temu, skąd mógł wiedzieć, że wypadnie w dzień moich dwudziestych ósmych urodzin. Jednak jestem typowym zodiakalnym lwem pierwszej dekady: ambitnym, łasym na pochlebstwa i żądnym władzy. Nie lubię, jak coś jest poza moją kontrolą, nie znoszę, gdy coś psuje mi plany, ale przecież potrafię też być troskliwa i opiekuńcza, szczególnie wobec tych, którzy są we mnie wpatrzeni. Tylko że on nie jest we mnie wpatrzony.

Chodzę nerwowo po mieszkaniu jak lew po pustej klatce. To moje pierwsze rozstanie z Borysem na dłużej. Wprawdzie w czerwcu nie było go przez trzy dni, teraz jednak zniknął na ponad tydzień. Jestem zazdrosna o te wszystkie dziewczyny, które będą pożerać go wzrokiem w pierwszych rzędach przed sceną. Niepotrzebnie tak szybko z nim zamieszkałam. Myślałam, że przywiążę go do siebie, zacieśnię więź, a skutek jest odwrotny. Nie traktuje mnie poważnie. Jest jak ptak, który usiadł na chwilę na gałęzi, chcąc odpocząć i zastanowić się nad kierunkiem dalszego lotu. Nie ma zamiaru budować tu gniazda, nie zmuszę go, żeby ze mną został.

Kładę się na łóżku i staram się zrelaksować. Jednak trudno mi to przychodzi, zupełnie jak kiedyś. Jestem kompletnie rozbita, wewnątrz roztrzęsiona, mimo że na zewnątrz udaje mi się trzymać fason. Może rzeczywiście za wcześnie na jakieś deklaracje, zbyt wiele oczekuję po związku, który trwa kilka tygodni, ale nic nie poradzę na moją niecierpliwość. Jak dziecko lubię natychmiastowy efekt, nie znoszę czekać miesiącami, chodzić koło czegoś, nie mając pewności, czy w ogóle coś z tego będzie. Nie nadawałabym się na ogrodnika. Wiem, że jestem hipokrytką, bo w pracy kieruję się zasadą małych kroków. Obłudnie przekonuję do tego moich pacjentów, nigdy nie proponuję rewolucji, ćwiczę ich w wytrwałości i dobrej wierze, mnie samej zaś trudno postępować według własnych słów.

Teraz jednak nie pozostaje mi nic innego, tylko czekać. Łudzić się, że

wszystko będzie dobrze, że relacje międzyludzkie potrzebują w równym stopniu uwagi, co czasu. Poza tym nie powinnam zapominać o z trudem odzyskanym spokoju. Wzdycham głęboko kilka razy. Nie tak wyobrażałam sobie swoje dwudzieste ósme urodziny. Rano odebrałam telefony z życzeniami od rodziców i brata, udawałam dobry nastrój, ale gdy tylko odkładałam słuchawkę, przygnębienie wracało. Chciałabym być w tym dniu z Borysem, a nie sama. Dźwięk dzwonka do drzwi wybija mnie z kołowrotu myśli. Zerkam na zegar wiszący na kuchennej ścianie. Czarne wskazówki przedzielają różową muffinkę dokładnie na pół, jest dziewięta piętnaście. Nikogo się nie spodziewam. Podchodzę na palcach do przedpokoju, otulając się szlafrokiem, i zerkam przez wizjer. Żółta czapeczka kuriera. Ktoś ma mi coś do przekazania.

– Dzień dobry – odzywa się otyły mężczyzna, gdy otwieram przed nim drzwi. – Eliza Orlicka? – upewnia się.

– Tak – odpowiadam, poprawiając kołnierz szlafroka wokół szyi. Głupio mi, że stoję przed nim boso.

– Przesyłeczka dla pani – mówi, wertując serdelkowatymi palcami trzymaną w ręce listę odbiorców. – Proszę tu pokwitować. – Podsuwa mi pod nos kartkę z długopisem.

Posłusznie podpisuję się we wskazanym miejscu.

– Jakaś okazja? – pyta, gdy oddaję mu długopis.

– Urodziny.

– To musi panią bardzo kochać! – śmieje się i wręcza mi ogromny bukiet kwiatów. – Wszystkiego najlepszego. Do widzenia! – rzuca i odwraca się w stronę schodów.

Nie podejrzewałam Borysa o taki romantyzm. Tulipany przesłane pocztą kwiatową, w życiu bym się nie spodziewała. Żółte, drobne pączki, które z każdą kolejną godziną będą zmieniać się w piękne, okazałe dzwonki, by

ostatecznie pozbyć się ostatnich płatków tuż przed jego powrotem. Nie ma żadnego liściku, żadnych życzeń czy dwuznacznych wierszyków, jednak kwiaty znaczą więcej niż jakiegokolwiek słowa. Biorę do ręki telefon i dzwonię do Borysa.

– Dziękuję. Jestem naprawdę zaskoczona.

– Czym? – pyta.

– Nie zgrywaj się. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że bukiet tulipanów wysłał mi mój nowy chłopak.

– Przepraszam, nie mogę teraz rozmawiać, za chwilę wychodzimy z hotelu. – W tle słyszę rozmowy po rosyjsku, zerkam na zegarek, w Petersburgu jest dziesiąta dwadzieścia.

– Dzięki za kwiaty – mówię wprost.

– Kwiaty?

– Żółte tulipany, które właśnie przed chwilą wręczył mi kurier.

– Ojej, kompletnie zapomniałem o twoich urodzinach – wzdycha. – Wszystkiego najlepszego, przepraszam, mamy tu niezły kocioł. Nie gniewasz się, prawda?

Jeśli to nie Borys, to kto? Fala gorąca uderza mi do głowy. Prześladowca z wiosny? Nie, kręcę głową zdecydowanie, facet z Lwowskiej zniknął. Borys nadal coś mówi, ale się rozłączam. Zrzucam szlafrok, jestem zupełnie naga, ale szkoda tracić czas na zakładanie bielizny. Wskakuję w letnią sukienkę leżącą obok łóżka, chwytam bukiet i wybiegam na korytarz.

Wypadam na ulicę w momencie, gdy kurier próbuje włączyć się do ruchu. Dopadam do drzwi pasażera i stukam w okno. Kierowca podskakuje na siedzeniu.

– Chce pani, żebym dostał zawału?! – krzyczy, opuszczając do połowy szybę w bocznych drzwiach.

– Chodzi mi o te kwiaty – wyjaśniam.

– Tak?

– Kto je nadał?

– Nie wiem. – Kręci głową.

– Proszę sprawdzić, jakoś się dowiedzieć! – Otwieram drzwi, nie pozwalając mu ruszyć z miejsca.

– Nie mogę tutaj stać – mówi zdenerwowany. – Od dziesiątej nie można wjechać dostawczym do centrum, a mam jeszcze kilka przesyłek do dostarczenia.

– Nie interesuje mnie to – jestem stanowcza.

– Wie pani, jakie zamieszanie panuje przez te całe Dni Młodzieży! – znów podnosi głos. – Proszę zamknąć drzwi, muszę jechać.

– Nie ruszę się stąd, dopóki nie powie mi pan, kto nadał przesyłkę.

– Jestem kurierem, nie widzę zlecenia – tłumaczy.

– Proszę zadzwonić do centrali czy gdziekolwiek, do kogoś, kto przyjmował to zamówienie. – Opieram się o fotel pasażera.

Facet wzdycha głęboko, ale wyłącza silnik. Bierze telefon do ręki i wybiera numer. Po plecach spływają mi stróżki potu. To z gorąca czy zdenerwowania? Grubas wyłuszcza swoją prośbę komuś po drugiej stronie linii, a potem czeka w ciszy przez dłuższą chwilę, która zdaje się ciągnąć w nieskończoność.

– Koleżanka mówi – nachyla się w moją stronę – że ktoś nadał zlecenie dzisiaj rano...

Wyrywam mu telefon z ręki.

– Proszę powiedzieć, skąd została wysłana przesyłka! – nakazuję.

– Słucham? – w słuchawce rozbrzmiewa zdziwiony kobiecy głos.

– Dzień dobry, muszę znać szczegóły tego zlecenia.

– Nadawca nie podał swojego nazwiska – odpowiada. – Mówiłam

koledze, że nie dysponuję tymi danymi.

– Proszę, żeby pani sprawdziła, skąd te kwiaty zostały nadane. Realizujecie także zagraniczne zamówienia, prawda?

– Tak. Nasza firma działa na pięciu kontynentach, w stu czterdziestu krajach... – Kobieta recytuje wyuczoną reklamową śpiewkę.

– Więc proszę powiedzieć, skąd nadawca wysłał zlecenie – przerywam jej wywód.

To byłoby w stylu Sylwii. Przy całym jej rozsądku życiowym potrafi być zaskakująca.

– Z Polski – wyjaśnia.

– Jest pani pewna?

– Absolutnie.

– Z jakiego miasta?

– Tego nie wiem, ale cena za bukiet jest taka, jaka obowiązuje na terenie naszego kraju, zamówienia zagraniczne są droższe. A poza tym w przypadku zamówień zagranicznych nadawca musi podać swoje dane, ponieważ niektóre oddziały mogą odmówić realizacji anonimowego zamówienia.

– Zamówiono je dziś rano? – upewniam się.

– Dziś rano – potwierdza posłusznie telefonistka.

– Dziękuję. – Rozłączam się i oddaję telefon kierowcy. – Proszę zabrać te kwiaty i najlepiej zwrócić je nadawcy! – Rzucam bukiet na siedzenie pasażera.

– Ale jak? Przecież słyszy pani, że nie mamy jego danych.

– To niech pan je wyrzuci, wszystko jedno! – krzyczę i z trzaskiem zamykam drzwi.

Dostawca kwiatów rusza, kręcąc głową. Oglądam się kontrolnie na boki i wbiegam do bramy. Pędzę po schodach do góry, dopadam drzwi mieszkania

i zamykam się na wszystkie zamki. Nie mogę dojść do siebie. Znow ogarnia mnie lęk. Jak mogłam o nim zapomnieć, łudzić się, że moje życie może być normalne? Od tamtego dnia zawsze gdzieś był, siedział przyczajony jak sprytny kot, aby teraz bezszelestnie, niezauważalnie wyjść z ukrycia i znow rzucić się na mnie z pazurami. Ot, taka nasza odwieczna zabawa w kotka i myszkę, motyw zaskoczenia i przewagi jednej strony. Przez chwilę zajęłam się budowaniem przyszłości, wyrzucając z pamięci przeszłość. Straciłam czujność, a poza tym tak wiele się zmieniło, myślałam, że już nic mi nie grozi.

Łzy ciekną mi po policzkach. Boję się, trzęsę od środka. Co chwilę wyglądam przez okno, szukając mojego prześladowcy wśród poruszających się na dole ludzi. Kto tym razem? I jak to w ogóle możliwe? Moje nerwy są w strzępach, jestem kompletnie rozbita. Jako psychoterapeutka powinnam wiedzieć, jak sobie radzić z takimi emocjami. Jednak nie umiem nawet na moment przestać się denerwować. Wciąż nasłuchuję odgłosów z korytarza. Biorę długi prysznic, który ma mnie zrelaksować, ale nic z tego. Gdy wychodzę z wody i wycieram się ręcznikiem, moje ciało na nowo pokrywa się wilgocią. Pocę się, choć nie jest aż tak gorąco, klimatyzację nastawiłam na dwadzieścia dwa stopnie. Jak to się stało, że znow coś wymyka mi się spod kontroli? Nie mieszkam już na Lwowskiej, mam nowego chłopaka, więc dlaczego znow przytrafia mi się coś takiego?

Mam ochotę zadzwonić do Borysa i o wszystkim mu opowiedzieć. O kwiatach, o tym, że ktoś mnie śledził i robił zdjęcia, że podejrzewałam faceta z Lwowskiej, ale przecież teraz to nie może być on. Jego już nie ma. Mogłabym poprosić mojego chłopaka, by jak najszybciej wrócił, wyznaczyć mu, że boję się być teraz sama. Biorę telefon do ręki, ale w ostatniej chwili rezygnuję. A jeśli go do siebie zniechęcę? Muszę się pilnować, trzymać na wodzy słowa i czyny. Rzucam komórkę na łóżko. Najchętniej do końca dnia

zostałabym w domu, ale trzeba wziąć się w garść i jechać na jedenastą do gabinetu. Pacjenci czekają, nie mogę ich zawieść.

Decyduję się pójść pieszo. Ograniczenia w ruchu drogowym z powodu Dni Młodzieży paraliżują centrum, a wolnym krokiem powinnam dotrzeć na miejsce w niecałe pół godziny. Przez całą drogę zastanawiam się, kto mógł nadać kwiaty. Rodzice dzwonili rano, poza tym nie potrafiliby złożyć zamówienia przez pocztę kwiatową. Już bardziej mogłabym się spodziewać, że sami staną w progu mieszkania z bukietem ogrodowych róż. Daniel? Wykluczone, to pragmatyk, poza tym odebrałam od niego telefon z życzeniami, a w sobotę mieliśmy się spotkać u rodziców na imprezie urodzinowej. Fałszywy trop. Mariusz Nowak to już na szczęście zamknięty rozdział. Sylwia... Rozmawiałyśmy kilka dni temu, a poza tym kwiaty nadał ktoś w Polsce. Kolega Daniela? Niemożliwe, nie widziałam go od imprezy imieninowej, nie interesuje się mną i nie wie, że zmieniłam mieszkanie. Wniosek jest prosty. To osoba, o której istnieniu nie zdaję sobie sprawy. Kim jest i dlaczego postanowiła pojawić się nagle w moim życiu? To pytanie brzęczy w mojej głowie, objając się o najodleglejsze zakątki świadomości jak wrzucony do blaszanej skarbonki srebrny pieniążek.

Zerkam na zegarek, jest dziesiąta trzydzieści osiem, przyspieszam kroku. Jakiś tydzień temu w swoim notesie natknęłam się na wpis sprzed kilku miesięcy: „Martyna – zapytać, czy zrezygnowała!!!”. Od razu przypomniałam sobie, że chodzi o tę dziewczynę, która nagle zniknęła z terapii. Obok notki zapisałam jej adres mejlowy. Byłam pewna, że nie zadałam jej tego pytania, a przejrzenie poczty wychodzącej ostatecznie to potwierdziło. Postanowiłam więc wysłać jej wiadomość w stylu: „Co u ciebie?”. Nie odpowiadała przez kilka dni, a potem napisała: „Wszystko w porządku, dzięki za troskę”. W postscriptum dodała: „Sytuacja opanowana i nie ma się już czego bać!”. O co jej chodziło? Kto się ma nie bać? Czy to

jakaś aluzja do mojej obecnej sytuacji? Czy to ona jest sprawczynią tego wszystkiego? To nielogiczne, ale muszę to sprawdzić. Wiem, że pracuje w biurze podróży na Rajskiej. Doskonale pamiętam, jak podkreślała, że tylko lokalizacja mojego gabinetu zadecydowała o wybraniu terapii właśnie u mnie. Po tym oświadczeniu od razu wiedziałam, że jej nie polubię. Skręcam w Krzywe Koło, zbacając z mojej zwykłej drogi. Zdążę do niej zajrzeć przed jedenastą. Jestem pewna, że nie ucieszy się na mój widok.

LILIANA

Odkładam telefon na półkę. Pierwszą sprawę na dziś mam z głowy. Czy lubi tulipany? W zasadzie nie ma to żadnego znaczenia. Chcę tylko wprowadzić trochę niepokoju i rozczarowania do jej życia. Z Facebooka dowiedziałam się, że ma dziś urodziny, pewnie to ciebie będzie podejrzewać o ten piękny gest. Kogo weźmie pod uwagę, kiedy już się dowie, że nie masz z bukietem nic wspólnego? A ty? Czy stwierdzisz, że puszcza się na boku i kwiaty są od kochanka? Cokolwiek sobie pomyślicie, na pewno w waszym życiu na chwilę zapanuje chaos, a o to mi właśnie chodzi. Minęła ósma, mam jeszcze sporo czasu, by przygotować się do najważniejszego punktu dzisiejszego programu.

Wychodzę z łóżka i idę pod prysznic. Od wyjazdu z Warszawy nie brałam dłuższej kąpieli. Nie potrafię się położyć w obcej wannie. Świadomość, że przede mną mógł się w niej wylegiwać jakiś tłusty zboczeniec, przyprawia mnie o dreszcz obrzydzenia. Woda spływa po moim ciele, zabierając resztki snu. Dziś w końcu staniemy twarzą w twarz, oko w oko. Jeszcze nie podjęłam decyzji, od czego zacznę. Kwiaty to niewinny prezent, przedsmak niezwykle urodzinowych niespodzianek, które dziś na nią czekają. Jak zareaguje na to, że jesteśmy do siebie tak niewiarygodnie podobne? Co zrobi? Jestem tego bardzo ciekawa. Wycieram się i staję przed gigantycznym lustrem. Nakładam krem na twarz, wykonując drobne ruchy do góry, nigdy do dołu, nie mam zamiaru za kilka lat wyglądać jak buldog. Suszę włosy i zabieram się do perfekcyjnego makijażu. Dzisiejsza rozgrywka

tego wymaga.

Przed wyjściem pakuję torebkę, portfel, dokumenty i gaz pieprzowy, bez którego nie ruszam się z domu. W bocznej przegródce trzymam nasze wspólne zdjęcia i drobiazgi przypominające mi o utraconej przeszłości. Traktuję je jak talizman. Dadzą mi moc i siłę w walce o ciebie. Zakładam eleganckie spodnie i jedwabną bluzkę. Odpowiedni ubiór dodaje pewności siebie, a mnie tego właśnie dzisiaj potrzeba. Chcę sprawić, żeby cierpiała, żeby straciła poczucie własnej wartości. Zamierzam pozbawić ją godności, kobiecości i złudzeń. W ostatniej chwili przejeżdżam po wargach czerwoną szminką i wychodzę z domu, w locie łapiąc turkusowy szal.

ELIZA

Dzwoneczek przy drzwiach sygnalizuje moje pojawienie się w biurze podróży. Dziewczyna o długich, lśniących włosach podnosi wzrok nad klawiatury.

– Dzień dobry, czy jest Martyna? – pytam od progu.

Mam nadzieję, że to wystarczy, bo nie udało mi się przypomnieć sobie jej nazwiska.

– To pani o niczym nie wie?

O czym? Martyna jest pani prześladowcą. Martyna wysłała dziś pani kwiaty. Martyna nie żyje. Moje serce podskakuje gwałtownie kilka razy. Na biurku dzwoni telefon. Brunetka wymownie spogląda na mnie i chwyta słuchawkę. Wpatruję się z napięciem w jej twarz i niczego nie pragnę tak bardzo jak tego, by wreszcie skończyła rozmowę.

– Ona już tu nie pracuje – odzywa się, odkładając w końcu telefon.

– Dlaczego?

– Poprosiła o zmianę stanowiska. Została rezydentem naszego biura w Alanyi. Jednak ze względu na zamach stanu w Turcji...

– Kiedy tam wyjechała? – przerywam jej.

– Z początkiem sezonu. – Dziewczyna marszczy brwi, wyęzając pamięć.

– Czyli w kwietniu jeszcze tu pracowała?

– Nie, od kwietnia ja jestem zatrudniona na jej miejsce. – Przestraszony wyraz twarzy świadczy o tym, że chyba wzięła mnie za kogoś z centrali.

– Czyli nie było jej od kwietnia w Krakowie? – drązę.

– Tak. Na początku miesiąca wyjechała do Alanyi, a pod koniec kwietnia zaczął się pierwszy turnus – posłusznie tłumaczy, ale po chwili zerka na mnie i widać, że coś jej zaczyna nie pasować.

– Czy mogę pani jakoś pomóc? – Przygląda mi się wyczekująco; jej proste, błyszczące włosy przywodzą na myśl wodospad. – Martyna miała się do pani odezwać z ofertą? – docieka.

– Nie. – Kręcę głową. – Poproszę aktualny katalog. Zapoznam się z waszymi propozycjami.

Nie mam zamiaru niczego wyjaśniać, a poza tym muszę jak najszybciej znaleźć się w gabinecie. Zegar za plecami dziewczyny wskazuje pięć minut do równej godziny. Jestem pewna, że Alicja już podryguje nogą, siedząc na krześle pod moimi drzwiami.

– Kierunek? – pyta.

– Jak najbardziej odległy.

Dziewczyna podchodzi do regału i wręcza mi kolorowy folder, który po kilku sekundach ląduje w śmietniku za najbliższym rogiem ulicy.

Wszystko jasne. Martyna dziękowała mi za troskę, bo napisałam do niej w czasie zamieszek w Turcji, dosłownie kilka dni po nieudanym puczu w Ankarze. Sądziła, że się o nią martwię, a ja nawet nie byłam świadoma jej pobytu w Alanyi. W kwietniu nie było jej w kraju, to nie ona mnie śledziła, to nie ona wysłała kwiaty, to nie ona za tym stoi. W takim razie kto?

Całą drogę biegnę, więc kiedy przekraczam próg gabinetu, jestem zmęczona jak po kilkugodzinnej podróży. Czuję się nieświeżo i nie mam siły przeprowadzić dwóch sesji. Tak jak myślałam, w poczekalni już siedzi Alicja, ubrana w czarne spodnie z wiskozy i bawełnianą bluzkę z długim rękawem. Na włosach ma opaskę, plastikową, tandetną, taką, jakie noszą małe dziewczynki. Seledynowe kwiatki okalające jej głowę niczym aureola

gryzą się z pstrokatą bluzką. Ta jej niekorzystna powierzchowność odzwierciedla wewnętrzną ruinę. Totalny bałagan w środku, więc i na zewnątrz nie jest lepiej.

Zapraszam ją do gabinetu, przepraszając za spóźnienie. Mówi, że nic się nie stało, i posłusznie zajmuje swój fotel. Od patrzenia na Alicję robi mi się duszno. Pytam, czy nie będzie jej przeszkadzało, jeśli uchylę okno. Nie ma nic przeciwko.

– Jak minął pani ostatni tydzień? – Usadawiam się naprzeciwko niej, powtarzając sobie, że muszę przestać myśleć o tulipanach i zacząć się zachowywać jak profesjonalistka.

– Jak każdy.

– Jak się pani czuje?

Patrzy pod nogi. Na początku naszych spotkań robiła to bardzo często. Wciąż milczała, zapadała się w siebie, każde słowo trzeba było z niej wyciągać obcęgami. Dawałam jej czas, a sama analizowałam jej garderobę. Za każdym razem odnosiłam wrażenie, że wyciąga ubrania z szafy z zamkniętymi oczami albo, co gorsza, posłusznie zakłada to, co przygotowuje jej matka dzień wcześniej, składając w kostkę w rogu łóżka.

– Czy coś panią ucieszyło lub zaniepokoiło?

– W niedzielę mój ojciec źle się poczuł, wciąż skacze mu ciśnienie. – Teraz potrafi szybciej coś z siebie wydusić. – Bałyśmy się z mamą, że trzeba będzie wzywać karetkę. Mama nie lubi, jak obcy kręcą się po domu – dodaje, spoglądając na mnie wzrokiem, który domaga się zrozumienia.

Jaki dramat rozgrywa się za waszymi drzwiami? Czego jeszcze mi nie powiedziałaś? W mojej głowie rodzą się pytania, które zapewne nie doczekają się odpowiedzi. Każdy skrywa jakąś tajemnicę, bez wyjątku, wszyscy mamy coś na sumieniu. To może być cokolwiek: czyn, myśl, życzenie, coś, czego nie chcielibyśmy wyjawić przed resztą świata, coś,

czego wstydzimy się nawet przed samymi sobą. Jednak większości z nas nie przeszkadza to w normalnym funkcjonowaniu, ciemna strona nie dominuje w codziennym życiu.

– Ale tato wziął tabletkę pod język i wszystko się unormowało – kończy Alicja.

– Co pani wtedy poczuła?

Milczy przez dłuższą chwilę. Wiem, że nie powie mi prawdy.

– Ucieszyłam się oczywiście. Zrobiłam rodzicom kolację, bo mama była wyjątkowo zmęczona pod koniec dnia i musiała się położyć. A potem przygotowałam sobie rzeczy do pracy na poniedziałek.

A jednak ubiór to jej działka, tym gorzej dla niej. Mówi, że następnego dnia nie mogła się skupić w pracy, że wciąż myślała, jak czuje się ojciec, a w jej oczach widzę znużenie i rezygnację. Wciąż to samo, uwikłana w relacje z rodzicami, zachowuje się, jakby była skrzepowana sznurem do suszenia bielizny, ciasno zaciśniętym na przegubach kostek i nadgarstków, utrudniającym swobodny ruch ciała, a nawet oddech. Najgorsze jednak jest to, że wcale nie stara się z niego wyzwolić, jakby porzuciła całą chęć do życia i nastawiła się tylko na przetrwanie kolejnego dnia, byle do śmierci. Wiem, że nie raz i nie dwa przez głowę pełzła jej myśl, do której nigdy się nie przyzna. Że śmierć rodziców by ją uwolniła.

O jedenastej przychodzi Dominik. Rozmowa z nim jest o wiele prostsza. Opowiada o samotnym tygodniu w Krakowie. Jego dziewczyna pojechała do rodziców na wieś, bo firma, w której pracuje, została zamknięta na czas wizyty papieża. Mówi, że cieszy się na kilka dni w samotności. Czy to źle wróży ich związkowi? Czy Borys też czuje się szczęśliwy, że choć na chwilę się mnie pozbył? Czy dlatego nie zabrał mnie do Petersburga? Chciał pobycć sam? Gdy Dominik wychodzi kilka minut przed czasem, cieszę się, że jest ostatnim klientem. Nie przyłożyłam się dziś do pracy, wiem, ale przez cały

czas nie mogłam przestać myśleć, kim jest ten cholerny nadawca tulipanów. To nieprofesjonalne, wręcz naganne, zdaję sobie z tego sprawę. Chociaż – na szczęście – nikt nie zna moich myśli, czasem wystarczy, że ja je znam.

Wrzucam do torebki notes i komórkę, gdy słyszę ciche pukanie. Na nikogo nie czekam. Unoszę głowę i ze zdziwieniem wpatruję się w kobietę stojącą w drzwiach.

Sankt Petersburg

ANTON

Gabinet jest niewielki, schludny, sprawia wrażenie sterylne. Wpatruję się w dłonie lekarza szybko przebiegające po klawiaturze. Po chwili przenosi wzrok na mnie.

– No dobrze. – Przesuwa okulary na czoło, wyraźnie widzę pozostawione przez nie wgniecenia u nasady jego nosa. – Jak pan się czuje?

– Dobrze.

– Żadnych wymiotów, biegunek, nudności, bóli mięśni? – upewnia się.

– Nic.

– Świetnie. – Kiwa głową. – Badania poziomu wirerii – bierze do ręki kartkę, która leży na stole pomiędzy nami – które ostatnio pan robił, wyszły bardzo dobrze. Wirus jest niewykrywalny w testach laboratoryjnych, co nie oznacza, że nie ma go we krwi – dodaje, żebym się znanadto nie ucieszył. – W pana przypadku farmakologia daje znakomite rezultaty...

– Ale i tak nie mogę się z tego wyleczyć – kończę.

– Znajdujemy coraz to nowsze rozwiązania. Słyszał pan o mutacji delta 32? To niewielka zmiana w DNA, która sprawia, że część ludzi jest odporna na wirusa. Oczywiście pan jej nie ma, bo jest pan zarażony.

Czy on lubi tak się nade mną znęcać?

– Można by dokonać przeszczepu szpiku kostnego od dawcy z tą

mutacją, o ile taki by się znalazł, ale po co? Operacja jest niebezpieczna, kosztowna i uważam, że nie ma sensu podejmować ryzyka, skoro leczenie farmakologiczne przynosi tak doskonałe rezultaty. Ostatnie badania pokazują, że...

– Ile lat mi zostało? – przerywam mu.

Uśmiecha się pobłaźliwie.

– Jestem lekarzem, nie wróżką.

– W przybliżeniu? – naciskam.

– Nie wiem. – Wzrusza ramionami.

Przejeżdża ręką po zupełnie siwym zaroście i spogląda mi w oczy. Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej, zanim złapałeś to gówno. Oczywiście nie mówi tego na głos, ale wiem, że takie właśnie myśli chodzą mu po głowie.

– Jeśli dopisze panu szczęście, to tyle samo, co innym, przeciętnym ludziom z cukrzycą czy chorobą wieńcową. Ci, którzy rano wychodzą z domu, a po południu wpadają pod samochód, są zwykle zupełnie zdrowi. Cóż, koło fortuny. To ono decyduje. – Zwilża językiem spierzchnięte wargi.
– Proszę być dobrej myśli.

Jestem. Bez przerwy. Raz jest lepiej, raz gorzej, ale kryzys mam już za sobą, przynajmniej psychiczny. Przewyciężyłem lęk, przeżyłem samobójstwo, zrozumiałem wartość życia. Chowam receptę do kieszeni i płacę za wizytę. Dwie przecznice dalej wykupuję leki i łapię przejeżdżającą taksówkę. Nie poruszam się środkami komunikacji miejskiej, nie odwiedzam Wołodii, nie wpadam do swojego mieszkania, to zbyt ryzykowne. Życie. To ono jest najważniejsze. Na chwilę zamykam oczy. Zdobyłem leki na najbliższe miesiące, a to jak na moje standardy działanie dość daleko wychodzące w przyszłość. Taksówka wjeżdża w Newski Prospekt, niezliczenie wiele razy przemierzany przeze mnie w deszczu, śniegu i słońcu. Jeszcze kiedyś tu wrócę. Uśmiecham się. Najważniejsze, że wciąż żyję.

Kraków

ELIZA

Zamieram. Jakbym zobaczyła o kilka lat starszą siebie. To niesamowite, jak jesteśmy do siebie podobne. Kręci mi się w głowie, muszę usiąść. Kobieta sukcesu. Modnie podcięte włosy, okulary w czarnych oprawkach i z pozoru niedbale zarzucony na ramiona szal. Ma w sobie coś niezwykłego. Maniery wytwornej damy, szyk i elegancję. Nie wiem, czy chodzi o ubiór, czy może o drogą biżuterię, która od razu rzuca mi się w oczy, ale gdy przekracza próg gabinetu, zaczynam się zastawiać, czego u mnie szuka. Nie pasuje do profilu moich pacjentów. Zbyt pewnym krokiem, do którego nie jestem przyzwyczajona, zbliża się do mnie i wyciąga rękę nad biurkiem. W kilka sekund odwraca dobrze mi znane role.

– Lilianna Skalska – przedstawia się.

– Eliza Orlicka – odwzajemniam uścisk – w czym mogę pomóc?

Jestem pewna, że przyszła w innej sprawie, jest przedstawicielem medycznym, jakimś akwizytorem, pomyliła piętra.

– Byłyśmy umówione na trzynastą – oznajmia.

Ta informacja wprawia mnie w osłupienie.

– Ach tak – kiwam głową – proszę jeszcze chwileczkę zaczekać – mówię, wymownie spoglądając na zegarek, który wskazuje pięć minut do pełnej godziny.

Widzę, że ta prośba jej się nie podoba, ale posłusznie wychodzi na

korytarz, zamykając za sobą drzwi. Biorę do ręki komórkę i loguję się na swoje konto. Rzeczywiście, umówiła się na wizytę przez stronę znanylekarz.pl, ostatnio nie sprawdzałam przychodzącej poczty. Od kilku miesięcy termin wizyty był wolny, długo czekałam, aż ktoś się w końcu pojawi, i dziś ta chwila nadeszła. Podchodzę do drzwi, wychylam się na korytarz i zapraszam moją nową klientkę do środka.

Rozsiada się w fotelu, jakbyśmy się spotkały na kawę, a nie rozmowę o jej kłopotach. Ale może to dobrze. W końcu mam pewną siebie klientkę, przecież jeszcze godzinę temu narzekałam na udzielający mi się lęk, który bije od Alicji. Zastanawiam się, ile ta kobieta może mieć lat i co ją do mnie sprowadza. Nasze podobieństwo jest przerażające.

– Nie potrafię sobie poradzić z przeszłością – znów nietypowo zaczyna jako pierwsza, zanim jeszcze zdążę otworzyć usta.

Nie wiem dlaczego, ale to zdanie budzi we mnie niepokój. Nie ty jedna. Próbuję zagłuszyć wspomnienia, wpatruję się w nią i skupiam na tym, co mówi. Skórzaną torebkę z logo drogiej marki ustawia koło swoich stóp. Dłonie splata w wianuszek i zakłada za kolano.

– Dwa lata temu zostawił mnie mąż.

Na te słowa kiwam głową i pstrykam długopisem.

– Banalnie, dla młodszej. – Zakłada kosmyk włosów za ucho. Bransoletki na jej nadgarstku dźwięczą wesoło. – Prowadziliśmy razem firmę, branża deweloperska – rzuca mi krótkie spojrzenie – nadal jestem jej właścicielką.

No, teraz wiadomo, skąd bierze kasę na te markowe ciuchy i gadżety. Nie żebym ją oceniała, takie przelotne spostrzeżenie.

– Nie potrafię się pogodzić z odrzuceniem – ciągnie, lekko kołysząc nogą, na której spoczywają zaciśnięte dłonie. Turkusowy szal opadający swobodnie na piersi ma na końcach maleńkie dzwoneczki, które przy każdym jej oddechu wydają ledwo słyszalne dźwięki. – Czuję się samotna

i opuszczona. Być może – zerka na mnie zza modnych okularów – sprawiaam zupełnie odmienne wrażenie, ale tak naprawdę jestem inna. Zagubiona, wyalienowana, niepewna własnej wartości? – mówi pytającym tonem, jakby chciała uzyskać ode mnie odpowiedź, który z wymienionych przymiotników najbardziej do niej pasuje.

– Czy ma pani rodzinę? – pytam.

– Nie – kręci głową – moi rodzice już nie żyją.

Nie pytam o dzieci.

– Mam kilkoro dobrych przyjaciół. Jestem dość lubiana – zmienia położenie nóg i tym razem spleta dłonie na lewym kolanie – ale wiadomo, każdy ma swoje sprawy, nie chcę się narzucać.

– Proszę powiedzieć trochę o sobie.

– Mam czterdzieści sześć lat.

Dawałam jej dziesięć mniej. Zdaję sobie sprawę, że moja matka jest tylko kilka lat starsza, ale w porównaniu z nią wygląda jak staruszka.

– Jestem jedynaczką, lubię podróżować – ciągnie – nie wiem, co jeszcze mam powiedzieć. – Wzrusza ramionami. – To moje pierwsze spotkanie z psychoterapeutą, nigdy wcześniej nie byłam w takiej sytuacji – dodaje, patrząc na mnie.

Ma duże oczy o zielonych, cętkowanych na brzegach tęczówkach, podobne do moich. Składam notes, układam ręce na kolanach i wyjaśniam, na czym będą polegać nasze sesje. Trzy pierwsze potraktujemy jako zapoznawcze, przekonamy się, czy do siebie pasujemy. Jeśli zechcemy ze sobą pracować, będziemy kontynuować cotygodniowe wizyty tak długo, jak będzie tego potrzebowała. Kiwa głową, a potem patrząc w przestrzeń za oknem, zaczyna mówić. Kolejne strony mojego notatnika wypełniają się jej historią. Próbuję jej pomóc zacząć od początku, wrócić do najodleglejszych wspomnień, wejść w głąb siebie, odnaleźć ścieżki, którymi dawno nie

chodziła.

Dzieciństwo pamięta mgliście, właściwie nie potrafi sobie przypomnieć niczego, co działo się przed pójściem do szkoły, jakby ten czas w ogóle nie istniał. Jednak wiem, że to nieprawda, tak jak każdy była kiedyś dzieckiem i muszę jej tylko ułatwić powrót do przeszłości, pobudzić reminiscencje. Nasze pierwsze pięćdziesiąt minut mija zadziwiająco szybko, ale piknięcie budzika na moim biurku sprawia, że zbudowana między nami atmosfera zaufania nagle znika, jakby jej nigdy nie było.

Gdy się pochyla, sięgając po portfel do torebki, jej bluzka odsłania kolorowy tatuaż w górnej części lewej piersi. Samotny, porzucony puzzel. Mały kwadracik z wgłębieniem. Taki, jaki robi się z facetem, który na swojej piersi ma męski odpowiednik, z wypustką idealnie pasującą do klocka w wersji żeńskiej. Czy jej mąż nadal nosi taki puzzel? Czy kochanka, która go jej ukradła, kazała mu usunąć ślady przeszłości? Na środku puzzla widnieją napis i data, ale nie udaje mi się ich odczytać, za szybko podnosi z podłogi torebkę, a jej bluzka ponownie przykrywa dekolt. Podaje mi wyliczoną kwotę, a potem wstaje i wychodzi. Jakby urażona, że zegar miał czelność przerwać spotkanie.

Gdy zamyka za sobą drzwi, zalewa mnie uczucie ulgi. To mnie zaskakuje. Nigdy jeszcze się tak nie czułam po pierwszym spotkaniu. Jestem zmęczona jej towarzystwem, chociaż nie poruszyłyśmy żadnych istotnych problemów. Jej dominujący sposób bycia i blask przytłoczyły mnie. Poza tym czuję niewytłumaczalne zagrożenie. Znów stąпам po miękkim gruncie, zapadając się w bagnisty środek siebie.

Po powrocie do domu sprawdzam wszystkie kąty, tak jak miałam w zwyczaju wcześniej, gdy mieszkałam na Lwowskiej. Przez długą chwilę wyglądam na ulicę. Normalny letni dzień. Słońce, tramwaje, samochody, ludzie. Nic niepokojącego. Wpatruję się w okna po przeciwnej stronie ulicy.

Nigdy nie zastanawiałam się, kto tam mieszka, czy za jedną z tych odbijających słońce szyb nie stoi właśnie mój dręczyciel. To chore. Opadam na fotel. Analizuję, selekcjonuję minione zdarzenia, staram się na nowo zdominować przeszłość, która wciąż próbuje grać pierwsze skrzypce w mojej terażniejszości. Ta niezwykle podobna do mnie klientka? Nieoczekiwany bukiet kwiatów? Co się dzieje? Nie podoba mi się to, takie rzeczy nie zdarzają się przypadkowo. Przez moment rozważam, czy nie wyjść na miasto, do kina, na drinka, uczcić urodziny we własnym towarzystwie. Jednak porzucam tę myśl, nie chcę, aby dzisiejszego wieczoru ktoś mnie obserwował. Bo że taki ktoś istnieje, nie mam co do tego wątpliwości.

Wstaję i nerwowo chodzę po pokoju. Próbuję żyć jak miliony ludzi na świecie. Chodzę do pracy, pomagam innym w dochodzeniu do zgody ze sobą, sama staram się ułożyć sobie życie osobiste. Dlaczego los jest dla mnie taki okrutny, dlaczego coś stale burzy mój spokój? Zza ściany dochodzą dźwięki wesołych przyśpiewek. Sąsiad przyjął grupę pielgrzymów z Brazylii. Powinnam się cieszyć, że to taki miły staruszek, zawsze pomocny i życzliwy, a nie Czub z Lwowskiej. Lilianna? Mnóstwo osób jest do siebie podobnych i to niczego nie dowodzi. Otrząsam się ze wspomnień niczym pies po kąpieli w morskiej wodzie i staram się skupić na tym, nad czym mam władzę. Na tu i teraz, na powrocie Borysa, na mojej pracy. Niech szlag trafi nadawcę tulipanów, klnę w myślach, nie mam zamiaru się nim przejmować. Mocno zagryzam wargi. Nie da się oszukać samej siebie.

LILIANA

Patrzyła na mnie z niedowierzaniem. Nasze podobieństwo ją poraziło. A co by było, gdyby się dowiedziała całej prawdy o tobie? Gdybym wyjawiała przed nią tajemnicę, z którą do niej przyszłam? Musiałam zmyślać, więc starałam się trzymać najbliższej prawdy, bo wiem, że to sprawdzona metoda kłamczuchów. Zostawił mnie mąż, a nie ja go zostawiłam, nie pamiętam swojego dzieciństwa, choć tak naprawdę mam bardzo żywe wspomnienia. Świadomie nie chciałam się z nią podzielić pamięcią o czułym ojcu i wspaniałej matce. Nie zasługuje na prawdę o mnie.

Zapalam papierosa i wychodzę na zewnątrz. Widok jest cudny – Wawel na tle zachodzącego słońca. Jednak nie potrafię się nim zachwycić, czuję się podminowana, przemierzam taras wzdłuż i wszerz. Ta dziewczyna działa mi na nerwy. Bezczelnie zerkała na zegarek, jakby chciała się mnie jak najszybciej pozbyć. A potem te ukradkowe spojrzenia na komórkę. Czyżby czekała na wiadomość od ciebie? Opieram się o balustradę i mocno zaciągam papierosem.

Podsumujmy. Co już o niej wiem? W poniedziałki i piątki sesje grupowe na Kopernika, we wtorki Karmelicka, środy najmniej przewidywalne, w czwartki porady w jakiejś fundacji opiekującej się ofiarami przemocy domowej. Co kilka dni basen; mięśnie jej rąk i nóg zdradzają to przy każdym ruchu i geście. Weekendy spędzacie razem, zazwyczaj do południa nie wychodzicie z domu. Doprowadza mnie to do szału. Kocham cię tak mocno, że mogłabym dla ciebie zabić. Gaszę papierosa i wracam do środka.

Otwieram lodówkę i napełniam kieliszek szampanem. Rozsiadam się na sofie, na kolanach otwierając laptopa. Odtwarzam film z jej bratem w roli głównej. Mówi o planach na najbliższy sezon, potem trener chwali jego umiejętności. Daniel jest młodszy od siostry o cztery lata, przystojny, dobrze zbudowany, choć daleko mu do ciebie. Ambitny hokeista. Czy będę mogła to jakoś wykorzystać? Muszę być niezwykle ostrożna. Wystarczy, że raz postąpiłam pochopnie, nie mogę już sobie na to pozwolić.

Dzwoni telefon. Odkładam laptopa i sięgam do torebki.

– Tak, Marek?

– Kraków to żyła złota.

– No, pochwal się. – Uśmiecham się z satysfakcją.

Marek podaje mi suche dane, dawno nie mieliśmy takiego ruchu w interesie, świetnie, lubię dobre wiadomości.

– Możesz już wracać do Warszawy – kończy. – Krakowska ekipa świetnie sobie poradzi bez ciebie.

Tego nie musi mi mówić, mój wkład jest minimalny. Zamiast zająć się biznesem, tracę czas na kozetce tej smarkuli.

– Jeszcze nie mogę – mówię. – Mam do załatwienia pewną sprawę.

– Brzmi ciekawie. Co to?

– Niebawem się przekonasz – obiecuję, uśmiecham się i przerywam połączenie.

28 lipca 2016, Kraków

ELIZA

Siedzę na parapecie z brodą opartą na kolanach i wyglądam przez okno. Szarość kamienicy naprzeciwko jest przytłaczająca. Kiedyś myślałam, że jak spotkam kogoś, z kim będę szczęśliwa, jeśli się naprawdę zakocham, nie będę zauważać takich przyziemnych detali. A jednak. Za chwilę wróci Borys. Wyglądam na ulicę w oczekiwaniu. Postanowiłam nie wspominać o kwiatach. Jeśli zapyta, o wszystkim mu opowiem, jednak sama nie będę zaczynać tego tematu. Nie chcę snuć domysłów. Wiem, że mogłabym go tym do siebie zniechęcić.

Wczoraj znów dzwoniła do mnie mama, peanom na cześć Borysa nie było końca. Przystojny, elegancki, szarmancki, jakbym tego nie wiedziała. Dziwię się Alicji, a sama nie potrafię wyznaczać granic w relacjach z matką. Jej ciągła kontrola, nakierowany na mnie radar podejrzliwości są nie do zniesienia. Nieraz już myślałam o tym, żeby skończyć z pozorami, powiedzieć jej, że mam dość, że jestem dorosła, to moje życie. Niech w końcu zajmie się swoim, sprawi sobie psa albo kota, coś, czym mogłaby się opiekować i co mogłaby stale kontrolować. Oczywiście nie zrobię tego. Posłusznie odbieram od niej telefony, wysłuchuję rad i odwiedzam rodziców na każdą jej prośbę. Nie opuszczam żadnych urodzin ani imienin, jestem w każde święta. Czy to potrzeba odwdzięczenia się za wychowanie, opiekę, opłacenie wykształcenia? Sama nie wiem, dlaczego to robię.

Przechodziłam kilka psychoterapii, ale nigdy nie dobiełam do końca. Zawsze zatrzymywałam się w jednym punkcie, którego nie potrafiłam przeskoczyć. W końcu doszłam do wniosku, że sama będę dla siebie najlepszym terapeutą. A jednak szewc bez butów chodzi. Samodzielna praca nad sobą jest znacznie bardziej skomplikowana, a szeroka wiedza psychologa wbrew pozorom utrudnia trafne zdiagnozowanie samego siebie. Może powinnam znów poszukać jakiegoś terapeuty? Ale jak mam komuś zaufać, jeśli nie ufam samej sobie?

Jest już po osiemnastej, gdy słyszę dźwięk przekręcanej klucza. Właśnie kroję pomidory do sałatki.

– Wróciłem! – krzyczy Borys od progu.

Odwracam się do niego. Zostawia walizkę w kącie i podchodzi do mnie.

– Cześć! – Całuje mnie w czubek głowy.

Tęsknił za mną równie mocno jak ja za nim. Sycę się jego widokiem i uśmiecham się szeroko. Jest nieogolony, ale dobrze mu z tym.

– Muszę wziąć prysznic – mówi.

Zdejmuje spodnie i koszulę, zamyka za sobą drzwi do łazienki. Zastanawiam się, czy to odpowiedni moment, by sprawdzić, co ukrywa na dnie kieszeni džinsów, które przerzucił przez oparcie krzesła.

Nadal nie udało mi się dowiedzieć, jakie przyjmuje leki, choć Sylwia nie daje za wygraną i wciąż draży temat. Kiedy pewnej nocy zaczęłam przeszukiwać jego spodnie, momentalnie się obudził.

– Co robisz? – Usiadł na łóżku.

Przestraszyłam się, nie miałam nic na swoje usprawiedliwienie. Złapana na gorącym uczynku, mogłam tylko kłamać.

– Szukam twojej aspiryny, pęka mi głowa – oznajmiłam, starając się sprawiać wrażenie zbolalej.

Wstał i wyrwał mi spodnie z ręki.

– Nigdy więcej tego nie rób. Nie życzę sobie, żebyś grzebała w moich rzeczach.

– Boże – podniosłam głos – przepraszam. Nie sądziłam, że masz tam coś do ukrycia!

Myślałam, że w ten sposób odwrócę sytuację, sprawię, że zacznie zaprzeczać i przepraszać. Jednak on bez słowa zniknął za drzwiami łazienki. Po chwili wrócił ze szklanką wody i tabletką.

– Co to? – zapytałam.

– Aspiryna – odparł. – Chyba tego szukałaś?

Jego spojrzenie było stanowcze. Wzięłam tabletkę do ręki, ale bałam się ją włożyć do ust. Podejrzenia Sylwii zasiały ziarno niepewności. Nie mogłam poprosić, aby pokazał mi blister, z którego wycisnął białą pigułkę. Wiedziałam, że rozpętałabym tym awanturę. Bałam się jednak łyknąć coś, czego nie byłam pewna. Nie spuszczał ze mnie wzroku. Włożyłam tabletkę pod język i udałam, że popijam ją wodą. Gdy tylko przestał na mnie patrzeć, wyplułam ją do ręki i ukryłam pod materacem. Rano rzeczywiście znalazłam leżący na szafce pod lustrem blister aspiryny z jednym pustym miejscem po proszku. Tabletki miały taki sam kształt jak ta, którą podał mi wcześniej Borys. Niepotrzebnie się niepokoiłam. Jednak blister był nowy i wydawało mi się, że leki, które on codziennie łyka, wyglądają inaczej.

Po kilkunastu minutach wychodzi z łazienki. Podchodzi do mnie i obejmuje od tyłu. Gdy całuje mnie w kark, cała drżę. Niepotrzebnie o tym teraz myślę. Sylwia jest panikarą, podejrzliwą katastrofistką, największym cykorem świata. Czuję zapach migdałowego szamponu, którym umył włosy, tak bardzo za nim tęskniłam przez tych kilka dni. Odwracam się do niego, a on podnosi mnie, sadza na blacie i językiem rozchyła moje usta. Mam to, czego chciałam, jestem w grze, i to jakiej. Borys jest najprzystojniejszym z moich chłopaków, najbardziej niezwykłym, zagadkowym, we wszystkim

naj.

– Drżysz – zauważa.

Wtulam się w niego. Jest cudownie ciepły. Nachyla się i mnie całuje. Znów jest mi dobrze, znów nie myślę, nie analizuję, nie roztrząsam tego, co mnie niepokoi i drażni. Na chwilę odklejamy się od siebie.

– Co to będzie? – pyta, wskazując ruchem głowy pomidory.

– Sałatka – zeskakuję na podłogę i chwytam nóż w rękę – daj mi dwie minuty.

Otwiera szafkę, wyjmuje dwa kieliszki i płucze je nad zlewem. Z barku wyciąga butelkę rosyjskiego szampana. Przekładam pomidory do miski i polewam sosem balsamicznym. Borys wręcza mi do połowy wypełniony kieliszek. Siadam przy stole, a on podchodzi do komody. Obserwuję, jak przeciąga przez głowę biały T-shirt, nieśpieszne ruchy, rozbudowane ramiona, idealna sylwetka. Tak długo czekałam, tych kilka dni jego nieobecności ciągnęło się w nieskończoność. Przypominam sobie wszystkie weekendy od rozstania z Robertem, w czasie których samotność była moim najgorszym wrogiem, i cieszę się, że ten etap mam już za sobą. Nie pozwolę, aby Sylwia obrzydziła mi Borysa, rzucała na niego podejrzenia, winiła bez podstaw. Czuję się przy nim bezpiecznie, a ona go nie zna.

Borys wraca do kuchni i siada po przeciwnej stronie stołu. Jemy, opowiada o podróżach, o koncertach, o nowej trasie, którą planują na jesień. Rozkoszuję się jego obecnością. Czuję, że z każdym kolejnym łykiem alkoholu dochodzę do siebie. Ach, te ekscytujące początki, fascynacja i pożądanie, nie chcę, żeby to minęło. Nie pozwolę, żeby ktoś mi to zabrał albo popsuł. Borys się śmieje, wtrąca coś po rosyjsku, uwielbiam, jak to robi. Cieszę się świadomością, że mogę do niego podejść i go dotknąć, pocałować, kochać się z nim, kiedy tylko mam na to ochotę. On nigdy nie odmawia, zresztą rzadko który facet to robi. Nie jest kimś obcym, nieznanym, do

kogo nie mam prawa. Nie muszę używać wyobraźni, żeby być z nim na kolacji, spacerze czy w łóżku, to moja rzeczywistość. To właśnie się teraz dzieje, ten przystojny facet jest mój.

Odstawiam kieliszek na stolik i wstaję. Mierzmy się wzrokiem, w jego oczach widzę niepewność. Dlaczego mi się tak przyglądasz?, odczytuję jego nieme pytanie. Pragnę cię tak mocno, że nie potrafię nad tym zapanować, tylko tyle. Chciałabym to powiedzieć, ale bez słowa podchodzę do niego i siadam mu okrakiem na kolanach. Obejmuję dłońmi jego twarz, gładzę kości policzkowe, na których nie ma już śladu wcześniejszego zarostu, przywieram wargami do jego ust. Reaguje natychmiast. Chwyta mnie w pasie, a ja oplatom nogami jego biodra. Całujemy się. Dotyk jego włosów pod moimi palcami, smak jego skóry, nie mogę się powstrzymać i gryzę go w usta. Za mocno, syczy z bólu. Odchylam głowę, widzę krew w kąciku jego warg. Wycieram ją palcem.

– Przepraszam – szepczę mu do ucha.

Przykłada do rany palec, a potem zasysa wargę i kilkakrotnie przejeżdża po niej zębami. Patrzy na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, musiało go zboleć. Chwyta mnie i podnosi. Jego muskularne ramię napina się, gdy rzuca mnie na łóżko. Serce bije mi szybko, przez jedną krótką chwilę się go boję, ale gdy się do niego uśmiecham, a on odpowiada mi tym samym, niepokój znika. Chwilę turlamy się w objęciach. Założona kilka minut wcześniej biała koszulka ląduje na ziemi, potem pozbywamy się reszty ubrań. Jego ciało jest ciepłe, oddech szybki, a mnie kręci się w głowie, szampan zrobił swoje. Daję wolne swojej wyobraźni. Umiejętności i pomysłowość Borysa pod każdym względem przewyższają możliwości mojej imaginacji. Ściskam palcami kołdrę i oddaję mu się. Uwielbiam ten stan, gdy staję się zabawką jego podniecenia.

Kiedy się budzę, na zewnątrz jest ciemno. Nie wiem, jak długo spałam.

Serce bije mi jak szalone. Siadam na łóżku i wyrównuję oddech. Przez odsłonięte żaluzje widzę sierp księżyca. Cieniutki paseczek, ostry niczym brzytwa, to znak, że za kilka dni będzie nów. Ręka Borysa spoczywa na moim nagim udzie. Wyplątuje się z jego uścisku i idę do toalety. Wracając, staję na chwilę w oknie. Na skwerku po przeciwnej stronie ulicy awanturuje się grupka młodzieży. Potracają się i coś do siebie krzyczą. Nie słyszę słów, jedynie stłumione dźwięki poparte gwałtownymi gestami. Ludzka agresja budzi we mnie rozdrażnienie. Przyglądam się temu przez moment i wracam do łóżka. Borys śpi zwrócony głową do okna. Księżyc oświetla jego kształtną głowę, ciemne rzęsy i zmysłowe usta. Staram się zapamiętać każdy najmniejszy detal jego twarzy. Wiem, że będę ten obraz odtwarzać w nieskończoność, gdy znów wyjedzie, zostawiając mnie na kilka dni samą. Delikatnie dotykam jego policzka, a potem gładzę czarne włosy na skroniach. Na jego wardze dostrzegam zakrzepłą krew, ślad po moim ugryzieniu. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Przejeżdżam palcem po gładkich kościach policzkowych i nagle jego oczy się otwierają. Zupełnie jak u jakiejś lalki: kłap i już na mnie patrzy.

– Boże, co ty robisz? – Podnosi się na ręce i cofa głowę. – Przerażasz mnie.

Na jego twarzy widzę autentyczny lęk.

– Nie chciałam cię przestraszyć – mówię.

– Nie rób tego więcej. – Siada.

– Czego?

– Nie patrz na mnie w ten sposób!

– W jaki?

– Nie wiem – stwierdza i wychodzi spod kołdry. – Jakbyś chciała mi coś zrobić!

Jest nagi. Chociaż mnie o to prosił, nie odwracam wzroku. Mrużę oczy

i patrzę, jak idzie w stronę łazienki. Gdy wraca, ma na sobie krótkie spodenki. Schyla się po T-shirt rzucony w nogach łóżka. Wciąż mu się przyglądam, nic na to nie poradzę, że tak bardzo się za nim stęskniłam. Zastyga z koszulką w ręce i pyta:

– Co?

– Nic – wzruszam ramionami – tylko jesteś taki piękny. – Śmieję się.

– Za dużo wypiałś – komentuje i wchodzi do kuchni.

Słyszę, jak otwiera lodówkę i odkręca butelkę wody. Może rzeczywiście przesadzam, ale to on doprowadza mnie do szaleństwa.

29 lipca 2016, Kraków

ANTON

Nie lubię nieprzewidywalnych kobiet, a ona właśnie taka jest. Zagadkowa, to dobre określenie. Czasami bezbronna i rozdygotana, innym razem agresywna i władcza. Wczoraj mnie ugryzła, wariatka. Rozumiem te wszystkie kobiece burze hormonów i huśtawki nastrojów, ale żeby od razu haratać komuś wargę do krwi? Tłumaczyła, że tak bardzo ją podniecam, że nie potrafi nad sobą zapanować, że jestem cholernie pociągający. Miło to słyszeć, ale nie za taką cenę. Zbyt wysoka stawka, zbyt duże ryzyko. Seks z nią jest naprawdę przyjemny, ale ma w sobie coś, czego nie znoszę. Nie wiem, jak to nazwać, ale po dłuższym czasie męczy mnie jej towarzystwo. Przestaję jej słuchać, wyjmuję gitarę albo idę pobiegać nad Wisłę. Gdyby tylko mogła, przywiązałaby mnie do siebie. Nie lubi, jak chcę pobyć sam. To ten typ kobiet-bluszczów, oplatających się wokół faceta tak ciasno, że tracą oddech. Trzeba uważać, żeby nie dać się zadusić.

Rano zadała mi dziwne pytanie. Czy żałuję czegoś ze swojej przeszłości? Przez moment myślałem, że może mnie przejrzała, domyśliła się wszystkiego, w jakiś sposób się zdradziłem lub, co gorsza, ktoś mnie zdemaskował. Jednak, na szczęście, chodziło jej chyba o samą siebie. Ma tendencje do zasypywania mnie pytaniami egzystencjalnymi.

– Po prostu czasem trudno pogodzić się z czymś, czego nie możemy już zmienić – stwierdziła.

Mnie to mówisz?, pomyślałem.

– Z czym nie możesz się pogodzić?

– Nie chodzi o mnie, tylko o jedną z moich klientek. – Spojrzała na mnie dziwnie.

– Starą Pannę? – zapytałem.

Czasem mówi o osobach, z którymi się spotyka. Niby etyka zawodowa i tak dalej, a jednak nie może się powstrzymać. Kilka razy wspomniała o jakimś dziwolągu, czterdziestolatce wciąż trzymającej się maminej spódnicy. Domyśliłem się, że musi chodzić o aseksualną kobietę w zdeptanych butach, którą kiedyś spotkałem przed jej gabinetem. Dla niepoznaki nazywa ją Starą Panną, jakbym naprawdę mógł się zainteresować jej prawdziwą tożsamością.

– Nie, taką nową, Annę.

Pokiwałem głową. Historie jej pacjentów mnie nie interesowały, znów poczułem, że moja przestrzeń się zacieśnia.

– Jest kompletnie zdominowana przez przeszłość. – Oparła głowę o zagłówek łóżka.

Wziąłem do ręki gitarę.

– Dziwnie się zachowuje – nadal próbowała zainteresować mnie rozmową.

– Chyba nikt normalny nie przychodzi na terapię, powinnaś się przyzwyczać. – Miałem nadzieję, że ją tym rozbawię, jednak ona chyba nie zrozumiała żartu.

– Nie wiem, czy zdecydować się na prowadzenie jej terapii – ciągnęła, patrząc w sufit.

– Jeśli nie chcesz, to zrezygnuj.

– Ale przecież nie mogę tak po prostu jej zostawić. – Spojrzała na mnie,

gotowa na dalszą dyskusję.

– Wszystko możesz – pierwsze szarpnięcia strun – i proszę, nie przynoś pracy do domu. – Posłałem jej wymuszony uśmiech.

Niczego więcej nie pragnąłem, jak tylko oddać się muzyce. Jest czymś, co naprawdę uwielbiam, odpręża mnie i relaksuje. To moja najlepsza i najwierniejsza kochanka. Palce uderzały w struny, Eliza przestała mówić i po krótkiej chwili udzielił jej się nastrój granej przeze mnie wesołej melodii. Najważniejsze, że wciąż niczego nie podejrzewa, więc jestem w stanie znieść jej dziwaczne zachowania i wymysły do czasu, aż będzie to konieczne. Ale powoli dochodzę do wniosku, że jej piękna buźka to zdecydowanie za mało. Pomyliłem się, najwyraźniej trzeba było wybrać inny numer. Żałuję, że zatrzymałem się na trójce.

3 sierpnia 2016, Kraków

ELIZA

Barki i statki pełne turystów spokojnie suną po Wiśle, gdy powolnym krokiem wracam z basenu. Letnia sukienka w kolorowe kwiaty klei mi się do skóry, papierowa torba z zakupami ciąży i choć kilkanaście minut temu wyszłam z wody, marzę o prysznicu. Od rana mam w uszach melodię, którą Borys ćwiczył od świtu. Odnoszę wrażenie, że muzyka, którą wprowadza do mojego życia, jest brakującym elementem całości. W moim domu rodzinnym była rzadkością, a dzięki Borysowi staje się codziennością. Jego palce szarpiące struny, zamknięte oczy, wciąż nie potrafię się nacieszyć jego obecnością. Wydaje mi się, że grając, daje mi dostęp do najodleglejszych zakątków swojego świata.

Przechodzę przez przejście dla pieszych i zerkam do góry. Okna w mieszkaniu są zamknięte, to znak, że Borysa jeszcze nie ma. Zegar na przystanku tramwajowym wskazuje piętnastą dwadzieścia, wróci z próby lada chwila, jednak powinnam zdążyć przygotować jego ulubioną sałatkę z pstrągiem.

Tak bardzo boję się go stracić. Ostatnio wyraźnie oddaliśmy się od siebie. Wiem, że dużo w tym mojej winy. Niedorzeczność podejrzeń, które zamieszkały w mojej głowie, dorównuje gęstości zaludnienia Makao. Przestałam odbierać telefony od Sylwii, nie chcę, aby do końca wszystko popsuła. Otwieram drzwi kamienicy i wchodzę do przestronnego hallu. Przez

kolorowe witraże w oknie od podwórza wpadają niebieskie promienie słońca. Uwielbiam krakowską secesję. Odruchowo zerkam do skrzynki pocztowej, to mój niekontrolowany nawyk. Zauważam białą kopertę, ale wiem, że list nie jest do mnie. Na nic nie czekam, nikt nie zna mojego nowego adresu, otwieram jednak skrytkę w przekonaniu, że to korespondencja do wcześniejszego lokatora. Przekażę ją właścicielowi, gdy tylko spotkam się z nim pod koniec miesiąca. Wyjmuję kopertę, jest niezaadresowana. Co więcej, nikt nawet nie zadał sobie trudu, żeby ją zakleić. Odchyłam trójkątny rożek i na podłogę wypada mały kartonik. Jest pusty, zupełnie biały, podobny do tych, na które nawinięte są rajstopy zapakowane w fabryce w odległych Chinach. Kucam, podnoszę kartkę z ziemi i odwracam. „SUKA, SUKA, SUKA”. Trzy identycznie brzmiące słowa, zapisane czarnym flamastrem. Chowam list do kieszeni, jakbym się wstydziła, że ktoś może go zobaczyć, i biegnę po schodach na górę, nie zważając na papierową torbę objającą mi łydki.

Borys wchodzi do domu kilka minut po mnie. Gwiżdże pod nosem jakąś skoczną melodię; nie znam jej, ale denerwuje mnie jej brzmienie. Zamknęłam się w łazience i nie mam zamiaru wyjść do czasu, aż dojdę do siebie. Siedzę na brzegu wanny i trzęsę się ze strachu. Po raz setny czytam trzy obrażające mnie słowa i nie wiem, co mam myśleć. Mój prześladowca powrócił, zajęło mu to ponad dwa miesiące, ale w końcu trafił na mój ślad i odnalazł moje nowe mieszkanie. Nikt oprócz mnie, Borysa, Pauliny, mojego brata i rodziców nie wiedział, że przeprowadziliśmy się na Zwierzyńcecką. Nikt obcy, oprócz nadawcy listu. Czy to ta sama osoba, która wysłała mi tulipany? A może to tylko głupi żart dzieci sąsiadów, nic nieznaczący, niemający związku z kwiatami ani tym, co działo się na wiosnę? Czy gdyby wcześniej nic mnie nie zaniepokoiło, martwiłabym się jakąś idiotyczną kartką? Oczywiście, że nie. Wyrzuciłabym ją do kosza na dole i nie zwracała sobie

nią głowy. Tak, na pewno tak bym zrobiła. Nerwowo chodzę po łazience, nie jest duża, duszę się w niej. Słyszę, jak Borys otwiera lodówkę, pewnie jest głodny. Sałata i ryba leżą nietknięte w papierowej torbie, którą rzuciłam na blat stołu.

– Eliza! – woła. – Pójdziemy coś zjeść?

A może to on? Nie, to niedorzeczne. Dlaczego to miałyby być on? A dlaczego nie? Przecież tak naprawdę go nie znam, w głowie pulsują mi słowa Sylwii.

– Liza, co jest? – Podchodzi do drzwi. – Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz?

Milczę, choć w mojej głowie rodzi się długa lista pytań i wątpliwości. Kto to zrobił, dlaczego, o co w tym wszystkim chodzi? Borys szarpie za klamkę.

– Jesteś tam?

Czy powinnam się go bać? Czy może mi zrobić coś złego? Moja chora wyobraźnia podsuwa mi najbardziej krwawe obrazy, zbrodnię z premedytacją, niemal widzę własną krew na jasnych płytkach podłogi.

– Martwię się, otwórz!

On się po prostu martwi, powtarzam sobie. Zachowuję się nietypowo, zamknęłam się i milczę, czy to dziwne, że się o mnie niepokoi? Na jego miejscu robiłabym to samo, czyli szarpałabym w tym momencie za klamkę.

– Biorę kąpiel! – krzyczę, odkręcając niebieski kurek. – Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie, za chwilę wyjdę! – przekrzykuję strumień wody.

– W porządku, przepraszam – jego głos się oddala, zapewne wrócił do kuchni.

Woda w dalszym ciągu uderza w emaliowaną powłokę wanny. Chciałabym, żeby ten huk zagłuszył mój niepokój. Jednak on z każdą

sekundą rośnie i przepelnia mnie jak woda wannę. Kiedy to się wreszcie skończy? Zaczynam płakać. Wiję się w rozpacz na zimnej podłodze, zalewając się łzami.

– Muszę do toalety. – Borys po raz kolejny stuka do drzwi.

Nie wiem, czy mówi prawdę, czy tylko chce mnie sprawdzić, ale wiem, że muszę się wziąć w garść i wyjść z łazienki. Podnoszę się z podłogi. Woda w wannie jest już na trzech czwartych wysokości. Zakręcam kurek i wyciągam zawór odpływu.

– Chwila! – krzyczę.

Spoglądam na swoje odbicie w lustrze. Widać, że płakałam. Przemywam oczy strumieniem wody, jak dobrze, że rano nie pomalowałam rzęs. Zawijam suche włosy w turban, zdejmuję ubranie i wpycham je do kosza z brudną bielizną. Zrzucam na siebie szlafrok, list chowam na dnie kosmetyczki i otwieram drzwi do łazienki.

– Przepraszam, że ci przeszkodziłem – sumituje się Borys – ale naprawdę muszę. – Zerka na mnie badawczo.

Wchodzę do kuchni. Słyszę, jak jego mocz wypełnia sedes, chyba cały pion to słyszy. Próbuję zachowywać się normalnie. Wyrównuję oddech, obrywam kulkę winogrona od kiści, zaciskam pasek szlafroka. Borys nie powinien się dowiedzieć o liście, to mogłoby zaszkodzić naszemu związkowi i przyszłości. Nikt się nie dowie o tej dziwacznej przesyłce. Marzę, by skończył sikać, abym mogła wrócić do łazienki i spuścić list w kanalizacji.

Nagle słyszę jego kroki.

– W co ty, do cholery, się ze mną bawisz?

Jest wściekły, jeszcze go takim nie widziałam.

– Słucham?

– Dlaczego mnie okłamujesz?

– Okłamuję? – Słowa grzęzną mi w krtani, myśli pędzą bezładnie.

Wpatruje się w moją twarz. Podnosi rękę i przez ułamek sekundy mam wrażenie, że chce mnie uderzyć. Zdzielić po głowie, ukarać za kłamstwo. Jednak on chwyta za turban i zdiera mi ręcznik z włosów.

– Nie kąpałaś się! – wrzeszczy. – W łazience nie ma pary, wszystkie ręczniki są złożone w kostkę, włosy masz suche – wymienia. – W co ty, kurwa, grasz?

Boję się go. Robię kilka kroków do tyłu i opieram się plecami o parapet. Jego spostrzegawczość mnie przeraża. Jestem pewna, że żaden inny facet nie połączyłby tych elementów w całość, nie skojarzyłby faktów. Kim on jest? Agentem wywiadu? A może wszyscy Rosjanie są tacy przenikliwi? Jego oczy przeszywają mnie na wylot, mam wrażenie, że mają moc prześwietlania moich myśli i właśnie teraz zaglądają do najdalszych zakamarków mojej świadomości. Do tych, do których nie zaglądał nikt inny, o których istnieniu ja sama chciałabym zapomnieć. Mam wrażenie, że za chwilę coś mi zrobi. Nerwowo zaciska szczękę i wpatruje się we mnie z nienawiścią. Czy mogłam się co do niego pomylić? Czy może mi zagrażać, czy znów popadam w obsesję? Nagle odwraca się i kieruje w stronę drzwi.

– Gdzie idziesz?! – wołam.

Chce mi się płakać, przez swoje głupie zachowanie mogę go stracić. Wiem, że jak wyjdzie, już nigdy go nie odzyskam.

– Borys, zaczekaj!

Jakby mnie nie słyszał, kuca i zaczyna zawiązywać sznurówki.

– Przepraszam – podbiegam do niego – wytłumaczę ci to.

Spogląda na mnie, po raz pierwszy to on musi zadzierać głowę, by spojrzeć mi w oczy. Czuję, jak po policzkach płyną mi łzy. Nie wiem, co mu powiedzieć. Nie chcę wyjść na wariatkę, nie mogę pokazać mu listu, powiedzieć, że na wiosnę ktoś mnie śledził, opowiedzieć o swojej przeszłości.

– Słucham. – Podnosi się z kolan.

Nie mogę też pozwolić, aby odszedł. Chociaż to świeża znajomość, Borys jest całym moim światem. Wiem, że muszę mu powiedzieć prawdę. Z kimś takim, obdarzonym inteligencją agenta wywiadu, nie warto pogrywać. Wymijam go i wchodzę do łazienki. Cieszę się, że nie spuściłam listu w toalecie, nie miałabym teraz żadnych dowodów. Otwieram kosmetyczkę i gdy się odwracam z listem w dłoni, on już stoi w drzwiach. Wzdrygam się, porusza się bezszelestnie jak kot. Myślałam, że zaczeka w przedpokoju i będę miała więcej czasu na przemyślenie tego, co powinnam mu wyjawić.

– Znalazłam to na dole w skrzynce. – Wręczam mu kopertę.

Nieruchomieje. Widzę autentyczny niepokój na jego twarzy.

– Co to? – pyta.

– Otwórz.

Posyła mi szybkie spojrzenie i zagląda do środka, a potem wybucha śmiechem. Widzę, jak jego twarz się rozluźnia, emocje opadają.

– Nie rozumiem, co cię tak bawi – mówię. – Nie widzę w tym nic śmiesznego!

Jestem wściekła. Czyżby bawiło go, że ktoś mnie w ten sposób obraża?

– I to cię tak wytrąciło z równowagi?

Kiwam głową. Wytrąciło z równowagi, a raczej doprowadziło do trzęsienia ziemi pod moimi stopami, skotłowało moje brudne wspomnienia jak nieświeże ubrania w pralce.

– Liza – robi krok w moją stronę i obejmuje mnie ramieniem – to jakiś głupi żart, kretyński dowcip.

– A kwiaty?

– Jakie kwiaty?

– Ktoś przysłał mi bukiet tulipanów, mówiłam ci, w urodziny –

wyjaśniam. W końcu nadszedł odpowiedni moment, by mu o tym przypomnieć.

– Nie widzę ich – stwierdza, rozglądając się po pomieszczeniu.

– Bo ich nie przyjąłem, oddałem je kurierowi.

– No to po sprawie – mówi i prowadzi mnie delikatnie do pokoju.

– Jak to po sprawie? – Wpatruję się w niego. – Nie oczekiwałam od nikogo kwiatów.

– Może masz jakiegoś cichego wielbiciela. – Uśmiecha się, unosząc brwi.

– Może to twój były, pacjent, sąsiad – wymienia, siadając na łóżku. – Nie tylko mnie oczarowałaś.

– Przestań – rzucam.

Milknie. Nie mogę sobie pozwolić na takie zachowanie, nie mogę go teraz stracić, muszę mu ufać, tylko to mi pozostało.

– Przepraszam – mówię. – Mam teraz trudny czas.

Zupełnie jak Alicja wpatruję się w czubki swoich palców u nóg i rozważam, czy powiedzieć mu prawdę. Wreszcie unoszę głowę.

– Nie mówiłam ci tego, ale odnoszę wrażenie, że ktoś mnie śledził.

– Słucham? – Spogląda na mnie podejrzliwie. Jego czarne oczy wbijają się we mnie, jest w tym swoim zaniepokojeniu do bólu przystojny.

– Nie teraz, na wiosnę – precyzuję, chodząc nerwowo po pokoju. – Ktoś za mną chodził, robił zdjęcia z ukrycia, czekał pod domem, gdy wracałam wieczorami – relacjonuję.

Borys się prostuje. Już wiem, że niepotrzebnie zaczynałam ten temat.

– Dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz? – pyta.

– Bo wtedy cię nie znałam – stwierdzam fakt, który dla niego, jak widać, nie jest oczywisty. – A poza tym myślałam, że to mój były sąsiad z Lwowskiej, ale teraz nie jestem już tego taka pewna. – Łzy napływają mi

do oczu. – Nie mogłam ci powiedzieć, nie chciałam, żebyś wziął mnie za wariatkę.

– Wariatkę?

– Po prostu nie opowiada się takich historii nowo poznanemu facetowi, który na dodatek się podoba. Nie sądzisz? – Spoglądam na niego.

– Wiesz, kto to był?

– Nie wiem. – Kręcę głową.

– A kogoś podejrzewasz?

– Nie, raczej nie.

Podejrzewałam Mariusza Nowaka, ale przecież teraz to nie może być on. Poszukiwania wciąż trwają. Znowu pojawiły się informacje na przystankach i słupach ogłoszeniowych. Nie mogę na nie patrzeć, jego twarz na ogłoszeniu jest przerażająca, rodzina mogła wybrać lepsze zdjęcie.

– Opowiedz mi o tym. – W spojrzeniu Borysa widzę niepokój.

Siadamy na sofie. Mówię mu o zdjęciach, kinie, czarnym SUV-ie, o tym, jak zastawiałam pułapki, ale nikogo nie udało mi się w nie złapać. Pomijam kwestię nagrań z Lwowskiej, sprawę wyjaśnił Daniel, to zamknięty rozdział. Borys siedzi nieruchomo, patrząc w przestrzeń za oknem. Jego wzrok zawisł gdzieś na wysokości wierzchołków drzew, nad małym skwerkiem nieopodal naszej kamienicy. Widzę, że ta wiadomość go zaniepokoiła. Wzrusza mnie, że się o mnie martwi.

– Mówiłaś o tym komuś? – Przygląda mi się badawczo.

– Nie – znowu kręcę głową – niby komu miałabym mówić?

Kładzie rękę na moim kolanie. Duże, mocne dłonie, a tak fantastycznie szybkie i bezbłędne w grze na gitarze i w seksie. Niewiarygodne.

– Borys – szepczę, pochylając się w jego stronę. – Obawiam się, że on wrócił.

– Kto?

– Mój prześladowca.

Patrzy na mnie, wyraz jego twarzy jest nieodgadniony. Czy bierze mnie za psychopatkę, wyobrażającą sobie niestworzone rzeczy na temat cichego wielbiciela? Niepoparte żadnymi dowodami śledzenie, kwiaty, których nigdy nie widział? Czy myśli, że oszalałam?

– Borys, wierzysz mi, prawda? – Kładę rękę na jego wielkiej dłoni.

Patrzy na mnie, ale nie odpowiada, jakby myślami był już gdzie indziej.

– Borys – zaciskam rękę na jego nadgarstku – ktoś najpierw mnie śledził, robił zdjęcia, wysłał mi kwiaty, a teraz wyzwiał od suk.

– Niemożliwe. – Teraz on kręci głową.

– Nie wierzysz mi?

– Nie wiem! – Wyrywa dłonie z mojego uścisku i zaczyna energicznie pocierać skronie palcami. – Ale to wszystko, o czym mówisz, jest takie dziwne. Przyznaj sama, że to się nie trzyma kupy.

– Wiem. Ale nikt nie wie, gdzie mieszkamy, nikomu nie podawałam tego adresu. Zresztą tak samo jak tamtego na Lwowskiej. Wciąż posługuję się adresem zameldowania, czyli mieszkania po rodzicach. W bibliotece, w przychodni, wszędzie – wymieniam. – Znalazł mnie na Lwowskiej, przychodził pod mój dom, a potem mu uciekłam. Trzy miesiące zajęło mu, zanim znowu mnie odnalazł, chyba nawet krócej, bo kiedyś szedł za nami z klubu.

– Co? – Borys spogląda na mnie.

Opowiadam mu o pewnej sytuacji z czerwca. Grał jeden z koncertów na Sławkowskiej, przyszło na niego wielu fanów, Daniel, znajomi znajomych i wtedy, w tej zatłoczonej sali znów to poczułam, przeszywający mnie czyjś wzrok. Wiedziałam, że to niemożliwe, znów coś sobie ubzdurałam i pora zapanować nad wyobraźnią. Spojrzałam na Borysa. Niczego nie wyczuł,

śmiał się, żartował, wszyscy byliśmy już mocno wstawieni. A potem, gdy pieszo wracaliśmy do domu, wrażenie wróciło. Obejrzałam się. Jakaś postać idąca w głębi ulicy zatrzymała się gwałtownie. Przypadek czy ktoś znów zaczął zabawę w kotka i myszkę? Postać stała daleko, było ciemno, ale wyraźnie widziałam żarzący się papieros. Pociągnęłam rozbawionego Borysa na drugą stronę ulicy. Ścisnęłam go mocno za rękę i naprawdę trudno było mi zapanować nad jego rozchwianym krokiem i dobrym humorem. Po przebyciu kilku metrów obejrzałam się. Ogarek znów znajdował się po naszej stronie jezdni. To żaden dowód, wiem, ale specjalnie co chwilę skręcałam w kolejną uliczkę i sprawdzałam, czy wciąż mamy ogon. Papieros dawno zgasł, ale postać ciągle była obecna. Drobną i kruchą, więc pomyślałam, że to chyba kobieta. To mnie uspokoiło.

Gdy doszliśmy do domu, Borys prawie zasnął w przedpokoju, a ja po ciemku podeszłam do okna. We wnęce przeciwległej kamienicy znów zauważyłam tłący się malutki punkcik. Raz mocniej, raz słabiej, raz u góry, raz u dołu, ale ewidentnie ktoś tam stał. Oczywiście mógł to być sąsiad z naprzeciwka, który właśnie wyskoczył z domu na dymka, żeby nie zatruwać dzieci, ale mógł to być też ten ktoś, kto szedł za nami od samego klubu.

– O czym ty mówisz?! – Borys unosi głos.

– Byłeś wtedy pijany.

– Nigdy nie jestem pijany na tyle, aby nie powiedzieć mi o czymś tak istotnym! – krzyczy, znów jest wściekły jak kilka minut wcześniej, znów się go boję.

Skubię nerwowo róg koca, którym przykryłam nogi. Nie lubię, jak patrzy na mnie w ten sposób.

– Nikt nas nigdy nie śledził – mówi. – Zauważyłbym to. Eliza, uwierz mi, to wszystko ci się tylko wydaje.

– Wydaje? – Patrzę na niego. W jego spojrzeniu nie pozostało ani trochę zmysłowości, jest wściekłe. – A kwiaty? Kto mi je przysłał?

– Nie ma żadnych kwiatów!

– Były! I to! – Podsuwam mu pod nos kartkę, którą znalazłam na dole w skrzynce.

Nie odpowiada, wstaje i idzie do kuchni. Słyszę, jak stuka miską, stawiając ją na blacie stołu, wyjmując deskę, będzie robić sałatkę. Ignoruje mnie, nie wierzy w żadne moje słowo, chce mi się krzyczeć ze złości.

– Borys! – wołam.

Cisza.

– Ja nie kłamię!

Staje w drzwiach z nożem w ręce. Przekrzywiam głowę, powraca fala strachu. Które z nas jest bardziej prawdziwe? Kim tak naprawdę jesteśmy? I co sobie zrobimy?

– Zapomnijmy o tym – mówi. – Nie ma sensu się teraz kłócić. Wierzę ci – dodaje obojętnym tonem, jakby właśnie oznajmiał, że woda na herbatę się zagotowała. Odwraca się i znika w kuchni.

Jestem wściekła. W moim życiu dzieją się przerażające rzeczy, ktoś mnie śledzi, przysyła kwiaty, kartki z obelgami, a on idzie robić sałatkę. Jak śmie mnie tak lekceważyć! Wyskakuję z łóżka i wpadam do kuchni, wykrzykując jego imię. Zdaje się niewzruszony, nadal sprawnie pozbawia pstrąga kręgosłupa. Wreszcie myje ręce i odwraca się w moją stronę.

– Skończyłaś?

Wybucham płaczem. Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale chciałabym dać upust mojej złości, mam już dosyć tej sytuacji.

– Już dobrze – mówi.

Podchodzi do mnie i obejmuje mnie w pasie. Jego serce bije szybko

i niespokojnie.

– Nic ci się przy mnie nie stanie – szepcze. – Nie bój się!

Jego bliskość mnie rozbraja. Kapituluję. Nie chcę już niczego trzymać na wodzy, chcę, żeby miłość mnie pochłonęła, oddzieliła od przeszłości, porażek i strachu.

– Przytul mnie – rozkazuję szeptem – przytul mnie mocno!

Kulę się w jego ramionach, a on bierze mnie na ręce i niesie do pokoju.

– To na pewno jakieś dzieciaki, które pomyliły skrzynkę. – Kładzie mnie na łóżku i całuje w okolicy obojczyka, pod pośpiesznie założonym szlafrokiem nadal jestem naga. – Jak możesz przejmować się takimi bzdurami. – Jego usta schodzą niżej, w okolice mojego pępka, nie słyszę kolejnych słów.

Zamykam oczy i poddaję się chwili. Jego dotyk jest delikatny, kojący, hamuje złe myśli. Tego właśnie mi trzeba, aby w mojej głowie wybiły korki, spaliły się wszystkie bezpieczniki, które stoją na straży pamięci. Chcę istnieć od teraz. Otwieram oczy i widzę nad sobą twarz Borysa. Jego ruchy przybierają na sile, moje ciało pod naporem faluje jak sztormowe morze. Już więcej nie myślę, po prostu jestem.

4 sierpnia 2016, Kraków

ANTON

Zauważyła, że wiosną ktoś ją śledził. Albo to ona jest niezwykle spostrzegawcza, albo ja wychodzę z wprawy. Rozumiem jej przerażenie i dezorientację. Wspieram ją, pocieszam i daję poczucie bezpieczeństwa. Mnie samego jednak niepokoją dwie kwestie. Przede wszystkim, kto mógł iść za nami z klubu? Jeśli rzeczywiście szedł. Czy to możliwe, że już mam ogon, ludzie Fiodora dowiedzieli się, gdzie przebywam, znaleźli mnie i mają na muszce? Mało prawdopodobne. Dzwoniłem ostatnio do Wołodii, żadnych niepokojących wieści. W pieprzonym świecie przestępców wszystko dzieje się jak na scenie, osoby zainteresowane znają datę, godzinę, a nawet przebieg planowanego spektaklu. Być może Eliza wpadła komuś w oko. Cichy wielbiciel przysłał kwiaty i chodził za nią, choć to też wątpliwe, zważywszy na treść ostatniego listu. Nie wiem, jak inaczej to wszystko wytłumaczyć, ale jeszcze bardziej martwi mnie druga kwestia: że niczego nie zauważyłem. Oczywiście nie myślę o osobie, która rzekomo nas śledziła. Bardzo prawdopodobne jest, że Eliza to sobie wymyśliła; po doświadczeniach z wiosny, ze mną w roli tajemniczego anioła stróża, może mieć nieźle zrytą psychikę. Martwi mnie raczej coś innego. Nie domyśliłem się, że wiedziała o tym, że ktoś ma ją na oku. Nawet przez moment się nie zdradziła, żadnym gestem, słowem, to niewiarygodne, jak jest skryta. Nie ufa mi czy nie wierzy sobie?

Potrafi być naprawdę miła. Codziennie wynosi kawałki chleba dla ptaków na skwerze po przeciwnej stronie ulicy. Ale zdarza jej się pokazać z innej strony. Zdecydowanie za dużo czasu spędza z wariatami. Kilka tygodni temu, kiedy wracaliśmy do domu tramwajem, podeszła do nas żebraczka. Nie miałem ochoty nic jej dawać, więc odwróciłem głowę w stronę okna. Eliza natomiast puściła w jej stronę siarczystą wiązanę. Musiała zauważyć, że wprawiło mnie to w osłupienie, bo gdy wysiedliśmy na naszym przystanku, powiedziała:

– Po prostu nie lubię, jak ludzie wykorzystują innych. Powinna wziąć się do roboty, a nie czyhać na kogoś mało asertywnego. Nie znoszę takiej wyuczonej bezradności. A jeszcze bardziej obłudy!

Istny doktor Jekyll i pan Hyde. Dwie sprzeczne natury. Nie tego szukam w kobietach. Muszę wyostrzyć umysł i zmysły. Jeśli ona potrafiła zataić przede mną tyle sekretów, to co dopiero specjaliści w tym fachu, tacy jak ludzie Fiodora?

9 sierpnia 2016, Kraków

ELIZA

Na trzecim spotkaniu zawieramy ustny kontrakt o kontynuacji i celu terapii. Zastanawiam się, czy dobrze robię, decydując się to ciągnąć, ale jestem jej ciekawa. Skąd to nasze niesamowite podobieństwo? Czy ona też je widzi? O co w tym wszystkim chodzi? Ta sprawa jednocześnie przeraża mnie i fascynuje. Dlatego nie potrafię zrezygnować z tej relacji.

Gdy moja nowa klientka wychodzi z gabinetu, wyglądam za nią na ulicę. Ma w sobie coś, co podziwiam. Sposób noszenia się, naturalną pewność siebie, wrodzony magnetyzm? Na dźwięk pukania odwracam się i widzę w uchylonych drzwiach głowę Pauliny.

– Masz jeszcze kogoś? – pyta.

– Nie.

– Pójdziemy coś zjeść?

Nie mam ochoty spędzać z nią popołudnia, generalnie nie mam ochoty na nic. Znów chodzę podenerwowana, zastanawiam się, kto wysłał mi kwiaty, podrzucił obraźliwy list i co dzieje się w moim życiu. W zgięciu łokci na obu rękach pojawiły mi się wykwity. To wysypka na tle nerwowym, kiedyś miałam już z tym problem. Jako nastolatka. Objeździłam z mamą najlepszych dermatologów w okolicy, diagnoza była jednoznaczna: zaburzenia psychodermatologiczne. Mój lekarz, niezwykle kompetentny i empatyczny człowiek, wszystko nam wytłumaczył:

– Skóra człowieka od początku jest silnie związana z psychiką, ponieważ zarówno ona, jak i układ nerwowy powstają z ektodermy, tego samego listka zarodkowego. Dlatego też skóra jest bardzo silnie unerwiona. A poza tym skóra i układ nerwowy porozumiewają się za pośrednictwem tych samych neuroprzekazników. Co cię tak bardzo niepokoi, czym się martwisz, dziecko?

Czy mogłam powiedzieć mu prawdę? Milczałam, a mama, zerkając na mnie z niepokojem, ruszyła z odsieczą:

– Nastolatki, dojrzewanie, czy może być coś bardziej stresującego?

Lekarz spojrział na mnie współczująco, przepisał maść i poradził, aby matka starała się ze mną rozmawiać, a nawet poszukała jakiegoś psychoterapeuty, który pomógłby mi przejść przez okres dorastania. Oczywiście na lekach się skończyło, ale kilka lat później, kiedy miałam zdecydować o kierunku studiów, wybrałam psychologię, postanawiając, że sama zostanę swoim psychoterapeutą. Kto może być dla nas bardziej zaufaną osobą niż my sami? Wzięłam sprawy w swoje ręce i udało się. Na pierwszym roku poznałam Sylwię, potem związałam się z Robertem i nieznośne czerwone pokrzywki zniknęły. Jednak teraz powróciły ze zdwojoną mocą.

Ukrywam plamy pod rękawami długości trzy czwarte, ale nie oszukam samej siebie, a niebawem dowie się o nich również Borys. Na razie podczas intymnych chwil nie zagląda mi w zgięcia łokci, interesują go inne rejony mojego ciała, ale nie będę w stanie utrzymywać tego wiecznie w tajemnicy. Nie mogę pozwolić, aby pulsujące, czerwone krosty zniechęciły go do mnie. I tak czuję, że mi się wymyka, przestaję go podniecać, pociągać, interesować. Romantyczne plany związane z Robertem pokrzyżowała czyjaś biegunka, teraz na drodze do mojego szczęścia stają obrzydliwe parchy. Wyraźnie los się na mnie uwziął.

– Umieram z głodu – nalega Paulina. – Nie każ się prosić!

– Dobra, chodźmy – zgadzam się.

Udaje nam się znaleźć stolik we włoskiej restauracji na dachu pobliskiego hotelu. I właśnie podczas tego spotkania moja sąsiadka dietetyczka mówi coś, co do końca wytrąca mnie z równowagi i burzy porządek, jaki przez lata próbowałam zaprowadzić w swoim życiu. Jakbym miała za mało problemów na głowie. Czekamy już na rachunek, a ja myślę o Borysie. Zastanawiam się, co robi, chcę go jak najszybciej zobaczyć.

– Ta kobieta – odzywa się Paulina.

Na początku nie wiem, kogo ma na myśli. Nawet przelotnie rozglądam się po restauracji.

– Ta kobieta, która wyszła od ciebie, gdy czekałam na korytarzu – ciągnie.

– Tak? – Patrzę na nią z niechęcią.

Choćby mnie błagała, nie mogę jej nic powiedzieć o mojej klientce. Obowiązuje mnie tajemnica. Nie mogę nawet potwierdzić, że w ogóle ją znam, że spotykamy się na cotygodniowych sesjach. W kręgach psychoterapeutów krąży dowcip, że choćby klient wielokrotnie mówił, że nie może jeść cukru, to częstując go herbatą przy osobach trzecich, trzeba zapytać, czy słodzi. Bez mrugnięcia okiem.

– Ona... – Paulina milknie na moment. – Wiem, że zabrzmiało to dziwnie, przepraszam – śmieje się – ale ona ma twoje spojrzenie, twoją twarz i w dodatku coś takiego nieuchwytnego, nawet nie wiem, jak to wyrazić, ale jesteś do niej tak bardzo podobna, jakby to była twoja siostra albo matka.

Moje serce startuje do sprintu. Krew uderza mi do głowy, robi mi się gorąco. Nie mogę wyjść pod pretekstem zaczerpnięcia świeżego powietrza, bo siedzimy na zewnątrz.

– I nie chodzi o ubiór – ciągnie Paulina nieświadoma tego, co dzieje się w moim wnętrzu – tylko, jak to się mówi we Francji, ma twojego ducha. Albo ty jej.

Kelnerka przynosi paragon, przerywając na moment naszą rozmowę. Jestem jej wdzięczna, że nieświadomie wybawiła mnie z obowiązku reagowania na te słowa. Dzielimy kwotę na pół, ale gdy wychodzimy z restauracji, Paulina powraca do porzuconego wątku.

– Może to jakaś psychopatka. Upodabnia się do ciebie, wiesz, coś w stylu *Współlokatorki* – dywaguje.

Patrzę na nią z ukosa.

– Dobra, dobra, żartowałam. – Przywołuje windę. – Takie luźne skojarzenie, nie bierz sobie tego do serca. – Wzrusza ramionami i wchodzi do środka.

Nigdy nie lubiłam jeździć windą, zwłaszcza zjeżdżać w dół. Ta siła bezwładności i prędkość, sprawiające, że nagle żołądek podchodzi do gardła... Z tego samego powodu unikałam wszelkiego rodzaju kolejek górskich, karuzel i diabelskich młynów. Przez moment czuję ucisk w przełyku, a potem nieznośne mdłości i boję się, że nie powstrzymam wymiotów. Jednak wiem, że tym razem to nie krótka jazda windą jest tego powodem, ale to, co powiedziała Paulina. Jej słowa wciąż złowrogo brzmią w moich uszach. Ktoś widzi to co ja. Nie możemy się obie mylić.

Od lat nie potrafię przestać myśleć o pewnej sprawie. Co jakiś czas wraca do mnie jak bumerang i jeśli nie jestem czujna, za chwilę zwijam się z bólu. Kiedyś w moje ręce przypadkowo wpadła pewna kartka. Było to krótko po przeprowadzce na Ranczo Beskid. W wakacje pomagałam rodzicom prowadzić pensjonat i któregoś wieczoru poszłam na strych schować zużyty pościel. Najchętniej wyrzuciłabym ją na śmietnik. Po co komu dziurawe prześcieradła? Nie rozumiałam, dlaczego matka je uprała, uprasowała, poskładała w kostkę i kazała wynieść na górę. Miała manię przechowywania starych gratów, na wszelki wypadek, bo może kiedyś coś się przyda. Rzadko wchodziłam na strych, bo mama nie lubiła, jak ktoś tu zaglądał, ale

uwielbiałam to miejsce. Mieszankę kurzu, zatęchłego powietrza i woni przeszłości. Niewątpliwie miało swój urok. Zawsze się zastanawiałam, jakie sekrety poprzednich właścicieli może skrywać.

Wepchnęłam karton z poszewkami na samą górę jednego z ręcznie zbitych przez ojca regałów i niechcący potrąciłam stare pudełko po czekoladkach, metalowe czerwone serce z napisem „E. Wedel”. W ostatniej chwili udało mi się je złapać, jednak na podłogę wysypała się cała jego zawartość. Gorączkowo zaczęłam układać luźne kartki w kupkę, ciesząc się, że złapane w locie pudełko nie narobiło niepotrzebnego hałasu, gdy nagle zastygłam z jednym ze świstków w ręce. Był to stary pożółkły arkusz, opatrzony nagłówkiem: „Formularz adopcyjny”. Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem. Usiadłam na podłodze i rozłożyłam kartkę, rozprostowując zgięcia. Wykropkowane miejsca na dane osobowe były puste. Wpisana maszynowo data w prawym górnym rogu zaczynała się od 198, a na końcu miała kropkę wyznaczającą miejsce na konkretny rok. Moje serce przypomniało mi o swoim istnieniu. Mój brat urodził się w roku 1992. A więc ten dokument musiał dotyczyć mnie.

Przez kilka tygodni to, co odkryłam, nie dawało mi spokoju, ciągnęło się za mną i brzęczało jak puszki przyłączone do samochodu nowożeńców. Zaczęłam bacznie się przyglądać Danielowi. Byliśmy zupełnie inni. Dlaczego nigdy mnie to nie zastanowiło? Oczy niebieskie, oczy zielone, włosy brązowe, włosy blond. Czy nie powinno mnie to zaniepokoić? Rodzeństwo nie musi być do siebie podobne, to oczywiste, próbowałam sobie tłumaczyć. Nie wszyscy w rodzinie rodzą się tacy sami, nikt tego nie wymaga ani nie obiecuje. Wszystkim rządzi przypadek, doskonale zdawałam sobie z tego sprawę, co więcej, rozumiałam to. Dwoje ludzi oddaje się sobie. Maszyna idzie w ruch, eksplozja genów, stochastyczny dobór 23 par chromosomów, 8 388 608 możliwości i oto jestem. Hazard, loteria, czysty przypadek. Fakt, iż

jestem kobietą i mam sto sześćdziesiąt cztery centymetry wzrostu, to bez wątplenia zasługa moich rodziców. Jednak nie mieli nad tym żadnej kontroli i równie dobrze mogłam przerosnąć tatę jak Daniel. Tak to sobie tłumaczyłam. Za każdym razem, gdy dopadały mnie wątpliwości.

– Daniel to wykapana ty, cała mamusia – powtarzały do znudzenia ciotki, sąsiadki i koleżanki matki. – A Eliza? Hmm...

I tu do akcji wkraczała mama:

– Taka pomieszana. – Czochrała moje włosy i zmieniała temat.

Pamiętam, że gdy znalazłam tę kartkę na strychu, zeszłam na dół do kuchni. Matka kroїła cebulę.

– Dlaczego mnie okłamałaś? – zapytałam wprost.

– Co? – Odwróciła się zdziwiona. – Kiedy?

– Wiem, że nie jestem waszą córką.

Przez jej twarz przebiegł skurcz, zamarła. W jej oczach zauważyłam łzy. Strachu czy od cebuli? Rogiem fartucha otarła kąciki oczu. Jej twarz przybrała wyraz oburzenia.

– Co ty wygadujesz!

– Nie wykręcaj się, mamu, tylko powiedz mi prawdę, muszę ją poznać.

– Ale o czym ty mówisz, dziecko...

– Nie możesz mnie dłużej okłamywać. – Znów spojrzałam jej w oczy. – Wiem o adopcji, nie da się tego cofnąć.

– O jakiej adopcji? – Otworzyła usta ze zdziwienia.

Podsunęłam jej przed oczy arkusz adopcyjny.

– Jak to wytłumaczysz?

Przez moment widziałam konsternację na jej twarzy. Wytarła dłonie w fartuch i wzięła kartkę. Oglądała ją ze wszystkich stron, jakby widziała ją pierwszy raz w życiu.

- Skąd to masz?
- Nieważne.
- Ważne! Gdzie to znalazłaś?
- Na strychu, przypadkowo. Możesz mi to wytłumaczyć?
- Jak śmiesz grzebać w moich rzeczach? Przecież mówiłam, żebyście tego nie robili!
- Bo chciałaś to ukryć? – Wbiłam w nią spojrzenie pełne złości. – Jak mogłaś mnie przez tyle lat okłamywać, jak mogłaś mi tego nie powiedzieć...?
- O czym ty mówisz, dziecko! – Machała mi kartką przed nosem. – O tym formularzu? Na podstawie tego świstka wysnułaś te niedorzeczne wnioski?
- Nie widzisz daty u góry strony? Dlaczego to ukrywałaś?
- Nie ukrywałam – zaprotestowała. – Nie wiedziałam nawet, że go mam, zapomniałam, to nic ważnego...
- Jak możesz! – przerwałam jej.
- Na studiach miałam praktyki w poradni adopcyjnej, musiałam z jakiegoś powodu zachować ten formularz, nawet nie pamiętam dlaczego.
- Praktyki?
- Przez kilka miesięcy, a potem od września zaczęłam pracę w szkole. Moja matka skończyła pedagogikę, przez całe życie pracowała jako nauczycielka w klasach jeden–trzy, ale nigdy nie słyszałam o żadnych praktykach w ośrodku adopcyjnym.
- Nigdy o tym nie mówiłaś – stwierdziłam tonem pełnym pretensji.
- Nie było okazji. – Wpatrywała się w dokument, a na jej twarzy zagościł lekki uśmiech, pewnie za sprawą wspomnień.
- To było do niej podobne, przechowywała absolutnie wszystko, więc

uwierzyłam, że zachowała ten świstek na pamiątkę. Teraz jednak nie mam co do tego pewności. Może zbyt łatwo dałam się przekonać? Gdy kilka dni później zapytałam ojca, czy pamięta, jak matka pracowała w ośrodku adopcyjnym, potwierdził, że faktycznie przez krótki czas miała tam praktyki, gdy on pracował na kontrakcie w NRD. Stwierdził też, że był to dla nich trudny czas, bo widywali się tylko co kilka tygodni. Jego słowa były dla mnie ostatecznym dowodem. Jednak nie wzięłam pod uwagę, że mogli działać w zмовie. Pewnie oboje nie chcieli, aby adopcja wyszła na jaw. To oczywiste, że potwierdził wszystko, co matka wymyśliła na poczekaniu.

Czyżbym przez tyle lat żyła pod jednym dachem z perfidnymi kłamczuchami? To okropne, nie do wybaczenia. Jak mogli mnie tak długo oszukiwać? Ale przecież czułam to. Od jakiegoś czasu pomiędzy mną a matką dało się zauważyć dziwne napięcie. Towarzyszyło mi od tamtego dnia. Myślałam, że to ja się zmieniałam, lecz nie, to ona patrzyła na mnie inaczej, podejrzliwie, z widoczną pogardą w oczach. Wciąż w jakiś sposób przypominałam jej, że nie jestem jej dzieckiem. Nigdy do siebie nie pasowałyśmy, nie byłyśmy podobne, nie zgadzałyśmy się w wielu kwestiach. Jej zamiłowanie do porządku, moja niechlujność, jej niedbały ubiór, moja przesadna dbałość o stroje, jej tusza, moja szczupła sylwetka. Jak mogłam być przez tyle lat ślepa? Paulina ma rację, Liliannę musi coś ze mną łączyć. Nie zaznam spokoju, dopóki nie poznam prawdy.

Po powrocie do domu wpisuję nazwisko Lilianny w wyszukiwarkę. Po raz pierwszy sprawdzam swojego klienta. Nigdy nie chciałam wiedzieć o żadnym z nich więcej, niż sami mi wyjawiali. Nie miałam takiej potrzeby, a poza tym chodziło o czystość relacji. Opierałam się na tym, co miałam, czym dana osoba zechciała się ze mną podzielić. Informacje o Liliannie Skalskiej nie wzbudzają podejrzeń. Zarówno wiek, jak i to, czym się zawodowo zajmuje, zgadza się z tym, co mi mówiła. Na żadnym ze zdjęć

umieszczonych na stronie firmy nie widzę jej męża, rzeczywiście prowadzi działalność sama. Tylko jedna wzmianka wydaje mi się intrygująca. Od kilku tygodni istnieje krakowska filia jej firmy. Założyła ją niedługo przed naszą pierwszą sesją. Po co jej biuro w innym mieście, skoro siedziba główna oraz cała historia przedsiębiorstwa związane są z Warszawą? Być może pojawiła się potrzeba rozwoju firmy? A może postanowiła mnie odnaleźć?

Czuję się kompletnie rozbita, boję się, że tym razem się nie podźwignę. Borys znów wyjechał, ma koncert na Śląsku, wróci jutro. Chociaż rano nie mogłam pogodzić się z tym, że tak nagle wyjechał, teraz cieszę się, że go nie ma. Na dnie rozpaczę wolę być sama, lepiej, żeby nie oglądał mnie w takim stanie. Fikcja mojego dotychczasowego życia przygniata mnie jak wielki głaz, czuję, że nie będę potrafiła się spod niego wygrzebać. Drapię się w zgięcia rąk i patrzę, jak krew brudzi mi bluzkę.

ANTON

Po rozmowie z Elizą zadzwoniłem do Wołodii. Chciałem się dowiedzieć, czy jej podejrzenia są słuszne. Zaniepokoiło mnie, gdy nie odebrał, nigdy wcześniej się to nie zdarzało. Przez kilka kolejnych dni nie mogłem się do niego dodzwonić. Gdy we wtorek podnosi słuchawkę, oddycham z ulgą.

– Co się z tobą działo?

– Nic, nic – charczy. – Byłem w szpitalu.

– Szpitalu?!

– Już po sprawie.

– Co się dzieje?

– Moje płuca się buntują.

Wiedziałem, że w końcu nabawi się raka.

– Co powiedział lekarz?

– Kurwa, to nie jest teraz najważniejsze. – Kaszle. – Nie odpuścili ci.

Siedzą ci na ogonie.

– Kto? – Moje serce obija się o klatkę piersiową.

– A komuś jeszcze zalazłeś za skórę? Ludzie Fiodora.

– Skąd wiesz?

– Doniósł mi jeden z moich chłopaków.

– Kto? – drażę temat, jakby to mogło mieć jakieś znaczenie.

– Nie znasz. Młody, ale ma wszędzie wtyki.

– Co konkretnie powiedział?

– Co tydzień donosi mi, co nowego słychać tu i tam. Nigdy nie wiem, która informacja może się przydać, a że mu dobrze płacę, to przykłada się do roboty.

Znam Wołodię i wiem, że nie współpracowałby z kimś, kto nie jest tego wart.

– Wśród osób, które przewijają się na liście do sprzątnięcia, wymienił twoje nazwisko. To oczywiście nie nowość, obaj o tym wiemy, ale młody jest niezwykle dociekliwy. Sugeruje, że ludzie Fiodora zaczynają szukać cię za granicami Rosji.

– Kurwa!

– No!

– Złapali mój trop?

– Tego nie wiem. Ale na pewno nie odpuścili.

– Co mam robić?

– Jak dobrze jesteś ukryty?

– Dobrze – stwierdzam, rozglądając się po pokoju, jakby te kolorowe ściany krakowskiej kamienicy mogły mi dać schronienie.

– Może pomyśl jednak o zmianie miejsca, wyjedź gdzieś na kilka dni, obserwuj okolicę. I, kurwa, miej oczy i uszy dookoła głowy!

Nie musi mi tego mówić, mam wrażenie, że już bardziej nie mogę być czujny. Upodobiłem się do psa stróżującego. Czy to, o czym mówiła Eliza, mogło być prawdą? Ktoś nas wtedy śledził? Jakaś kobieta? Ludzie Fiodora nie zatrudniają kobiet. Dobrze wiedzą, że są zbyt emocjonalne w działaniu. Nie nadają się do tej roboty podobnie jak do prowadzenia samolotów rejsowych. Nie bez przyczyny to zawód zdominowany przez mężczyzn. Już widzę atakujące mnie rzesze feministek, wysuwających argumenty o kobiecej podzielności uwagi, skrupulatności i odporności na stres. To wszystko prawda, ale jestem pewien, że każdy, kto miałby wybór: wsiąść do samolotu

sterowanego przez mężczyznę albo przez kobietę, wybrałby ten we władzy pilota, a nie pilotki. Ludzi Fiodora też nie trzeba przekonywać, że kobiety są niecierpliwe, nieobliczalne i szalone. Jednak nie zaszkodzi trochę ostrożności. Wiadomo, że częsta zmiana miejsca pobytu to najlepsza taktyka kogoś, kto się ukrywa. Wyjmuję telefon z kieszeni.

– Rudy, jednak jadę z wami. Za godzinę będę w klubie.

Nie miałem ochoty grać w Katowicach, ale teraz okazało się, że wyjazd jest mi na rękę. Wysyłam wiadomość Elizie, wyjmuję z szafy torbę, wrzucam kosmetyki i ciuchy na zmianę, pakuję gitarę i wychodzę z domu.

10 sierpnia 2016, Kraków

ELIZA

Widziałam siebie w milionie różnych sytuacji. Mam bujną wyobraźnię. Byłam już martwa, leżałam sztywno w trumnie wśród duszącego dymu świec, spacerowałam po dachu wieżowca i naga po mieście, ale nigdy nie sądziłam, że w prawdziwym życiu będę musiała się odnaleźć w roli adoptowanego dziecka. To nie tragedia, być może przesadzam, ale nie mogę uwierzyć, że kobieta, która mnie urodziła, zostawiła mnie na pastwę losu, a ta druga, która mnie wychowywała, przez całe życie karmiła mnie kłamstwami. Tylko kobiety mogą być tak podłe i fałszywe. Intrygować i łąć bez mrugnięcia okiem. Ja też nie jestem inna. Jednak nie potrafię się pogodzić z faktem, że ktoś oszukiwał mnie w tak ważnej kwestii jak własna tożsamość.

Czy Lilianna może być moją matką? Miałaby osiemnaście lat, gdy mnie urodziła, byłaby, do cholery, pełnoletnia! Wiele kobiet rodzi w tak młodym wieku i rzadko która porzuca swoje dziecko. Czy zostawiła mnie w szpitalu? A może gdzieś w parku na ławce? Podobno lipiec 1988 roku był upalny. A może jest moją siostrą, która dowiedziała się po latach o moim istnieniu? Czy powinnam przeprowadzić śledztwo, obdzwonić wszystkie ośrodki adopcyjne w kraju? To zajmie mi mnóstwo czasu. Najprościej byłoby porozmawiać z rodzicami, ale czy potrafię spojrzeć im w oczy i zapytać, kim tak naprawdę jestem? Czy to Lilianna śledziła mnie wiosną? Czy to ona wysłała mi kwiaty w dzień urodzin, bo dobrze wiedziała, kiedy wypadają?

Ale co z kartką? Kolejny trup w szafie? Borys ma rację, to wszystko nie trzyma się kupy. Jestem pewna, że w kinie widziałam mężczyznę. A może to mój biologiczny ojciec postanowił mnie odnaleźć? Mam ochotę krzyczeć z bezsilności. Nie potrafię się skupić na niczym innym. Denerwujące myśli zdomowały się w mojej głowie na dobre. Uwiły sobie przytulne gniazdko i drą się przenikliwie, gdy tylko opuszcza mnie sen i powracam do bolesnej rzeczywistości. A może jednak sprawiedliwej?

Gdy po południu wybudzam się złana potem z kolejnego koszmaru, postanawiam wziąć sprawy we własne ręce. Muszę pojechać do rodziców i dowiedzieć się prawdy, choćby była najokrutniejsza. Zbyt wiele pytań czeka na odpowiedzi, muszę to zmienić. Wiem, że bez względu na wynik rozmowy już nigdy nie będzie tak samo. Nawet jeśli moje przypuszczenia mijają się z rzeczywistością, jeśli rodzice pokażą mi niezbita dowody na to, że nimi są, ta rozmowa na zawsze nas poróżni. Dzisiaj albo ja złamię im serce, albo oni mnie. Choć właściwie moje już od dawna jest w kawałkach.

Jak na środowe przedpołudnie ulice są wyjątkowo zakorkowane. Wiem, że nie ma sensu wbijać się w Aleje, utknę w nich na dobre. Próbuję znaleźć alternatywną drogę, skręcając w małe uliczki, i wtedy zauważam czerwoną toyotę, która jedzie za mną od pewnego czasu. Na początku nie zwracałam na nią uwagi, myślałam, że być może ktoś także chciał uciec z korka i poszedł w moje ślady. Jednak trwa to zbyt długo, mało prawdopodobne, aby jechał dokładnie w tym samym kierunku. Być może znów się nakręcam, daję się ponieść wyobraźni. To mała, czerwona toyota, nie czarny SUV jak wiosną, więc powinnam być spokojna, ale nie jestem. Postanawiam odbić w innym kierunku. Skręcam w Retoryka, toyota jedzie za mną, potem w Smoleńsk, nadal mam ją w zasięgu wzroku. Nie widzę kierowcy, auto trzyma się w bezpiecznej odległości, na tyle, aby mnie nie zgubić i jednocześnie nie dać się zdemaskować. Po kolejnych dwóch przypadkowych skrętach, które

wykonuję tylko po to, aby zyskać pewność, czerwony samochód nadal jest za mną. Postanawiam się zatrzymać, jednak jak na złość nigdzie nie ma parkingu. Kilka przecznic dalej znajduję wolne miejsce dla inwalidów. Wiem, że nie powinnam tu stawać, ale nie mam zamiaru wysiadać, chcę się tylko pozbyć ogona. Parkuję ukośnie i czekam na przebieg wydarzeń. Wciąż patrzę we wsteczne lusterko. Toyota mija mnie powoli. Zerkam w bok, kierowca ma na głowie kaptur sportowej bluzy z fluorescencyjnymi wstawkami. Przez ułamek sekundy widzę jego profil, to chyba kobieta. Wpatruje się w przestrzeń przed siebie, jakby z niedowierzaniem, że zniknęłam jej z oczu. Chyba nie zauważyła, że się zatrzymałam.

Czuję, jak wpadam w znajome koleiny. Niepokój, strach, panika, zupełnie jak wtedy na wiosnę. Zastanawiam się, czy wysiąść z auta i spróbować dojrzeć rejestrację czerwonego samochodu, wycofać i ruszyć za nim w pościg, czy dla własnego bezpieczeństwa w ogóle nie ruszać się z miejsca. Na razie zamykam zamki od środka. Już nie mam pewności, kogo widziałam. Równie dobrze mogła to być kobieta, co młody, chuderlawy chłopak. Jednak bluza wydawała się kobieca. Gdzieś z tyłu głowy zapala mi się lampka. Fluorescencyjne kwadraty na siwym tle, różowe, pomarańczowe i żółte neonki migoczą mi przed oczami. Osoba w takim stroju siedziała na trybunach, gdy pływałam! Kilka dni temu i wczoraj, tak, tego jestem pewna. Próbuję sobie przypomnieć coś więcej, ale w głowie mam pustkę. Kątem oka widziałam tę grę barw, jednak nie wydała mi się na tyle ciekawa, by zwrócić na to większą uwagę, a szkoda. Gdybym była bardziej dociekliwa, wiedziałabym, kim jest mój prześladowca. A może to tylko wyobraźnia płata mi figle?

Do moich uszu dobiega głośny dźwięk klaksonu. Oglądam się i widzę za sobą czerwony samochód. Serce wali mi jak oszalałe. Osoba siedząca za kierownicą wciąż trąbi. Ponownie zerkam przez ramię i widzę zamasyście

gestykulującego staruszka. Jego usta otwierają się i zamykają, krzyczy. Wsiadam i widzę, że czerwone auto to nie toyota, tylko skoda, naklejka na szybie informuje, że mężczyzna jest inwalidą.

– Zabierz moje kalectwo! – wydziera się.

– Przepraszam – odpowiadam.

Ponownie siadam za kierownicą, ale nie mam jak wycofać, staruszek podjechał zbyt blisko. Otwieram okno i krzyczę:

– Proszę odjechać, żebym mogła wycofać!

– Zabierz moje kalectwo, skoro zabrałaś moje miejsce! – Mężczyzna jest wściekły, mógłby dać już spokój, nie popełniłam przecież żadnego przestępstwa.

Odjeżdża do tyłu i gdy zwalniam mu miejsce, wciąż obrzuca mnie obelgami. Jednym przyciskiem zamykam wszystkie okna, nie chcę go słuchać. Mam ochotę wysiąść i krzyknąć mu w twarz: „Należy mi się to miejsce, może nie wyglądam na inwalidę, ale jestem psychicznym kaleką. Zabierz sobie to miejsce, a wraz z nim mojego dręczyciela!”.

Jadąc, rozglądam się na boki, ale nigdzie nie widzę zaparkowanej toyoty. Nagle tuż przede mną przejeżdża tramwaj, przeraźliwie dzwoniąc. Hamuję, o włos unikając kolizji. Trzęsę się od środka, a wiem, że panika jest gorsza niż kilka lampek wina. Kompletnie tracę orientację, mam wrażenie, że jeżdżę w kółko. Nie wiem już, czy szukam swojego oprawcy, czy jednak przed nim uciekam. Trzeci raz przejeżdżam przez to samo skrzyżowanie, ponownie próbując dostać się na właściwy pas i wrócić do domu. W końcu wbijam się w Aleje i skręcam w Zwierzyniecką. Nie dam rady w takim stanie dojechać do rodziców. Pot spływa mi po plecach. Nie naprawiłam klimatyzacji, a okna wciąż są zamknięte i mimo piekielnej temperatury w środku nie mam zamiaru ich otworzyć. Dojeżdżam do mojej kamienicy i widzę, że miejsce, z którego wyjechałam, jest już zajęte. Stoi na nim czerwona toyota. Nie, to

nie dzieje się naprawdę. Jestem w trakcie okrutnego snu i proszę, żeby ktoś mnie obudził. Podjeżdżam bliżej, w samochodzie nikogo nie ma. Czeka na mnie w kamienicy? A może jest już w mieszkaniu? Żałuję, że nie zastawiłam żadnej pułapki, że zrezygnowałam z nich, gdy wyprowadziłam się z Lwowskiej.

Mijam zaparkowane auto i jadę przed siebie. Nie wiem, gdzie się podzieję, ale na pewno nie mogę wrócić do domu. Znowż żałuję, że Borys ruszył w trasę, nigdy go nie ma, kiedy go potrzebuję. Skręcam w lewo przy Filharmonii, a przed oczami mam twarz Darii. Przeważenie mieszające się z rezygnacją. Czy czuła podobny mętlik w głowie, gdy tonęła? Ze wspomnień wybija mnie nagły klakson. Jakiś facet wychyla się przez boczne okno i coś krzyczy, ale nie słyszę słów przez zamknięte szyby. Spanikowana, rozglądam się na boki i zauważam, że wjechałam w Straszewskiego, jadę pod prąd. Daję kierunkowskaz w lewo i czekam, aż któryś z kierowców zszokowanych moim nagłym pojawieniem się na ich drodze pozwoli mi uciec w Kapucyńską. Po chwili zatrzymuje się samochód dostawczy. Skręcam, nie patrząc na twarz kierowcy z naprzeciwka. Czy to nie był przypadkiem otyły dostawca kwiatów? Kręci mi się w głowie, muszę się zatrzymać, wysiąść, zaczerpnąć świeżego powietrza. Skręcam w prawo, potem w lewo i staję na wolnym miejscu na Studenckiej. Nie dam rady dalej prowadzić. Ukrywam twarz w dłoniach i płaczę.

Dlaczego ten ktoś się na mnie wziął? Czy to kara za błędy przeszłości? Ktoś zabawia się moim kosztem? A może to wszystko tylko mi się wydaje i dzieje się w mojej głowie? Wychodzę z samochodu i idę bez celu, nie wiem, co ze sobą zrobić. Przez chwilę rozważam, czy nie zadzwonić do Daniela, poprosić go o pomoc, zajęcie się mną przez kilka godzin. Może w przyszłości mógłby się do mnie wprowadzać pod nieobecność Borysa, czułabym się pewniej. Wyjmuję telefon z kieszeni i dzwonię do brata, ale nie odbiera.

Paulina? Nie zniosę jej triumfu. Dlaczego moja najlepsza przyjaciółka musi być teraz na końcu świata? Po kilku minutach bezsensownego marszu zdaję sobie sprawę, że jestem całkiem niedaleko Zwierzynieckiej. Czy powinnam uciekać, czy wręcz przeciwnie: wyjść oprawcy naprzeciw? Może poznanie prawdy to najlepsze lekarstwo na paraliżujący mnie strach? Nie muszę wchodzić do mojej kamienicy, mogę usiąść w barze na rogu i obserwować rozwój wydarzeń zza szyby. To dobry pomysł, w ten sposób dowiem się, kto za mną dziś jeździł.

Gdy jestem już na Felicjanek, ogarnia mnie rezygnacja. A co, jeśli czerwonego auta już nie ma? Czy będzie to oznaczało, że prześladują mnie omamy? Jednak kiedy wychodzę zza rogu, widzę je z daleka. Dokładnie w tym samym miejscu, w którym mój samochód stał wcześniej. Idę, trzymając się blisko murów kamienic. Jeśli ktoś stoi na klatce, nie zauważy mnie z okna. Auto jest nowe, lakier błyszczy jak po wizycie w myjni. Przebiegam szybko obok niego i zerkam przelotnie na tablice rejestracyjne. Samochód jest na krakowskich numerach, a na karoserii widnieje napis: *rent a car*. Czy ta informacja chociaż trochę przybliżyła mnie do poznania prawdy?

Gdy wchodzę do kawiarni na rogu, wszystkie stoliki w oknach są zajęte, ale na środku znajduję dwa wolne, oba z doskonałym widokiem na toytotę. Zamawiam kawę i sernik. To nawet dobrze, że nie siedzę blisko okna. Kierowca nie zauważy, że tu jestem. A może już to wie, może przypadkiem wstąpił tu na kawę? W popłochu rozglądam się dookoła. Dwie pary po lewej, zupełnie pochłonięte sobą, w oknie samotna dziewczyna w kolorowych trampkach i sukience w kwiatki, dalej mężczyzna z otwartym laptopem i matka z dzieckiem w wózku. Nigdzie śladu fluorescencyjnej bluzy. Nagle na moim stoliku zaczyna wibrować telefon. Podskakuję jak oparzona. Facet zerka na mnie znad ekranu komputera. Posyłam mu antypatyczne spojrzenie i biorę komórkę do ręki. To Sylwia, pyta co u mnie. Ignoruję jej wiadomość

i wracam do obserwowania ulicy. Samochód dalej stoi na moim miejscu, a na zewnątrz nie dzieje się nic niepokojącego. Zastanawiam się, czy to, co robię, ma sens. Może nikt nie zjawi się do końca dnia, a może to auto należy do kogoś z mieszkańców kamienicy i będzie tu stało przez kilka najbliższych dni? Czy osoba w kapturze jest moim sąsiadem, sąsiadką, czy to ona podrzuciła list do mojej skrzynki? Dlaczego nazwała mnie suką? Czy powinnam dodać do tego wszystkie niewyjaśnione sprawy z początku wiosny i spróbować przeanalizować to razem? Czy wtedy, gdy ktoś nas śledził w drodze z klubu, to też mogła być ona? Kobieta we fluorescencyjnej bluzie?

Nerwowo bębnię palcami w stół, teraz facet od laptopa posyła mi nieprzychylne spojrzenie. Zamawiam kolejną kawę i ukrywam ręce pod stołem. Jak mogło do tego dojść? Takie zachowanie, poddawanie się czyimś manipulacjom, jest do mnie niepodobne. Przecież ktokolwiek to jest, nie ma nade mną władzy. Grzebię widelczykiem w serniku i gdy podnoszę wzrok, widzę grubego faceta otwierającego drzwi toyoty. Wielki, wytatuowany mięśniak. To nie on mnie obserwował. Ani śladu fluorescencyjnego dresu czy wątlej postury. Wstaję i podchodzę do szyby. Kobieta siedząca przy oknie przygląda się mi ze zdziwieniem. Przepraszam ją i przesuwam wózek z jej śpiącym dzieckiem na bok. Mężczyzna wsiada do auta i oddala się w kierunku Plant, przejeżdżając kilka metrów przed moim nosem. Jest sam i na pewno nie jest tą samą osobą, którą widziałam wcześniej za kierownicą. Być może to nie ta czerwona toyota. Po prostu jakiś facet, który jeździ tym samym modelem, zaparkował w pobliżu mojego mieszkania. Przypadek, zwykły zbieg okoliczności. Żałuję, że nie zwróciłam uwagi na tablice rejestracyjne auta, które jechało za mną. A może jest chłopakiem, mężem, synem kobiety w kapturze i teraz on potrzebuje samochodu? A może ona wcale nie jechała za mną, tylko próbowała uciec z korka tak jak ja? Ale dlaczego tą samą bezsensowną drogą i, u diabła, kto w takim upale zakłada

na głowę kaptur?

Para turystów z aparatami zawieszonymi na szyi, czytająca zewnętrzne menu, przygląda mi się ze zdziwieniem. Odwracam się od okna i widzę, że większość gości kawiarni wpatruje się we mnie. Czy zachowuję się jak wariatka, przeciskając się między stolikami, odpychając wózek i opierając się o okno? Zauważam ślady moich dłoni zostawione na szybie. Nie zwracam uwagi na gapiów, wracam do stolika, kładę pięćdziesiąt złotych na stole i nie czekając na resztę, wychodzę z kawiarni. Muszę się uspokoić. Gdyby ktoś z moich klientów zobaczył mnie w takim stanie lub dowiedział się, co dzieje się teraz w mojej głowie, nigdy więcej nie przyszedłby do mojego gabinetu. Jak można szukać porady u kogoś tak niezrównoważonego i niestabilnego emocjonalnie?

Czegokolwiek ta osoba ode mnie chce i kimkolwiek jest, nie ma to dla mnie znaczenia. Co może mi zrobić? Przecież nie rzuci się na mnie w środku miasta. Postanawiam wrócić po samochód, a potem pojechać do rodziców. Dopóki nie dowiem się całej prawdy o sobie, nie zaznam spokoju, a poza tym i tak nie wrócę teraz do mieszkania. Za bardzo się boję.

ANTON

Rudy jedzie naprawdę szybko. Śpieszy mu się do domu, do dzieci, czuły z niego ojciec, kto by się spodziewał. Samochód podskakuje na wertepach, nie udaje mi się zdrzemnąć w tych warunkach, a właśnie to powinienem teraz zrobić. Gdy dotrę do Krakowa, muszę być czujny, skoncentrowany, przygotowany na atak wroga. Nie będzie czasu na spokojny sen. Zastanawiam się, w jakim humorze jest Eliza. Mam nadzieję, że nikt jej w tym czasie nie śledził, nie wysłał listu i nie działy się inne absurdy. Przez cały wyjazd zachodziłem w głowę, co powinienem zrobić. Nie jestem już bezpieczny w Polsce i wiem, że moje godziny tutaj są policzone. Muszę działać szybko, wymyślić nowy plan. Nie chodzi o to, że ten był zły, nadal uważam, że genialność mojego pomysłu zasługuje na Nobla, po prostu pomyliłem się co do dziewczyny numer trzy, w zbyt wielu kwestiach mnie rozczarowała.

Przed oczami staje mi obrzydliwie mokry wieczór na początku kwietnia, noc, od której wszystko się zaczęło. Był to moment, w którym myślałem, że już jestem martwy, ale kiedy ujrzałem jej uśmiechniętą twarz, wstąpiło we mnie nowe życie. Eliza Orlicka, ostatnia deska ratunku, cudowne objawienie, moja wygrana na loterii.

Pamiętam, że leżałem na kanapie w moim petersburskim mieszkaniu, gdy zadzwonił Jurij.

– Za godzinę w Dead Poet.

– Nie dziś – jęknąłem.

Od rana lało, totalne oberwanie chmury, byłem pewien, że lada chwila Nawa wystąpi z brzegów.

– Kurwa! Masz coś lepszego do roboty?

– Widziałeś, co dzieje się za oknem? Psa by nie wygonił!

– Starzejesz się – zaśmiał się.

– Być może. Jutro?

– Jutro nie istnieje! Rusz dupę i przyjeżdżaj, z cukru nie jesteś!

Nie czekając na moją odpowiedź, rozłączył się. No tak, jak mogłem odrzucić propozycję Jurija, najlepszego basisty w mieście? Jutro możemy mieć koncert, nasz wokalista, a zarazem menedżer zespołu, jest kiepsko zorganizowany, ale ma mnóstwo znajomości. W muzyce, tak jak w każdej branży, to liczy się najbardziej. Z reguły rano dowiadujemy się, że wieczorem gramy. Kto wie, czy ten scenariusz nie powtórzy się za kilka godzin.

Nie ukrywam, że bałem się pokazywać publicznie znacznie bardziej niż w czasie, gdy Fiodor siedział w więzieniu. Co prawda minęło dopiero kilka dni, odkąd odzyskał wolność, więc mógł jeszcze lizać rany, zbierać do kupy swoich ludzi, na nowo się organizować. Na Boga, miał o wiele ważniejsze rzeczy na głowie niż tropienie kogoś takiego jak ja! Jednak zawsze istniało pewne ryzyko. Czy warto było je podejmować dla kilku drinków? Okazało się, że akurat tym razem nocna popijawa nigdy tak bardzo nie wyszła mi na dobre.

Przed dwudziestą wskoczyłem w metro i po kilkunastu minutach wysiadłem na stacji Majakowskaja. Stąd było już blisko do Dead Poet. Gdy wszedłem do środka, Jurij siedział przy barze. Jak zwykle brandy z colą, nie miał litości; byłem pewien, że następnego dnia pęknie mi czaszka. Wysoki, szczupły barman z kitką na czubku głowy zonglował butelkami. Przyjemnie

się na niego patrzyło, może nie tak jak na dziewczyny w barze ze striptizem, ale zapewniał wystarczającą rozrywkę przy składaniu kolejnego zamówienia.

– Obejrzyj się – powiedział Jurij, gdy mieliśmy już za sobą powitalny toast. – Stolik na środku, blondynka przodem do nas, wielkie cycki.

Podążyłem wzrokiem we wskazane miejsce i zobaczyłem młodą dziewczynę w obcisłej sukience w kolorowe wzory.

– No i?

– Podoba mi się.

Ruszyłem kilkakrotnie brwiami.

– To do dzieła.

– Nie, nie – pokiwał mi palcem przed nosem, zupełnie jakbym był małym, nieznośnym urwisem – najpierw ją sprawdzę.

Wyjął z kieszeni telefon i skierował w moją stronę.

– Uśmiechnij się – rozkazał.

Bynajmniej nie robił zdjęcia mnie. Chyba że był fetyszystą uszu i zapragnął dodać jedno z moich do prywatnej kolekcji. Przysunął się i pokazał mi ekran swojego smartfona. Widniała na nim uśmiechnięta blondynka zatrzymana w pół słowa, z lekko otwartymi ustami.

– A teraz popatrzmy!

Zaczął klikać. Zalogował się na VKontakte, więc przeniosłem wzrok na barmana i zamówiłem kolejkę. Średnio interesowała mnie ta dziewczyna, nie była w moim typie. Zero seksapilu, maksimum sztuczności.

– Natasza Kusmin, dwadzieścia pięć lat, Sankt Petersburg – oznajmił Jurij.

Popatrzyłem na niego. Przeciągał palcem po ekranie telefonu, nawet na moment nie odrywając wzroku od wyświetlacza.

– Odpada. Ma męża i małe dziecko – zakończył, odłożył telefon i sięgnął

po kieliszek.

– Zaraz, zaraz... – Popatrzyłem na ekran jego telefonu. – Co to jest?

Może właśnie w tym momencie zmarli poeci zesłali mi natchnienie?
A może nie poeci, tylko ktoś znacznie mi bliższy?

– Aplikacja Find Face – odparł.

– Co to?

– Nie słyszałeś o Find Face?

– Czy to jakieś przestępstwo?

– Nie – zaśmiał się – myślałem tylko, że już wszyscy to znają. Artem Kucharenko i Aleksander Kabakow, mówi ci to coś?

– Nie. – Pokręciłem głową.

– Uruchomili to kilkanaście dni temu. Prawdziwa torpeda. Znajdujesz osoby poprzez zdjęcie. Pstrykasz fotkę, tak jak ja przed chwilą, i wrzucasz do Find Face. W ciągu sekundy aplikacja porównuje ją z miliardem innych fotografii na przeszło dwustu milionach kont VKontakte. Następnie system wypływa jedenaście wyników, z których jeden wydaje mu się najbardziej odpowiedni. Jako pierwsza pokazała się Natasza Kusmin, to na bank ona, zobacz, nawet ma na sobie tę samą kieckę. – Postukał palcem w ekran aparatu.

Rzeczywiście na zdjęciu z dzieckiem kobieta była w tej samej kolorowej sukience. Szczupły blondyn obejmował ją w pasie, a napis pod spodem głosił: „Nasza rodzina!”.

Jakie to proste! Wystarczy chwila, aby dowiedzieć się, że ta dorodna blondynka na środku sali to Natasza Kusmin, dwudziestopięciolatka, która ma męża i syna.

– Co prawda mogę odnaleźć którąś z dziesięciu pozostałych dziewczyn, podobnych do mojego pierwowzoru, ale po co? – ciągnął Jurij nieświadomy tego, co dzieje się w mojej głowie. Miliardy synaps przekazywały biliony

impulsów, pracując pod wysokim napięciem. – Aż tak świetna nie jest – skwitował, krzywiąc usta.

– To cholernie niebezpieczne – zauważyłem.

– A kto ci każe mieć konto na VKontakte?

– Tak czy inaczej, to zabójstwo prywatności!

– Ba! – Pstryknął palcami w powietrzu. – Zabawa dopiero się zacznie. Moi koledzy już zidentyfikowali babki z ulotek zza wycieraczek aut. Zdziwiłbyś się, jak porządnymi paniami bywają za dnia. – Zaśmiał się. – Niestety nie działa to z Facebookiem, ale to i tak bez znaczenia, przecież wszyscy mamy tu konto na VKontakte.

Przewijał palcem kolejne twarze dziewczyn podpowiedziane przez system. To czyste szaleństwo. Robisz komuś zdjęcie z ukrycia i po kilku sekundach wiesz o nim wszystko. Makabra.

– Spełnienie marzeń stalkerów – stwierdziłem.

– Oczywiście, każdy wykorzysta to, jak będzie chciał. Podobno służby bezpieczeństwa już tego używają – opowiadał Jurij. – Mają gębę zbira, ale nie znają jego tożsamości, rozumiesz, nienotowany, znajdź go w stuczerdziestoczymilionowej Rosji. A tu proszę, jedenaście propozycji w kilka sekund. Oczywiście nie w każdym przypadku się to sprawdzi, ale nawet jeśli zadziała w jednym, to czy nie rozgrzesza to Find Face?

Serce waliło mi jak oszalałe, czułem to w skroniach. Nie, to niemożliwe.

– Jak długo to działa? – zapytałem.

– Od kilkunastu dni, dowiedziałem się w zeszłym tygodniu. Nieźle, co? –

Kręcił z uśmiechem głową. – Nicole Kidman? Stara dupa. Kate Moss, Penelope Cruz, Scarlett Johansson, Sofia Nikitchuk, no która? Angelina? Niech będzie!

Znów przeciągnął palcem po ekranie telefonu, kopiuuj, wklej, kółko się kręci.

– O, proszę! – Przysunął mi aparat pod sam nos. – Find Face podpowiada ci jedenaście dziewczyn najbardziej podobnych do Angeliny. Osiem Rosjanek, dwie Ukrainki, jedna Gruzinka. Trzy mieszkają w Petersburgu, a dwie z nich są do wzięcia! Zainteresowany? Wysłać zaproszenie do grona znajomych?

Nie słuchałem go. W głowie miałem kołowrót myśli. Co powinienem zrobić? Ucieczka, to jedyne rozwiązanie.

– Podobno władze Moskwy chcą połączyć Find Face z siecią stu pięćdziesięciu tysięcy kamer przemysłowych w mieście – mówił dalej Jurij. – Kabakow uważa, że z aplikacji będą korzystać wielkie koncerny handlowe. Rozumiesz, oglądasz wystawę sklepu z telewizorami, kamera to rejestruje, identyfikują twoją twarz i bach!, następnego dnia masz na mejlu propozycje najlepszego sprzętu w mieście. Trzydzieści wyszukiwań w miesiącu za darmo, za resztę trzeba płacić. – Wyszczrzył zęby, podniósł rękę i przywołał barmana.

Byłem w szoku. Nie potrafiłem przestać analizować tej nowej rzeczywistości. Oczywiście nie zgłupiałem aż tak bardzo, aby z moją przeszłością zakładać konto na VKontakte, Facebooku, Instagramie czy innym Twitterze. Jednak nie miałem pewności, czy ktoś z moich starych lub obecnych znajomych nie wrzucił mojej foty do swoich zdjęć. Chociaż moda na drwala zawitała już do miasta i ostre kości policzkowe zakryłem owłosieniem, wiedziałem, że muszę jak najszybciej stąd spieprzać. Przed północą zmyłem się do domu. Na zewnątrz przestało padać, ale w obliczu zaistniałej sytuacji nie miało to żadnego znaczenia.

Kiedy dotarłem do mieszkania, wrzuciłem w aplikację moje aktualne zdjęcie. Po chwili miałem przed sobą listę jedenastu facetów, według systemu najbardziej do mnie podobnych. Żaden nie był z Petersburga, nie wiedziałem, czy się z tego cieszyć, czy wręcz przeciwnie. Co ta informacja

mi mówiła? Wybrałem losowo zdjęcie jednego z gości i ponowiłem wyszukiwanie. Sekundę później otrzymałem listę kolejnych jedenastu mężczyzn podobnych do niego. Nie było mnie wśród nich. Nie miałem konta w portalach społecznościowych, ale czy to dawało mi pewność, że Find Face w moim przypadku nie działa? Poszerzyłem zakres poszukiwań. Kolejne moje zdjęcie, tym razem sprzed dwóch lat i znów lista jedenastu braci bliźniaków. Oczywiście wśród typowanych osób powtarzały się nazwiska z wcześniejszych list, ale pojawiały się też nowe podpowiedzi. Każde kolejne wyszukiwanie dodawało nowych sobowtórów. Nie byłem w stanie sprawdzić wszystkich, jednak brnąłem w to dalej. Przy piątym typowaniu zamarłem. Moja twarz, w rękach gitara, z tyłu scena, to byłem ja. Zerknąłem na podpis, „Michaił B”. Wszedłem na profil. Nastolatek z Petersburga. Fotkę zrobiono kilka lat temu, na nosie ciemne okulary, włosy do ramion, teraz już tak nie wyglądałem. Dlaczego chłopak ustawił moją twarz jako swoje zdjęcie profilowe? W katalogu ze zdjęciami znalazłem mnóstwo fotek z różnych koncertów. Przeleciałem pobieżnie wpisy. Odpowiedź okazała się prosta: był moim fanem. W licznych komentarzach sugerował, że kiedyś będzie grał tak jak ja. Profil nie był odświeżany od kilku lat, zapewne chłopak przestał się udzielać na VKontakte, ale nie pofatygował się, aby usunąć konto. Czy to w jakiś sposób zbliżało ludzi Fiodora do mnie? Raczej nie, ale w innym przypadku nie musiałem mieć tyle szczęścia.

Szedłem dalej, sprawdzałem kolejne konfiguracje, jakbym czuł, że kilka profili dalej znajdę siebie, albo wręcz przeciwnie, liczył, że poszukiwania dadzą mi gwarancję nietykalności, wśród milionów zdjęć nie znajdę swojego. Oczywiście dwie godziny później miałem to, czego szukałem. Zdjęcie z jakąś dziewczyną, której nawet nie kojarzyłem. Stała obok mnie, w jednej ręce trzymając gitarę, drugą obejmując mnie za szyję. Przypomniałem sobie. Masza, jedna z moich uczennic z czasów, gdy mieszkalem w pewnej

podbiegunowej miejscowości, przez większość roku pozbawionej słońca. Jeśli ktoś chciał mnie sprawdzić, wiedział już, że przez jakiś czas ukrywałem się w Koli. Wśród zdjęć Maszy było również kilka grupowych, z występów szkolnych, a w opisach byłem wymieniony z imienia i nazwiska. Dziewczyna studiowała obecnie w Petersburgu i mimo że nie miałem z nią kontaktu, mogła mnie gdzieś widzieć. Kto wie, co jeszcze by sobie przypomniała przyciśnięta do muru. Takich wyników wyszukiwania może być wiele, kolejne tropy, które w końcu doprowadzą do mnie. Miałem tylko jedno wyjście. Ucieczkę.

Ale gdzie? W ciemno? Gdziekolwiek? A gdyby potrzebował mnie Wołodia? Jak mnie znajdzie? Nie mogłem mu zdradzić, gdzie jadę, tego nie mógł wiedzieć nikt oprócz mnie. Musiałem zostawić mu jakieś wskazówki, po których do mnie dotrze. Mój czas się kurczył, czułem to, po raz kolejny przyszło mi płacić za błędy.

ELIZA

Z oddali widzę biały palisadowy płot. Przez moment jeszcze się waham. Może lepiej byłoby zacząć tę rozmowę od Lilianny? Powiedzieć jej, że się wszystkiego domyśliłam, zapytać, dlaczego mnie wtedy porzuciła, a teraz postanowiła odnaleźć? Jeszcze mam czas zawrócić, zmienić taktykę, nie zrazić do siebie ludzi, którzy mnie wychowali. Jednak przejeżdżam przez bramę, zawsze otwartą na oścież dla gości, i po raz pierwszy czuję się we własnym domu jak jeden z nich.

Gdy parkuję przed werandą, mama pracuje w ogrodzie. Przez chwilę się jej przyglądam. Podlewa kwiaty konewką, potem kuca i dłubie w ziemi. Gdzieś głęboko dostrzegam nasze podobieństwo. Sposób, w jaki się uśmiecha, i gest zaczesywania włosów do tyłu. Mamy też podobny charakter pisma, wręcz identyczny, co było zbawienne przy wypisywaniu usprawiedliwień dla mojego brata. Coś jeszcze? Nie wszystkie podobieństwa są dziedziczne, w większości to wyuczone, nabyte, nieświadomie kopiowane zachowania ludzi, z którymi się przebywa. Na siłę szukam dowodów, które nie istnieją. Gdybym tylko przeczuwała, dokąd doprowadzi mnie znajomość z Lilianną, nie poszłabym tamtego dnia do gabinetu. Wolałabym się ciężko zatruć, niż pozwolić, by ukradła mi spokój. Zarzuciła na mnie niewidzialną sieć, lepką i denerwującą niczym pajęczyna, która spada na nas znienacka, której nie da się łatwo pozbyć i w której stajemy się łatwą ofiarą. Jednak czy mamy szansę ukryć się przed kimś, kto postanowił nas znaleźć? Bardzo żałuję, że ta kobieta pojawiła się w moim życiu, ale nie pozostaje mi nic

innego, jak tylko dowiedzieć się prawdy.

Matka zauważa, że przyjechałam, macha do mnie radośnie, a potem odstawia konewkę i rusza w moją stronę. Żółć podchodzi mi do gardła. Kim jesteś i jak do ciebie trafiłam? Na pewno nie takich słów się ode mnie spodziewa, ale właśnie takie powinna usłyszeć. Otwieram drzwi samochodu i wysiadam.

– Eliza! – krzyczy. – Nie mówiłaś, że przyjedziesz, ale niespodzianka!

Jest już blisko, a ja wciąż stoję nieruchomo. Zdaje się nie dostrzegać mojej zamrożonej postawy, wyniku miliardów pytań, które kłębią mi się w głowie. Obejmuje mnie. Gdyby tylko wiedziała, jak trzęsę się w środku. Wreszcie odrywa się ode mnie i zmierza w stronę domu.

– Jadłaś obiad? – świergocze.

Ruszam za nią i wchodzę do kuchni. Nigdzie nie widzę ojca.

– Gdzie jest tato? – pytam, choć to ostatnie słowo z trudem przechodzi mi przez usta.

– Pojechał do przychodni, powinien być za godzinę.

Nadal stoję w drzwiach.

– Siadaj – mówi. – Nalać ci zupy?

Posłusznie siadam na krześle, nadal milcząc. Patrząc, jak się krząta, nabiera z garnka pomidorówki, nie mówię, że nie przełknę ani łyżki. W pewnym momencie się ogląda, chyba wyczuła dziwne napięcie między nami. Patrzy mi w oczy. Nie mogę tego znieść, odwracam głowę do okna.

– Coś się stało? – pyta w końcu.

Wciąż milczę. Jabłonie obrodziły tego roku, zdaje się też, że we wrześniu możemy się spodziewać lawiny orzechów. Nie potrafię na nią spojrzeć, a tym bardziej się odezwać, chciałabym, aby ktoś zrobił to za mnie.

– Coś się stało z Borysem? – Matka nachyla się nad stołem. Jej

olbrzymie, obwisłe piersi unoszą się niespokojnie nade mną. W tym aspekcie także bliżej mi do Lilianny.

– Odezwij się w końcu – nalega.

– Chciałabym zrobić testy DNA – mówię.

– Słucham? – Patrzy na mnie zdziwiona.

– Chcę mieć coś, co potwierdzi, że mnie urodziłaś – słowa więzną mi w gardle, ale udaje mi się je wydusić. Z trudem powstrzymuję płacz.

– Czy cię urodziłam? Co ty wymyślasz, Eliza! – W jej oczach też dostrzegam łzy.

– Chciałabym zobaczyć twoje zdjęcia ze mną w ciąży, jakieś dokumenty ze szpitala, cokolwiek. – Wiem, że po raz kolejny wbijam jej nóż w serce, ale muszę mieć dowody.

Jej twarz przybiera czerwoną barwę. Nie wiem, czy jest wściekła, czy zdruzgotana moimi słowami, ale wybiega z kuchni. Słyszę, jak drewniane stopnie schodów skrzypią pod jej nogami. Potem dźwięk przekręcanego klucza w drzwiach na strych i pstryknięcie światła. Przesuwa pudła, coś spada na podłogę. Wyobrażam sobie, jak rozkłada drabinę i wchodzi na szczebelki, by z dna kartonu na najwyższej półce regału wydobyć prawdę bądź kłamstwo o mnie. Patrzę w przestrzeń za oknem, na kosy skaczące po trawniku.

Po chwili pojawia się z brązowym pudłem w dłoniach. Nie potrafię odczytać wyrazu jej twarzy. Z impetem stawia je na stole; w promieniach słońca widzę wirujące w powietrzu drobinki kurzu. Zdejmuje pokrywę, otwierając drzwi do mojej przeszłości. Podaje mi album, na pierwszej stronie widnieje moje zdjęcie w drewnianej kołysce.

– To kilka dni po twoim urodzeniu, oglądałaś ten album wiele razy – tłumaczy, przewracając kolejne strony.

Ja w ubranku do chrztu, moje pierwsze urodziny, wakacje nad morzem,

wyblakłe fotografie, które niczego nie wykluczają ani niczego nie dowodzą.

– Chciałabym zobaczyć twoje zdjęcie ze mną w ciąży – mówię.

– To niedorzeczne. Co ci w ogóle przyszło do głowy. – Marszczy brwi.

Milczę. Mruga kilkukrotnie, jakby chciała powstrzymać gromadzące się pod powiekami łzy, i wyjmuję z pudełka kolejne albumy. Przegląda je nerwowo, ale nigdzie nie ma zdjęć, na które czekam. Fotki jej w ciąży są, owszem, ale obok zawsze stoję ja, niezaprzeczalny dowód, że są z czasów, gdy w brzuchu rezydował Daniel.

W pewnym momencie wyjmuję grubą pożółkłą kopertę, starannie zaklejoną. Rozrywa ją i na stolik wypadają książeczki zdrowia, moja i Daniela. Serce zaczyna mi bić z zawrotną prędkością. W końcu coś konkretnego.

– Proszę. – Wręcza mi jedną z książeczek w grubej plastikowej okładce.

Otwieram ją i widzę swoje imię, wpisane ręcznie w wykropkowanym miejscu, a obok adnotację: „c. Krystyny”, wagę, długość, datę i miejsce urodzenia, „26.07.1988, Kraków”. Ręce mi drżą, kartki, które przewracam, są żółte, oryginalne, pochodzą z lat osiemdziesiątych.

– Masz swoje dowody – mówi. – I jeszcze to!

Rzuca w moją stronę małą, białą plastikową bransoletkę. Pod przezroczystym okienkiem na wąskim kawałku papieru widnieje odręczny napis: „c. Krystyny”. Obracam ją w palcach, musiała kiedyś oplatać mój maleńki nadgarstek. Podnoszę wzrok na matkę. Płacze, łzy spływają jej po policzkach. Sięga do serwetnika, nerwowo wyszarpuje cienki płatek papieru i wyciera twarz. Mam już dowody, których szukałam. Lilianna nigdy nie miała nic wspólnego z Krakowem, przyjechała tu kilka miesięcy temu, a ja tu się właśnie urodziłam. Jednak patrząc na rozdygotaną po drugiej stronie stołu matkę, wiem, że nie mówi mi całej prawdy. Zbyt dobrze ją znam, nie mylę się. Poruszyłam czułą strunę, trudny temat, coś, o czym nigdy nie chciała

rozmawiać, co ją boli i wyprowadza z równowagi. Powinnam teraz wstać i rzucić się jej w ramiona, przeprosić ją i błagać, by o wszystkim zapomniała, żebyśmy już nigdy do tego nie wracały. Zamiast tego odchrząkuje i mówię:

- Chcę zrobić badania DNA.
- Słucham? – Podnosi na mnie zapłakane oczy.
- Testy, które potwierdzą, że jestem wasza.

Chwilę mierzymy się wzrokiem. Liczę na to, że powie: „Proszę bardzo, jeśli to ma cię uspokoić”.

Jednak zamiast tego słyszę:

- Zrobię, co zechcesz, ale nie mieszaj w to ojca!
- W co mnie ma nie mieszać? – Na te słowa obie odwracamy się w stronę drzwi.

Stoi w nich uśmiechnięty tato, a przynajmniej mężczyzna, którego przez całe życie uważałam za ojca. Zawsze miał niezwykle wycucie sytuacji. Matka patrzy na mnie surowo, wrogo, jak nigdy wcześniej.

– A nic, nic – próbuje ukryć zdenerwowanie – wzięło nas na wspomnienia.

Ojciec podchodzi do stołu, nachyla się i całuje mnie w policzek.

– Stare albumy. – Uśmiecha się, biorąc jeden do ręki. – Nasza śliczna córeczka – mówi, wpatrując się w moje zdjęcie w kołysce. – Ale się wzruszyłaś, Krysiu – zauważa, spoglądając na matkę, która rękawem bluzki ociera łzy.

– Pamiętam, jak zabierałem was z mamą do domu. Zamówiłem taksówkę – opowiada, odsuwając jedno z krzeseł. – Wtedy jeszcze mało kto miał własny samochód. – Siada i przewraca kolejne strony. – Byłaś taka grzeczna, prawie w ogóle nie płakałaś. Położna przy wypisie mówiła, że to najgrzeczniejsza dziewczynka na całej porodówce.

– W którym to było szpitalu? – pytam.

– Na Kopernika, wtedy jeszcze mieszkaliśmy z mamą w Krakowie, to było jeszcze przed przemianami. Ostatnie lato PRL-u. – Uśmiecha się.

Czy powinnam mu wierzyć? Czy może razem z matką dawno zaplanowali całe to przedstawienie, na wypadek gdyby nagle ich rzekoma córka postanowiła dochodzić niewygodnej prawdy? Jednak nie wydaje się tak przejęty całą sytuacją jak matka, mówi powoli, uśmiecha się, jest spokojny.

– Poczekaj chwilę – wstaje – mam coś jeszcze. – Odsuwa krzesło i kieruje się w stronę swojego pokoju.

Gdy znika za drzwiami gabinetu, matka chwyta mnie za rękę.

– Dosyć – cedzi przez zęby – skończ z tym!

– Z czym? – Wyszarpuję dłoń z jej uścisku.

– Z tym całym dochodzeniem, bo pożałujesz!

Drzwi po przeciwnej stronie korytarza skrzypią, słychać kroki ojca w przedpokoju.

– Żadnych testów, żadnych badań, rozumiesz? – Mierzy mnie srogim spojrzeniem, nie znałam jej z tej strony. – Zabijesz go tym.

Chcę zapytać czym, ale w drzwiach staje wciąż uśmiechnięty ojciec.

– Zobacz, kochanie – mówi radośnie, podchodząc do mnie. – W lipcu, tuż przed twoimi narodzinami, wpadł do nas na kilka dni wujek Stefan. Pamiętasz go?

Kiwam głową. Jak mogłabym zapomnieć wujka Stefana? Co prawda od niemal dwudziestu lat nie żyje, ale przez całą dekadę wysyłał nam paczki ze Stanów, pełne luksusowych produktów. Kochałam go za to najmocniej na świecie.

– Szkoda, że nie został kilka dni dłużej, byłabyś na tych zdjęciach, ale te

też są piękne. – Uśmiecha się do matki i wręcza mi kilka odbitek z polaroida.
– Znalazłem je ostatnio, gdy robiłem porządki w garażu.

Na wszystkich jest mama z ogromnym brzuchem, w letnich wydekoltowanych sukienkach. Na jednym ze zdjęć stoi z ojcem na festynie, tata czule obejmuje ją w talii, której chwilowo nie ma, a w oddali na czerwonej taśmie przeciągniętej między latarniami powiewa napis: „22.07.1988 Narodowe Święto Odrodzenia Polski”.

Mam dowód. Tam, w brzuchu mamy, tkwię ja. Jestem pewna, że tak daleko nie posunęliby się w mistyfikacji. Władze ludowe i magistrat miasta zorganizowali huczne obchody 22 lipca, a polaroid wujka Stefana to uwiecznił, koniec kropka.

Oddaję ojcu odbitki i spoglądam na matkę. Nie patrzy na mnie, wygląda przez okno. Wierzę jej. Zobaczyłam niezbity dowód na to, że mnie urodziła. Tylko kim w takim razie jest Lilianna? Dlaczego jest do mnie tak niewiarygodnie podobna i jakim cudem znalazła się w moim życiu?

– Muszę już jechać – rzucam.

– Odprowadzę cię – proponuje matka, po raz pierwszy nie nalegając, bym została dłużej.

Wstajemy. Ojciec podchodzi, aby mnie przytulić. Przylegam do niego całym ciałem, a wzrokiem napotykam jej spojrzenie. Jeszcze nigdy nie patrzyła na mnie z taką nienawiścią.

– Wpadnij do nas w sobotę – mówi tato, wypuszczając mnie z objęć.

Mimo wszystko cieszę się, że nie jest świadomy tego, że przez lata wychowywał nie swoje dziecko. Unoszę dłoń na pożegnanie i ruszam za matką. Bez słowa krocymy w stronę żwirowego parkingu. Gdy stajemy koło auta, pytam:

– Mogłabyś mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

Milczy, patrząc pod nogi.

– Urodziłaś mnie, wiem, tata pokazał mi dowód, ale nie jestem taka głupia, żeby się nie domyślić, że mam innego ojca.

Podnosi wzrok i patrzy na mnie tępo.

– Dlatego nie chcesz się zgodzić na badania, dobrze wiesz, jaki będzie wynik. Kim jest mój ojciec? Znałaś go chociaż czy...

Nie udaje mi się dokończyć zdania. Matka otwiera usta z takim wyrazem twarzy, jakby chciała mnie zbluzgać, wiem, że się zagalopowałam. Jednak ona mówi coś, co wprawia mnie w osłupienie i łamie mój kręgosłup, przez lata wypracowaną wyprostowaną postawę.

– Tak, teraz znasz moją tajemnicę, tak jak ja od lat znam twoją.

Patrzę na nią przerażona.

– Myślałaś, że o niczym nie wiem? Że nikt nie widział? Wracałam wtedy samochodem z pracy, gdy cię zobaczyłam. Chciałam się zatrzymać, zabrać cię do domu, gdy ty... – Zaczyna płakać. – Od tamtego dnia nie potrafiłam patrzeć na ciebie inaczej niż przez to, co zrobiłaś. Ale byłaś moim dzieckiem, musiałam cię chronić. Winiłam siebie za błędy wychowawcze, ale teraz wiem, że jesteś po prostu podła. Żałuję, że nie powiedziałam wtedy wszystkim prawdy.

Nie wierzę własnym uszom. Ona o wszystkim wiedziała! A ja wmawiałam sobie, że wystarczy zatrzeć ślady i zakopać to w pamięci. Teraz rozumiem jej spojrzenia, napięcie, które przez lata utrzymywało się między nami. Zawsze myślałam, że to z powodu różnicy charakterów, odmiennego podejścia do życia, rozbieżnych zainteresowań, a teraz wiem, że po prostu znała prawdę. Kontrolowała mnie nie z miłości i troski o mnie, ale ze strachu o innych. Teraz rozumiem, skąd jej częste telefony, niespodziewane wizyty i usilne próby znalezienia mi chłopaka. Chciała zdjąć z siebie odpowiedzialność, pragnęła, aby ktoś inny nade mną czuwał, była mną zmęczona. Przypominam sobie wypryski na skórze i pytania lekarza.

Dorastanie, cóż innego mogła powiedzieć? Czy wdałam się w ojca? Czy był Rosjaninem i stąd mój rusofilizm? To dlatego błagała mnie, żebym nie jechała do Moskwy? Czy bała się, że kiedy spuści mnie z oka, dam upust mojej drugiej naturze? Pójdę w ślady ojca? Wciąż nie mogę uwierzyć, że tam wtedy była i ukrywała to przez te wszystkie lata.

– Tylko piśnij słówko ojcu, a nie będę miała skrupułów, żeby naprawić swój błąd – mówi, odwraca się i bez słowa idzie w stronę domu. Mój świat leży w gruzach.

LILIANA

Już wiem, jak to rozegram. Myślałam o tym tysiąc razy, mój plan jest prosty i dlatego idealny. Pora skończyć z rozdrapywaniem ran, ciągłymi pytaniami, a co by było gdyby. Pewnie dla nas wszystkich byłoby lepiej, gdybym cię znienawidziła, ale tak się nie stało. Nic na to nie poradzę. Ból, który czułam, kiedy odszedłeś, był nie do zniesienia. To naprawdę cud, że żyję. Tygodniami leżałam w łóżku, wpatrując się w jeden punkt na ścianie, nie reagowałam na telefony, słowa ludzi, którzy starali się mi pomóc, chciałam umrzeć. Nikt mnie nie rozumiał, nikt nie potrafił pojąć tego, co czułam, choćby w połowie. Zabrano mi powietrze, którym oddychałam. Ciebie.

A kiedy zobaczyłam cię w metrze i zrozumiałam, że żyjesz, poczułam się, jakbym nagle odzyskała utraconą wcześniej część siebie. Teraz nic mnie nie powstrzyma, znów będziesz mój. Zrobię to z zaskoczenia, aby nikt nie miał czasu przyjąć pozycji obronnej. Wpatruję się w tysiące świateł za oknem i swoje odbicie w brudnej szybie. Wyglądam żałośnie. Jestem żałosna. Samotna, wiecznie wyczekująca twojego powrotu, katująca samą siebie za błędne decyzje. Koniec z tym, już dość się umartwiałam. Odwracam się i otwieram szafę. Muszę się odpowiednio przygotować do finałowej rozgrywki. Zrobię to dzisiaj, dłużej nie jestem w stanie czekać.

ANTON

Tamtej kwietniowej nocy nie zmrużyłem oka, a gdy dochodziła czwarta, wyszedłem z domu. Byłem pewien, że do piątej Wołodia nie rozliczy nocnych transakcji i pomoże mi po raz kolejny ocalić skórę. Nie myliłem się.

Mój plan był precyzyjny, musiałem tylko skonfrontować go z rzeczywistością. Odszukałem zdjęcie Lilianny i przesłałem na swój smartfon. Patrzenie na jej uśmiechniętą twarz sprawiało mi przyjemność. Miała w sobie coś, co znałem na pamięć, jak fragment etiudy, tak wyćwiczony, że można go grać z zamkniętymi oczami. Dźwięk jest wtedy nieskazitelny, głębszy, wiarygodniejszy. Wszystko brzmi lepiej, bo pochodzi z samego środka. Była mi o wiele bliższa, niż kiedykolwiek sądziła. Nieświadoma tego, co wywołuje we mnie jej wspomnienie, żyła ponad tysiąc kilometrów dalej i godzinę wcześniej. W jakiś nieoczywisty sposób zatęskniłem za nią.

W końcu jej zdjęcie załadowało się w aplikacji Find Face. Chwilę jeszcze się wahałem, a potem mój palec wskazujący dotknął szklanego ekranu. Kilka sekund później poczułem ulgę. Wynik był znacznie korzystniejszy, niż się spodziewałem. Jedenaście cudownych kobiet. Numer trzy na liście wydawał się najtrafniejszy. Zbawienie było na wyciągnięcie ręki. W kraju, w którym będzie mi się łatwo ukryć, wśród ludzi, z którymi zawsze czułem się związany. Ewidentnie ktoś na górze nade mną czuwał. Opadłem na łóżko, uśmiechając się w ciemnościach do siebie.

Gdy parę godzin później siedziałem na tyłach knajpy Wołodii, nie musiałem go długo przekonywać, że muszę uciekać. Doskonale rozumiał, że gdy ludzie Fiodora porównają moje zdjęcie z zawartością albumów na VKontakte, dotrą do mnie jak po nitce do kłębka. Zresztą znając Wołodię, w jego głowie właśnie powstała lista osób, które przepuści przez Find Face. Jak każdy wykorzysta aplikację na swoje potrzeby.

A potem zacząłem życie jako Borys Lebediew. Przybyłem do Krakowa, z którego teraz najwyraźniej muszę się jak najszybciej ewakuować.

ELIZA

Przez całą drogę płaczę. Łzy cieką mi po policzkach i spadają na gołe uda. Matka o wszystkim wiedziała i nie zdradziła się ani słowem. Nie miłość, nie jedność panowały w naszym domu przez te wszystkie lata, ale kłamstwo. Czy zdradziła ojca, gdy był w NRD? Bzyknęła się z kimś przypadkowym? A może z dawną miłością? Ojciec nie może się dowiedzieć, że nie jestem jego córką. To wydaje się dla niej najważniejsze. Ta wiadomość rozbiłaby przecież idealne małżeństwo. Wspaniałą parę, którą zawsze podziwiałam i której zazdrościłam bliskości i zrozumienia. A teraz okazuje się, że za tą wyjątkową małżeńską idyllą stały ugodowość i ciągłe ustępstwa mamy, podyktowane tym, jak wiele miała do ukrycia, a nie bezwzględna miłość. Każde zaniedbanie, przewinienie ojca było niczym w porównaniu z tym, co ona miała za uszami.

A może było zupełnie inaczej? Może w pewne jesienne popołudnie wracała do domu i została napadnięta, pobita i brutalnie zgwałcona? A ja jestem tego owocem? Fala gorąca uderza mi do głowy. Być może codziennie patrzyła na mnie jak na intruza, który wtargnął nieproszony do jej życia, kazał kręcić i oszukiwać. A potem, gdy zobaczyła, do czego jestem zdolna, stwierdziła, że geny jej oprawcy przeżyły we mnie. Nie, to niemożliwe. Droga rozmywa mi się przed oczami, prawie nie widzę jezdni zza zasłony łez. Ta cała psychologia, szkoła psychoterapii nic nie dały. Chciałam wspierać innych, odkupić swoją winę i dzięki temu sobie pomóc, ale to nigdy nie miało prawa się udać. Uszczelka słoika puściła i wylała się cała zawartość

bulgoczącego nienawiścią kwasu.

Dzwoni telefon, ale nie chcę z nikim rozmawiać. Mocniej wciskam pedał gazu, nie obchodzi mnie, że jadę za szybko. Mam dość tej śmierdzącej, sfermentowanej przeszłości, zasługuję na śmierć i chcę umrzeć. Komórka nieprzerwanie wibruje. Zerkam na wyświetlacz, Paulina. Słuchanie jej radosnego szczebiotu, opowieści o przyjemnościach, których doświadczyła lub które staną się jej udziałem, to ostatnie, na co mam ochotę. Zawsze obok znajdzie się jakaś dziewczyna, która uprzykrzy mi życie, pokaże, jak blado wyglądam na jej tle.

A może za tym wszystkim stoi Paulina? Obrazy minionych miesięcy przelatują mi przed oczami, gdy zjeżdżam z autostrady. Jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć? Paulina jest jedyną znajomą, która wpadała czasem do mnie na kawę, która po wieczornych imprezach odprowadzała mnie do domu, która doskonale знаła adres mojego mieszkania na Lwowskiej i obecny na Zwierzynieckiej. To ona wybrała kino, datę, godzinę i film, na który poszliśmy w kwietniu, kiedy to jakiś mężczyzna mnie obserwował i nagle zniknął. Musiała zauważyć, jak z niepokojem oglądałam się za siebie, szukając go wśród siedzących za nami ludzi. Przez cały czas udawała, że niczego nie widzi, a gdy ją o niego zapytałam, odgrywała zdziwioną. Teraz staje się dla mnie oczywiste, że to ona wszystko wyreżyserowała. Głupia suka. To ona wrzuciła mi list do skrzynki i wysłała kwiaty, jak mogłam wcześniej tego nie skojarzyć! To Paulina sugerowała, że Lilianna może być moją matką. Przypominam sobie kolejne fakty, które ją obciążają, i przepełnia mnie nienawiść. To ona jest wszystkiemu winna. Serce wali mi jak młotem, jestem żądna zemsty.

Próbuję sobie przypomnieć, jak ją poznałam. W dniu pierwszej wizyty, na początku roku. Od października szukałam jakiegoś lokalu w centrum, na parę godzin tygodniowo, niedrogo. Nie miałam jeszcze klientów, nie mogłam

ryzykować stałego wynajmu w ciemno. Przed świętami Daniel powiedział, że widział ogłoszenie o wolnych od stycznia gabinetach na Karmelickiej. Zadzwoiłam pod podany przez niego numer. Okazało się, że mieszkanie ma dwa pokoje, toaletę i przedpokój zaaranżowany na poczekalnię. Lokal od wielu lat był wynajmowany różnego rodzaju usługodawcom. W poniedziałki i w piątki gabinety są zajęte przez native speakerów, w czwartki na kilka godzin wynajmuje je jakiś coach, a we wtorki i środy jeden pokój jest wolny, a w drugim przyjmuje dietetyczka.

Paulinę poznałam w styczniu, a wiosną ktoś zaczął mnie śledzić; wtedy już wynajmowałyśmy wspólnie lokal, zdążyłyśmy się nawet zakumplować. Jaki z tego wniosek? Że ze wszystkim, co mnie spotkało, ma coś wspólnego Paulina. Spoglądam na zegarek, jest kilka minut po szesnastej, mam jeszcze szansę potwierdzić swoje przypuszczenia. Szalona, dzika gazela. Już ja jej pokażę, co z takimi może zrobić lew.

Parkuję na chodniku po przeciwnej stronie ulicy i zerkam do góry. Okno w jej gabinecie jest otwarte na oścież. Miałam rację, jeszcze nie skończyła. Nie zawracam sobie głowy opłatą za postój, parkomat jest za rogiem, a nie mam teraz na to czasu. Wpadam na górę, drzwi do gabinetu są uchylone. Popycham je, Paulina siedzi przodem do okna, trzymając w ręce kubek z ziołami. Na dźwięk moich kroków odwraca się, a na jej usta wypływa uśmiech.

- Dzwoniłam do ciebie – odzywa się.
- Dobrze się bawiłaś moim kosztem? – krzyczę, ruszając w jej stronę.
- O co ci chodzi? – Wstaje z fotela i cofa się w stronę okna.
- O co mi chodzi? – Podchodzę do niej na odległość kilku kroków.

Paulina patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, jej przerażone spojrzenie nie robi na mnie wrażenia.

- Po co to wszystko?! – wrzeszczę.

– Odwaliło ci, Eliza? – Robi kolejny krok do tyłu.

– To ty mnie śledziłaś, prawda?

– Ja? Śledziłam? – Wskazuje na siebie, jakby się upewniała, że to ją mam na myśli. – O czym ty mówisz?!

– Dobrze wiesz, o czym mówię! – Przystaję nad sobą panować.

Wystarczy, żebym teraz mocno ją pchnęła, a jej ciało wypadnie przez okno i roztrzaska się na chodniku pięć metrów niżej. Dobrze, że zaparkowałam po drugiej stronie ulicy.

– Przesłałaś mi kwiaty, wyzwałaś od suk i wmówiłaś, że Lilianna jest moją matką.

– Ja? – Mruga oczami, widzę, że się mnie boi. – Nie wiem, o co ci chodzi.

– Tylko ty wiedziałaś, gdzie mieszkam. Teraz i wcześniej. Czego ode mnie chcesz?

– Niczego. – Kręci głową i przesuwa się w stronę regału z książkami, jakby czytała w moich myślach. – Dzwoniłam, żeby cię namówić na wieczornego drinka, nic więcej – tłumaczy się.

Nie spuszczam z niej wzroku, już raz to przerabiałam. Widzę pulsującą na jej skroniach krew, boi się, za chwilę zacznie krzyczeć, ziszczą się moje nocne koszmary.

– To jakaś pomyłka, nie wiem, o czym mówisz – próbuje mnie przekonać.

– Łaziłaś za mną, robiłaś zdjęcia z ukrycia!

– Co? – Wybałusza na mnie oczy, jej włosy sterczą na wszystkie strony. – Nigdy niczego podobnego nie robiłam! Boże, ty jesteś pierdolnięta. Leczysz ludzi, a sama jesteś świrem!

– Przysłałaś do mnie Liliannę?

– Nikogo do ciebie nie przysyłałam! Nie znam jej. Wynoś się, chyba tylko w taki sposób można z tobą rozmawiać! Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego!

Domofon przeszywa ciszę piskliwym dźwiękiem, wiem, że zaprogramowany zamek automatycznie wpuszcza kogoś na dole do środka. A jednak tym razem zakończenie będzie inne. Widzę, jak Paulina oddycha z ulgą, może czuć się bezpieczna, przyszedł jej klient, wybawca, ewentualny świadek. Tę rozgrywkę przegrałam. Za chwilę słychać pukanie.

– Proszę! – krzyczy Paulina.

Drzwi otwierają się i do gabinetu wtacza się otyły mężczyzna. Trzyma rękę na klamce, jakby się wahał, nie wiedząc, czy już skończyliśmy spotkanie.

– Proszę, niech pan siada. – Paulina wskazuje mu fotel.

Wymijam go i wychodzę bez słowa, zerkając w przelocie na zaciskającą się na klamce dłoń. Dostawca kwiatów też miał serdelkowate palce, dlaczego od razu tego nie skojarzyłam?

ANTON

Rudy zatrzymuje się pod klubem. Rozładowuję z nim sprzęt, z niepokojem rozglądając się na boki. Nie widzę nikogo, kto interesowałby się moją osobą. Nie wiem, co powinienem zrobić, gdzie uciekać i ile mam czasu. Nie znoszę tego uczucia niepewności, wrażenia, że śmierć zagląda mi w oczy. Być może niepotrzebnie jechałem do Petersburga po leki. Musieli mieć wtyki na lotnisku, trafili na mój trop, pewnie już wiedzą, jak się nazywam. Odmawiam wejścia do klubu na pożegnalną kolejkę i ruszam w stronę Zwierzynieckiej. Najbezpieczniej będzie zmienić tożsamość i zaszyć się w innej części świata. Wyjechać gdzieś naprawdę daleko, na drugą półkulę, do jakiejś małej wioski, gdzie mógłbym spokojnie doczekać starości, o ile w moim stanie mam na to jakąś szansę. Wizja ciepłego oceanu i palm kokosowych przywodzi na myśl Liliannę. Myślę, że mogliśmy być szczęśliwi.

Gdy ujrzałem ją wtedy na El Malecón, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Była moim ideałem. Zawsze podobały mi się drobne, kształtne blondynki. Chociaż sypiałem z różnymi kobietami, zawsze ciągnęło mnie do tego słowiańskiego typu urody. Niewidzialna siła, wewnętrzny dyktator, niepoohamowany popęd. Coś, nad czym nie umiałem zapanować i czemu nie potrafiłem odmówić. Na terapii, na którą chodziłem przez kilka miesięcy po nieudanej próbie samobójstwa, poruszyliśmy tę kwestię. Psychoterapeuta stwierdził, że ma to związek z zaburzeniami w obszarach edypalnych.

– Czy przypadkiem pana matka nie wyglądała podobnie?

Po chwili zastanowienia przyznałem mu rację.

– Podświadomie szuka pan kobiety podobnej do matki. Utracił ją pan w dzieciństwie i chciałby ją pan odzyskać. Kwestie edypalne mają odzwierciedlenie w życiu prawie każdego dorosłego człowieka. W skrajnych przypadkach prowadzą do wielu wypaczeń. W przypadku mężczyzn może to być problem z erekcją, przedwczesny wytrysk, a u pana jest to imperatyw odnalezienia sobowtóra matki.

To, co mówił, miało sens. Czy gdyby Anastazja była drobną blondynką, potrafiłbym ją pokochać tak jak ona mnie? Być może wtedy nie pozwoliłbym jej tak marnie skończyć, nie ściągnąłbym na siebie nieszczęścia, nie dostałbym wyroku i moje życie potoczyłoby się inaczej.

Spotkałem w życiu wiele kobiet, ale żadna z nich nie przypominała mojej matki tak bardzo jak Lilianna. To było coś niesamowitego, coś, co w mojej sytuacji jawiło się jako cud.

Zatrzymałem się i zacząłem się jej przyglądać. Książka, którą trzymała w ręce, miała polski tytuł. To wprawiło mnie w jeszcze większe osłupienie. Próbowałem odczytać nazwisko autora, gdy podniosła głowę i spojrzała na mnie.

– Przepraszam – odezwałem się po polsku – pani jest z Polski?

– Tak – uśmiechnęła się.

Mówiłem po polsku biegle, bez akcentu, był to język, w którym wypowiedziałem pierwsze słowa, język mojej matki. Podeszedłem bliżej i przedstawiłem się:

– Maxim Nikołajew. – Wyciągnęła dłoń w moją stronę. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale nie sądziłem, że tak daleko spotkam na ulicy kogoś z Polski.

Wskoczyłem na murek, na którym siedziała, i zaczęliśmy rozmawiać. Mówiła, że przyjechała sama, aby złapać oddech, odpocząć. Mieszkała

w pobliskim hotelu, a lot powrotny do Warszawy miała w następnym tygodniu.

Była ode mnie starsza, od razu to zauważyłem. Obstawiałem pięć, siedem lat. Nie sądziłem, że aż dwanaście. Zdałem sobie sprawę, że moja matka musiała być w jej wieku, kiedy ją ostatni raz widziałem. Dobrze się razem czuliśmy, od dawna nie rozmawiałem z nikim po polsku, a ona mówiła do mnie językiem mojej przeszłości.

Pamiętam, jak powiedziałem jej, że przypomina mi matkę. Przez moment obawiałem się, że popełniłem gafę, że ją do siebie zniechęcę. Doskonale wiedziałem, że kobiety nie lubią takich porównań. Jednak ona zareagowała śmiechem. Jej rozbawienie nie miało końca.

– Oczywiście jak była młoda – ratowałem sytuację.

Spodobałem się jej, poczułem to już tam, na El Malecón. Zaprosiłem ją na drinka, niezobowiązująco, bo jeszcze wtedy w mojej głowie nie powstała myśl, żeby zbudować swoją przyszłość wokół jej osoby. Jak radził Wołodia, znaleźć sobie jakąś dupę. Jednak już kilka godzin później wiedziałem, że muszę się jej uczepić. Wbić się w nią niczym kleszcz w tłusty kark dobermana. Lepszego wyjścia nie miałem, ba, żadnego innego nie miałem, a moje zagwarantowane dwa tygodnie dobiegały końca.

Szliśmy wzdłuż oceanu, odgłosy dochodzące z portu stanowiły miłe tło dla naszej rozmowy. Usiedliśmy w barze na plaży, po kilku drinkach zaprosiła mnie do siebie, do hotelu, i chyba właśnie wtedy pomyślałem, że nie mogę pozwolić jej odejść. Kochaliśmy się na sfatygowanym łóżku. Przy każdym kolejnym ruchu miałem wrażenie, że się rozpadnie. Lilianna wciąż się śmiała. Słodki smak rumu w jej ustach i zapach cygar dochodzący przez otwarte okno tworzyły kiczowaty klimat, ale wiedziałem, że to tym bardziej ją do mnie przywiąże. Kobiety lubią takie szczegóły, które można potem latami wspominać. Byłem pewien, że tej nocy długo nie zapomni. Dołożyłem

starań, aby nie zapomniała jej nigdy.

Dwa dni później wynajęliśmy samochód i pojechaliśmy na południe, do Trinidadu i Cienfuegos. Stary cadillac połykał kilometry, popijając je hektolitrami paliwa, a dystans między nami topniał z każdą kolejną minutą. Spacerujemy za rękę wzdłuż fasad kolonialnych kamieniczek z końca dziewiętnastego wieku i pocałunki w zaułkach robiły swoje. Wyraźnie się we mnie zakochiwała i o to mi chodziło. Powiedziałem jej, że lecę do Warszawy, a ona nie kryła radości, naprawdę się ucieszyła, choć widziałem też, że coś ją trapi. Domyślałem się, że musi mieć męża, dzieci, ale nie interesowało mnie to. Musiałem się na jakiś czas gdzieś zaczepić, więc dlaczego by nie w Polsce, w Warszawie, tam, gdzie się urodziłem? Przecież kiedyś tak bardzo lubiłem to miasto.

Po przylocie przez kilka dni mieszkałem w hotelu, nie pamiętam jego nazwy, ale stał niedaleko mojego pierwszego domu na Ochocie. Przez dwadzieścia kilka lat mojej nieobecności miasto zmieniło się nie do poznania. Siostra matki od kilku lat nie żyła, tak samo dziadkowie, nie miałem tu już żadnej rodziny. Przez moment zastanawiałem się, czy nie odwiedzić grobu matki, jednak nie wiedziałem, jak go znaleźć. Wprawdzie mogłem poszperać w księgach cmentarnych, ale bałem się, że będę musiał ujawnić swoją prawdziwą tożsamość. Od nowego miesiąca wynająłem mieszkanie w Ursusie, żeby mieć bliżej do Lilianny. Kupiłem telefon na prepaid i wysłałem wiadomość do Wołodii, aby wiedział, że żyję. Jedyne, czego jeszcze potrzebowałem, to odciąć wszystkie sznurki łączące mnie z niechlubną przeszłością. Bez zastanowienia przecinałem jeden po drugim.

Lilianna pozwalała mi przychodzić do siebie za każdym razem, gdy jej mąż wyjeżdżał w interesach. Miała piękny dom i prowadziła wystawne życie. Było mi z nią dobrze. Inteligentna, wesoła i bezproblemowa, czego mogłem chcieć więcej? Chciałem. Przeprowadzić się do niej. Widziałem, że nic już

nie czuje do męża, a mnie znudziła się uboga kawalerka, musiałem zadbać o własny komfort. Pieniądze, które zarabiałem, grając po klubach, były symboliczne, wciąż uszczuplałem konto po ojcu, więc zamieszkanie w pięknej posiadłości Lilianny wydawało się najlepszym wyjściem z sytuacji. Nie miałem zamiaru zostawać tam na zawsze, tylko do czasu, aż Wołodia zadzwoni z informacją, że sprawa przycichła i mogę wracać do siebie.

Rozkoszowałem się byciem facetem dwanaście lat starszej kobiety. Czy czegoś mi brakowało? Absolutnie nie. Nigdy wcześniej nie czułem się tak dobrze z żadną inną. Co prawda z żadną inną moje relacje nie doszły do momentu wspólnego zamieszkania, ale Lilianna z każdym dniem coraz bardziej wydawała się tą, z którą mógłbym spędzić resztę życia. Zacząłem zmieniać nastawienie do tej całej sytuacji. Ta kobieta nie była już kołem ratunkowym, ale na dobre zakotwiczyła w moim sercu. Bywała zazdrosna, ale to tylko dawało mi potwierdzenie, jak bardzo jej na mnie zależy. Pewnie nadal bylibyśmy razem, kto wie, może nawet założylibyśmy rodzinę, gdybym pewnego dnia nie odebrał telefonu, który zmienił wszystko.

ELIZA

W drodze powrotnej do domu wybieram numer Daniela. Znów nie odbiera. Klnę w myślach i ponawiam próbę. Wjeżdżam w Zwierzyńce i widzę, że miejsce pod oknem jest zajęte, jednak nie przez czerwoną toyotę. To mnie trochę uspokaja, ale i tak wiem, że nie wejdę sama do kamienicy. Ktokolwiek mnie śledzi, nie dam mu się złapać. Parkuję po przeciwnej stronie ulicy i ponownie wybieram numer brata, bez rezultatu. Próbuję przez WhatsAppa połączyć się z Sylwią. Odbiera po trzech sygnałach.

– Możesz rozmawiać?

– Jasne.

Wysiadam z samochodu i kieruję się w stronę przejścia dla pieszych, trzymając telefon przy twarzy.

– Co się dzieje?

– O nic nie pytaj, tylko proszę, bądź teraz ze mną.

Rozglądam się i przebiegam na drugą stronę jezdni.

– Eliza, o co chodzi?

– Nie wiem – mówię, wpisując kod na domofonie – ale mam wrażenie, że ktoś mnie śledzi – zaczynam szeptać. – Jeśli cokolwiek się teraz stanie, przerwę połączenie i nie oddzwonię, zawiadam policję – instruuję ją, biegnąc do góry po schodach.

– Boże, w co ty się wpakowałaś? – pyta Sylwia. – Wiedziałam, że coś jest z nim nie tak!

– To nie on – protestuję.

– A kto?

– Nie wiem. – Pośpiesznie przekręcam klucz w zamku i wchodzę do środka.

Mieszkanie jest w takim samym stanie, w jakim je wcześniej zostawiłam.

Zaglądam do łazienki, sprawdzam wszystkie kąty.

– Wszystko w porządku – mówię do Sylwii. – Niepotrzebnie spanikowałam!

Przez krótką chwilę żałuję, że do niej zadzwoniłam i dałam jej powód do rozmyślań.

– Na pewno?

– Tak – siadam na łóżku i zsuwam buty ze stóp – jestem wykończona, muszę odpocząć, odezwę się.

Nie czekając na odpowiedź, rozłączam się. Podchodzę do okna i wyglądam na ulicę. Nigdzie śladu czerwonego auta ani fluorescencyjnej bluzy, Lilianny ani Pauliny. Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale Gazeli należy się za to surowa kara. Zawsze czułam, że mi zazdrości. Wkładała tę swoją rozczochraną głowę w moje drzwi, usilnie próbując znaleźć sobie miejsce w moim życiu. Skąd wytrzasnęła Liliannę? Zobaczyła ją w tramwaju, w kawiarni? Podeszła i przedstawiła swoją propozycję? Powiedziała, że mnie nienawidzi, że chce doprowadzić mnie do obłędu, że miło byłoby zrujnować mi życie? Ale co obiecała w zamian? Nie stać by jej było na opłacenie Lilianny, a poza tym ta kobieta, moja przedziwnie wierna kopia, nie wydaje się kimś, kogo interesowałyby takie prymitywne gierki. A więc przypadek? Zwykły zbieg okoliczności? Nie, to niemożliwe. Od początku czułam nienaturalność naszych spotkań, sztuczność budowanej relacji.

Ukrywam twarz w dłoniach. Świadomość, że moja matka o wszystkim

wie, jest przytłaczająca. Czuję się jak idiotka. Przez całe życie uważałam ją za prostoduszną, prowincjonalną kobietę, której zainteresowania nie wykraczają poza prowadzenie domu i plewienie ogródka. A ona była najlepszą aktorką, jaką można sobie wyobrazić. Czy uznała, że to, co zrobiłam, to kara za jej kłamstwa, których dopuściła się wobec ojca, mnie, wszystkich? Czy chroniła mnie dla mojego dobra, czy ze względu na siebie, na nich, na ich spokojne życie? Trzeba być niezwykle bystrym i przewidującym, żeby utrzymać oszustwo w tajemnicy. Nie doceniałam jej. I jak to jest żyć ze świadomością, że własne dziecko jest tak dalekie od doskonałości?

Dwie godziny później koszmar, który co jakiś czas powraca, wybudza mnie ze snu. Znow widziałam jej twarz, wydatne usta i przerażone oczy. Czy to się kiedyś skończy? Siadam na łóżku i w tym samym momencie do moich uszu dociera dźwięk domofonu. Może to jednak nie duchy, tylko tym razem ktoś żywy namolnym dzwonieniem uratował mnie, wyciągając z upiornego snu do jeszcze gorszej rzeczywistości? Na nikogo nie czekam, Borys ma swoje klucze. Wyskakuję z łóżka, podchodzę do okna i zerkam przez firankę. Wychylam się bardziej, próbując dostrzec, kto dzwoni, jednak to niemożliwe, rozłożysty parasol na balkonie piętro niżej zasłania pół chodnika. Na parkingu nie widzę ani czarnego SUV-a, ani czerwonej toyoty, ani furgonetki dostawczej. Mimo wszystko postanawiam nie otwierać. Domofon dzwoni ponownie, przyprowadzając mnie o dreszcze. Gdy trzeci sygnał nie rozbrzmiewa, domyślam się, że ktoś zrezygnował.

Stoję w oknie i czekam, aż zacznie się oddalać; być może wtedy w końcu uda mi się go zobaczyć. Jednak nigdzie nie widzę zjawiskowej postaci Lilianny ani upiornych włosów Pauliny. Czy to mógł być mój biologiczny ojciec? Czy to on mógł mnie śledzić wiosną? Może to ten szpakowaty facet, który przechodzi na zielonym, albo ten w okularach przeciwsłonecznych,

który wchodzi do kawiarni? Obłąd. Mogłam siedzieć naprzeciwko niego w poczekalni u lekarza, w tramwaju, w pociągu, w restauracji, patrzeć mu w oczy i nie wiedzieć, że jest moim ojcem. Nie, to nie może być on. Dlaczego własny ojciec miałby mnie nazywać suką? To Paulina, jestem tego pewna. Jeszcze nie wiem, dlaczego się na mnie uwzięła, ale się dowiem i słono za to zapłaci.

Nagle ciszę przerywa głośny dzwonek do drzwi. Podskakuję przestraszona. Intruz stoi już pod drzwiami mojego mieszkania. Czy to ostatnie minuty mojego życia? Za żadne skarby świata nikogo tu nie wpuszczę. Ktokolwiek tam jest, nie życzy mi dobrze, jest moim wrogiem. Dzwonek rozbrzmiewa po raz drugi, a potem trzeci. Nie ruszam się z miejsca, choć przez moment zastanawiam się, czy nie zabarykadować drzwi krzesłem. Natarczywe pukanie, niemal walenie pięścią i czyjś głos. Ktoś coś mówi, nie rozumiem dokładnie co, ale docierają do mnie pojedyncze słowa. Podchodzę bliżej. Kolejny dźwięk dzwonka przeszywa moje ciało. Staję tuż obok drzwi, od osoby po drugiej stronie dzielą mnie centymetry.

– Eliza, otwórz!

Klamka porusza się w górę i w dół.

– Eliza, chcę pogadać.

To Daniel, oddycham z ulgą. Zdejmuję metalową zasuwę i otwieram drzwi.

– No wreszcie! – Mój brat wchodzi do środka. – Co się z tobą dzieje? – Przygląda mi się, marszcząc brwi. – Masz wyłączony telefon, nie mogę się z tobą skontaktować. Dzwoniłaś do mnie – ciągnie, zdejmując buty – a teraz nie chcesz mnie wpuścić? Nie słyszałaś, jak pukałem?

Postanawiam mu powiedzieć, już dawno powinnam to zrobić. To jedyna osoba, której ufam; mogę z nim rozmawiać na każdy temat, a więc i ten.

– Muszę ci o czymś powiedzieć. – Czuję, że za chwilę znowu się

rozplaczę.

– Borys cię zdradza? – Daniel patrzy na mnie przerażony.

– Nie – zaprzeczam. – W każdym razie mam nadzieję, że nie.

Ostatnim razem, gdy zwierzałam mu się z czegoś, co mną wstrząsnęło, sprawa dotyczyła romansu Roberta. Widać myśli, że tylko takie straszne rzeczy mogą mi się przytrafiać. Ale bywają gorsze.

– Ktoś mnie prześladowuje.

– Co?

– Ktoś mnie śledził.

Patrzę na jego zdziwioną twarz. Teraz, gdy już wiem, wyraźnie widzę różnicę między nami. Nie jesteśmy w niczym do siebie podobni, mój brat stanowi wierną kopię matki, ma ten sam owal twarzy, włosy. Ja z kolei muszę być podobna do mojego nieznanego ojca. Zaczynam płakać. To za dużo jak na jeden raz. Nawet ktoś tak silny jak ja ma granice wytrzymałości. I właśnie zostały przekroczone. Daniel podchodzi do mnie i obejmuje mnie ramieniem. Zawsze ukrywałam przed nim chwile słabości, chciałam, żeby miał w głowie mój idealny obraz. Nie potrzebował siostry wariatki, słabej płci, dygoczącej, niezaradnej, bezbronnej. Zawsze byłam dla wszystkich ostoją, kimś, u kogo można znaleźć zrozumienie dla swojego zachowania, problemów i lęków. A teraz to on, mój młodszy brat, jest jedyną osobą, która może mi zapewnić wsparcie. Myśl, że nie jesteśmy w pełni rodzeństwem i że nigdy nie będę mu mogła o tym powiedzieć, boli najbardziej.

– Uspokój się. – Gładzi mnie po plecach i prowadzi na sofę. – Opowiedz mi o wszystkim.

Zaczynam od początku. O kwiatach, które dostałam od nieznanego nadawcy w urodziny, o liściku podrzuconym do skrzynki, o czerwonej toyocie. Jeszcze raz wspominam o śledzeniu, które przypisałam Mariuszowi, ale teraz już nie jestem pewna, czy to był rzeczywiście on. Kręci mi się

w głowie, opieram się o zagłówek łóżka. Daniel podaje mi szklanekę wody. Zastanawiam się, czy powiedzieć mu o Liliannie, niewiarygodnie podobnej do mnie klientce, którą wzięłam za własną matkę. Nie chcę wyjść przed nim na idiotkę, ona może nie mieć z tym nic wspólnego. Kretyńskie insynuacje Pauliny doprowadziły do odkrycia innej bolesnej prawdy, a nawet dwóch. Nienawidzę tej dziewczyny jeszcze mocniej. Musi ją spotkać kara. Jeszcze nie wiem, co jej zrobię, ale na pewno tak tego nie zostawię.

– Dlaczego nic mi wcześniej nie powiedziałaś? – pyta Daniel. – Podejrzewasz kogoś?

Wzruszam ramionami. Nie mówię mu o Paulinie. Już dawno zauważyłam, że zdążył ją polubić.

Podnosi ręce do góry, zakładając je za kark, jakby miał zamiar robić brzuszki. Na moment zamyka oczy. Zawsze tak robi, gdy się nad czymś zastanawia. Na jego przedramieniu, w miejscu, gdzie koszulka powędrowała do góry, zauważam folię.

– Co to? – pytam, dotykając palcem jego ręki.

– Tatuaz – odpowiada, nie otwierając oczu.

Pamiętam, że ilekroć któryś z jego kolegów z drużyny tatuował sobie na skórze nowy symbol i pytał Daniela, kiedy on w końcu pójdzie w ich ślady, mój brat cytował Clooneya:

– A jaki jest sens oblepiać naklejkami ferrari?

Byłam z niego dumna. Z jego nieugiętej postawy, odwagi bronięcia własnego zdania. Co mu nagle przyszło do głowy?

– Widzę, ale przecież nigdy nie lubiłeś tatuazy – zauważam po chwili.

– Ale moja nowa dziewczyna je lubi – wyjaśnia. – A bardzo mi na niej zależy.

No tak, ktoś już namieszał mu w głowie.

– Kto to jest? – pytam. – Dlaczego mi nie powiedziałaś, że się z kimś

spotykasz?

Spogląda na mnie wymownie. Jest dorosły i nie ma zamiaru mi się ze wszystkiego tłumaczyć. W tym momencie dociera do mnie, że ma przede mną więcej tajemnic, niż mi się wydaje.

– Mówiłaś o tym Borysowi? – wraca do porzuconego wątku.

– Tak – pokiwałam głową – martwi się o mnie.

– Ja też.

Mówi to w taki sposób, jakbym była chora psychicznie i potrzebowała pomocy. Jakby nic tak naprawdę się nie zdarzyło i wszystko toczyło się tylko w mojej głowie. Obaj mi nie wierzą, w żadnym nie mam oparcia, który z nich jest moim większym wrogiem? Próbuję przekonać Daniela, że nie oszalałam, że nic mi się nie wydaje, że ktoś się na mnie wziął. Niby mi współczuje, dopytuje o szczegóły, ale ja już wiem, że tak naprawdę nic go to nie obchodzi. Po chwili mówi, że musi już iść, bo jest umówiony. Chce wyjść po tym, co mu właśnie powiedziałam? Zostawić mnie samą z dręczącymi mnie pytaniami? Z prześladowcą za plecami? Moje życie jest zagrożone i nikogo to nie obchodzi? Tylko stalker jest mną zainteresowany?

– Tak szybko? Proszę, zostań chociaż do powrotu Borysa. Nie chcę być sama!

– Nie mogę. – Kuca.

Patrzę, jak wiąże buty. Ja go tego nauczyłam. Jak miliona innych rzeczy. Trudno uwierzyć, że przerósł mnie o dwie głowy i już mnie nie potrzebuje. Teraz to ja bardziej potrzebuję jego. Podchodzi i całuje mnie w policzek.

– Naprawdę muszę lecieć. Jak coś, to dzwoń! – Przykłada rękę do twarzy, odginając kciuk i mały palec.

Czuję, że nie może się doczekać, aż opuści to mieszkanie, uwolni się spod wpływu siostry szczególnej troski.

– Aha – odwraca się tuż przed wyjściem – prawie bym zapomniał.

Wczoraj wieczorem wpadłem do klubu na Sławkowską. Myślałem, że spotkam tam Borysa, nie wiedziałem, że pojechał w trasę.

– Nie planował tego, to jakaś awaryjna sytuacja.

Daniel patrzy na mnie z nagłą powagą. Wiem, że chce mi powiedzieć o czymś ważnym, jego mina sprawia, że znów zaczynam się trząść.

– Jakiś facet go szukał.

– Borysa?

Kiwa głową.

– Kto?

– Nie wiem. – Wzrusza ramionami. – Podszedł do mnie, gdy siedziałem przy barze. Zapytał, czy go znam, i podsunął mi pod nos jego zdjęcie. Zamurowało mnie, bo gość mówił z mocnym rosyjskim akcentem. Wolałem się w to nie mieszać, więc tylko zaprzeczyłem.

– Czego chciał?

– Nie wiem. Ale potem pytał innych. Na szczęście na zmianie był nowy barman, który nie zna Borysa. Ale naprawdę chciał pomóc, wyraźnie bał się tego Ruska. Bo tamten dociskał: „No zastanów się, był tu? Facet nazywa się Borys Lebiediew”. Widziałem, że barman czuł się nieswojo, a tamten w kółko: „No przyjrzyj się. Borys Lebiediew!”. Chłopak oczywiście nigdy Borysa na oczy nie widział, ale minę miał tak nietęgą, że Rusek zaczął jeszcze raz. Wymienił jakieś inne imię i nazwisko i zapytał, czy może zna go pod tą tożsamością.

– Co?

– Serio, inne imię i nazwisko, ale nie dosłyszałem jakie. Wiesz, o co chodzi?

– Nie. – Kręcę głową w zamyśleniu.

– Kiedy wyszedł z knajpy, zapytałem moją dziewczynę, czy usłyszała,

jak tamten facet nazwał Borysa, ale nie zapamiętała.

– Kiedy ją poznam? – pytam.

Nie wiem, dlaczego czuję nagłą potrzebę dowiedzenia się, kim ona jest. Czy jest ładna? Czy zdążyła już poznać Borysa?

– Niedługo. – Daniel uśmiecha się półgębkiem. Znam ten uśmiech i go lubię. – Ale nie wiem, czy ci się spodoba, jest ode mnie sporo starsza – dodaje nieświadomy wrażenia, jakie to na mnie robi.

Unosi rękę w geście pożegnania, znów odsłaniając folię na przedramieniu.

– Muszę już lecieć! – Posyła mi jeszcze jeden uśmiech i znika za drzwiami.

Tym razem jego dziewczyna jest starsza. O ile starsza? Znam jedną, która lubi tatuaże. Czy to możliwe, żeby Lilianna chciała dotrzeć przeze mnie do Daniela? Miała nadzieję, że może być zainteresowany kobietą podobną do siostry? To niedorzeczne. Jest od niej młodszy o dwadzieścia dwa lata.

Kilka minut później w drzwiach staje Borys. Od progu oznajmia, że jest wykończony. Postanowiłam powiedzieć mu wszystko, o czym doniósł mi Daniel. Dlaczego ktoś szukał go pod innym nazwiskiem? O co w tym wszystkim chodzi? Kim on naprawdę jest? A może facet, który o niego pytał, to ten sam, który śledził mnie wiosną? Ale przecież wtedy nawet nie znałam Borysa. A co, jeśli osoba we fluorescencyjnej bluzie, która jechała za mną czerwona toyotą, to nie kobieta, tylko gość, który szuka Borysa? Żałuję, że nie zapytałam Daniela, jak wyglądał ten Rosjanin.

– Jak się dziś czujesz? – pyta Borys, wkładając pokrowiec z gitarą na szafę.

– Lepiej – kłamię.

O tylu już rzeczach nie ma pojęcia. Nie wie o Liliannie, nie wie o Paulinie, nie wie o mojej ostatniej wizycie w domu rodziców, ale powinien

się dowiedzieć, że ktoś go szuka.

– Odwiedził mnie dziś Daniel – zaczynam.

Jestem ciekawa, czy poznał jego dziewczynę.

– O, fajnie – gwizdże – ostatnio rzadko u nas bywa.

– Ma nową kobietę. – Wiem, że na wiadomość o szpiclu zareaguje nerwowo, więc najpierw zarzucam lżejszy temat. Boję się, że to, co za chwilę mi powie, poróżni nas na zawsze. Właśnie straciłam matkę i kumpeł, więc chcę, żeby został mi chociaż chłopak. – Znasz ją?

– Nie. Niby skąd? A ty ją poznałaś? Był tu z nią? – dopytuje, szukając czegoś w szafie.

– Nie, ale wpadł z nią wczoraj do twojego klubu.

– Ale mnie tam nie było.

– Zrobił sobie dla niej tatuaż.

– Tatuaż? Jaki?

– Nie wiem. Jest świeży, jeszcze zaklejony folią. Ale wyobrażasz sobie? Namówiła go na tatuaż! Jego, odwiecznego przeciwnika ozdabiania ciała tuszem.

– Jak z nią zerwie, to usunie – kwituje Borys.

– Myślisz, że to takie proste? – pytam.

– Tak, sam przez to przechodziłem.

– Miałaś tatuaż? – Prostuję się. – Nigdy mi nie mówiłaś.

Czego jeszcze o tobie nie wiem?

– Tutaj. – Zdejmuje koszulkę i wskazuje miejsce na wysokości serca. – Jakiś czas temu usunąłem, prawie nie ma śladu.

– Co to było? – drażę.

– A jakie to ma teraz znaczenie? – odpowiada wymijająco. – To było dawno, nie pamiętam.

Patrzę, jak przeciąga przez głowę świeżą koszulkę, i wiem, że kłamie. Takich rzeczy się nie zapomina.

– Nie żartuj! – naciskam. – Nie wierzę, że nie pamiętasz. Czy to jakaś tajemnica? No powiedz.

– Puzzel.

Ostatni brakujący element mojej układanki.

– Idę pobiegać – mówi Borys, sięgając po bluzę.

– Jeszcze przed chwilą byłeś zmęczony – zauważam.

– Jogging mnie relaksuje – odpowiada i nie czekając na mój komentarz, wychodzi z domu.

Podchodzę do okna i wyglądam za Borysem na ulicę. Po chwili podbiega do przejścia dla pieszych i czeka na zmianę świateł, podskakując w miejscu. Rozgrzewka ma ogromne znaczenie. We wszystkim, co robimy. Nie wolno o tym zapominać. Kiedy zapala się zielone, zakłada kaptur, przebiega na drugą stronę ulicy i skręca za róg. Wiem, że pobiegł nad Wisłę, tak jak wiem, że Lilianna nie usunęła swojego puzzla z piersi. Elementu ich wspólnej układanki, o której nie miałam pojęcia. To dlatego pojawiła się w moim życiu. Chciała odnaleźć Borysa, zagadka rozwiązana. Nie jest moją matką ani siostrą, to po prostu była Borysa. I jestem pewna, że wie o nim znacznie więcej niż ja, bo ja kompletnie nie mam pojęcia, kim on jest i jak naprawdę się nazywa. Przypominam sobie dzień, w którym się poznaliśmy. Czy na pewno był to cudowny zbieg okoliczności, czy może sytuacja wyreżyserowana przez Borysa? Czy uczeplił się mnie, bo uciekał przed Lilianną, czy przed kimś jeszcze? Czy to ona wynajęła Rosjanina, który szuka Borysa? O co w tym wszystkim chodzi? Tak czy inaczej źle wytypowałam, zapukałam pod niewłaściwy adres. Nie jestem dziewczyną, z którą można w ten sposób pogrywać!

Dobrze, że nie zdążyłam mu powiedzieć, że ktoś na niego dybie, ostrzec

go i pozwolić mu uciec, zanim dowiem się prawdy. Wchodzę do przedpokoju i otwieram torbę, z którą kilka minut temu wrócił z trasy. Wysypuję na podłogę całą jej zawartość. Nieświeże skarpety i bokserki, sweter, dwa czekoladowe batoniki, jeden zjedzony do połowy, ładowarka do telefonu i pół butelki wody niegazowanej. Nic poza tym. Pewnie nawet na moment nie rozstaje się z dokumentami, bo nigdy nie wie, czy nie będzie musiał nagle uciekać. Skoro ktoś go szuka pod inną tożsamością, to nie może być czysty jak łąza. Nie jestem dzieckiem. A jednak dałam się nabrać, okazałam się naiwna. Jak to się mogło stać? Kiedy straciłam czujność?

Zdejmuję z szafy pokrowiec na gitarę, otwieram go i przeszukuję. Nie ma w nim nic oprócz instrumentu. I wtedy wpada mi do głowy pewna myśl. Jakby ktoś połączył końcówki poprzecinanych przewodów. Zaskwierczało i popłynął nagły impuls. Tylko teraz wziął w trasę gitarę, tylko tym razem zabrał ze sobą narzędzie pracy. Wcześniej, gdy jeździł do Petersburga, brał tylko walizkę. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam? Nie jeździł na żadne koncerty! W czym jeszcze mnie okłamał? Kłamstwo ma swój zapach, a prawda swój, nie da się ich pomylić. Wiem, czym pachnie moje życie.

Mam mało czasu, nie będzie go pół godziny, góra godzinę. Muszę przejrzeć wszystkie jego rzeczy osobiste, coś na pewno naprowadzi mnie na prawdę o nim. Otwieram szafę i wysypuję na podłogę wszystkie jego ubrania. Koszulki, swetry, bielizna, żadnych dokumentów, nic interesującego. Staję na środku pokoju i rozglądam się. Gdzie jeszcze mógł coś ukryć? Podbiegam do tapczanu, otwieram go i wyrzucam ze skrzyni całą pościel. Oprócz zgubionej skarpetki nie znajduję niczego ciekawego. Wparowuję do łazienki. Żel do golenia, dezodorant, woda kolońska, szampon, reszta to moje kosmetyki. To tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że jest tu jedynie przelotem. Ma zadziwiająco mało rzeczy. Jak to możliwe, że trzydzieści kilka lat życia spakował w jedną walizkę?

Wpadam do kuchni, otwieram szuflady, zaglądam nawet do zamrażalnika. Wybebeszam szafki. Jeszcze nie czuję się w tym pomieszczeniu swobodnie. Mieszkamy tu niecałe trzy miesiące i mimo że kuchnia jest urządzona funkcjonalnie i gustownie, wciąż wydaje się obca. Otwieram kolejne drzwiczki. Kieliszki, mikser, nierozpakowane naczynia z Lwowskiej, tutejszy właściciel zostawił nam swoje na wyposażeniu, ładniejsze i nowsze. Przysuwam krzesło i wchodzę na blat, aby sprawdzić zawartość najwyższych półek. Pusto, пусто, w trzeciej z kolei tuba plastikowych kubków, zestaw talerzy i sztućców na grilla i wreszcie głęboko za nimi dziwny pakunek. Nie przypominam sobie, żebym tu cokolwiek kładła. Paczka jest zupełnie niewidoczna z dołu, celowo ukryta przed kimś niskiego wzrostu. Przede mną. Większa niż pudełko do butów, zawinięta w sztywny papier do pakowania i związana sznurkiem. Wspinam się na palce i chwytam ją w dłonie. Ostrożnie schodzę na krzesło, a potem na podłogę. Pudełko jest zaklejone ze wszystkich stron szeroką półprzezroczystą brązową taśmą. Próbuje znaleźć jej początek, skubię róg, ale bezskutecznie. Sięgam po nóż i tnę wzdłuż papierowych skrzydełek złączonych przyklepcem. Ostrze łatwo zapada się do środka, mój oddech przyśpiesza, ciekawi mnie, co tam znajdę. Rzucam nóż na blat i otwieram pudełko. Sięgam do środka, gdy ciszę wieczoru przerywa piskliwy dźwięk domofonu. Zastygam z sercem w gardle. Kto tym razem?

LILIANA

Dzwonię raz, drugi, trzeci, prawie nie zdejmuję palca z przycisku. Czyżby cię nie było? Zasięgnęłam języka w klubie, w którym grasz, miła barmanka poinformowała mnie, że dziś wracasz z trasy, powinnam cię już zastać w domu.

Kiedy wpadłam tu ostatnim razem, dostałam się bez problemu. Jakiś chłopak wyskoczył na spacer z psem, a ja zatrzymałam w locie wolno zamykającą się bramę. Jednak obawiam się, że teraz nie pójdzie mi równie łatwo. Ponownie kładę palec na przycisku i nerwowo postukuję obcasem. Nie mogę dłużej czekać, jestem już gotowa. W końcu podjęłam decyzję, nie mogę się teraz wycofać. Drugi raz może nie starczyć mi odwagi.

Spotkania w gabinecie pozwoliły mi zrozumieć, że z twoją dziewczyną jest coś nie tak. Niby miła, inteligentna, ale nie zachowuje się jak prawdziwy psychoterapeuta. Czasem odnosiłam wrażenie, że mnie nie słucha. Nie zależało mi na tych sesjach, ale gdybym była prawdziwą pacjentką, wściekłabym się i zrezygnowała. Nie płacę jej za bujanie w obłokach, tylko za to, żeby mnie słuchała i pomagała mi. Wydaje się, że próbuje, stara się, ale coś w tym wszystkim nie gra. Nie wiem, o co chodzi z tą dziewczyną, jednak radziłabym ci na nią uważać. W jej twarzy jest coś nieodgadnionego, nie patrzy jej dobrze z oczu.

Rozumiem, że na pierwszym spotkaniu mogła być trochę skołowana. Kto by nie był, gdyby rano w dzień urodzin dostał bukiet kwiatów niewiadomego

pochodzenia, a kilka godzin później spotkał swojego sobowtóra? Ale potem na jednym z późniejszych spotkań naprawdę mnie wkurzyła. Wyglądała cudownie i wiedziałam, że to dzięki tobie. Tylko ty potrafiłeś sprawić, że oczy tak mi błyszczały, a skóra tak promieniała. Jakby twoje ręce wydzielały jakieś niezwykle eliksiry. Uprawialiście rano seks, nie mogła tego przede mną ukryć. Chciałam do niej podejść i uderzyć ją w twarz, ale zamiast tego wrzuciłam jej do skrzynki list. Zapewne nie ucieszył jej tak jak bukiet tulipanów. Nienawidzę jej najbardziej na świecie, ale nie umiałabym jej zrobić niczego złego. To kompletnie nie w moim stylu. Szpiegowanie, podchody, planowanie, to donikąd nie prowadzi. Mam dość tej gry i jestem tym już zmęczona. Zrobię to po mojemu. Powiem ci prosto w oczy, jak bardzo cię kocham, a ty będziesz musiał coś z tym zrobić. Nie interesuje mnie, że ona tam będzie. I nieważne, czy myślałeś już o niej, gdy braliśmy kąpiel w naszej przestronnej wannie, albo gdy potem kładłam głowę na oparciu łóżka i wsłuchiwałam się w *Don't let me down*, kawałek, który często grałeś mi do poduszki.

Nobody ever loved me like she does,

Ooh she does, yeah she does.

Nikt nigdy mnie nie kochał tak jak ona,

O, jak ona, tak jak ona.

Wiedziałeś, że to prawda, nikt nigdy nie kochał cię tak jak ja.

I'm in love for the first time.

Don't you know it's gonna last.

It's a love that lasts forever,

It's a love that has no past.

Po raz pierwszy szczerze kocham,

Taka miłość wiecznie trwa,

To uczucie nie ma końca,

I przeszłości nie zna dnia.

A ja wierzyłam, że jesteś zakochany pierwszy raz, że to miłość, która trwa wiecznie.

Don't let me down. Zawiodłam cię, mój kochany. Ale naprawię to, odzyskam cię i tym razem nie zawiodę. Po raz kolejny naciskam guzik domofonu. Cisza. Gdzie jesteś?

ANTON

Biegnę wzdłuż Wisły, wieczorny wiatr czesze mi włosy. Często zastanawiam się, jak potoczyłoby się moje życie, gdybym nie odebrał wtedy telefonu. Czy udałoby nam się stworzyć stały związek, czy nadal bylibyśmy razem? Czy ona o mnie jeszcze myśli, czy potrafiłaby mnie zrozumieć, gdybym powiedział jej prawdę w porę? Czy umiałaby mi wybaczyć? Było mi z nią naprawdę dobrze, nie odczuwałem różnicy wieku, wręcz przeciwnie, podziwiałem jej zaradność, przedsiębiorczość i zaangażowanie. Jakieś pół roku przed końcem naszego razem zadzwoniłem jak zwykle do Wołodii, by zasięgnąć języka, dowiedzieć się, co nowego w sprawie.

– Anton, w końcu mam dla ciebie dobre wieści – powiedział. Jego pogodny głos wyraźnie zdradzał świetny nastrój. – Fiodor trafił za kratki. Wpadł na Uralu, cały Perm o tym huczy.

O ile dobrze pamiętam, zaśmiałem się wtedy głośno.

– Ile dostał?

– Posiedzi dwa, trzy lata, przestępstwa gospodarcze, niczego więcej na niego nie mają, ale pewne jest, że przez ten czas jego ludzie zejną ci z tyłka, bo będą musieli się zająć ochroną własnego. – Zanosił się śmiechem. – Wracaj w każdej chwili. Czekam na ciebie.

Pojechałem do Petersburga zobaczyć się z Wołodią, ale po kilku dniach wróciłem do Warszawy. Było mi wspaniale z Lilianną. Gdy stanąłem przed możliwością powrotu do wcześniejszego życia, ucieczki od kobiety, która

miała mi zapewnić chwilowe schronienie, zdałem sobie sprawę, że wcale tego nie chcę. Gdybym tylko chciał, mogłem mieć każdą. Gdybym się choć trochę postarał. Nie potrzebowałem dragów, żeby coś znaczyć. Uśmiech, swobodny styl bycia i gitara u boku gwarantowały mi stuprocentowe zainteresowanie stojących pod sceną dziewczyn. Młodych, atrakcyjnych, do wzięcia. Jednak szybko zrozumiałem, że poza upojnymi nocami te przypadkowe znajomości nie zaoferują mi niczego więcej. Niczego ciekawego, niczego interesującego, niczego, czego już bym nie znał. Oczywiście przyjemnie było na nie popatrzeć, nasycić wzrok tym, co wystawiały na widok publiczny, jednak ja pragnąłem czegoś, co mogła mi dać tylko ona. Lilianna. I nie chodziło o wystawne i dostatnie życie, które mogłem wieść u jej boku, ale o pulsującą we mnie pożądlivość. Jakąś niewytłumaczalną siłę w środku, która ciągnęła mnie do niej. Może to właśnie ta prawdziwa miłość, w którą nigdy nie wierzyłem? Nie wróciłem do Petersburga, zostałem w Warszawie.

Zakręcam przed grupą turystów, która wysiada z przycumowanej barki, i ruszam w drogę powrotną. Pamiętam, jak odebrałem tamten telefon. Obcy numer na wyświetlaczu zaniepokoił mnie. Kierunkowy był z Polski, a obiecałem sobie, że nie będę odbierał takich połączeń, ale ciekawość wzięła górę.

– Regionalne Centrum Krwiodawstwa – usłyszałem miły głos kobiety po drugiej stronie. – Czy mogę zająć panu chwilkę?

Poczułem nagły ucisk w żołądku. Ten telefon nie wróżył niczego dobrego. W pierwszej chwili nie miałem pojęcia, skąd kobieta ma mój numer i w jakiej sprawie może dzwonić. Zaraz jednak przypomniałem sobie letnie sobotnie popołudnie, zapach waty cukrowej i szybujące w niebo balony. Festyn rodzinny, na który napatoczyliśmy się przypadkowo z Lilianną podczas spontanicznego spaceru, i autobus dla krwiodawców. Kobieta

odpowiedzialna za pozyskiwanie nowej krwi była lepsza od komarzycy, znała się na rzeczy. Tak niewiele trzeba, by pomóc innym, pańska decyzja może uratować komuś życie, to tylko kilka minut. Uległem jej namowom i wszedłem do środka. Poprosiła o podanie adresu, na co odparłem, że jestem w Polsce przejazdem, więc skończyło się na numerze telefonu. A teraz jej przesympatyczna koleżanka głosem anioła informowała mnie, że badanie trzeba powtórzyć. Prosiła, abym zjawił się następnego dnia rano pod podanym przez nią adresem.

- Ale o co konkretnie chodzi?
- Musimy powtórzyć badanie.
- Jeśli moja krew wam nie odpowiada, wyrzucicie ją i po sprawie.
- Chodzi o pana zdrowie, bardzo proszę jak najszybciej zjawić się w przychodni.

Miałem złe przeczucia. Kiedy wieczorem Lilianna wróciła z pracy, byłem zdenerwowany. Zauważyła to, próbowała wyciągnąć ze mnie, co się stało, ale nie chciałem z nią o tym rozmawiać. Wszedłem do klubu, mając nadzieję, że muzyka ukoi moje nerwy, lecz tym razem i ona mnie zawiodła.

Kiedy dwa dni później odbierałem wyniki powtórzonych badań, w mojej kieszeni zadzwonił telefon. Lilianna, odrzuciłem połączenie. Recepcjonistka z przerażająco napiętą skórą twarzy, nie patrząc mi w oczy, wręczyła mi świstek papieru i poinformowała, abym niezwłocznie zgłosił się do gabinetu numer 103. Musiała być świadoma, że wręcza mi wyrok. Podszedłem do okna i otworzyłem złożoną na pół zieloną kartkę. Dodatni wynik badania na wirus HIV. Nogi się pode mną ugięły. Kiedy, od kogo, co to oznacza?

Nie byłem w stanie pójść do lekarza i o tym rozmawiać. Chciałem tylko jak najszybciej stamtąd uciec. Wszedłem z przychodni i włączyłem się do wieczora po mieście, a potem wróciłem do domu Lilianny i się upiłem. Opróżniłem całe zapasy szampana z jej barku i żałowałem, że nie mogę się

naćpać. Nie musiałem już szanować swojego życia, rzut kostką już nigdy nie będzie pomyślny.

Gdy się obudziłem następnego dnia rano, leżała koło mnie. Zegar ścienny wskazywał dziesiątą. Nie poszła do pracy.

– Zostanę dziś z tobą – odezwała się, widząc, że otworzyłem oczy.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiedziałem.

– Jest. – Dotknęła dłonią mojego nagiego ramienia.

W jej oczach wyczytałem niepokój.

– Czy coś się stało? Masz jakieś problemy? – zapytała.

– Nie. – Odtrąciłem jej rękę i usiadłem na łóżku.

Pękała mi głowa, nie miałem ochoty z nią rozmawiać.

– Max, co się dzieje?

To jej czułe „Max” wciąż brzmi w mojej głowie. Ukryłem twarz w dłoniach. Nie mogłem jej powiedzieć. Potrzebowałem kilku dni, aby ochłonąć i dojść do siebie.

– Potrzebuję spokoju – oznajmiłem – chcę odpocząć!

– Ode mnie? – podniosła głos.

– Nie, nie od ciebie. – Wstałem.

Wciągnąłem bokserki i poszedłem do łazienki. Chciało mi się wymiotować. Przedwczorajsza kolacja była ostatnim posiłkiem, jaki zjadłem, moje kiszki wydawały nieprzyjemne dźwięki. Poczulem jej oddech na plecach.

– Wiem, że coś cię trapi – odezwała się. – Chcę ci pomóc.

Odwróciłem się do niej. Miała na sobie jedwabną koszulę, czarną, z koronkowym haftem na wysokości piersi. Czy mogłem ją tym syfem zarazić? Zawsze się zabezpieczaliśmy. A może prawie zawsze? Fala gorąca uderzyła mi do skroni. Objąłem głowę dłońmi.

– Proszę, zostaw mnie teraz samego.

Stała chwilę bez ruchu, a potem odwróciła się bez słowa i wyszła. Kiedy opuściłem łazienkę, nie było jej. Usłyszałem dźwięk odpalanego silnika. Wyjrzałem przez okno, auto stało na podjeździe. Lilianna siedziała za kierownicą i czekała, aż otworzy się brama.

Nie wiem, kiedy wróciła, bo nie spałem tej nocy w domu. Do rana włączyłem się po klubach. Obawiałem się, że jeśli powiem jej prawdę, wyrzuci mnie. Nie potrzebowałem nowych kłopotów. Jednak widać były mi pisane.

Spotkaliśmy się rano, ona szykowała się do wyjścia, a ja właśnie wróciłem. Gdy wszedłem do domu, stała przy kuchennej wyspie i popijała kawę. Miała na sobie dobrze skrojoną garsonkę i wysokie szpilki.

– Cześć – odezwałem się.

Wiedziałem, że jestem jej winien wyjaśnienia, ale ona nie pytała, gdzie byłem. Odwróciła głowę w stronę okna. Promienie słońca wpadały do środka, raziły po oczach. Schyliłem się, zdjąłem buty i kurtkę. Spojrzałem na swoje odbicie w lustrze. Zarośnięty nieudacznik.

– Powiesz mi prawdę – powiedziała. Oderwałem wzrok od swojego odbicia. Tak bardzo chciałem jej wszystko wyznać, paść w jej ramiona i rozpłakać się jak mały chłopiec. A potem powiedzieć, że jest najcudowniejszą istotą, jaką spotkałem w życiu. Czy mimo wszystko nadal chciałaby ze mną być? Patrzyłem na nią bez słowa.

– Żarty się skończyły. – Z impetem odstawiła filiżankę na spodek. – Zdradzasz mnie, tak? Z kim? Znam ją?

– Nie zdradzam cię – odparłem zgodnie z prawdą.

– Nie kłam! Nie wracasz na noc, dziwnie się zachowujesz, nie chcesz ze mną sypiać – wymieniała, przechadzając się wzdłuż drzwi tarasowych. Stukot jej szpilek odbijał się złowieszczym echem. – Kim ty, do cholery,

jesteś? Maxim Nikołajew? Ktoś taki nie istnieje!

– Słucham? – Spojrzałem na nią zaskoczony.

– Kurwa! Co ty przede mną odgrywasz? Sprawdziłam cię!

Nie spuszczałem z niej wzroku, a ona mówiła dalej, wymachując rękami:

– Prywatny detektyw, którego wynajęłam, nie znalazł niczego konkretnego na twój temat. Jakieś bzdury o koncertach, które ostatnio grywałeś po warszawskich spelunach, i tyle! – Stała raptownie, przesywając mnie spojrzeniem. – Mówiłeś, że urodziłeś się w Warszawie, tak?

Zawsze uważałem, że najlepszą strategią kłamstwa jest trzymanie się blisko prawdy.

– Nikt taki nie urodził się w Warszawie w 1982 ani w żadnym innym roku! Mój detektyw jest wyjątkowo skrupulatny, wie, za co mu płacę! Kim ty, u diabła, jesteś?! – Trzęsła się, głos jej drżał.

Wyminęła mnie i ruszyła w stronę wyjścia.

– Idę z tym na policję!

Stałem jak oniemiały. Wzięła klucze z kryształowego stołu i położyła dłoń na klamce. Podbiegłem do niej, nie mogłem pozwolić jej wyjść.

– Wszystko ci wytłumaczę! – Próbowałem ją objąć, ale mnie odepchnęła.

– Odejdź! Zejdź mi z oczu! Wynoś się stąd, słyszysz? Nie chcę cię więcej widzieć! – krzyknęła i wybiegła, trzaskając drzwiami.

Nie próbowałem jej zatrzymać. Wiedziałem, że jeśli nie kłamała i chce iść z tym na policję, zostało mi niewiele czasu. Wprawdzie nic takiego nie zrobiłem, ale nie miałem zamiaru wpaść w ich ręce. Nie wiadomo, komu potem zechcą mnie wydać. Wbiegłem po dwa stopnie po schodach, słysząc żwir na podjeździe pod kołami jej mercedesa. Wyjąłem z szafy walizkę Wołodii, wrzuciłem do niej ubrania, rzeczy osobiste i przyciskając komórkę do ramienia, wybrałem numer korporacji taksówkowej. W łazience

przemyłem twarz wodą, porzucając myśl o zabranii kosmetyków. Omiotłem spojrzeniem sypialnię. Znów uciekałem, znów widziałem coś po raz ostatni. Wybiegłem na zewnątrz, zatrzasnąłem za sobą drzwi, klucz wrzuciłem do gigantycznej doniczki na oknie przy schodach wejściowych.

– Dworzec Centralny – powiedziałem, kładąc walizkę na tylnej kanapie taksówki.

Miałem tylko jedno wyjście: wrócić do Petersburga. Jazda pociągiem wydawała się o wiele bezpieczniejsza niż kontrole paszportowe na lotniskach. Nie wiedziałem, czy Lilianna rzeczywiście miała zamiar iść na policję, czy mówiła tak w przypiływie złości i rozżalenia, ale wolałem nie czekać, aby dowiedzieć się prawdy. O siódmej trzydzieści pięć złapałem pociąg do Grodna. Po dwóch przesiadkach następnego dnia, kilka minut po jedenastej znów znalazłem się w Petersburgu.

Swoje pierwsze kroki skierowałem do Wołodii. Znów stanął na wysokości zadania. Na początku mieszkałem w jednej z jego spelun na obrzeżach miasta. Załatwił mi nową tożsamość, zmieniłem środowisko, zapuściłem włosy i zarost. Oczywiście wciąż paraliżował mnie strach. Co prawda nie miałem kontaktu z nikim z dawnych znajomych, ale przecież mogłem na kogoś wpaść, natknąć się w metrze, w restauracji. Pięćmilionowe miasto tylko z pozoru wydaje się bezpieczną kryjówką. Czułem, że tak łatwo ze mnie nie zrezygnują. Wołodia kazał mi się wynieść na prowincję. Zamieszkałem w małej miejscowości Kola pod Murmańskiem. Tam nikt nie miał prawa mnie znaleźć. Żyłem w poczuciu tymczasowości. Uczyłem dzieci z miejscowych szkół gry na gitarze, dużo piłem i pewnego dnia postanowiłem odebrać sobie życie. Gdyby Wołodia nie znalazł mnie w porę, resztki mojego ciała byłyby teraz pożywką dla robaków. Pamiętam, jak otworzyłem oczy, ujrzałem gębę Wołodii i zdałem sobie sprawę, że nadal żyję.

– Jezu – jęknął. – Ale mi stracha napędziłeś! Nie możesz tu zostać, wracamy do Petersburga.

Minęło sporo czasu, Fiodor siedział w więzieniu, jego ludzie, nietrzymani żelazną ręką dowódcy, stanowili niezborną zgraję dzieciaków. Wyglądałem inaczej, nazywałem się inaczej, musiałem tylko uwierzyć, że mogę wrócić do normalności. Nie chciałem umierać, byłem wdzięczny Wołodii, że mnie uratował, cudem zwrócił mi życie, pora zacząć je szanować. Poszedłem do lekarza i dowiedziałem się o metodach leczenia wirusa, terapii farmakologicznej, która chroni przed zachorowaniem na AIDS. Zaczęłem przyjmować leki, zrozumiałem, że HIV to nie wyrok. Zaczytywałem się literaturą fachową, zorientowałem się, że można z tym normalnie żyć, jeśli tylko będzie się przestrzegać pewnych zasad. Powoli wracały mi siły. Trudno w to uwierzyć, ale z czasem prawie zapominałem, co jeszcze, oprócz krwi, płynie w moich żyłach. Znów grałem u Wołodii, zacząłem nawiązywać znajomości, nawet zdarzał mi się przygodny seks. Oczywiście nigdy nie zapomniałem o zabezpieczeniu. Poza tym dziewczyny, z którymi sypiałem, nie były aniołkami, pewnie połowa z nich też miała to paskudztwo w sobie.

Kilkanaście dni przed wyjazdem do Krakowa, gdy już prawie złapałem równowagę psychiczną i na nowo odnalazłem swoje miejsce w świecie, Wołodia znów zaskoczył mnie informacją, która do niego dotarła.

– Fiodor wyszedł z pudła – powiedział, gdy usiedliśmy razem po wieczornym koncercie.

– Kurwa! Kiedy?

– Wczoraj.

Jeśli Fiodor był na wolności, nie wróżyło to niczego dobrego. Jeszcze nie panikowałem, jeszcze trzymałem nerwy na wodzy. Wołodia jednak powtarzał:

– On ci nie odpuści.

A gdy niedługo potem dowiedziałem się o Find Face, nie miałem innego wyjścia, jak znów uciekać.

Zimny wiatr smaga mi twarz. Skręcam z bulwaru w Zwierzyniecką, powoli zwalniam kroku, nie chcę poturbować ludzi. Zerkam do góry, światła w naszym mieszkaniu są włączone. Przenoszę wzrok na ulicę i zamieram. Czas zatrzymuje się w miejscu. W drzwiach naszej kamienicy stoi Lilianna.

ELIZA

Jak dobrze, że nikt nie zna moich myśli. Ciężkich, trujących, zawstydzająco paskudnych. Zanurzanie się w nich jest jak kąpiel w Gangesie, brudna i śmiertelnie niebezpieczna. Nie będzie przesadą, jeśli dodam: pełna trupów. A niebawem dołączy do nich kolejny.

Od momentu, gdy po raz pierwszy stanęła w progu naszej klasy, wiedziałam, że będą z nią kłopoty. Szczupłe nogi, długie włosy i nieskazitelna cera. Jakby była cudowną wybranką niebios, przefruwającą nad pryszczatym okresem dorastania i patrzącą z góry, z bezpiecznej odległości na nasze pokryte trądzikiem twarze. Jej rodzina przeprowadziła się z Niemiec. Ojciec, chirurg plastyczny, skończył kilkuletni kontrakt i dostał posadę w prywatnej klinice. Matka trzymała pieczę nad luksusowym domem. Daria miała świetne ciało, i to bez interwencji sprawnej ręki ojca, i modne ciuchy. Wszyscy pożeraliśmy ją wzrokiem, zarówno chłopcy, jak i dziewczyny. A ona wykorzystywała swoją przewagę na każdym kroku, chełpiąc się pieniędzmi, znajomością języków i niezliczonymi podróżami.

Być może mogłabym ją podziwiać, dołączyć do wianuszka wpatrzonych w nią koleżanek, gotowych wykonać każdy rozkaz, jaki padnie z jej ust, jednak ona się na mnie uwzięła. Nie dawała mi żyć, rozsiewając plotki na mój temat i nastawiając przeciwko mnie dawne przyjaciółki. Te wszystkie filmy o wrednych i mściwych nastolatkach, zalewające kanały telewizyjne w sobotnie przedpołudnia, to sama prawda. Daria potrafiła być okrutna i bezwzględna. Potwór w pięknym ciele. Nie wiem, dlaczego akurat mnie

obrała sobie za cel, obiekt poniżenia: czym jej podpadłam, co się jej we mnie nie spodobało? A może było odwrotnie, zbyt wiele jej się we mnie podobało? Może uznała mnie za swoją najgroźniejszą rywalkę, konkurencję, którą należy zawczasu wyeliminować?

Trudno wymienić wszystkie krzywdy, jakie mi wyrządziła, łatwiej byłoby wyliczyć to, czego nie zdążyła zrobić. Wklejenie gumy do żucia we włosy, podrzucenie do worka na gimnastykę zepsutej ryby, oblanie mojej białej spódnicy sokiem z buraka to naprawdę drobnostki. Wuefu uczył nas młody nauczyciel, chłopak tuż po studiach. Uśmiechnięty, wysportowany, przystojny. Sądzę, że jej się podobał, ale prawdopodobnie dostała kosza. Jej zemsta była dotkliwa. Rozpuściła plotki o naszym romansie. Oczywiście nie miała na to żadnych dowodów, ale wylądowałam na dywaniku u dyrektora, a to dopiero podkreśliło atmosferę. Przecież gdybym była zupełnie bez winy, na pewno nikt nie zawracałby sobie mną głowy, a już na pewno nie dyrekcja. Cała szkoła huczała od plotek. Idąc korytarzem, czułam na sobie ciężar wpatrujących się we mnie tuzinów par oczu. To było nie do zniesienia.

Myślałam, że gdy nadejdą wakacje, da mi spokój. Jednak nie, znalazłyśmy się na tym samym obozie harcerskim w górach, w jednym namiocie, tuż obok siebie. Nie spodziewałam się, że pojedzie na ten zlot, warunki polowe nie były w jej stylu. Jednak ku mojemu zaskoczeniu pojawiła się tam i zmieniła tydzień pełen atrakcji w siedem dni w piekle. Od tamtej pory wiedziałam, że to się nigdy nie skończy. Pragnęłam zemścić się za te wszystkie upokorzenia, pokazać, jaka jestem silna, nastraszyć ją, nauczyć szacunku. Nie chciałam jej zrobić krzywdy. A może jednak chciałam?

Wiedziałam, że nie umie pływać. Wielokrotnie opowiadała, że w życiu nie weszłaby do głębokiej wody, ani na basenie, ani w stawie, bo nie ma ochoty zapraszać do swojego organizmu niezliczonych bakterii. Zauważyłam

też, że podoba jej się Bartek. Chłopak ze szkoły średniej, miejscowy playboy, zainteresowany z kolei moją sąsiadką. Wysłałam więc do Darii list podpisany jego imieniem, w którym zapraszałam ją na spotkanie nad stawem. Byłam pewna, że uwierzy w autentyczność wiadomości. Bartek często pojawiał się w tej okolicy, gdy szedł do Natalii, a poza tym próżność Darii nie miała granic. Poprosiłam, aby po przeczytaniu zniszczyła list, bo szkoda by było, gdyby ktoś przeszkodził w spotkaniu. Wiedziałam, że nie mogę zostawić żadnego śladu, jakiegokolwiek wskazówki, która prowadziłaby do mnie. Schowałam się w zaroślach i czekałam.

Od kilku tygodni w mojej głowie tkwiła jedna myśl. Władcza i dominująca wszystkie inne: moje życie bez niej będzie prostsze. Kiedy zobaczyłam, jak idzie polną drogą, serce zaczęło mi bić jak szalone. Przystanęła, rozejrzała się na boki i skręciła w kierunku stawu. Zagwizdałam i ujrzałam uśmiech na jej twarzy. Zmierzała w stronę zastawionej pułapki. Czy szukając wzrokiem przystojnego kolegi, myślała, jaki jest romantyczny, czy denerwowały ją suche źdźbła trawy wbijające się w jej kształtne łydki, czy może podziwiała różowe niebo nad nami, pełne małych, puchatych obłoczków? Nigdy się tego nie dowiem. Gdy przechodziła obok mnie, wyskoczyłam z zarośli i pchnęłam ją. Krzyknęła, szeroko otwierając oczy z przerażenia, zachwiała się, wyciągnęła ręce, próbując się mnie złapać, ale już po chwili pochłonęła ją zimna, mętna woda stawu rybnego, a na tafli zostały tylko rozchodzące się kręgi. Zupełnie jak po rzucie kamieniem. Wszystko stało się tak szybko, że nie zdążyłam zareagować. Nie tak to sobie wyobrażałam. Myślałam, że będzie się bronić, walcząc o każdy łyk powietrza nad powierzchnią zbiornika, błagać o pomoc. Ale ona po prostu zapadła się pod wodę, zniknęła mi z oczu, ślad po niej zginął. Mogłam wskoczyć do stawu, próbować ją wydobyć, dałabym radę, przecież świetnie pływałam. Los można było jeszcze odwrócić. Jednak z jakiegoś powodu nie mogłam się

ruszyć, nie przewidziałam, że strach aż tak mnie sparaliżuje. Jakby wszystko się na moment zatrzymało, bicie mojego serca, praca mózgu, płynące po niebie chmury.

Po chwili woda się uspokoiła i nic już nie przypominało o tym, że w tym miejscu wydarzyło się coś złego. Odwróciłam się i pobiegłam w stronę lasu. I mimo miliona różnych sytuacji, które zdarzyły się w moim życiu od tamtej pory, cały czas tkwiłam w tym jednym, nieszczęsnym, piekielnie upalnym dniu, w którym zabiłam swoją koleżankę. Ta jedna chwila, gdy jej przerażona twarz zapadała się pod wodę, a ręce bezładnie szukały pomocy, ukształtowała całe moje późniejsze życie. Wszystko się do tego sprowadzało, wszystko się od tego zaczynało. Nieprzespane noce, niespokojne dni, niekończąca się tortura wspomnień. Daria była dla mnie niesprawiedliwa i okrutna, żartowała sobie ze mnie, zabawiała się moim kosztem, należała jej się kara. Surowa, dotkliwa, taka, która odpowiadała jej czynom. Nie spodziewałam się tylko, że największą karę wymierzę sobie.

Nikt nie trafił na mój trop, śledztwo w sprawie śmierci Darii nie dowiodło niczego oprócz nieszczęśliwego wypadku. Kilka miesięcy później moi rodzice kupili Ranczo Beskid i przeprowadziliśmy się w góry. Zmieniłam szkołę, zmieniłam koleżanki, odżyłam, ale nigdy już nie byłam tą samą dziewczyną, co kiedyś.

A potem ten cały Mariusz Nowak. Gdy tylko usłyszałam, że jest ze Spytkowic, wiedziałam, że przyszedł wyrównać rachunki. Mimo że sprawa była już dawno zamknięta, zawsze obawiałam się, że nagle pojawi się ktoś, kto widział całe zajście, jednak nawet w najgorszych snach nie przypuszczałam, że tym kimś może być moja matka.

Zdarzyło się to w pamiętny wieczór 16 czerwca 2016 roku, gdy Polska na Stade de France zremisowała z Niemcami zero do zera. Ja też wtedy wyrównałam rachunki. Polskę ogarnęła gorączka Euro 2016 i my również nie

pozostaliśmy wobec niej obojętni. Na czwartkowy wieczór Daniel zarezerwował stolik w jednej z knajp na Podgórzu. Od wyprowadzki z Lwowskiej nie zaglądałam w tamte okolice, ale gdy się o tym dowiedziałam, nie chciałam robić niepotrzebnego szumu. I bawiłam się tamtego wieczoru naprawdę świetnie do czasu, gdy zobaczyłam, jak wchodzi do środka. Zrobiło mi się słabo, Czub znów był obok mnie. Czy obserwował mnie przez całą pierwszą połowę meczu, czy podejdzie do naszego stolika i zdemaskuje mnie na oczach brata i chłopaka? Czy kiedyś przestanie mnie dręczyć? Chwiejnym krokiem przeszedł obok nas i zniknął w drugiej sali. Wiedziałam, że muszę działać, nie mogę mu pozwolić zdradzić mojej tajemnicy. Wykręciłam się bólem brzucha i wyszłam na zewnątrz. Wiedziałam, że z drugiej strony budynku jest boczne wejście do pubu. Stał w kolejce do baru. Podeszłam do niego od tyłu.

– Cześć!

Obejrzał się zdziwiony.

– No proszę, znów się spotykamy.

– Na pewno chcesz tu zostać? – Oparłam się łokciem o kontuar.

– A co? – Na jego twarzy zagościł znany mi już chytry uśmiešek. – Masz dla mnie ciekawszą propozycję?

– Może. – Obejrzałam się nerwowo za siebie. Miałam nadzieję, że Daniel ani Borys nie pojawią się tu nagle, wiedzeni pilną potrzebą skorzystania z toalety.

Osoba przed Czubem zamówiła piwo. Musiałam jak najszybciej wyciągnąć go z knajpy.

– Mam – powiedziałam zuchwale. – Chodź! – Szarpnęłam go za rękę.

Wyszliśmy bocznym wyjściem na zewnątrz.

– A gdzie zgubiłaś chłopaka? – zapytał, mrużąc oczy.

A co go to obchodzi? Chce mnie jak najszybciej przed nim

skompromitować? Szliśmy przez chwilę w milczeniu, a ja gorączkowo szukałam jakiegoś rozwiązania, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Czy powinnam go zapytać, czego chce za dozgonne milczenie? Dlaczego postanowił mnie odnaleźć? Czy istnieje coś, co zdoła mu na zawsze zamknąć usta? Gdy skręciliśmy za róg, postanowiłam dowiedzieć się prawdy.

– Mógłbyś mi powiedzieć, jak mnie odnalazłeś?

– Przecież to ty przed chwilą mnie odnalazłaś.

– Nie zgrywaj idioty, nie chodzi mi o dziś!

– Proszę, proszę, czyżby prawdziwa natura dochodziła do głosu?

Wyluzuj!

– Dobrze się bawisz moim kosztem? – Przystanęłam na moment i spojrzałam mu w oczy.

– Nie rozumiem, co masz na myśli. – W jego wzroku wyczytałam udawane zdziwienie.

Ruszyłam do przodu.

– No dobra. – Włożył ręce do kieszeni i zrobił minę łobuziaka przyłapanego na gorącym uczynku. – Jak się domyślaś?

A więc miałam rację. Odnalazł mnie i przyszedł wymierzyć sprawiedliwość.

– Czego ode mnie chcesz?

Zaśmiał się.

– A jak myślisz? Czego facet może chcieć od dziewczyny?

Szłam szybko, coraz szybciej. Moje najzuchwalsze myśli budziły się do życia. Przetrwały, ukryte gdzieś w czeluściach umysłu, i atakowały mnie teraz jak obrzydliwe muchy, które pojawiają się znienacka na wiosnę.

– No dobra, może trochę przesadziłem – dogonił mnie – ale chciałem cię jakoś zahaczyć, rozumiesz, nawiązać kontakt. – Czułam ciepło jego ciała,

szedł blisko mnie, zbyt blisko. – Wyglądasz na taką, co lubi thrillery, a mnie kręć ostre laski. – Zaśmiał się.

Podły skurwiel, wiedziałam, że puszczał mi te nagrania celowo. To nie żadna pomyłka, tylko przemyślane działanie, element zemsty. Miałam ochotę uderzyć go w twarz, zwymyślać, ale tylko stałam z szeroko otwartymi oczami i czekałam na kolejne wyznania, których nie chciałam usłyszeć. Wiedziałam, co mi za chwilę powie. Widziałem, jak zabiłaś naszą szkolną koleżankę. Myślałaś, że wystarczy zapomnieć i żyć dalej, że kara cię ominie? Tak, właśnie tak myślałam. Już prawie mi się udało, wiodłam normalne życie, skończyłam studia, zaczęłam pracę, chciałam pomagać innym, odkupić winy. Wielokrotnie tłumaczyłam sobie, że przecież byłam wtedy dzieckiem, działałam pod wpływem emocji, a od tamtego czasu niczego już złego nie zrobiłam, ale czy jakiegokolwiek argumenty mogły mnie usprawiedliwić?

Przestępstwa dopuściłam się, gdy byłam nieletnia, to prawda, ale miałam już piętnaście lat, sąd mógł mnie ukarać według przepisów Kodeksu karnego. Chodziło przecież o zabójstwo, a nie drobną kradzież. Całe życie się tego bałam: że przyjdzie mi zapłacić za tamten wieczór, za coś, czego nie chciałam, za to, że będąc ofiarą, stałam się katem. Jeśli Czub będzie o tym wiedział, nigdy nie uda mi się uciec przed karą, kiedyś zniszczy mi życie. Tak jak zniszczyła je Daria. Nie zasługiwałam na takie traktowanie. To była jej wina. Zrobiła ze mnie szkolne pośmiewisko, rozpuszczała plotki, upokorzyła mnie, a teraz mści się z za grobu. Nie chcę iść do więzienia, nie w momencie, gdy moje życie zaczęło się tak wspaniale układać. Poznałam chłopaka, zamieszkaliśmy razem, jest nam ze sobą cudownie, nikt nie ma prawa mi tego zabierać. Poczułam rękę Mariusza na ramieniu.

– Zostaw mnie. – Wyrwałam do przodu.

Jednak on nie miał zamiaru mi odpuścić, znów był blisko mnie.

– No to jak brzmi twoja propozycja?

Spojrzałam na niego z wściekłością.

– No co? Najpierw wyciągasz mnie z baru, a teraz zgrywasz świętoszkę?

Czego zażąda za milczenie? Pieniądzy, seksu? Nigdy nie przestanę mnie dręczyć, tylko jego śmierć zapewni mi bezpieczeństwo. Jeśli wszystko się wyda, moje życie legnie w gruzach. Borys odejdzie, najbliżsi odwrócą się ode mnie, nie mogłam pozwolić się szantażować.

– Chodźmy do mnie – zaproponował. – Od dawna chciałem cię zaprosić.

– Zaśmiał się nerwowo, a mnie przeszedł dreszcz.

Nagle w mojej głowie pojawiły się słowa nagrania, które mi puszczał. „Odetnę ci łeb. Zjem serce, wyszę całą krew. Zabiję cię, zabiję, zabiję”. Boże, on jest chory. Ten pieprzony gnojek jest totalnym świrem.

Miasto zdawało się wyludnione, mecz przyciągnął przed telewizory nie tylko zagorzałych fanów futbolu, ale dosłownie wszystkich, nawet matki z dziećmi i staruszków. Gdy skręciliśmy w Lwowską, poczułam się nagle jak dawniej, jakbym nadal tu mieszkała. Ruchome płytki chodnika falowały pod moimi stopami, znowu bezwzględnie traktując moje obcasy. Niepokój świdrujący w dole brzucha przypominał mi, że odzyskane na kilka ostatnich tygodni spokojne życie to nie moja bajka, to historia kogoś innego.

Decyzja zapadła momentalnie. Byliśmy na rogu Lwowskiej i Dąbrówki, obok opuszczonej posesji ogrodzonej przykrytą plandekami siatką, gdy poczułam, że lepszej okazji nie będzie. Wieczny remont, otwarty plan inwestycyjny, brak funduszy czy inny szkopał od lat nie pozwalały postawić w tym miejscu niczego konkretnego. Betonowa wylewka ze sterczącymi do góry prętami, barakowozy tworzące istny labirynt i dziury w ziemi. Wszystko ogrodzone nieszczelnym płotem z przewieszonymi przez niego płachtami z logo wykonawcy, tak poszarpanymi przez wiatr i wyblakłymi od słońca, że nie dało się odszyfrować, kto odpowiada za ten burdel. Idealne miejsce, żeby się ukryć, idealne okoliczności, by zatrzeć ostatnie ślady. Zareagowałam

natychmiast, odchyliłam plandekę i przez dziurę w siatce uciekłam do środka.

– Co robisz?! – krzyknął.

Pobiegłam przed siebie, lawirując między deskami, wiadrami z gruzem i stertami różnych rupieci. Schowałam się za jedną z prowizorycznych bud na narzędzia i materiały budowlane. Słyszałam kroki, brzęk uciekających spod nóg Mariusza śrub i chrzęst deptanego szkła. Na moment wszelkie odgłosy ucichły, tylko moje serce dudniło rytmicznie w piersi. Gdy minął budkę, natychmiast rzuciłam mu się na plecy. Strącił mnie i się zaśmiał.

– Co to, kurwa, miało być? Ćwiczysz na mnie sztuki walki?

Chudzielec okazał się wyjątkowo silny, przyciągnął mnie do siebie i oparł plecami o ścianę budki. Jego palce zaciskały się na moich dłoniach i wyciskały z oczu łzy. Wszystkie złe i dobre chwile przestały mieć znaczenie, pamięć zmieniła się w czarną pustkę, a w ustach pojawił się gorzki smak strachu. Nie myśląc wiele, zrobiłam to, czego nauczyłam się na kursie samoobrony kilka lat temu. Kopnęłam go w krocze. Zgiął się wpół i wtedy mu się wyrwałam. Obcas mojego buta utknął między betonowymi płytami, wyszarpnęłam go, ale potknęłam się o grubą mosiężną rurę i przewróciłam na ziemię. Jęk, który wydobywał się z jego ust, przeszedł w szyderczy śmiech. Już podnosił się z kolan. Odwróciłam się i na czworakach przemieściłam do tyłu. I wtedy dostrzegłam łopatę opartą o drzwi budki. Nie analizowałam tego, co chcę zrobić, zupełnie jak tamtego dnia nad stawem. Po prostu nie miałam wyjścia, musiałam to zakończyć. Chwyciłam trzonek narzędzia i uderzyłam Czuba z całych sił w potylicę. Nie wiem, ile razy to zrobiłam, ale po jakimś czasie już się nie ruszał, a jego twarz była całkowicie pokryta krwią. Skąd wzięłam na to siłę? Adrenalina w moich żyłach przekroczyła dopuszczalny poziom. Cała się trzęsłam. Opuściłam łopatę i po ścianie budki osunęłam się do pozycji siedzącej. Zabiłam go, łzy ciekły mi po policzkach, zrobiłam to. Już nie mam piętnastu lat, już nie mam taryfy ulgowej, jestem

zabójczynią. Nie wiem, jak długo tak siedziałam, ale gdy wieczorny chłód pokrył moje gołe nogi i ramiona gęsią skórką, podniosłam się z ziemi.

Obok barakowozu stała taczka z gruzem. Chwyciłam jedną z walających się wszędzie reklamówek, złapałam przez nią rączki taczki i całą jej zawartość wysypałam na ciało. Nie udało się go w pełni zakryć, spod gruzu wystawały noga i ręka. Boże, co ja zrobiłam? Zbierało mi się na wymioty. To nie dzieje się naprawdę, to jeden z tych złych snów, które nie opuszczają mnie od lat. Poruszałam się jak w transie, jak zaprogramowana zakrywając, czym się tylko dało, widoczne części jego ciała.

Nagle dotarło do mnie, że ktoś mógł wszystko widzieć. Rozejrzałam się dookoła. Naprzeciwko nowo powstały apartamentowiec, któremu dopisało więcej szczęścia niż tej wiecznej budowie. Jednak był jeszcze w fazie ostatnich poprawek, niezamieszkania, więc o tej porze świecił pustkami. Z drugiej strony wiekowa kamienica na rogu Dąbrówki i Lwowskiej. Większość okien w budynku zamurowana, w pozostałych zgaszone światła. Niesamowite. Jakby ktoś specjalnie przygotował to miejsce do niecznych celów.

Odchyliłam plandekę i wyszłam na ulicę, spuszczaając kurtynę milczenia na to, co się właśnie rozegrało. Reklamówkę schowałam do kieszeni i pozbyłam się jej w drodze do domu, wiedząc, że to i tak daremny zabieg, bo odciski moich palców zostały na drążku łopaty, którą wrzuciłam do dołu. Byłam przerażona. Co chwilę sprawdzałam, czy nie mam krwi na rękach, czy nie ubrudziłam nią ubrania. Gdy wróciłam do mieszkania, Borysa jeszcze nie było. Całe szczęście nie musiałam go okłamywać, udawać, zmyślać. Wskoczyłam pod prysznic i zanim przekręcił klucz w zamku, leżałam już w łóżku. A potem przez trzy dni umierałam ze strachu, poczucia winy i przerażenia. Tłumaczyłam się bólem głowy i brzucha. Nie potrafiłam się cieszyć, że zatarłam ślady, przygniatała mnie świadomość, że jednak to

zrobiłam, zabiłam człowieka. Przerazałam samą siebie. I jakże się myliłam, sądząc, że zlikwidowałam ostatniego świadka zbrodni.

A teraz znów ktoś ze mnie zakpił, zabawił się moim kosztem. Tym razem to Borys, mój rosyjski chłopak, spełnienie moich marzeń. Czuję ucisk w żołądku. Zawartość pudełka, które stoi przede mną, nie pozostawia złudzeń. Ja na schodach biblioteki, ja na przystanku tramwajowym, ja na Plantach, ja przy drzwiach piekarni. To był on. Mój czuły, troskliwy kochanek okazał się moim prześladowcą. Dlaczego mnie śledził, po co robił mi te zdjęcia, kim naprawdę jest i co jeszcze przede mną ukrywa? Te wszystkie pytania wkręcają mi się w mózg jak gigantyczne wiertło i mam wrażenie, że za chwilę moja głowa eksploduje. Wysypuję na stół zawartość białej teczki. Oprócz fotografii nie ma tam nic więcej. Pod spodem leży kolejne zawiniątko, wypchana po brzegi koperta bąbelkowa. Nie staram się już otworzyć jej tak, aby nie zauważył, że w niej grzebałam. Szarpię papier i folię gwałtownie, rwąc je na kawałki. Na stół wysypują się pudełeczka, lekarstwa, kilka, kilkanaście opakowań. Rosyjska nazwa leku nic mi nie mówi. Otwieram jedno z pudełek i wysuwam blister. Rozpoznaję proszki, które łyka wieczorami. Wczytuję się w ulotkę. To nie aspiryna, tylko ogromne zapasy leków antyretrowirusowych. Nigdy nie słyszałam o żadnym retrowirusie. Gdzie można się tym zarazić, czy jest niebezpieczny? Czy mógł mnie potajemnie faszerować tymi tabletkami? Dosypywać je do herbaty, do jedzenia?

Gorączkowo szukam komórki. Leży na łóżku. Chwytam ją i wpisuję w wyszukiwarkę nazwę leku. Wynik, jaki otrzymuję, przyprawia mnie o zawrót głowy. Siadam na kanapie. On jest nosicielem wirusa HIV. Życie znów zatrzymuje się na chwilę, tylko że tym razem oprócz pulsującej w żyłach krwi słyszę nieznośny dźwięk domofonu. Jak telefon z piekieł, wiadomość z zaświatów, szyderczy śmiech Temidy. Już wydano na ciebie

wyrok, masz za swoje. Plus czy minus? Na pewno mnie zaraził. Ten perfidny skurwiel wkradł się do mojego życia, żeby zamienić je w koszmar. Używaliśmy prezerwatyw, zawsze, nie mam co do tego wątpliwości. Krew? Nigdy nie zaciął się nożem, nie skaleczył przy goleniu, ale za to ja ugryzłam go w usta. Bum, bum, bum, pulsowanie w skroniach. Mam wrażenie, jakby woda zalewała mi uszy, topię się, na moim gardle zaciska się niewidoczna ręka sprawiedliwości.

Być może zasługuję na powolną, bolesną śmierć. Jednak on zasłużył na nią jeszcze bardziej. Czuję przepełniające mnie pragnienie zemsty. O ile w przypadku Darii i Mariusza działałam dość spontanicznie i właściwie była to samoobrona, o tyle teraz postanawiam zaplanować wszystko z niezwykłą precyzją. Podbiegam do stołu w kuchni i chowam leki do pudełka. Żałuję, że porwałam kopertę, ale mam nadzieję, że Borys już nie zdąży zajrzeć do pudełka przed swoją rychłą śmiercią. Leki na zwiótczenie mięśni. Zwiększona dawka w odpowiednim momencie przed pływaniem. Widziałam to kiedyś w jakimś filmie, sprawdziło się, ofiara się utopiła. Wycieczka w moje dawne strony, sprawdzony staw, cztery metry głębokości, bez trudu pochłonie prawie dwumetrowego giganta. Ryzykowne, zbyt duża zbieżność ze śmiercią Darii. Niepotrzebnie zwrócę uwagę śledczych, zaczną porównywać oba wypadki i jedynym punktem wspólnym będę ja. Jakiś inny zbiornik wodny. Basen. W tym, w którym pływam, po dwudziestej pierwszej w poniedziałki prawie nie ma ludzi. Ratownik zajęty jest zbieraniem desek i makaronów po wieczornym treningu dzieciaków. Mogłabym wyjść wcześniej z wody, zostawiając w niej Borysa, i postarać się przyciągnąć uwagę ratownika. Poprosić o otworzenie szafki, która się zacięła, poślizgnąć się i udawać zwichnięcie kostki, cokolwiek, co zajmie go na kilka minut, w czasie których Borysa pochłonie woda. Nieszczęśliwy wypadek. Rutynowa sekcja zwłok wykaze stężenie dziwnych substancji w organizmie, leków

antyretrowirusowych i środków na zwiotczenie mięśni. Jak długo ich ślady pozostają w ciele? Czy utopienia w publicznym basenie interesują prokuratora? Tego nie wiem. Mogę to sprawdzić albo użyć substancji, która nie zostawi śladów. Zastrzyk insulinowy. Natychmiastowe zmniejszenie zawartości cukru we krwi prowadzące do wstrząsu hipoglikemicznego. Stosuje się to w leczeniu psychoz maniakalno-depresyjnych i niektórych postaci schizofrenii. Chwilowa śpiączka wystarczy, by zrobić z człowiekiem, co tylko się chce. A potem kostka cukru, kilka łyżeczek lukru na język i nawet najlepszy patomorfolog nie znajdzie niczego niepokojącego w smutnym wypadku młodego mężczyzny na publicznym basenie.

Wskakuję na blat i wpycham pudełko na swoje miejsce. Muszę się starannie do tego przygotować, bez pośpiechu i pochopnych decyzji. A przede wszystkim zachować pozory normalności, aby Borys niczego się nie domyślił. Domofon znów rozbrzmiewa irytującym piskiem. Czyżby zapomniał zabrać ze sobą kluczy i teraz nie mógł się dostać do środka? Podnoszę słuchawkę i przykładam ją do ucha.

LILIANA

– Słucham? – wreszcie słyszę jej głos, tak znajomy i tak zniechęcony.

– Halo? Słucham!

Dlaczego tak długo nie otwierała? Brała prysznic, stroiła się na twój powrót? Nie wiem, co powiedzieć. Zapytać, czy jesteś, kiedy wrócisz? Zdradzić jej, co nas kiedyś łączyło?

– Halo? – powtarza po raz ostatni i odkłada słuchawkę, nim zdąży otworzyć usta.

Za plecami słyszę męskie głosy. Odwracam się i widzę dwóch typów spod ciemnej gwiazdy.

– Pani pod siódmkę? – pyta jeden z nich, w fluorescencyjnej bluzie, z kapturem na głowie. – To zupełnie tak jak my – dodaje z mocnym rosyjskim akcentem.

Ten drugi, wyższy i grubszy, wybucha śmiechem. Nie podobają mi się. Stoję bez ruchu. Czy mają z tobą coś wspólnego? Nie wyglądają na muzyków. Mało inteligentne twarze, rozkwaszone nosy, pozszywane łuki brwiowe. Jestem pewna, że to nie twoja bajka. Ten wyższy nachyla się nade mną, czuję smród tanich papierosów, i naciska siódmkę. Jednak Eliza już nie podnosi słuchawki. Gruby nie poddaje się, naciska raz za razem, wciąż bez skutku. Nie jestem pewna, czy rzeczywiście widzieli, jak wybrałam numer twojego mieszkania, czy tylko blefują, usiłując się dostać do środka. Serce bije mi mocno, nie wiem, co powinnam zrobić.

– Do Borysa? – pyta ten szczupły, z postury przypominający kobietę.

Odwracam się w jego stronę i wtedy zauważam ciebie. Stoisz po przeciwnej stronie ulicy. Widzisz mnie. Jesteś zbyt daleko, bym mogła spojrzeć ci w oczy, ale wyraźnie widzę, jak kręcisz głową, wskazujesz palcem usta, a potem kładziesz rękę na sercu, odwracasz się i wtapiasz w tłum. Moje oczy muszą coś zdradzać, bo chuderlawy patrzy na mnie podejrzliwie.

– Co jest? – pyta.

Czuję, że po policzkach płyną mi łzy, nie wiem, czy z wrażenia, ze szczęścia, że znów cię zobaczyłam, czy ze strachu przed zbirami. Facet w kapturze odwraca się i podąża wzrokiem tam, gdzie przed chwilą patrzyłam. Nie mogę cię zdradzić.

– Słucham? – mówię głośno, a spojrzenie rzezimieszka ponownie ląduje na mojej twarzy. – Czego panowie chcą?

Muszę się wziąć w garść, nie zawiodę cię po raz drugi. Gruby chwytą mnie za ramię i przyciska mi coś do pleców. Przez materiał letniej sukienki wyczuwam zimno metalu. Po raz pierwszy ktoś przyłożył mi broń do ciała. Mężczyźni uzgadniają coś ze sobą, ale mimo obowiązkowego rosyjskiego w szkole nic nie rozumiem. Mam wrażenie, że grubas nie zna polskiego i instruuje tego w bluzie, o co ma mnie zapytać. Chudy kiwa głową w skupieniu.

– Gdzie jest Borys? – Z jego ust wydobywa się zgniły odór.

– Kto? – Mimowolnie cofam głowę.

– Dzwoniłaś pod siódemkę. Zrobisz to po raz drugi, a my kulturalnie wejdziemy z tobą do środka.

Mam zaprotestować czy się zgodzić? Jeszcze raz nacisnąć guzik i poprosić Elizę, żeby wpuściła mnie do środka? Mogę skłamać, że dopadły mnie lęki, że potrzebuję natychmiastowej porady. Czy miewa takie

przypadki? Uzna to za normalne i mnie wpuści, a wraz ze mną tych dwóch? Lufa pistoletu wbija mi się w skórę pod żebrami. Drzę.

– Przepraszam, przepraszam – zza pleców grubasa dobiega stłumiony głos.

Naszym oczom ukazuje się drobna postać pani Ireny, staruszki z parteru. Mam ochotę rzucić jej się na szyję i ucałować pomarszczone policzki. Spadła mi prosto z nieba.

– Pani Ireno – mówię – jak dobrze panią widzieć!

Staruszka spogląda na mnie. Czy mnie rozpozna i pozwoli wejść do siebie, czy przejdzie obojętnie, pozostawiając mnie na łaskę bandytów?

– A, to pani! – uśmiecha się.

Udało się. Mężczyźni spoglądają na siebie z tępych wyrazem twarzy. Czy teraz dadzą mi spokój? Czy wiedzą, że coś nas łączyło, czy w ogóle mnie nie kojarzą? Może chcą się tylko dostać do twojego mieszkania, a na mnie trafili przypadkiem?

– Wracam z wieczornej mszy u franciszkanów. – Pani Irena grzebie w torebce w poszukiwaniu kluczy.

– Obiecałam, że jeszcze kiedyś wpadnę – słowa więzną mi w gardle – a dziś byłam w okolicy.

– Zapraszam, zapraszam. – Staruszka wkłada klucz do zamka. – A panowie do kogo? – Spogląda podejrzliwie na moich towarzyszy.

Jednak nie doczeka się odpowiedzi. Oprychy popychają uwolnione z uścisku zamka drzwi i wchodzą do środka przed nami. Patrzą na ich nogi pokonujące kolejne stopnie schodów i zastanawiam się, co grozi Elizie. Czy powinnam zawiadomić policję, czy wręcz przeciwnie, cieszyć się, że ją sprzątną, otwierając mi drogę do ciebie?

– No to proszę – słyszę. To pani Irena, nieświadoma katastrofy wiszącej nad jej sąsiadką, otwiera drzwi i wpuszcza mnie do swojego mieszkania,

obdarzając przelotnym uśmiechem.

ANTON

Nagle podchodzą do niej od tyłu dwaj faceci. W pierwszej chwili ich nie rozpoznaję, jednak wystarczy kilka sekund, aby przypomnieć sobie, że jednego z nich już kiedyś widziałem. Siergiej, zwany Grubym, wpływowy mięśniak wśród ludzi Fiodora, mój kat. Odnaleźli mnie. Jakim cudem poszło im tak szybko? W pewnym momencie Lilianna odwraca się i mnie zauważa. Zdaję sobie sprawę, że jej też udało się mnie znaleźć. Jak widać, nie jestem mistrzem kamuflażu. Na jej twarzy widzę przerażenie, boi się ich. Wymownym gestem daję jej znak, żeby mnie nie zdradziła. Odwracam się i pozornie spokojnym krokiem oddalam w kierunku, z którego przybiegłem. Serce łomocze mi w piersi, wiem, że nie mogę się oglądać za siebie. Gdy tylko znikam za pierwszym rogiem, zaczynam biec, szybko, coraz szybciej.

Nie wiem, kto swoim pojawieniem się przed drzwiami kamienicy zrobił na mnie większe wrażenie. Oni czy ona? Przeszłość jeszcze nigdy nie była tak blisko. Tyle prób wykiwania jej, zmian wyglądu i tożsamości, a i tak mnie dogoniła. Czuję na plecach jej zziębły oddech. Muszę coś szybko wymyślić. I jeszcze szybciej działać. Zastanawiam się, ile pieniędzy mam w kieszeniach. Czy wystarczy na nocleg? Na szczęście nie rozstaję się z paszportem, to najważniejsze. Skręcam w lewo, mijam hotel Sheraton i biegnę dalej. Zero transakcji kartą kredytową, nie mogę zostawiać po sobie śladów. Muszę się gdzieś ukryć. Na noc, kilka najbliższych dni. Tylko gdzie tym razem? Jestem pewien, że w Petersburgu nikogo nie wyglądają bardziej niż mnie.

Minąwszy Wawel, przystaję na moment i po raz pierwszy oglądam się za siebie. Mnóstwo ludzi, ciepły, wakacyjny wieczór, na szczęście nigdzie śladu Siergieja i tego w kolorowej bluzie. Czuję, jak strużki potu płyną mi po skroni, wierzchem dłoni ocieram twarz. Czy nic jej nie zrobili? Czy Lilianna mogłaby przeze mnie zginąć? Łomot w klatce piersiowej jest nie do zniesienia.

Minione lata rzucają długie cienie na terażniejszość, nie mogę się od nich uwolnić. Jak długo przyjdzie mi jeszcze płacić za błędy z przeszłości i czy w ogóle mam szansę na odkupienie win? Ruszam dalej przed siebie. Barka z turystami dobija do brzegu, słyszę wybuchy śmiechu i chlupot rozbryzgującej się o burtę wody. Przebiegam pod mostem i wbiegam do góry schodami prowadzącymi na ulicę. Mijam kościół i skręcam w lewo. Znów oglądam się za siebie, ale nie widzę nic niepokojącego. Jestem już daleko od zagrożenia, mogę na chwilę zwolnić i spokojnie pomyśleć. Po lewej stronie ulicy zauważam szyld: „Zaułek. Dom studencki. Noclegi”. Tak, to jest odpowiednie miejsce. Nie będą mnie tu szukać, a w okresie wakacyjnym nie powinienem mieć problemów z wolnym pokojem. Przez moment jeszcze się waham. Czy nie wzbudzę podejrzeń, zjawiając się bez walizki, zziąjany i z rosyjskim paszportem? Jednak nic lepszego nie przychodzi mi do głowy. Przekraczam próg budynku i wchodzę do środka. Młoda dziewczyna z włosami spiętymi w wysoki kucyk jest zajęta klikaniem w komórkę. Oddycham z ulgą, zawsze lepiej idzie mi z kobietami.

– W czym mogę pomóc? – pyta, gdy stoję przed nią.

– Potrzebuję pokoju, na noc, może dwie.

Cieszę się, że lada jest dość wysoka, mogę mieć bagaż przy nodze, od pasa w górę nie powinienem budzić podejrzeń.

– Pojedynczy? – upewnia się, sprawdzając coś w komputerze.

– Tak.

- Z łazienką?
- Poproszę.
- Płatność gotówką?
- A ile kosztuje?
- Dziewięćdziesiąt złotych za noc.

Sięgam do kieszeni spodni i znajduję w nich trzy banknoty po sto złotych i kilka drobnych monet. Do paszportu wsunąłem kartę kredytową, ale dla bezpieczeństwa nie powinienem z niej teraz korzystać.

– Dobrze, jedna noc – mówię. Muszę rozważnie wydawać pieniądze, mogą mi się jeszcze przydać.

– Poproszę o dokument tożsamości. – Dziewczyna podnosi na mnie wzrok.

– Proszę. – Kładę paszport na ladzie.

Pochyla się nad komputerem i zaczyna coś wpisywać.

– Borys? – odzywa się nagle.

Moje serce podskakuje gwałtownie kilka razy. Zna mnie, nie podoba się jej moje imię czy system meldunkowy połączony jest z bazą, w której znajduje się lista fałszywych paszportów używanych na całym świecie?

– Tak – potwierdzam, patrząc na recepcjonistkę wyczekująco.

– Ma pan dziś imieniny, wszystkiego najlepszego!

Wypuszczam zgromadzone w płucach powietrze. Dziewczyno, ale mnie wystraszyłaś!

– Dziękuję.

– Pokój 403, czwarte piętro. – Wręcza mi klucze i oddaje paszport. – W wyposażeniu są telewizor, telefon, lodówka, czajnik, naczynia i sztućce. Na każdym piętrze znajdują się ogólnodostępne kuchnie, gdzie można przygotować sobie posiłek. Może pan też korzystać z internetu – informuje

mnie.

Telefon zostawiłem w mieszkaniu, nic mi po internecie.

– Przepraszam, a czy w pokoju jest także komputer?

Dziewczyna robi zdziwioną minę. Nie wiem, czy traktuje moje pytanie poważnie, czy sądzi, że nabijam się z jej wcześniejszej wyliczanki.

– Nie mamy komputerów na wyposażeniu pokoi. Chyba nawet w pięciogwiazdkowych hotelach to nie jest standard – zauważa.

– Jasne.

Kładę pieniądze na ladzie, chowam dokumenty do kieszeni, biorę resztę i idę w kierunku schodów.

– Ale dwa stoją w pokoju do nauki! – krzyczy za mną. – Jeśli naprawdę chciałby pan skorzystać z komputera, są do pana dyspozycji. Pierwsze piętro, na wprost schodów.

Zastanawia mnie to jej „naprawdę”. Czy nie wyglądam na osobę, która umie włączyć komputer, czy przeciwnie, zwisające na bluzie słuchawki od empeczwórki sugerują, że się z niej nabijam? Odwracam się i odpowiadam z uśmiechem:

– Dzięki.

A potem wbiegam do góry po trzy schodki.

ELIZA

Nikt się nie odezwał. Nikogo nie było? To tylko dźwięk w mojej głowie? Wygłupy sąsiadów? Tych, którzy podrzucili mi obelżywą kartkę, jak sugerował Borys? A może to on ją wrzucił? Jak to się stało, że pojawił się nagle w moim życiu? Dlaczego Lilianna jest tak niesamowicie do mnie podobna? Myśli w mojej głowie bulgoczą nieprzerwanie. O co w tym wszystkim chodzi? I najważniejsze: czy mogę być już zarażona? Ostatnie pytanie mrozi mi krew w żyłach. O HIV słyszałam w telewizji, a poza tym w szkole urządzano nam o nim pogadanki na zajęciach z wychowania do życia w rodzinie. Groźny, niszczycielski wirus, którym można się zarazić przez krew lub drogą płciową. Nic więcej o nim nie wiem, nie uważałam na lekcjach, nigdy nie sądziłam, że ta wiedza będzie mi do czegoś potrzebna. Dlaczego mi to zrobił? Czy to zemsta Darii? Miecz Damoklesa, wisiał nade mną od tamtego lipcowego dnia i wreszcie spadł?

W pośpiechu staram się odłożyć wszystkie rzeczy Borysa na miejsce. Chowam gitarę w futerale i kładę ją na szafie. Ubrania upycham na półkach, a brudy w torbie, z którą przyjechał. Pod żadnym pozorem nie może się domyślić, że cokolwiek wiem. Już mi się nie wywinie, zemsta będzie słodka. Jedno jest pewne: gdy się zabiło raz i drugi, następny nie rodzi większych skrupułów.

Nagle słyszę łomotanie do drzwi. Z wrażenia podskakuję i uderzam się głową w otwartą szafkę. Klnę głośno. Staję na środku przedpokoju i widzę, jak klamka porusza się w górę i w dół, a zamek przekręca się w lewą stronę.

Borys? Zauważam, że nie użyłam górnej zasuw. Drzwi otwierają się z impetem i stają w nich chudzielec w dobrze mi znanej fluorescencyjnej bluzie, a zza niego wyłania się wielka postać z twarzą człowieka, który niejedno w życiu przeszedł. Z moich ust wydobywa się pisk. Facet w kapturze podbiega do mnie i zakrywa mi usta ręką. Uderzam głową w ścianę.

– Zamknij się! – rozkazuje.

Nie mogę złapać powietrza, jego chwyt jest silny, a ręce śmierdzą papierosami. Gruby zamyka drzwi i chwytą mnie za ręce. Związuje je czymś z tyłu, a potem przykłada mi broń do skroni.

– Gdzie jest Borys? – pyta chudy w bluzie.

Kręcę głową na boki. Zdejmuje rękę z moich ust, a ja znów zaczynam krzyczeć. Jest wieczór, w kamienicy pełno mieszkańców, ktoś mnie usłyszy, przyjdzie z pomocą.

– Jeśli nie przestanie się drzeć, zajebię ją – odzywa się gruby po rosyjsku, wciskając mi lufę w pulsującą skórę na czole.

Nie ma pojęcia, że rozumiem jego słowa. Boję się, tak bardzo się boję, nie chcę umierać. Chociaż zrobiłam tak wiele złego, chcę żyć. Teraz rozumiem, co znaczy prawdziwy strach, już wiem, co czuła. Czy moje oczy wyglądają tak samo jak jej wtedy? Czy jeśli mnie zabiją, będę im się śnić po nocach?

Gruby przejmuje pałeczkę. Łapczywie chwytam powietrze, gdy dłoń chudego ustępuje miejsca tłustej łapie tego drugiego. Zimny metal lufy przesuwają się w okolice moich pleców. Chudy przeszukuje mieszkanie, w kuchni na stole znajduje mój telefon. Bierze go do ręki, stuka palcem w ekran i podchodzi z nim do mnie.

– Zadzwoń teraz grzecznie do niego i zapytasz, kiedy wróci – nakazuje. – Jeśli piśniesz chociaż słowo, będzie to ostatnie słowo w twoim

życiu. Ten za tobą zna się na robocie – syczy mi w twarz i przykłada telefon do ucha.

W przelocie zerkam na uśmiechniętą twarz na wyświetlaczu. Po chwili wesoła melodia przerywa ciszę. Chudy klnie i rzuca aparatem o podłogę. Telefon Borysa leży podpięty do ładowarki na półce pod lustrem.

Facet we fluorescencyjnej bluzie pochyla się i zaczyna przeszukiwać sportową torbę. Zawartość, którą kilka minut wcześniej wpakowałam z powrotem, znów wylatuje na dywan. Nadal nie ma w niej niczego ciekawego. Lufa pistoletu wwierca mi się między żebra. Gruby nakazuje temu drugiemu, żeby się spytał, gdzie jest mój chłopak.

– Gdzie poszedł Borys? – posłusznie pyta chudzielec, wbijając we mnie bladozielone oczy.

Znów kręcę głową. Wiem, że za chwilę wróci, nie ma go już blisko godzinę. Nigdy dłużej nie biega, może właśnie stoi po przeciwnej stronie ulicy i czeka na zmianę światła, a może już wchodzi po schodach. Zabiją go na moich oczach? Chociaż kilka minut wcześniej nie pragnęłam niczego bardziej niż jego śmierci, to przerażająca perspektywa. Jeśli zamordują go w mojej obecności, to ja także jestem już martwa. Nie potrzebują świadka, widziałam ich twarze, wyrok w mojej sprawie już dawno zapadł. Gdzieś głęboko w środku czuję ucisk. A jednak jest coś takiego jak sprawiedliwość losu. A ja naiwnie sądziłam, że się wywinę.

– Dobrze – Kaptur podchodzi do mnie – w takim razie poczekamy sobie na niego razem. W końcu wróci!

Powtarza to samo po rosyjsku do faceta za moimi plecami, a ten odzywa się tuż nad moim uchem:

– A może byśmy się w międzyczasie z nią zabawili?

Tylko nie to!, krzyczę bezgłośnie. Proszę, nie! Ten w kapturze doskonale odczytuje moje błaganie, ale to chyba jeszcze bardziej go nakręca. Podchodzi

do mnie i wkłada mi rękę pod bluzkę. Jego paskudna łapa przesuwa się po moim ciele do góry i chwyta mnie za sutek. Zaczynam się trząść. Przez cały ten czas chudy nie spuszcza wzroku z mojej twarzy.

– Masz rację – odpowiada po rosyjsku. – To by go wkurwiło!

Wiem, że to zrobią. Za chwilę historia zatoczy koło, wąż połknie własny ogon, zemsta się dopełni. I już nie będzie miało najmniejszego znaczenia, czy zaraziłam się HIV, czy nie, kim jest mój ojciec i skąd się wzięli Borys i Lilianna. Tych dwóch zbrojców naznaczą mnie cierpieniem, z którego się nie podźwignę. Dziś mam dni płodne, nie stosuję antykoncepcji, nie, proszę! Ręce grubego coraz mocniej zaciskają się na moich nadgarstkach, a facet w bluzie rozpina mi guzik w džinsach i siłą ściąga ze mnie spodnie. Wierzgam nogami, ale nic to nie daje. Wolałabym umrzeć. Gdyby tylko pozwolili mi mówić, poprosiłabym ich, żeby mnie zabili. Usiłuję ugryźć grubego w rękę, rzucam się na boki, ale nie mam z nimi szans. Mięśniak zaciska rękę na moich ustach, jego grube palce wbijają się w moje policzki, a facet w bluzie rozpina rozporek. Wpatruję się w niego błagalnym wzrokiem, ale jest niewzruszony. Śmieje mi się prosto w twarz i ściąga ze mnie majtki.

LILIANNA

– Tak się cieszę, że pani do mnie wpadła. – Pani Irena wiesza żakiet na haczyku i wchodzi do kuchni. – Już nastawiam wodę.

Stoję niepewnie w przedpokoju. Najchętniej bym stąd uciekła, aby jak najdalej od tych zbirów.

– Pani Ireno... – odzywam się.

Wychyla głowę z kuchni, jej siwe włosy ułożone są jak zawsze w schludne fale.

– Nie podobają mi się ci mężczyźni, którzy weszli z nami do kamienicy. Mam wrażenie, że widziałam broń w ręce jednego z nich. Myślę, że powinniśmy wezwać policję.

Kobieta zastyga na chwilę. Jej twarz zdradza niepokój.

– Broń? Dlaczego pani tego od razu nie powiedziała?!

Dziarsko człapie w stronę pokoju. Podnosi słuchawkę telefonu stojącego na stylowym kredensie.

– Dzisiejsze czasy są takie niebezpieczne! – mówi. – Od razu wiedziałam, że coś się święci!

– Ma pani rację. – Podchodzę do niej i patrzę, jak wybiera na klawiaturze 112. Przygotowana na wszystko, niezawodna, opanowana staruszka.

– Słyszałam, jak mówili, że idą pod siódmkę – dodaję, stając za jej plecami.

Kobieta nerwowo porusza nogą, czekając na połączenie.

– Tam mieszka ta młoda para. O Boże, ta pani często wieczorami jest sama, młodzieniec zazwyczaj wraca później. Halo – mówi głośno do osoby po drugiej stronie linii – policja?

Wizja, jaką przedstawia pani Irena, nie pozostawia złudzeń. Uzbrojeni napastnicy wtargnęli do mieszkania dwa piętra wyżej, potrzebna natychmiastowa pomoc. Kilka minut później pod drzwiami kamienicy parkuje radiowóz. Postanawiam nie czekać na rozwój wypadków. Gdy tylko głośne krzyki na górze obwieszczają, że policjanci wtargnęli do mieszkania, żegnam się z moją przyjaciółką i wychodzę na ulicę.

ANTON

Gdy schodzę na dół, sala do nauki jest pusta. To mnie cieszy. Rezygnuję z zapalenia światełka i podchodzę do jednego z wyłączonych komputerów. Stary model Samsunga. Kiedy go uruchamiam, monitor szumi i bzyczy, błyskając mi po oczach migającym obrazem. Czy naprawdę da się skorzystać z tak wiekowego sprzętu? Czekam, nerwowo uderzając palcami w blat stołu. Wreszcie komputer jest gotowy do pracy. Żadnych haseł, wszystko ustawione automatycznie. Loguję się na swoją pocztę. Brak nowych wiadomości.

Wchodzę do programu Find Face. Z poczty ściągam zdjęcie Lilianny i ponownie umieszczam je w systemie. Niewiarygodne dzieło Artema Kucharenki i Aleksandra Kabakowa, skrojone na miarę naszych czasów, ponownie pokazuje mi listę jedenastu kobiet najbardziej podobnych do mojego pierwowzoru. Numer jeden, Tatiana z Jekaterynburga, mąż i córka, od kwietnia nic się nie zmieniło. Numer dwa, Olga Lepitiuk z Kijowa. Jest najbliżej. W drugim oknie uruchamiam wyszukiwarke połączeń. Jedna przesiadka w Przemyślu, jedenastogodzinna podróż i byłbym w sercu Ukrainy. Spójrzmy dalej. Przeskakuję przez dziewczynę numer trzy, spalony kontakt, i ląduję na uśmiechu niejakiej Katii Bykowej z Moskwy. Dwadzieścia sześć lat, wydatny biust i długie nogi. Przez chwilę zastanawiam się, czy strój pielęgniarki, który ma na sobie, to jej służbowy mundur czy kostium striptizerki szykującej się na wieczorny występ. Porzucam Panią Pigułę i zaglądam do życia Oksany Kuryłowej, dziewiętnastolatki

z Nowosybirsk. Prawdopodobnie mieszka jeszcze z rodzicami i młodszym rodzeństwem. Jednak nie mam ochoty się o tym przekonywać, nie znoszę mrozów. Upały, piaszczyste plaże i europejskie metropolie to zdecydowanie bardziej moje klimaty. Idźmy dalej. Mam do sprawdzenia jeszcze sześć dziewczyn. Która z nich okaże się tym razem moim szczęśliwym trafem? O, proszę, dalej robi się znacznie ciekawiej, znów międzynarodowo.

5 września 2016, Warszawa

LILIANNA

Wczoraj nad Warszawą przeszło gradobicie, a jeszcze tydzień temu stolicę spowijał trzydziestostopniowy upał. Nie będzie złotej polskiej jesieni? Siedzę w przytulnym gabinecie w gigantycznym biurowcu i wyglądam przez okno. Ciężkie chmury wiszą nad miastem.

Wróciłam z Krakowa kilka dni po tamtym incydencie. Wspomnienie zimnej lufy wbijającej się w moje plecy do dziś wywołuje we mnie dreszcze. Następnego dnia w porannej prasie znalazłam informację, że w mieszkaniu jednej z krakowskich kamienic doszło do aresztowania dwóch przestępców z petersburskiego półświatka, którzy próbowali zgwałcić, a potem prawdopodobnie zabić dwudziestoosmioletnią kobietę. Czy uratowałam jej życie? Nie wspominali nic o tobie, to chyba dobrze. Całe szczęście, że ci bandyci zostali aresztowani.

Nie widziałam się już z Elizą. Zniknęłam tak samo nagle, jak się u niej pojawiłam. Jeszcze przez parę dni obserwowałam twój dom, ale już się nie pokazałeś. Ona też ani nie wychodziła z mieszkania, ani do niego nie wracała. Sprawdziłam w internecie jej wizyty, wszystkie były zawieszane. Nie wiem, co się z nią stało, i szczerze mówiąc, wcale mnie to nie interesuje. Tylko ty się liczysz.

Nadal za tobą tęsknię i nie potrafię przestać o tobie myśleć. Gdzie teraz jesteś, czy nic ci się nie stało, czy jesteś bezpieczny? Twój niemy znak, dłoń

na sercu, i świadomość, że dzięki mnie cię nie dorwali, dodają mi sił. *Dont't let me down.* Tym razem cię nie zawiodłam. Już wiesz, że odnalazłam cię dlatego, że nadal cię Kocham. Słyszę ciche pukanie do drzwi.

– Proszę!

– Poczta do pani – mówi moja asystentka, młoda dziewczyna z sympatycznymi dołkami w policzkach.

– Dziękuję – odpowiadam, patrząc, jak kładzie plik kopert na moim biurku.

Gdy wychodzi, jeszcze chwilę przyglądam się chmurnemu niebu i wreszcie przenoszę wzrok na listy. Niechętnie sięgam po pierwszy z brzegu, z banku, kolejny z sądu, sprawa własności gruntów, dalej ubezpieczyciel, doradca finansowy, przekładam jedną kopertę po drugiej i wreszcie docieram do kartki, która przyśpiesza bicie mojego serca. Butelka szampana i dwa kieliszki.

– Jeśli wygrasz, zasługujesz na szampana, jeśli przegrywasz, zwyczajnie go potrzebujesz – mówię cicho.

Pośpiesznie odwracam pocztówkę na drugą stronę. Zaadresowana na moją firmę, z dopiskiem: „Do rąk własnych” i moje nazwisko. Treść, choć niepodpisana, nie zostawia cienia wątpliwości, kto jest nadawcą.

Dziękuję i przepraszam. Twoje zdrowie!

Przejeżdżam dłonią po drobnych literach twojego pisma i na usta wypływa mi uśmiech. Nie sądziłam, że ten ponury dzień początku września okaże się tak radosny. Przyglądam się napisowi na stemplu pieczętki. Jest niewyraźny. Jednak znaczek zdradza wszystko. Pocztówka została wysłana z Francji. Znów mam twój trop. Chwytam za słuchawkę.

– Kamila?

– Tak, pani prezes? – odpowiada moja asystentka.

– Czy mogłabym cię na chwilę prosić?

Niech odszyfruje tę nazwę i zarezerwuje mi hotel i lot najbliżej tego miejsca. Jeśli chodzi o ciebie, nigdy się nie poddam.

Nicea

ANTON

Następnego dnia o świcie opuściłem Zaulek i o ósmej rano złapałem pociąg do Kijowa. Chciałem jak najszybciej uciec poza granice Polski, a Ukraina wydawała mi się najlepszym miejscem. Z porannej prasy dowiedziałem się, że Siergiej i ten drugi zostali aresztowani. Po raz kolejny udało mi się wymknąć ze szponów śmierci. Czy rzeczywiście mogłem odetchnąć z ulgą, czy zgubiłem wszystkie ogony, czy Fiodor wreszcie da za wygraną? Szczerze w to wątpiłem.

W Kijowie udałem się do lekarza i zdobyłem leki, które stały na straży długości mojego doczesnego życia. Wypłaciłem trochę gotówki z funduszy po ojcu i postanowiłem uciec na dotychczasowym paszporcie jak najszybciej i jak najdalej. Nie miałem pojęcia, co Eliza powiedziała o mnie policji, co wiedzieli o mnie Siergiej i jego kolega, czy nie jestem ścigany międzynarodowym listem gończym i jak w tym momencie wygląda moje położenie. Przez chwilę rozważałem nawet powrót do Lilianny. Czułem dla niej ogromną wdzięczność. Gdybym nie zobaczył jej wtedy pod drzwiami kamienicy, nie stanął jak wryty, tylko przebiegł na zielonym świetle, wpadłbym w ich łapy. Ocaliła mi życie, ryzykując swoje. Czy zechciałaby ze mną być mimo choroby? I czy choćby miało to trwać krótko, warto spróbować? Wiedziałem, że nie. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Odgrzewany kotlet nikomu nie smakuje. Poza tym mój nowy plan zapowiada

się niezwykle atrakcyjnie. Wiedzie mnie w stronę niespełnionych marzeń z dzieciństwa, a skoro moje życie jest takie kruche, nie ma sensu z tym dłużej zwlekać.

Zarezerwowałem najbliższy lot z Kijowa do Paryża. Wydawało mi się to jedynym słusznym wyborem. Samolot lądował na Orly, małym lotnisku, lot był bezpośredni, a poza tym wiedziałem, że w jednym z niewielkich urzędów pocztowych na Montmartrze Wołodia ma wynajętą skrytkę pocztową, w której leżą awaryjne dokumenty tożsamości, dla mnie i dla niego. W eleganckiej wypożyczalni samochodów wynająłem najnowszy model Renault i jako Wiktor Ryłow ruszyłem na południe. W jednej z sennych miejscowości, której nazwy nie pamiętam, gdzieś pomiędzy Lyonem a Awinionem, zatrzymałem się na obiad. A potem, podczas krótkiego spaceru, na wystawie jednego z malowniczych sklepików wpadła mi w oczy wymowna kartka. Wysłałem ją Liliannie z wyrazami wdzięczności. Byłem jej winien o wiele więcej, ale niestety nic już nie mogłem jej dać. Wsiadłem w samochód i ruszyłem w dalszą drogę. Mój nowy cel był coraz bliżej.

Pokój, w którym postanowiłem się zatrzymać na noc, jest czysty i gustownie urządzone. Siadam na łóżku, uruchamiam telefon na kartę, który kupiłem w Paryżu, i wybieram numer Wołodii.

– Żyję – odzywam się.

– Jasna cholera, Anton! Ludzie Fiodora wpadli w Krakowie.

Opowiadam mu całą historię, nie pomijając wątku Lilianny i mojego cudownego ocalenia.

– Ty skurczybyku – mówi. – Naprawdę napędziłeś mi stracha, przez tyle dni się nie odzywałeś. Wszyscy trąbili o wpadce w Krakowie, a ja tylko miałem nadzieję, że wyszedłeś z tego cało. I okazuje się, że rzeczywiście jesteś niezniszczalny!

Donośny śmiech Wołodii na koniec zmienia się w kaszel.

– Czy nie mówiłeś kiedyś, że chciałbyś rzucić całe to gówno i powyrzewać tłusty tyłek na jakimś modnym jachcie? – zaczynam.

Wołodia milczy, dając mi przyzwolenie, abym kontynuował.

– Wpadł mi do głowy świetny pomysł. A wiesz, że ostatnio miałem mnóstwo czasu na myślenie.

– Interes?

– Intratny. Sprawdzam jeszcze szczegóły, ale czuję, że to strzał w dziesiątkę. Najpierw jednak muszę poznać moją nową dziewczynę, która nam go umożliwi.

– Którą?

– Tym razem numer siedem. Sprawdź i zapamiętaj nazwisko.

Śmiech Wołodii ma w sobie coś obiecującego. Jestem mu to winien. Za wszystko, co dla mnie zrobił.

Kiedy po raz pierwszy powiedziałem mu o Find Face, wiedział tylko tyle, że łączącym ogniwem będzie Lilianna.

– Jak cię znajdzie? – zapytał.

– Find Face. Nie wyrzuciłeś paszportu na nazwisko Maxim Nikołajew?

– Wiesz, że nigdy tego nie robię.

– W tylnej przegródce okładki jest jej zdjęcie.

Uśmiechnięta Lilianna na tle oceanu. Pamiętam tę chwilę, jakbym pstrykał je wczoraj.

– No i?

– Wrzucisz zdjęcie do programu i znajdziesz mnie obok którejś z wyplutych przez aplikację kobiet. Teraz moim celem jest dziewczyna numer trzy.

– Natura nie poskąpiła ci pomysłowości. Świetnie to wymyśliłeś.

Odkładam telefon na półkę i wychodzę na taras. Na ławce przed hotelem

siedzi młoda kobieta w kolorowej chustce na głowie, kołysząc w ramionach dziecko. Jej wydatne wargi wypowiadają niezrozumiałe słowa, a ja zastanawiam się, czy moja matka tuliła mnie w podobny sposób. Widok kobiety i niemowlęcia niespodziewanie wywołuje we mnie uczucie tęsknoty, tak silne i głębokie, że nie potrafię go stłumić. Ból po nieodwracalnej stracie, smutek niepodobny do innych. Gdyby nie jej przedwczesna śmierć, moje życie potoczyłoby się inaczej. Nie ćpałbym, nie zadarłbym z niewłaściwym towarzystwem, nie miałbym HIV i nie musiałbym stale uciekać.

To gorzki rozrachunek życia, straconych szans i niespełnionych nadziei. Być może. Ale było nie było, wciąż żyję. Przenoszę wzrok na zatokę, tysiące migoczących świateł wypełniają mnie uczuciem satysfakcji. Najważniejsze, że znów wygrałem i, co więcej, pozostał mi co najmniej jeden rzut kostką.

Teraz

Jak można udawać chorobę psychiczną? Kiedyś pisałam o tym referat. Znam się na tym, gdybym tylko chciała, robiłabym to bezbłędnie, ale nie muszę, bo jestem na skraju obłądu z diagnozą PTSD. Zespół stresu pourazowego. To, w jakim stanie znalazła mnie policja, nie pozostawiało złudzeń. Zamknęli mnie w zakładzie, chyba się boją, że mogłabym sobie coś zrobić. Prawie cały czas siedzę bez ruchu i patrzę w podłogę albo w sufit. To, co przeżyłam w mieszkaniu na Zwierzynieckiej, tłumaczy moje zachowanie. Nie mówiłam nikomu, że mogę mieć wirusa HIV. W ogóle nie mówię.

Codziennie przychodzi do mnie matka. Jakby zapomniała o naszej rozmowie przed palisadowym płotem, jakby mój stan wskazywał, że niczego nie pamiętam, jakby czuła się wszystkiemu winna. Chyba jest między nami lepiej niż kiedykolwiek. Przynajmniej nie czuję do niej niechęci, a ona nie patrzy na mnie w ten dziwny sposób.

Dziś przyszedł Daniel. Śmieje się, próbuje udawać, że nic się nie stało. Proponuje, żebyśmy przeszli się na spacer do ogrodu. Zgadzam się. Kroczymy wąską alejką wśród innych pacjentów i ich gości siedzących na ławkach. Liście na drzewach są już żółte, nie mogę uwierzyć, że dopiero teraz to zauważyłam. Może to znak, że wracam do zdrowia? Mam wrażenie, że czuję się o wiele lepiej, niż inni myślą i niż można się spodziewać po tym, co przeszłam. Moja psychika zawsze mnie zaskakiwała i nawet teraz nie wyszła z wprawy. Siadamy na jednej z ławek pośród kwiecistych jeszcze do niedawna klombów. Nie potrafię się skupić na tym, co mówi mój brat,

docierają do mnie pojedyncze słowa.

Ślad po Borysie zaginął. To strasznie dziwne, że był w jakiś sposób związany z tymi facetami z rosyjskiej mafii. Policja nie ujawniła jeszcze żadnych szczegółów, dochodzenie trwa. Nienawidzę Borysa za to, co mi zrobił, nadal nie wiem, dlaczego mnie śledził i co dokładnie łączyło go z Lilianną. Zaczyna mnie boleć głowa. Proszę Daniela, żebyśmy już wracali. Zgadza się. Przystaje na dole przy automacie do kawy, chce kupić jedną też dla mnie, ale nie reaguję na jego propozycję. Opieram się plecami o ścianę i wpatruję w ekran telewizora w hallu. Znaleźli ciało dwudziestosześcioletniego mężczyzny, który zaginął w czerwcu w Krakowie. Na ekranie pokazuje się twarz Czuba.

Ciało dwudziestosześcioletniego Mariusza N. zostało znalezione w poniedziałek rano na terenie budowy jednego z lokali usługowych na ulicy Lwowskiej. Specjaliści twierdzą, że do zabójstwa doszło około trzech miesięcy temu, w czasie gdy rodzina zgłosiła zaginięcie mężczyzny. Zwłoki znalazła grupa nastolatków. Od tygodni mieszkańcy pobliskich kamienic skarżyli się na nieprzyjemny zapach dochodzący z placu budowy. Rodzina zamordowanego pogrążona jest w żalu i prosi o pomoc w trwającym śledztwie. Władze Spytkowic w powiecie nowotarskim, skąd pochodził mężczyzna, ogłosiły nagrodę za złapanie sprawcy.

W powiecie nowotarskim, a nie wadowickim? Boże, Mariusz nie był z tych Spytkowic, o których myślał Daniel, o których myślałam ja, nie był z naszych okolic. Nic nie wiedział o mojej przeszłości, zabiłam niewinnego człowieka. Zaczynam krzyczeć. Głośno i przeraźliwie. Daniel podbiega do mnie, pojawiają się jacyś ludzie, barczysty pielęgniarz w seledynowym stroju chwyta mnie za ramiona i już nic nie czuję, nikogo nie widzę, pochłania mnie ciemność.

KONIEC

Podziękowania

Chciałabym serdecznie podziękować wszystkim, którzy pomogli mi w napisaniu tej książki. Przede wszystkim mojej Mamie i Mężowi, którzy zapewnili mi czas i przestrzeń do tworzenia. Moim pierwszym recenzentom: Siostrze i ponownie Mamie i Mężowi, za wnikliwą analizę tekstu i cenne uwagi, a także mojemu Przyjacielowi Markowi za fachowe porady z zakresu psychologii i psychoterapii. Dziękuję również całemu Zespołowi Redakcyjnemu wydawnictwa Znak Literanova za profesjonalne przygotowanie tekstu do druku oraz działania promocyjne. Nie sposób tu wymienić każdego z osobna, ale jestem Wam wszystkim bardzo wdzięczna.

Na końcu pragnę szczególnie podziękować moim Przyjaciołom, Znajomym i wszystkim Czytelnikom, którzy wspierali mnie w mediach społecznościowych i na spotkaniach autorskich. Cieszę się, że mogłam na Was liczyć przy wyborze imienia głównej bohaterki i gdy podejmowałam decyzję dotyczącą okładki książki. Świadomość, że jesteście i mogę na Was polegać, ma dla mnie ogromne znaczenie i zapewne jeszcze nieraz pozwolę sobie skorzystać z Waszej życzliwości.

Copyright © by Magdalena Stachula-Nieścioruk

Projekt okładki

Izabella Marcinowska

Fotografia na okładce

Copyright © carton_king / iStockphoto.com

Zdjęcie autorki

Copyright © Renata Szczepanik

Redakcja

Katarzyna Sobiepanek-Szczęsna

Opieka redakcyjna

Monika Kucab

Agata Pieniążek

Opracowanie tekstu i przygotowanie do druku

DreamTeam

ISBN 978-83-240-4683-6

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com